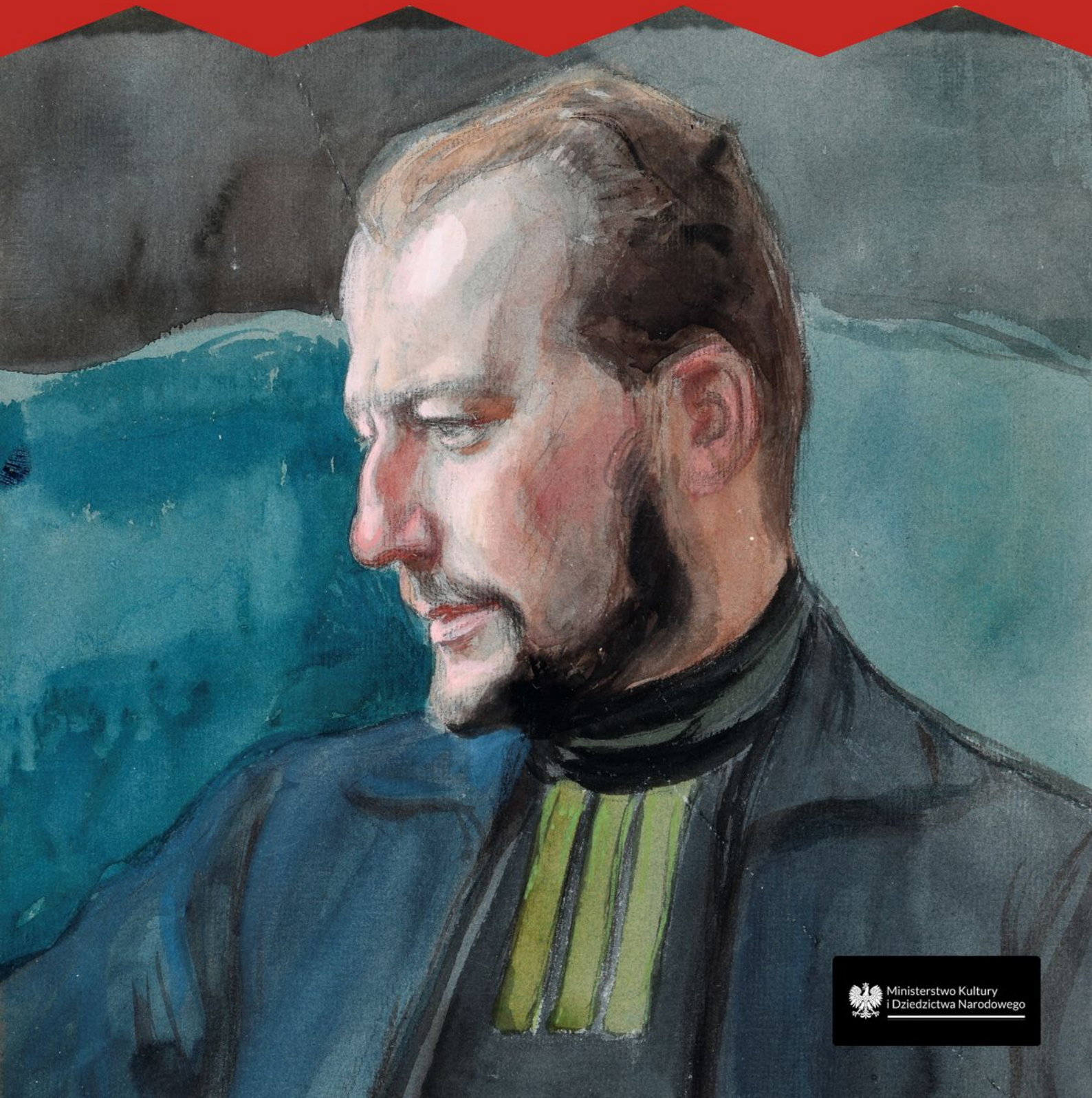


Dwanaście krzeset



ILJA ILF
EUGENIUSZ PIETROW

Dwanaście krzesel

POWIEŚĆ

TEŁUM. HALINA PILICHOWSKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY ZAKŁAD POGRZEBOWY „WITAJCIE”

Tak wiele zakładów fryzjerskich i biur pogrzebowych było w powiatowym mieście N., że można było przypuszczać, iż mieszkańcy miasta jedynie po to się rodzą, by ogolić się, ostrzyć, skropić głowę perfumami i rychło po tym umrzeć.

W istocie jednak w tym mieście ludzie rodzili się, strzygli i umierali dość rzadko. Spokojnym, jasnym nurtem płynęło życie miasta. Wiosenne noce były upojne, w blaskach księżycy jak antracyt lśniło błoto i cała młodzież miejscowa na zabój kochała się w sekretarce miastkomu¹ (komitetu miejscowego), której to oczywiście nie przeszkadzało w egzekwowaniu składek członkowskich.

Problemy miłości i śmierci bynajmniej nie wznuszały Hipolita Matwiejewicza Worobianinowa, mimo iż zajmował się nimi z urzędu codziennie od dziewiątej rano do piątej po południu z przerwą na drugie śniadanie.

Z rana Hipolit Matwiejewicz wypijał porcję gorącego mleka, które mu Klaudia Iwanowna podawała, po czym z na wpół ciemnego domku wychodził na szeroką, jasnym wiosennym światłem zalaną ulicę imienia towarzysza Biurokracego. To była chyba najweselsza ulica z tych, jakie spotkać można w małym powiatowym mieście. Z lewej strony za zielonymi oknami srebrzyły się trumny zakładu pogrzebowego „Nimfa”, z prawej zaś przez małe szybki, w których kit się wykruszył, widać było dębowe, smutnie zakurzone trumny mistrza cechu karawaniarzy² Bezenczuka. Trochę dalej fryzjer „Pierre i Jean” głosił, że ofiarowuje swym klientom manicure i ondulację. Nieco dalej znajdował się hotel z zakładem fryzjerskim, a za nim, na otwartym placu żółty cielak oblizywał czule przybity do samotnie sterczącej ściany zardzewiały szyldzik:

Zakład pogrzebowy „Witajcie”

Przedsiębiorstw pogrzebowych było wprawdzie w miasteczku bardzo dużo, ale klientelę miały niezamożną. Firma „Witajcie” zbankrutowała jeszcze na trzy lata przed przyjazdem Hipolita Matwiejewicza do miasta N., a przedsiębiorca pogrzebowy Bezenczuk pił jak szewc i próbował nawet swego czasu zastawić w lombardzie swą jedyną trumnę wystawową.

W mieście N. ludzie rzadko umierają, a Hipolit Matwiejewicz wiedział o tym lepiej od innych, ponieważ pracował w ZAGS-ie (urząd stanu cywilnego), gdzie prowadził dział rejestracji zgonów i ślubów. Stół, przy którym Hipolit pracował, wyglądał jak stara płyta grobowa. Słabe nogi stołu ugiwały się pod ciężarem teczek wypchanych aktami, z których można było dowiedzieć się o rodowodzie mieszkańców miasteczka i o drzewach genealogicznych, które wyrosły na ubogiej glebie powiatu.

W piątek 15 kwietnia 1927 roku Hipolit Matwiejewicz jak zwykle obudził się o wpół do ósmej i od razu wpakował na nos staroświeckie złote binokle.

¹miestkom — miejscowy komitet związku zawodowego w ZSRR. [przypis edytorski]

²karawaniarz — człowiek kierujący karawanem, pojazdem przewożącym ciało zmarłego w orszaku pogrzebowym. [przypis edytorski]

— *Bonjour*³ — zanucił wesoło, spuszczać nogi z łóżka. „*Bonjour*” oznaczało, że Hipolit Matwiejewicz wstał z łóżka w dobrym humorze. Natomiast gdy po przebudzeniu mówił „*Guten Morgen*”⁴, było to niechybną oznaką, że dokucz mu wątroba, że pięćdziesiąt dwa lata to nie drobnostka i że w powietrzu pełno jest wilgoci.

Hipolit Matwiejewicz wsunął pałakowate nogi w spodnie, pamiętające jeszcze lepsze czasy, i włożył w krótkie, miękkie buty o wąskich, kwadratowych szpicach.

Po pięciu minutach zdołała go kamizelka, upstrzona małańkami srebrnymi gwiazdami, i alpagowa⁵ marynarka. Strzepnął z siwych włosów pozostałe po myciu krople wody, nastroszył zawadiacko wąsy, dotknął niezdecydowanie szorstkiego podbródka, przyszczotkował włosy i z uprzejmym uśmiechem wyszedł na spotkanie wchodzącej do pokoju teściowej swej — Klaudivy Iwanowny.

— *Mon cher*⁶ — huknęła — miałam dziś zły sen. — Przy czym wyraz „sen” wymówiła z francuska.

Hipolit Matwiejewicz spojrział na teściową z góry na dół. Mógł bez trudu tak patrzeć na nią, jego wzrost bowiem sięgał stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów.

Klaudiva Iwanowna ciągnęła dalej:

— Widziałam we śnie nieboszczkę Marię z włosom rozwianym i w złotej opasce na biodrach.

Klaudiva Iwanowna grzechotała jak karabin maszynowy, aż chybotła się mosiężna lampa wraz z kulą i zakurzonym abażurem.

— Jestem przerażona. Obawiam się jakiegoś nieszczęścia.

Ostatnie słowa wymówiła tak, że Hipolitowi Matwiejewiczowi włosy na głowie stanęły dęba. Zmarszczył się i odrzekł spokojnie:

— Nic się nie stanie. Czy woda już zapłacona?

Okazało się, że nie była zapłacona, a kalosze też nie były umyte.

Hipolit Matwiejewicz nie lubił swojej teściowej. Klaudiva Iwanowna była głupia i nawet jej wiek nie rokował nadziei, że kiedykolwiek zmądrzeje. A skąpa była — do obrzydliwości. Jedyne ubóstwo zięcia nie pozwalało w pełni rozwinąć się tej skłonności.

Obdarzona była tak donośnym głosem, że mógłby go chyba pozazdrościć jej Ryszard Lwie Serce⁷.

A nadto — i to było najgorsze — Klaudiva Iwanowna miewała sny. Stale śniły się jej dziewczęta w opaskach i bez opasek, konie w żółtych, dragońskich czaprakach⁸, stróże, grający na harfach, archaniołowie, w stróżowskich kożuchach czuwający po nocach, druty od pończoch, które jak gdyby nigdy nic hasały sobie po pokojach.

Klaudiva Iwanowna była przesadną kobietą. Oprócz tego wyrosły jej pod nosem wąsy, które wyglądały jak pędzelki do golenia.

Hipolit Matwiejewicz wyszedł z domu z lekka podenerwowany.

Przytulony do drzwi swego niefortunnego zakładu, stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach mistrz cechu karawaniarzy Bezenczuk.

Pod wpływem ciągłych bankructw handlowych i systematycznego zażywania gorących napojów oczy naszego mistrza świeciły żółtym blaskiem, jak u kota, i płonęły ogniem.

— Witam drogiego gościa! — zarechotał na widok Hipolita Matwiejewicza. — Dzień dobry!

Hipolit Matwiejewicz uprzejmie uchylił poplamionego filcowego kapelusza.

— Jak zdróweczko czcigodnej teściowej?

— M... mm... m... — burknął niechętnie Hipolit Matwiejewicz i wzruszywszy ramionami, minął zakład Bezenczuka.

— Niech jej Bóg da zdrowie — powiedział z goryczą Bezenczuk. — Same straty, takie to już czasy.

I znów z rękami skrzyżowanymi na piersiach oparł się o drzwi.

³*bonjour* (fr.) — dzień dobry. [przypis edytorski]

⁴*guten Morgen* (niem.) — dzień dobry. [przypis edytorski]

⁵*alpagowy* — wykonany z *alpagi*: gładkiej i błyszczącej tkaniny. [przypis edytorski]

⁶*mon cher* (fr.) — mój drogi. [przypis edytorski]

⁷*Ryszard Lwie Serce* (1157–1199) — król Anglii (od 1189), jeden z wodzów III krucjaty, zyskał reputację wielkiego dowódcy i wojownika walczącego w imię chrześcijaństwa. [przypis edytorski]

⁸*czaprak* — tkanina umieszczana pod końskim siodłem. [przypis edytorski]

Z kolei nie omieszkało zatrzymać Hipolita Matwiejewicza przed zakładem pogrzebowym „Nimfa”.

Było trzech właścicieli „Nimfy”. Skłonili się przed Hipolitem Matwiejewiczem i zgodnym chórem spytali o zdrowie teściowej.

— Zdrowa, zdrowa — odpowiedział Hipolit Matwiejewicz — czy to jej czego brak? Dziś ukazała się jej we śnie złocista dziewczica z włosami na wiatr rozwianymi. Takie to, uważacie, miewa sny.

Trzy „nimfy” zerknęły ku sobie i głośno westchnęły.

Na te wszystkie rozmowy Hipolit Matwiejewicz zmarudził nieco czasu i wbrew swym zwyczajom przyszedł do biura, gdy zegar wiszący nad wezwaniem: „Kończ sprawę i żegnaj!” wskazywał już pięć minut po dziewiątej.

Hipolit Matwiejewicz wyjął z szuflady biurka szarą, wołokową poduszczkę, położył ją na krześle, nadał włosom prawidłowy kierunek (równoległy do biurka), usiadł na poduszcze, górując nieco nad swymi trzema współpracownikami. Hipolit Matwiejewicz nie bał się hemoroidów, lecz bał się o całość swych spodni i dlatego właśnie używał szarego wołoku.

Te wszystkie manipulacje sowieckiego dygnitarza obserwowało nieśmiało dwoje młodych ludzi, młodzieniec i dziewczica.

Młodzieniec w sukiennej, watomanej⁹ marynarce był kompletnie zgnębiony urzędową atmosferą, zapachem atramentu, ochryplym, miarowym tykaniem zegara, w szczególności zaś surowym wezwaniem: „Kończ sprawę i żegnaj!”. Mimo iż swęj sprawę młodzieniec w marynarce dotąd jeszcze nie zaczął, rad by najwidoczniej czym prędzej urząd ten pożegnać.

Sprawa, która go tu sprowadziła, zaczęła wydawać mu się tak blaha, że wstyd mu było po prostu niepokoić nią tak godnego, szpakowatego obywatela, jakim był Hipolit Matwiejewicz. Hipolit Matwiejewicz również wiedział, że przybyły ma drobną sprawę, że może z nią poczekać, toteż otworzył skoroszyt numer dwa i pogрузzył się w czytaniu. Dziewica w długim żakiecie, oblamowanym błyszczącą, czarną taśmą, porozumiała się szeptem z młodzieńcem i — zawstydzona — podeszła powoli do Hipolita Matwiejewicza.

— Towarzyszu — powiedziała — gdzie tu można...

Młodzian w marynarce odetchnął z ulgą i niespodzianie wypalił:

— Zarejestrować!

Hipolit Matwiejewicz spojrział uważnie na barierę, za którą stała para.

— Narodziny? Zgon?

— Ślub — wyjaśnił zbity z tropu młodzian i nieporadnie rozejrzał się dokoła.

Dziewica parsknęła śmiechem. Najgorszy bywa początek.

Hipolit Matwiejewicz ze zrećznością żonglera zabrał się do roboty.

Starczym piśmem wpisał do grubych foliałów nazwiska nowożeńców, z namaszczeniem przesłuchał świadków, których oblubienica sprowadziła na prędcę z ulicy, po czym długo, z przejęciem chuchała na podłużną pieczętkę i uniósłszy się z krzesła, odciskał ją na wystrzępionych paszportach.

Wziął od nowożeńców dwa ruble i wydawszy im pokwitowanie, rzekł z uśmiechem: „Za dopełnienie sakramentu” — przy czym wstając, ukazał swą zaprawdę imponującą postać (w dawnych czasach zwykły był nosić gorset). Promienie słońca złościły się mu na ramionach jak epolety¹⁰. Wyglądał nieco śmiesznie, lecz niezwykle uroczyście. Światło załamywało się w podwójnie wklęsłych szklach. Młodzi stali potulnie jak jagniątka.

— Młodzi towarzysze — rozpoczął napuszoną przemowę Hipolit Matwiejewicz — pozwólcie złożyć sobie gratulacje z okazji, jak to dawniej mówiono, zawarcia dozgonnych ślubów. Bardzo, b-a-a-a-rdzo się cieszę, gdy widzę takich jak wy, młodych ludzi, którzy, trzymając się za ręce jak wy, dążą do osiągnięcia nieśmiertelnych ideałów. Bardzo się cieszę!

Wygłosivszy tę tyradę, Hipolit Matwiejewicz uściskał nowożeńcom ręce, po czym — bardzo z siebie zadowolony — usiadł i kontynuował przeglądanie dokumentów zawartych w skoroszytcie numer dwa.

⁹watomany — podszyty watą albo watoliną. [przypis edytorski]

¹⁰epolet — naramiennik przy mundurze wojskowym, wykonany z taśmy srebrnej, złotej lub z sukna. [przypis edytorski]

Praca w biurze już się skończyła. Na sąsiedniej biało-żółtej dzwonnicy uderzono ze wszystkich sił w dzwony. Zadrzęły szyby. Z dzwonnicy wysypały się wrony. Porajcowali na rynku i odfrunęły. Zimny mrok zapadał nad opustoszałym placem.

Wszyscy, którzy mieli się urodzić tego dnia — urodzili się i zostali wniesieni do grubych foliałów. Wszyscy, którzy chcieli pobrać się — pobrali się i również zostali wniesieni do grubych foliałów. I jedynie tylko, jakby na złość żadnym żeru karawaniarzom, nie było ani jednego śmiertelnego wypadku. Hipolit Matwiejewicz złożył akta, schował do szuflady wojskową poduszeczkę, rozczesał grzebykiem wąsy i marząc o rozkosznie gorącej zupie, zabierał się już do wyjścia, gdy wtem drzwi biura rozwarły się i na progu stanął mistrz cechu karawaniarskiego, Bezenczuk.

— Witam drogiego gościa — uśmiechnął się Hipolit Matwiejewicz. — Czym mogę służyć?

Zakazana gęba mistrza Bezenczuka promieniała w mroku, lecz trudno mu było cokolwiek wykrztusić.

— Słucham — zniecierpliwionym głosem powiedział Hipolit Matwiejewicz.

— Czyż to, co daje „Nimfa” — niech ją jasny piorun strzeli — można nazwać towarem?... — zaczął mętnie nasz mistrz. — Czyż „Nimfa” może zadowolić klienta? Gdy pomyśli się tylko, ile taka trumna pochłania drzewa...

— Co to kiego? — przerwał Hipolit Matwiejewicz.

— „Nimfa” — pomyśleć tylko!... Taki kramik musi wyżywić aż trzy rodziny. Toż to i materiał tandetny, i wykończenie gorsze, i farba wodnista, niech to wszystko jasny piorun strzeli! A moja firma solidna, stara. Egzystuje od 1907 roku. Moje trumienki — dla amatora, paluszki, powiadam wam, lizać...

— Zwariowałeś czy co? — dobrotliwie zapytał Hipolit Matwiejewicz i skierował się ku wyjściu. — Bzika jeszcze dostaniesz przy tych trumnach.

Bezenczuk uprzedzająco grzecznie otworzył drzwi, puścił naprzód Hipolita Matwiejewicza, a sam przyczepił się do niego, dygocąc po prostu z niecierpliwości.

— Gdyby firma „Witajcie” dotychczas jeszcze egzystowała, no to ostatecznie rozumiałbym. Żadna firma, choćby nawet w samym Twerze¹¹, nie mogła wytrzymać z nią konkurencji. A teraz, co tu gadać, nie ma towaru lepszego niż mój. Nie próbuj pan nawet szukać gdzie indziej.

Hipolit Matwiejewicz odwrócił się z pasją, popatrzył chwilę gniewnie na Bezenczuka i przyspieszył nieco kroku.

Trzej właściciele „Nimfy” stali przed swym przedsiębiorstwem w tych samych pozach, w jakich Hipolit Matwiejewicz zostawił ich z rana. Wydawało się, że od tej chwili nie zamienili z sobą ani słowa, lecz uderzająca zmiana w wyrazie ich twarzy, skryte zadowolenie malujące się w oczach wskazywało, że do wiadomości ich doszła rzecz niesłychanie ważna.

Na widok swych konkurentów Bezenczuk machnął rozpaczliwie ręką, przystanął i rzucił szeptem za Worobianinowem:

— Oddam za trzydzieści dwa rubelki!

Hipolit Matwiejewicz zmarszczył się i przyspieszył kroku.

— Dam na raty! — dodał Bezenczuk.

Trzej właściciele „Nimfy” nie rzekli ani słowa. Milcząc, biegli za Worobianinowem, zginając się nieustannie w uprzejmych ukłonach i zdejmując raz po raz kaszkiety.

Rozwścieczony głupią natarczywością karawaniarzy, Hipolit Matwiejewicz szybciej niż zazwyczaj wbiegł na ganek, otarł nerwowo buty z błota i czując wilczy apetyt, wszedł do sieni. Naprzeciw mu wyszedł z pokoju pop z cerkwi Flora i Laura¹², ojciec Fiodor. Uniósłszy prawą ręką poły sutanny i nie dostrzegając obecności Hipolita Matwiejewicza, ojciec Fiodor, niezmiernie podniecony, spieszył ku wyjściu.

Wówczas dopiero Hipolit Matwiejewicz zauważył osobliwą czystość, niezwykły, bijący wprost w oczy bezład, powstały wskutek przestawienia nielicznych mebli, i poczuł silny zapach lekarstw. W pierwszym pokoju Hipolit Matwiejewicz natknął się na sąsiadkę,

Choroba

¹¹Twer — miasto obwodowe w Rosji, port nad Wołgą. [przypis edytorski]

¹²Flora i Laur — bracia żyjący w II w. w Bizancjum; święci Kościoła katolickiego, prawosławnego, syryjskiego i ormiańskiego. [przypis edytorski]

żonę agronoma, *madame*¹³ Kuzniecową. Wymachując gwałtownie rękoma, syknęła:

— Jej stan się pogorszył, przyjęła sakramenty, przed chwilą odszedł ojciec Fiodor. Niech pan nie stuka obcasami.

— Ja nie stukam — odrzekł z pokorą Hipolit Matwiejewicz. — A cóż się stało?

Madame Kuzniecowa wydeła wargi i wskazała drzwi sąsiedniego pokoju.

— Bardzo silny atak sercowy.

I powtarzając cudze słowa, które wywarły na niej najwidoczniej silne wrażenie, dodała:

— Katastrofa nie jest wyłączona. Calutki dzień jestem dziś na nogach. Wpadłam tu rano po maszynkę do mięsa, patrzę, drzwi na oścież otwarte, w kuchni nie ma żywej duszy, w tym pokoju również nikogo nie ma, pomyślałam więc sobie, że Klaudia Iwanowna poszła chyba po mąkę na placek (wiedziałam, że miała taki zamiar). Bo to nie trzeba panu chyba tłumaczyć, że jeśli się mąki wcześniej nie kupi...

Jęk, który rozległ się w sąsiednim pokoju, uderzył boleśnie Hipolita Matwiejewicza. Przeżegnał się szybko zdrętwiałą nagle ręką i udał się do pokoju teściowej.

ROZDZIAŁ DRUGI ZGON PANI PIETUCHOWEJ

Klaudia Iwanowna leżała na wznak z rękoma splecionymi pod głową. Na głowie miała jaskrawomorelowy czepek. Kolor ten był ostatnim krzykiem mody w owych niepamiętnych czasach, gdy panie nosiły *chanteclairy*¹⁴ i gdy zaczynał zaledwie wchodzić w modę argentyński taniec tango.

Twarz Klaudii Iwanowny była uroczysta, lecz nic się na niej nie malowało. Wzrok miała utkwiony w sufit.

— Klaudio Iwanowna — szepnął Worobianinow.

Teściowa poruszyła wargami, lecz zamiast zwykłych dźwięków, przypominających głos trąby jerychońskiej¹⁵, do których tak bardzo przywykł Hipolit Matwiejewicz, rozległ się cichy, słaby i tak żalorny jęk, że serce Hipolita Matwiejewicza drgnęło boleśnie i ła niespodzianie szybko błysnęła w jego oku i na kształt rtęci stoczyła się po obliczu.

— Klaudio Iwanowna — powtórzył Worobianinow — co wam dolega?

Lecz i tym razem nie otrzymał odpowiedzi. Stara przymknęła powieki i odwróciła się do ściany.

Do pokoju weszła cicho sąsiadka, wzięła Worobianinowa za rękę i wyprowadziła go z pokoju jak małego chłopczyka.

— Lekarz zabronił wszelkich wzruszeń. Mój drogi, niech pan tymczasem idzie do apteki. Oto kartka, proszę koniecznie zapytać o cenę pęcherzy do lodu.

Hipolit Matwiejewicz oddał się pokornie do dyspozycji pani Kuzniecowej, zdawał sobie bowiem sprawę z jej niezaprzeczalnej wyższości w tych sprawach.

Do apteki był spory kawał drogi. Hipolit Matwiejewicz zacisnął po sztubacku¹⁶ receptę w dłoni i wybiegł spiesznie na ulicę. Było już prawie ciemno. Na tle zachodzącego słońca odcinała się mizerna figurka mistrza Bezenczuka, który — oparty o sosnowe drzwi — posilał się chlebem i cebulą. Tuż obok przycupnęli trzej właściciele „Nimfy” i oblizując łyżki, zajadali z żelaznego garniczka gryczaną kaszę. Na widok Hipolita Matwiejewicza karawaniarze stanęli na baczność. Bezenczuk wzruszył pogardliwie ramionami i burknął pod adresem konkurentów:

— Pętają się tu wciąż; a niech ich jasny piorun strzeli!

Hipolit Matwiejewicz, którego zdenerwowanie już minęło, chodził zapamiętale po pokoju. Do głowy tłoczyły mu się same nieprzyjemne, związane z gospodarstwem myśli. Rozmyślał nad tym, że trzeba będzie zaciągnąć w kasie samopomocy pożyczkę, kłopotać się o popa i odpowiadać na kondolencyjne listy krewniaków. Aby się nieco rozerwać, Hipolit Matwiejewicz wyszedł na ganek. W zielonkawym blasku księżycy stał mistrz cechu karawaniarskiego, Bezenczuk.

¹³*madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

¹⁴*chanteclairy* — kogucie pióra. [przypis edytorski]

¹⁵*trąba jerychońska* (przen.) — bardzo głośny dźwięk; wg biblijnej *Księgi Jozuego* miasto Jerycho, obleżone przez Izraelitów, zostało zdobyte dzięki temu, że kiedy towarzyszący wojsku kapłani zadęli w trąby, a wojownicy wznieśli okrzyk wojenny, potężne mury miasta runęły (Joz 6, 1–20). [przypis edytorski]

¹⁶*po sztubacku* — niedojrzale. [przypis edytorski]

— A więc, panie Worobianinow? — spytał mistrz cechowy, przyciskając do piersi kaszkiet.

— Ha, cóż robić... — ponuro odrzekł Hipolit Matwiejewicz.

— Czyż taka „Nimfa”, a niech ją jasny piorun strzeli, może zadowolnić klienta? — gorączkował się Bezenczuk.

— Do kroćset¹⁷! A to piła!

— Przepraszam. Słoweczko jeszcze tylko wedle palm i politory¹⁸. Chyba pierwsza klasa? Co?

— Obejdzie się bez palm i bez politory. Zwykła drewniana trumna. Sosnowa. Rozumiesz?

Bezenczuk przyłożył palec do ust na znak, że wszystko rozumie, po czym odwrócił się i mnąc w rękach kaszkiet, poszedł, zataczając się, do siebie. Wtedy dopiero Hipolit Matwiejewicz zauważył, że mistrz karawaniarzy jest kompletnie pijany.

Hipolit Matwiejewicz znów się pogrążył w niewesołych myślach. Nie wyobrażał sobie po prostu, że będzie przychodził do opustoszałego, zaśmieconego mieszkania. Wydawało mu się, że wraz ze śmiercią teściowej znikną owe drobne wygody, z takim trudem osiągnięte po rewolucji, która ograbiła go z istotnych prawdziwych wygód. „Ożenię się chyba — pomyślał Hipolit Matwiejewicz. — „Ale z kim? Z bratanką komendanta milicji, z Barbarą Stiepanówną, czy też może z siostrą Urusisa? A może raczej przyjąć służącą? Ale, cóż znowu! Po sądach włóczyć mnie jeszcze gotowa. A i koszt niemały”.

Hipolit Matwiejewicz ujrzał nagle życie w czarnych kolorach. Pełen żalu i nienawiści do świata, wrócił do domu.

Klaudia Iwanowna przestała majaczyć. Leżąc wysoko na poduszkach, spoglądała na Hipolita Matwiejewicza zupełnie przytomnie i, jak mu się wydawało, nawet z pewną surowością.

— Hipolicie — szepnęła dobitnie — siądź koło mnie. Muszę ci powiedzieć...

Hipolit Matwiejewicz niechętnie posłuchał wezwania. Wpatrując się w wychudłą, wąsatą twarz teściowej, próbował uśmiechnąć się i dodać chorej otuchy. Ale uśmiech całkiem mu się nie udał, a słów otuchy nie mógł w żaden sposób wykrztusić. Ze ściśniętej krtani wyrwało mu się tylko parę nieartykułowanych dźwięków.

— Hipolicie — powtórzyła teściowa — czy pamiętasz meble z naszego salonu?

— Jakie? — zapytał Hipolit Matwiejewicz z uprzedzającą grzecznością, możliwą jedynie wobec bardzo ciężko chorych ludzi.

— Te... Obite angielskim kretonem¹⁹...

— Ach, u mnie w domu?

— Tak, w Starogrodzie.

— Pamiętam, doskonale pamiętam... kanapa, tuzin krzeseł i okrągły stolik na sześciu nóżkach. Meble były pierwszorzędne. Gambsa²⁰ robota. A czemu o tym teściowa wspomina?

Klaudia Iwanowna nie mogła odpowiedzieć. Twarz jej zaczęła z wolna nabierać ziemistego koloru. Hipolit Matwiejewicz poczuł nagle ni stąd, ni zowąd, że zapiera mu dech w piersiach. Uprzytomnił sobie całkiem plastycznie salon w swoim domu, rozstawione symetrycznie orzechowe meble na giętych nóżkach, wywoskowaną posadzkę, stary, brązowy fortepian i wizerunki dostojnych krewnych w czarnych, owalnych ramach.

Nagle Klaudia Iwanowna drewnianym, obojętnym głosem odezwała się:

— W obicie krzesła zaszyłam brylanty.

Hipolit Matwiejewicz zerknął nieufnie na starą.

— Jakie brylanty? — zapytał bezwiednie, lecz zaraz zorientował się. — Czyż nie zabrano ich wówczas, podczas rewizji?

— Zaszyłam brylanty w obicie krzesła — powtórzyła z uporem stara.

¹⁷do kroćset — w domyśle: diabłów; rodzaj wykrzyknienia; analogicznie: „do stu diabłów”. [przypis edytorski]

¹⁸politura — gładka, błyszcząca warstwa na powierzchni z drewna, powstała po wyschnięciu roztworu żywicy. [przypis edytorski]

¹⁹kreton — cienka tkanina bawełniana. [przypis edytorski]

²⁰Gambis, Heinrich (1765–1831) — stolarz pochodzenia niemieckiego, pracował dla Romanowów. [przypis edytorski]

Hipolit Matwiejewicz zerwał się na równe nogi. Przyjrzał się uważnie kamiennej twarzy Klaudivy Iwanowny, oświetlonej ubogą naftową lampą i zrozumiał, że stara nie majaczy.

— Brylanty! — krzyknął, przerażony siłą swego głosu. — W krześle! Któż to doradził? Czemu mnie ich mama nie dała?

— Czyż mogłam ci dać brylanty? Roztrwoniliś przecież majątek mojej córki — rzekła ze złośliwym spokojem stara.

Hipolit Matwiejewicz siadł, lecz po chwili znów wstał. Serce gwałtownie mu biło. W głowie zaczynało szumieć.

— Lecz wyjęła je chyba teściowa stamtąd? Są tutaj?!

Stara przecząco poruszyła głowę.

— Nie zdążyłam. Pamiętasz, jak szybko i nieoczekiwanie musieliśmy uciekać? Zostały w krześle, które stało między porcelanową lampką i kominkiem.

— Ależ to szaleństwo! Wykapana córunia! — krzyknął Hipolit Matwiejewicz donośnym głosem i nie licząc się już z tym, że znajduje się przy łożu konającej, odsunął z hałasem krzesło i zaczął biegać po pokoju.

Stara obojętnie obserwowała ruchy Hipolita Matwiejewicza.

— Czy teściowa ma choć blade pojęcie, dokąd te krzesła mogły zawędrować? A może wyobraża sobie, że stoją najspokojniej w moim salonie i czekają, aż przyjdzie po swe precjoza?

Stara nie odrzekła ani słowa.

Ze złości zsunęły się kierownikowi ZAGS-u binokle z nosa i mignawszy złotą oprawką, spadły na ziemię.

— Jak to? Wsadzić w krzesło brylanty wartości siedemdziesięciu tysięcy rubli? W krzesło, na którym nie wiadomo kto siedzi?!

Lecz w tej chwili Klaudiva Iwanowna załkała i całym ciałem oparła się o brzeg łóżka. Ręka jej, zakreślając w powietrzu półkola, starała się schwycić Hipolita Matwiejewicza, lecz natychmiast opadała bezwładnie na fioletową koldrę.

Hipolit Matwiejewicz, wydając okrzyki przerażenia, pobiegł do sąsiadki.

— Zdaje się, że umiera.

Sąsiadka przeżegnała się z powagą i, nie ukrywając swej ciekawości, wraz z mężem, brodatym agronomem, pobiegła do mieszkania Hipolita Matwiejewicza. On sam zaś, oszołomiony, zawędrował aż do miejskiego parku.

I podczas gdy rodzina agronoma, wraz ze służącą, robiła porządki w pokoju zmarłej, Hipolit Matwiejewicz błądził po parku. Pozbawiony binokli, potykał się o ławki i brał zastygłe we wczesnej, wiosennej miłości parki za zwykłe krzaki.

Co za cudenka działy się w głowie Hipolita Matwiejewicza! Szumiały tam chóry cygańskie, piersiste damskie orkiestry bezustannie grały tango; marzyła mu się zima moskiewska i czarny rasowy koń, parszczący wzgardliwie na pieszych przechodniów. Wiele rzeczy rysowało się w wyobraźni Hipolita Matwiejewicza: i pomarańczowe, olśniewające, drogie kalessony, i lokajska wierność, i możliwość wyjazdu do Tuluzy²¹.

Chóry cygańskie umilkły.

Hipolit Matwiejewicz zwolnił kroku i naraz potknął się o ciało mistrza cechu karwaniarskiego, Bezenczuka. Mistrz spał, leżąc w kozuchu w poprzek ścieżki. Potrącony przebudził się, kichnął i raźnie wstał.

— Dobrze będzie, panie Worobianinow — powiedział z przekonaniem, kończąc jak gdyby zaczęta poprzednio rozmowę. — Trumna, panie, pracy wymaga.

— Klaudiva Iwanowna umarła — oznajmił klient.

— Świeć, Panie, nad jej duszą — przytaknął Bezenczuk. — A więc zasnęła staruszka w Panu. Staruszki zawsze w Panu zasypiają albo Bogu duszę oddają. To już zależy od tego, jaka staruszka. Wasza, na ten przykład, mała i gruba, a więc zasnęła w Panu. A na ten przykład, gdy większa która i szczuplejsza, to powiadają, że Bogu duszę oddaje...

— Jak to, powiadają? Któż tak powiada?

— Ano, niby my. Majstrowie... Ot, pan, na ten przykład, mężczyzna okazały, wysokiego wzrostu, chociaż chudy. Jeżeli pan, nie daj Boże, umrze, to powiedzą, że pan świat

Śmierć, Sen, Starość,
Pozycja społeczna

²¹ *Tuluza* — miejscowość i gmina we Francji, stolica regionu Oksytania. [przypis edytorski]

pożegnał. A jeżeli umrze człowiek interesu, dawny kupiec pierwszej gildii²², to powiada się, że opuścił nas na wieki. A jeżeli ktoś jest na niższym stanowisku, jeżeli jest na przykład stróżem albo ze wsi pochodzi, to o takim mówi się, że wykopyrtnął się albo kitę odwalił. Lecz gdy umierają jacyś dygnitarze, konduktorzy kolejowi lub też, na przykład, jakaś władza, to powiadają, że kopyta wyciągnął. Tak właśnie mówi się o nich: „A słyszałeś, że nasz kopyta wyciągnął?”.

Zdumiony tą dość dziwną klasyfikacją śmierci ludzkich, Hipolit Matwiejewicz zapytał:

— No, a gdy się tobie zemrze, jak wtedy majstrowie powiedzą?

— Skromny człek jestem. Powiedzą: „Kiwnął Bezenczuk”. I nic więcej nie powiedzą.

Tu dodał surowo:

— O mnie nikt nie powie, że kopyta wyciągnąłem albo że pożegnałem ten świat. Jestem wątłej budowy. A jakże będzie z tą trumną, panie Worobianinow? Doprawdy mam zrobić trumnę bez palm i polityry?

Lecz Hipolit Matwiejewicz zatonął znów w olśniewających marzeniach i ruszył na przód, nie odpowiadając ani słowa. Bezenczuk kroczył tuż za nim, obliczając coś na palcach i swoim zwyczajem mruczając.

Księżyc dawno już zaszedł. Powiał zimowy chłód. Kałuże znów zaszklily się kruchym jak wafle lodem. Na ulicy towarzysza Biurokracego, gdzie znaleźli się nasi przyjaciele, wicher walczył z szydami. Od strony Pałacu Staropańskiego, wśród dźwięków, podobnych do zgrzytu opuszczanej żaluzji, jechał tabor strażacki na mizernych koniach.

Strażacy w hełmach, spuściwszy z platformy nogi, kiwali do taktu głowami i śpiewali wyjątkowo przykrymi głosami:

„Chwała naszemu naczelnikowi,

Naszemu drogiemu towarzyszowi Nasosowowi

śła-a-a-wa!”

— Na ślubie Kolki, syna naczelnika straży, hulali — rzekł obojętnie Bezenczuk i po drapał się w pierś. — A więc doprawdy zrobić bez polityry i wszelkich ozdób?

Właśnie w tej chwili Hipolit Matwiejewicz zdecydował się: „Pojadę — zdecydował — znajdę. A potem zobaczymy”. I w brylantowych marzeniach nawet nieboszka teściowa wydała mu się sympatyczniejsza, niż była w istocie. Zwrócił się do Bezenczuka:

— Niech cię kule biją! A niech już będzie politurowana! Z palmami!

ROZDZIAŁ TRZECI PODRÓŻ W NIEZNANE DALE

Na godzinę przed odejściem wieczornego pociągu proboszcz cerkwi Flora i Laura, ojciec Fiodor Wostrikow, ostrzyżony i przebrany w cywilne ubranie, stał w kolejce przed kasą biletową i lękliwie spoziierał na drzwi wejściowe. Obawiał się, że popadia²³ wbrew wszelkim perswazjom przybiegnie na stację, a wtedy Prusis, fundujący właśnie w bufecie piwo fin-agentowi, momentalnie go pozna. Zdziwionym i zawstydzonym spojrzeniem ojciec Fiodor obrzucał raz po raz swe pasiaste spodnie.

Agent ODTGPU²⁴ przeszedł się statecznie po sali, uśmierzył jakąś kłótnię o miejsce w kolejce i zajął się wyłapywaniem andrusów²⁵, którzy ośmielili się wejść do poczekalni pierwszej i drugiej klasy i na drewnianych łyżkach brzdąkali: „Była ongiś Rosja — potęga niezmiernona!”.

²²gildia — związek rzemieślników określonej specjalności (kowali, złotników itp.) albo kupców; zwyczaj przrzeczania się w gildie praktykowano od średniowiecza. [przypis edytorski]

²³popadia — żona popa. [przypis edytorski]

²⁴ODTGPU — policja polityczna — dawna czeka. [przypis redakcyjny]

²⁵andrus (daw.) — łobuz. [przypis edytorski]

Kasjer, wielce nieprzystępny obywatel, marudząc, wybijał na bilecie ażurowe cyfry i ku niepomiernemu zdziwieniu całej kolejki wydawał resztę bilonem, a nie znaczkami „na biedne, opuszczone dzieci”.

Węście do wagonu, w którym nie było numerowanych miejsc, połączone było, jak zwykle, z bratobójczą walką. Podróżni, uginając się pod ciężarem olbrzymich tobołów, biegali od lokomotywy do końca pociągu i od końca pociągu do lokomotywy. Ojciec Fiodor biegł oszołomiony razem z wszystkimi. Tak jak wszyscy przemawiał błagalnym głosem do konduktorów, tak jak wszyscy — drżał ze strachu, czy czasem kasjer nie dał mu biletu w niewłaściwym kierunku. Dopiero z chwilą dostania się do wagonu wrócił do zwykłej normy, a nawet nabrał humoru.

Lokomotywa przeraźliwie gwizdnęła i pociąg ruszył, unosząc ojca Fiodora w niezbrane dale, w tajemniczym, lecz snąc²⁶ wielkie nadzieje rokującym celu.

Dziwna to rzecz — strefa obcości. Najzwyklejszy obywatel wkraczający w nią odczuwa w sobie niezwykłą energię i przedziera się szybko bądź w pasażera, bądź w tragarza, bądź też po prostu we włóczęgę, który podróżuje na gapę i jest zmorą ciężącą nad życiem i służbowymi obowiązkami konduktorów i urzędujących na peronie kontrolerów.

Od chwili, w której obywatel wkracza w strefę obcości, którą w nieświadomości swej zwie dworcem lub stacją — jego życie gwałtownie się zmienia. Natychmiast osaczają go numerowi w niebieskich bluzach z niklowanymi na piersiach blachami i usłużnie chwytają bagaże. Od tej chwili obywatel nie jest już panem swej osoby. Jest pasażerem i zaczyna spełniać wszystkie obowiązki pasażera. Obowiązki te są skomplikowane i bardzo miłe.

Pasażer bardzo wiele je.

Zwykli śmiertelnicy nie jedzą w nocy, lecz on je. Zajada smażonego kurczaka, którego w zwykłych warunkach uważa za zbyt drogiego, jaja na twardo, które mu szkodzą, i ogórki. Gdy pociąg przecina zwrotnicę, rozlega się na półkach brzęk licznych czajników i podskakują owinięte w gazetę kurczaki — kaleki bez nówek. Podróżni nie zwracają jednak na nic uwagi. Opowiadają sobie anegdoty. Co trzy minuty z dokładnością zegarka następują salwy śmiechu. Potem przerwa i znowu jakiś miękki głos opowiada kolejną anegdotę.

Podróżni pokładają się ze śmiechu, ciemna noc otula pola, lokomotywa sypie snopy iskier, a smukłe semafony²⁷ w lśniących, zielonych binoklach niesamowicie przelatują tuż obok wagonów, z wysoka na nie spoglądając.

Dziwna to rzecz, strefa obcości! We wszystkie strony świata pędzą długie węże ciężkich dalekobieżnych pociągów. Wszędzie droga na oścież otwarta. Wszędzie płonie zielone światło — droga wolna. Ekspres północny zmierza do Murmańska²⁸. Zginając się i kurcząc na zwrotnicy, wyskakuje z Dworca Kurskiego²⁹ „Pierwszy — K”, znacząc drogę do Tyflisu³⁰. Wschodni kurier okrąży Bajkał³¹, zbliżając się całą parą do Oceanu Spokojnego.

Niezbrane dale kuszą człowieka. Wyrwały już ojca Fiodora z cichego powiatowego zakątka i rzuciły лихо wie gdzie. Teraz znów Hipolit Matwiejewicz, kierownik ZAGS-u, poruszony do głębi ostatnimi przeżyciami, także Bóg wie co planuje.

Gna coś ludzi po świecie. Jeden o dziesięć tysięcy kilometrów od miejsca zamieszkania znajduje rozkoszną oblubienicę. Inny w pogoni za złotem porzuca swoje biuro pocztowe i jak sztubak pędzi na Ałdan³². Inny znów sterczy wciąż w domu i z lubością gładząc się po dojrzałej ostatecznie przepuklinie, czyta dzieła hrabiego Saliasa³³, warte rubla, a kupione okazynie za pięć kopiejek³⁴.

Podróż

Kondycja ludzka, Podróż,
Dom

²⁶ *snąć* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

²⁷ *semafor* — sygnalizator służący do zatrzymywania lub przepuszczania pociągów. [przypis edytorski]

²⁸ *Murmańsk* — miasto w Rosji, niezamarzający port nad Zatoką Kolską, w pobliżu granicy z Norwegią i Finlandią. [przypis edytorski]

²⁹ *Dworzec Kurski* — jedna z największych stacji kolejowych w Moskwie. [przypis edytorski]

³⁰ *Tyflis* — obecnie Tbilisi, stolica Gruzji. [przypis edytorski]

³¹ *Bajkał* — jezioro w azjatyckiej części Rosji, w Buriacji, drugie pod względem powierzchni jezioro w Azji, najstarsze i najgłębsze jezioro na świecie. [przypis edytorski]

³² *Ałdan* — rzeka w Rosji we wschodniej Syberii; w jej dorzeczu znajdują się złoża węgla kamiennego, złota i miki. [przypis edytorski]

³³ *Salias De Tournemire, Evgeny* (1840–1908) — rosyjski pisarz. [przypis edytorski]

³⁴ *kopiejka* — drobna moneta rosyjska, 100 kopiejek składa się na rubel. [przypis edytorski]

Nazajutrz po pogrzebie, którego urzędzenia podjął się uprzejmie mistrz karawaniarski Bezenczuk, Hipolit Matwiejewicz udał się do biura i spełniając obowiązek służby, zarejestrował osobiście zgon Klaudii Iwanowny Pietuchowej, lat pięćdziesiąt dziewięć, wdowy, bezpartyjnej, miejsce zamieszkania mającej w mieście N. i pochodzącej ze szlacheckiego rodu w guberni starogrodzkiej. Następnie Hipolit Matwiejewicz wyjednał dwutygodniowy urlop, otrzymał czterdzieści jeden rubli na drogę i pożegnawszy współpracowników, udał się do domu. Po drodze wstąpił do apteki.

Magister farmacji Leopold Grigoriewicz, którego rodzina i przyjaciele nazywali Lipą, stał przy czerwonej lakierowanej ladzie, obstawionej białymi słoikami z trucizną. Z własną sobie nerwowością podawał właśnie szwagierce naczelnika straży:

KREM ARGO

przeciw opaleniznie i piegom, nadający skórze wyjątkową białość.

Szwagierka naczelnika straży stosowała jednak tylko
PUDER RACHEL

w złocistym odcieniu, nadający ciału piękną opaleniznę, trudną do osiągnięcia naturalną drogą.

Lecz w aptece znajdował się tylko „Krem Argo przeciw opaleniznie” i walka tak wrogich sobie kosmetyków trwała dobre pół godziny. Zwyciężył ostatecznie Lipa, sprzedając klientce pomadę do warg i „pluskwowar”, instrument skonstruowany na wzór samowaru, lecz mający wygląd lejka.

— Co pan powie o Szanghaju? — zapytał Lipa Hipolita Matwiejewicza. — Nie chciałbym teraz być w tamtych stronach.

— Anglicy to jednak dranie, dobrze im tak — odrzekł Hipolit Matwiejewicz — zawsze zdradzali Rosję.

Leopold Grigoriewicz wzruszył z politowaniem ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „A któż Rosji nie zdradzał!”, i od razu przystąpił do rzeczy.

— Czym mogę służyć?

— Proszę o środek na włosy.

— Na porost, zanik włosów, a może farbę?

— Jaki tam porost — odrzekł Hipolit Matwiejewicz — o farbę proszę.

— Mam znakomita farbę „Tytanik”. Zagraniczny towar, szmuglowany. Nie zmywa się ani zimną, ani gorącą wodą, ani pianą mydlaną, ani naftą. Radykalny, czarny kolor. Butelka wystarczająca na pół roku, kosztuje trzy ruble i dwanaście kopiejek. Polecam po znajomości.

Hipolit Matwiejewicz pokręcił w rękach kwadratowy flakonik „Tytanika”, spojrzął z westchnieniem na etykietę i położył pieniądze na ladę.

— Ale też ci kantończycy³⁵ doskonale spisują się. Kuomintang³⁶, wiadomo...

Wróciwszy do domu, Hipolit Matwiejewicz zaczął z uczuciem wstrętu polewać „Tytanikiem” głowę i wąsy. Obrzydliwy zapach rozszedł się po całym mieszkaniu.

Po obiedzie zapach ulotnił się, wąsy wyschły i tak pozlepiały się, że rozczesać je można było tylko przy dużym wysiłku. Poprzez „radykalną” czerń przyświecał zielonkawy kolor, lecz na powtórny zabieg nie było już czasu. Hipolit Matwiejewicz wyjął ze szkatułki teściowej znaleziony poprzedniego dnia spis kosztowności, przeliczył gotówkę, zamknął mieszkanie, schował klucze do bocznej kieszeni spodni, wsiadł do ekspresu numer siedem i wyjechał do Starogrodu.

³⁵kantończyk — mieszkaniec *Kantonu*: wielkiego miasta w pld.-wsch. Chinach. [przypis edytorski]

³⁶Kuomintang — partia utworzona w Chinach w 1912, rządząca w Republice Chińskiej w latach 1928–2000 i 2008–2016. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ CZWARTY WIELKI KOMBINATOR

O wpół do dwunastej, od północnego zachodu, od strony wsi Czarówki, wszedł do Starogrodu dwudziestoosmioletni młodzieniec. Za nim biegł jakiś andrus, wesoło pokrzykując:

— Łaskawco, daj dziesięć kopiejek.

Młodzieniec wyciągnął z kieszeni jabłko i dał je ulicznikowi, lecz ten ani myślał odzwać się. Wtedy wędrowiec przystanął, obrzucił chłopca ironicznym spojrzeniem i cicho zapytał:

— Dać ci może jeszcze klucz od mieszkania, w którym leżą pieniądze?

Andrus zrozumiał, że nic nie wskóra, i natychmiast odzwał się.

Młody człowiek skłamał: nie miał ani pieniędzy, ani mieszkania, w którym pieniądze te mogłyby leżeć, ani klucza, którym mógłby to mieszkanie otworzyć. Nie miał nawet pałta. Do miasta przybył w zielonym, wąskim, wciętym w pasie garniturze. Jego potężna szyja była kilkakrotnie okręcona starym, wełnianym szalem, na nogach miał kamasze, wykładane zamszem pomarańczowego koloru. Skarpetek pod kamaszami nie miał. W ręce trzymał astrolabie³⁷.

— „O bajadero, tra-la-la, tra-la-la!” — zanucił, wkraczając na rynek.

Znalazł tu dla siebie zajęcie. Wcisnął się w szeregi handlujących w ciżbie³⁸ sprzedawców i wystawiając naprzód astrolabie, począł z powagą wykrzykiwać:

— Kto kupi astrolabie? Sprzedaję tanio astrolabie. Dla delegacji i wydziałów kobiecych znaczny rabat!

Nieoczekiwana propozycja nie znajdowała przez dłuższy czas amatorów. Delegacje gospodyń interesowały się bardziej wyprzedajowymi towarami i tłoczyły się dokoła kramów z chustkami.

Obok posiadacza astrolabii dwukrotnie już przeszedł tajny agent. Lecz ponieważ astrolabia nie przypominała ani trochę maszyny do pisania, skradzionej wczoraj z biura Maslocentru, agent przestał magnetyzować wzrokiem młodzieńca i oddalił się.

W południe pewien inteligentny ślusarz nabył astrolabie za trzy ruble.

— Sama mierzy — zachwalał astrolabie młody człowiek, podając ją kupującemu. — Życzę wam, byście tylko mieli co mierzyć!

Uwolniony się od przemysłnej maszyny, wesoły młodzian zjadł obiad w jadłodajni „Kącik wytwornego smaku” i poszedł zwiedzać miasto. Przeszedłszy ulicę Radziecką, znalazł się na ulicy Czerwonej Gwardii (dawnej Wielka Puszczińska), przeciął ulicę Spółdzielczą i znów znalazł się na Radzieckiej. Lecz nie była to już ta sama Radziecka, na której był poprzednio — miasto mogło się poszczycić aż dwoma Radzieckimi ulicami.

Pomedytowawszy nieco nad tym faktem, nasz młodzieniec znalazł się na ulicy Leńskich Wydarzeń (dawnej Denisowskiej). Przed ładną, dwupiętrową willą numer 28, zaopatrzoną szyldelem:

SSSR³⁹ — RFSRR⁴⁰

II DOM OPIEKI SPOŁECZNEJ

STAR—GUB—STRACH-u

młodzieniec zatrzymał się, by poprosić o ogień stróża siedzącego na kamiennej ławeczce przed bramą.

— I cóż, ojczy — spytał młodzieniec, zaciągając się dymem — są tu w mieście ładne panny?

³⁷astrolabia — przyrząd do mierzenia kątów, używany przy pomiarach astronomicznych i geodezyjnych. [przypis redakcyjny]

³⁸ciżba — tłum. [przypis edytorski]

³⁹SSSR — Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich; skrót od rosyjskiego Союз Советских Социалистических Республик, dawniej zapisywanego w transliteracji polskiej jako Sojuz Sowietkich Socjalistycznych Riepublik. [przypis edytorski]

⁴⁰RFSRR — Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka, utworzona 8 listopada 1917 po obaleniu rządu Aleksandra Kiereńskiego; stolicą RFSRR był początkowo Piotrogród, następnie Moskwa; w 1922 Rosyjska FSRR, Ukraińska SRR, Zakaukaska FSRR i Białoruska SRR zjednoczyły się, tworząc Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR), istniejący do grudnia 1991. [przypis edytorski]

Stary stróż nie okazał najmniejszego zdumienia.

— Są tacy, co za byle kiecką biegają — odrzekł, wdając się chętnie w pogawędkę.

— O nic więcej nie pytam — uciął młodzieniec.

I natychmiast zadał nowe pytanie.

— W takiej kamienicy nie brak chyba panien?

— Dawno już na tamtym świecie panien naszych ze świecą szukają. Mamy tu państwowy przytułek, mieszkają tu teraz z wiktem ano i opierunkiem staruszki rozmaite.

— Rozumiem. Pewnie takie, które przyszły na świat jeszcze przed okresem materializmu dziejowego?

— Święta racja. Kiedy przyszły na świat, to przyszły.

— A co było w tym domu przed okresem materializmu dziejowego?

— Niby kiedy?...

— Wtedy, wiecie, za carskich czasów.

— Za carskich czasów mieszkał tu mój pan.

— Burżuj?

— Sam jesteś burżuj! On nie był burżujem. Marszałkiem szlachty był.

— A więc proletariusz, według ciebie?

— Sam jesteś proletariusz! Mówię ci wyraźnie: marszałek szlachty.

Rozmowa z mądrym stróżem, słabo orientującym się w klasowej strukturze społeczeństwa, trwałaby jeszcze Bóg wie jak długo, gdyby młodzieniec nie wziął się energicznie do rzeczy.

— Słuchaj, przyjacielu — zaproponował — nie zawadziłaby chyba szklaneczka wina?

— Ano, stawiaj.

Zniknęli obaj na godzinę, a po powrocie stróż był już najserdeczniejszym przyjacielem młodzieńca.

— Przenocuję, uważasz, u ciebie — zakomunikował młodzian stróżowi.

— Jesteś porządnym człowiekiem, toteż mieszkaj, jak długo ci się podoba.

Osiągnąwszy tak rychło zamierzony cel, gość rozlokował się w stróżowskiej izbie, zdjął pomarańczowe kamasze i wyciągnął się jak długi na ławie, obmyślając plan działania na następny dzień.

Młodzieniec nazywał się Ostap Bender. Z biografii swojej podawał zazwyczaj do wiadomości jeden tylko szczegół: „Mój ojciec — opowiadał — był poddanym tureckim”. Syn tureckiego poddanego w swym niedługim życiu wielokrotnie zmieniał zajęcia. Żywiość temperamentu, niepozwalająca mu oddać się całkowicie jakiejś jednej sprawie, przerzucała go bezustannie z jednego krańca kraju na drugi i teraz właśnie przywiodła go bez skarpetek, bez klucza, bez mieszkania i bez pieniędzy do Starogrodu.

Leżąc w gorącej aż do zaduchu stróżówce, Ostap Bender precyzował w myśli dwa warianty zrobienia kariery.

Mógł stać się wielożeńcem i przenosić się spokojnie z miasta do miasta, zabierając ze sobą za każdym razem świeży łup — walizę wypchaną dobytkiem kolejnej żony.

Mógł też nazajutrz bez zwłoki pójść do którejś komisji i zaproponować zajęcie się kolportażem nienamalowanego jeszcze, lecz genialnie pomyślanego obrazu *Bolszewicy piszą list do Chamberlaina*, według znanego powszechnie obrazu Riepina⁴¹ — *Zaporozcy piszą list do sultana*. W razie powodzenia wariant ten mógł przynieść do czterystu rubli dochodu.

Wariant numer dwa zrodził się w głowie Bendera w chwili oglądania wystawy Stowarzyszenia Artystów Rewolucyjnej Rosji.

Oba warianty miały jednakże swoje ciemne strony. Niepodobna przecież rozpoczynać kariery wielożeńca bez pięknego, szarego — w cętki — garnituru. Nadto wskazane jest posiadanie co najmniej dziesięciu rubli na reprezentację i przynętę.

Można było, oczywista⁴², zaryzykować konkury w podróznym zielonym garniturze, ponieważ męskość i piękność Bendera pokonywała każdą prowincjonalną gąskę, ale byłby to, jak wyrażał się Ostap — „kiepski fason, fuszerska robota”.

⁴¹Riepin, Ilja (1844–1930) — rosyjski i ukraiński malarz, przedstawiciel realizmu. [przypis edytorski]

⁴²oczywista (daw.) — oczywiście. [przypis edytorski]

Z obrazem także mogło pójść niezbyt gładko. Mogły nasunąć się czysto techniczne trudności. Czy wypada, na przykład, namalować towarzysza Kalinina⁴³ w białej burce i papasze⁴⁴, a towarzysza Cziczerina⁴⁵ obnażonego aż po pas? W razie czego można oczywiście namalować wszystkie postacie w zwykłych strojach, ale to już nie to...

— Byłby stracony cały efekt! — pomyślał głośno Ostap.

W tej chwili dopiero zauważył, że stróż z zapalem o czymś rozprawia. Zatonął on, jak się okazało, we wspomnieniach o dawnym właścicielu domu.

— Policmajster⁴⁶ mu się kłaniał, a jakże... Przychodził do niego człek, na ten przykład, w Nowy Rok życzenia, uważacie, składać, a ten trzy ruble daje... Na Wielkanoc, uważacie... znów trzy ruble... A potem imieniny pańskie — znów, uważacie, życzenia. W ten sposób kapnie człękowi w ciągu roku tylko za same życzenia piętnaście rubelków... Order nawet przyrzekł wykolatać⁴⁷. „Chcę — powiada — by mój stróż miał order”. Tak właśnie powiada: „Możesz, Tichonie, być całkiem pewny: order murowany”.

— No i co, dali?

— Poczekaj, poczekaj... „Nie potrzeba mi — powiada — stróża bez orderu”. Do samego Sankt Petersburga⁴⁸ po order pojechał. No, za pierwszym razem, żeby nie skłamać, nie udało mu się. Panom urzędnikom nie spodobało się. „Car — powiadają — za granicę wyjechał, na razie jest to niemożliwe”. Kazał mi pan czekać. „Ty — powiada — Tichonie, czekaj, tak czy owak order ciebie nie ominie”...

— A pana twego wyleli stąd? — spytał niespodzianie Ostap.

— Nikt go nie wylewał. Sam wyjechał. Coby zaś miał z żołdatami⁴⁹ siedzieć. A czy w dzisiejszych czasach dają ordery za stróżowską służbę?

— Dają, mogą ci się nawet wystarać.

Stróż z szacunkiem spojrział na Bendera.

— Nijak bez orderu nie mogę. Taką mam służbę.

— A dokąd wyjechał twój pan?

— Kto go tam wie! Ludzie powiadają, że do Paryża pojechał.

— A!... Białej akacji, kwiat emigracji... A więc twój pan jest emigrantem?

— Sam jesteś emigrantem... Ludzie powiadają, że do Paryża pojechał. A dom zarekwirowali na przytułek... Choćbyś im dzień w dzień nawet życzenia składał, grosza nie dostaniesz. Ech, co tu gadać. Dobry był mój pan!...

Właśnie w tej chwili ktoś szarpnął zardzewiałym dzwonkiem. Sapiąc, stróż powlókł się do drzwi, otworzył je i, do głębi wstrząśnięty, cofnął się.

Na progu stał Hipolit Matwiejewicz Worobianinow, czarnowłosy i czarnowąsy, co sprawiało, że jego oczy błyszczały spod szkieł binokli dawnym, przedwojennym blaskiem.

— Mój pan! — mamrotał wstrząśnięty do głębi Tichon. — Z Paryża!

Hipolit Matwiejewicz, zaskoczony obecnością obcego człowieka, którego bosa, fioletowe stopy dopiero w tej chwili dostrzegł pod stołem, zmieszał się i chciał nawet uciec, lecz Ostap Bender zerwał się błyskawicznie z ławy i złożył niski pokłon Hipolitowi Matwiejewiczowi.

— Choć nie umywa się tu do Paryża, lecz serdecznie prosimy do naszego namiotu.

— Witaj, Tichonie — rzekł, przyparty do muru, Hipolit Matwiejewicz. — Nie wracam wcale z Paryża. Skąd ci to strzeliło do głowy?

Lecz Ostap Bender, który swym wysubtelniwym węchem poczuł w przybytku grubszego zwierza, nie pozwolił stróżowi nawet pisnąć.

— Rozumiem — rzekł, mrugając porozumiewawczo. — Pan nie wraca z Paryża. Oczywiście, przyjechał pan z Koziej Wólki, aby odwiedzić nieboszczkę babkę.

⁴³Kalinin, Michaił (1875–1946) — polityk radziecki, członek partii bolszewików od 1898, współodpowiedzialny za masowe zbrodnie komunistyczne. [przypis edytorski]

⁴⁴papacha — futrzana czapka męska zaopatrzona w nauszники. [przypis edytorski]

⁴⁵Cziczerin, Georgij (1872–1936) — rosyjski dyplomata, od 1918 komisarz ludowy spraw zagranicznych RFSRR, od 1922 do 1930 komisarz ludowy spraw zagranicznych ZSRR. [przypis edytorski]

⁴⁶policmajster — naczelnik policji w stolicy guberni lub innym większym mieście Rosji carskiej. [przypis edytorski]

⁴⁷wykolatać (pot.) — osiągnąć coś w rezultacie usilnych starań. [przypis edytorski]

⁴⁸Sankt Petersburg a. Leningrad — miasto w Rosji, w latach 1712–1918 stolica Imperium Rosyjskiego. [przypis edytorski]

⁴⁹żołdat (z ros.) — żołnierz. [przypis edytorski]

Mówiąc to, objął czule zbitego całkiem z tropu stróża i wypchnął go za drzwi wcześniej, niż tamten zrozumiał, o co chodzi. Gdy Tichon wreszcie oprzytomniał, mógł zrozumieć to tylko, że z Paryża wrócił jego pan, że jego, Tichona, wypchnięto za drzwi i że w lewej ręce ściska papieraek rublowy. Patrzając na ten papieraek, tak się rozczulił, że poszedł do szynku i zamówił kufel piwa.

Zamknawszy starannie drzwi za stróżem, Bender zwrócił się do Worobianinowa ze słowami:

— W porządeczku. Nazywam się Bender. Słyszał pan może kiedy?

— Nie słyszałem — odrzekł nerwowo Hipolit Matwiejewicz.

— Rozumie się; skąd w Paryżu może być znane nazwisko Ostapa Bendera? A czy ciepło teraz w Paryżu? Piękne miasto. Mam tam zameżną kuzynkę. Niedawno przysłała mi w poleconym liście jedwabną chusteczkę...

— Co za dyrdymałki pan plecie — zniecierpliwził się Hipolit Matwiejewicz — jakie chustki? Nie przyjechałem wcale z Paryża, lecz z...

— O, rozumie się! Z Morszańska.

Hipolit Matwiejewicz nigdy jeszcze nie spotykał młodzieńca z takim temperamentem, toteż poczuł się bardzo nieswojo.

— Wie pan co, pójdę już — powiedział.

— Dokąd pan pójdzie? Nic pilnego! GPU⁵⁰ samo do pana przyjdzie.

Hipolit Matwiejewicz nie znalazł żadnej odpowiedzi, rozpiął palto z wytartym aksamitnym kołnierzem i usiadł na ławce, obrzucając Bendera wrogim spojrzeniem.

— Nie rozumiem pana — wyrzekł zgnębionym głosem.

— Nic strasznego, zaraz pan zrozumie. Momencik.

Ostap Bender włożył pomarańczowe kamasze na gołe stopy, przeszedł się po pokoju i rozpoczął:

— Pan przez jaką granicę? Polską? Francuską? Rumuńską? To chyba droga przyjemność. Jeden z moich znajomych przechodził niedawno przez granicę; mieszka, uważa pan, po naszej stronie, w Sławucie, a rodzice żony w Ledzeniatach po tamtej stronie. Poróżnił się z żoną, jak to w małżeństwie. A ta tak sobie to wzięła do serca, że zwała przez granicę do rodziców. Trzy dni mój znajomy przesiedział sam i widzi, że źle sprawy stoją: obiadu nie ma, w izbie nieład, i postanowił pogodzić się. Wyszedł w nocy i udał się przez granicę do teściów. Lecz straż graniczna schwytała go; wytoczono mu sprawę i wsadzono na sześć miesięcy do paki, a na dobitkę wyrzucono go ze związku zawodowego. Powiadają, że ta jego głupia żona przybiegła z powrotem, a mąż wciąż jeszcze siedzi. Odwiedza go baba, wałówki mu podobno nosi... A pan także przez polską granicę przeszedł?

— Słowo honoru — tłumaczył się Hipolit Matwiejewicz w poczuciu nieoczekiwanej zależności od rozmownego młodzieńca, który stanął w poprzek drogi wiodącej do brylantów. — Słowo honoru, jestem obywatelem RFSRR. W ostateczności mogę panu pokazać paszport.

— Przy obecnym stanie techniki drukarskiej na zachodzie Europy wydrukowanie sowieckiego paszportu to fraszka, o której nie warto nawet mówić... Jeden z moich znajomych doszedł do tego, że drukował nawet dolary. A czy zdaje pan sobie z tego sprawę, jak trudne jest podrabianie amerykańskich dolarów? Potrzeba do tego papieru z takimi, wie pan, różnobarwnymi żyłkami. Niezbędna jak również dokładna znajomość techniki. Znajomy mój z powodzeniem spławił swe dolary na moskiewskiej czarnej giełdzie, później jednak okazało się, że dziadek jego, znany powszechnie finansista, nabywał te dolary w Kijowie i kompletnie zrujnował się, ponieważ bądź co bądź dolary te były fałszywe. A więc i pan może z tym paszportem grubo wpaść.

Hipolit Matwiejewicz był wściekły, że zamiast energicznie szukać brylantów, sterczy w smrodliwej stróżówce i słucha trajkotania bezczelnego młodziana o niewyraźnych sprawkach jego znajomych. Nie mógł się jednak zdecydować na wyjście.

Myśl o tym, że nieznanemu młodzian roztrąbi po całym mieście wieść o przyjeździe dawnego marszałka szlachty, przerażała po prostu Hipolita Matwiejewicza. Pożegnać by się musiał z różowymi nadziejami, a może na dobitkę przymknięto by go w GPU.

⁵⁰GPU (ros. Государственное Политическое Управление, ГПУ: Państwowy Zarząd Polityczny) — sowiecka policja polityczna. [przypis edytorski]

— Niech pan bądź co bądź nie opowiada nikomu, że mnie pan tutaj widział — zdecydował się na prośbę Hipolit Matwiejewicz. — Gotowi by jeszcze naprawdę pomyśleć, że jestem emigrantem.

— To kapitalne. Aktywa: emigrant, który powrócił do rodzinnego miasta. Pasywa: obawia się, że zabiorą go do GPU.

— Sto razy przecież już panu mówiłem, że nie jestem emigrantem!

— A kim pan jest? Po co pan tu przyjechał?

— A więc, przyjechałem z miasta N., w pewnej sprawie...

— Jakiej sprawie?

— Osobistej.

— I po tym wszystkim mam panu wierzyć, że nie jest pan emigrantem?... Jeden z moich znajomych także przyjechał...

Hipolit Matwiejewicz, doprowadzony już do rozpaczki opowiadaniem Bendera o znajomych i widząc, że Bender ani myśli zejść z raz obranej drogi, skapitulował.

— Dobrze — powiedział. — Wszystko panu wytłumaczę.

„Ostatecznie trudno obejść się bez pomocnika — pomyślał Hipolit Matwiejewicz — a ten, według wszelkich oznak, to solidny łotrzyk. Taki może się przydać”.

ROZDZIAŁ PIĄTY BRYLANTOWE OPARY

Hipolit Matwiejewicz zdjął z głowy zaplamiony filcowy kapelusz, rozczesał wąsy, z których za dotknięciem grzebienia sywał się snop elektrycznych iskier, i chrząknąwszy kilkakrotnie dla nabrania animuszu, wyśpiewał Ostapowi Benderowi, pierwszemu napotkanemu przechodniowi, wszystko, czego dowiedział się o brylantach umierającej teściowej.

W czasie opowiadania Ostap kilkakrotnie zrywał się i zwracając się do żelaznego piecyka, wykrzykiwał z zachwytem:

— Lody ruszyły, panowie przysięgli! Lody ruszyły!

A po godzinie siedzieli już obaj przy kiwającym się stoliku i pochyliwszy głowy, wertowali długi spis kosztowności, zdobiących ongiś palce, szyję, uszy, piersi i włosy teściowej.

Hipolit Matwiejewicz, poprawiając raz po raz niesforne binokle, recytował z naciśkiem:

— Trzy sznury pereł... Doskonale pamiętam... Dwa po czterdzieści pereł, a jeden olbrzymi ze stu dziesięciu. Brylantowy medalion... Klaudia Iwanowna mówiła, że kosztował cztery tysiące rubli, antyk...

Następnie wyliczone były pierścienie — bynajmniej nie zaręczynowe pierścienie, grube, banalne i tanie, lecz cienkie, subtelne, z wprawionymi w nie najczystszej wody brylantami; ciężkie, olśniewające kolczyki, rzucające stubarwne ognie na małą konchę ucha; bransolety na kształt żmii ze szmaragdową klamrą; naszyjnik, który pochłonął urodzaj z pięciuset dziesięcin⁵¹ pszenicy; kolia z pereł, na którą mogłaby sobie pozwolić chyba tylko słynna gwiazda operetkowa. Jednak koroną wszystkiego był diadem wartości czterdziestu tysięcy rubli.

Hipolit Matwiejewicz obejrzał się. W ciemnych kątach zadymionej stróżówki migotało wiosenne szmaragdowe światło. Brylantowe opary unosiły się pod sufitem. Perły toczyły się po stole i skakały po podłodze. Złocista złuda otuliła izbę.

Hipolit Matwiejewicz ocknął się dopiero na skutek słów Ostapa:

— Niezła kolekcjka. Ze smakiem, jak widzę, dobierano kamienie. Ile też kosztowała cała ta symfonia?

— Siedemdziesiąt–siedemdziesiąt pięć tysięcy.

— Hm... a więc teraz warta jest sto pięćdziesiąt tysięcy.

— Doprawdy, aż tyle? — ucieszył się Worobianinow.

— Ani o grosz mniej, tylko wy, drogi towarzyszu z Paryża, gwizdnijcie na to wszystko.

— Jak to, gwizdnąć?

⁵¹dziesięcina — tu: dawna rosyjska miara powierzchni gruntu, równa ok. 1,1 ha. [przypis edytorski]

— Po prostu: wpakować dwa palce w gębę i gwizdnąć — odrzekł Ostap. — Tak, jak się to robiło przed okresem materializmu dziejowego. Klapa.

— Dlaczego?

— Dlatego. Ile było krzesel?

— Tuzin. Garnitur⁵² salonowy.

— Na pewno już ten garnitur dawno w piecu spłonął.

Worobianinow zerwał się na równe nogi.

— Spokojnie, spokojnie. Ja biorę się do rzeczy. Obrady trwają nadal. *À propos*⁵³, musimy zawrzeć mały kontrakcik.

Hipolit Matwiejewicz, sapiąc, z wysiłkiem skinął głową na znak zgody. Wtedy Ostap Bender począł precyzować warunki umowy.

— W razie zrealizowania brylantowej imprezy ja, jako bezpośredni współnik i techniczny kierownik tego interesu, otrzymam sześćdziesiąt procent, przy czym do zakładu ubezpieczeń może mnie pan nie zgłaszać. Przy tym punkcie nie upieram się.

Hipolit Matwiejewicz poszarzał.

— Jest to rozbój na równej drodze!

— A ile zamierzał mi pan zaproponować?

— N-no, pięć procent, w ostateczności dziesięć. Zrozum pan, że to jest jednak piętnaście tysięcy rubli!

— Więcej nic pan sobie nie życzy?

— N-n-nie.

— A może pan życzy sobie, bym pracował darmo i dał jeszcze panu klucz od mieszkania, w którym leżą pieniądze, i powiedział, gdzie nie ma policjanta?

— W takim razie przepraszam — mruknął Worobianinow — mam wszelkie dane po temu, że sam sobie poradzę ze swoją sprawą.

— Tak? W takim razie przepraszam — odparował Ostap — mam nie mniej danych po temu, by przypuszczać, że sam sobie poradzę z pańską sprawą.

— Łotr! — wrzasnął Hipolit Matwiejewicz, dygocąc z pasji.

Ostap nie tracił zimnej krwi.

— A czy wie pan, panie z Paryża, że brylanty pańskie mam już niemal w kieszeni! A pan interesuje mnie tylko o tyle, że pragnąłbym zabezpieczyć pańską starość.

Dopiero w tej chwili Hipolit Matwiejewicz poczuł żelazną siłę łap, które zdusiły go za gardło.

— Dwadzieścia procent — rzekł ponuro.

— I mój wikt? — spytał ironicznie Ostap.

— Dwadzieścia pięć.

— I klucz od mieszkania?

— Przecież to będzie trzydzieści siedem i pół tysiąca!

— Po co taka skrupulatność? No, niech już będzie pięćdziesiąt procent. Pół na pół, zgoda?

Targ trwał. Ostap ustąpił trochę. Z respektu dla osoby Worobianinowa zgodził się współpracować za czterdzieści procent.

— Sześćdziesiąt tysięcy! — szalał Worobianinow.

— Jest pan dość tuzinkowym człowiekiem — odpowiedział Bender. — Ponad miarę lubi pan pieniądze.

— A pan nie lubi pieniędzy? — zawył cieniutko Hipolit Matwiejewicz.

— Nie lubię.

— Po cóż więc panu sześćdziesiąt tysięcy?

— Dla zasady!

— No, ruszyły już lody? — rzucił po chwili Ostap.

Worobianinow zasapał i odrzekł z pokorą:

— Ruszyły.

⁵²*garnitur* — tu: zestaw przedmiotów służących do jednego celu i stanowiących pewną całość. [przypis edytorski]

⁵³*à propos* (fr.) — przy sposobności, w związku z tematem. [przypis edytorski]

— A więc dobijamy targu, powiatowy herszcie szlachty! Lody ruszyły! Lody ruszyły, panowie przysięgli!

Hipolit Matwiejewicz, obrażony za przezwanie go „hersztem szlachty”, zażądał satysfakcji⁵⁴, wobec czego Ostap, przepraszając, nazwał go uroczyście feldmarszałkiem. Po tym incydencie przystąpiono do opracowania planu działania.

O północy stróż Tichon, opierając się o przydrożne sztachety i obejmując czule natopkane ślupy, wracał do swej nory. Na jego nieszczęście noc była bezksiężycowa.

— Witam proletariusza umysłowej pracy! Pracownika miotły! — wykrzyknął Ostap, spostrzegając skurczonego we dwoje stróża.

Stróż zawył niskim, namiętym głosem.

— Kapitalne — skostatował Ostap. — Pański stróż to solidny łotrzyk. Czyż można za rubla tak się upić?

— M-mm-ożna — powiedział nieoczekiwanie stróż.

— Słuchaj, Tichonie — zaczął Hipolit Matwiejewicz — nie wiesz ty czasem, przyjacielu, co się dzieje z moimi meblami?

Ostap podtrzymywał ostrożnie Tichona, by słowa mogły swobodnie płynąć z jego szeroko rozwartych ust. Hipolit Matwiejewicz czekał w naprężeniu. Ale ze stróżowskich ust, w których zęby rosły nie jeden obok drugiego, ale z szerokim odstępem, wyrwał się tylko ogłuszający ryk:

— By-by-bywały dni wesołe...

W izbie zapanował ryk i krzyk. Stróż pilnie i starannie wykonywał swój hymn, nie opuszczając ani jednego słowa. Ryczał, przewalając się po pokoju, to znów bezprzytomnie rzucając się pod stół; uderzał czajką⁵⁵ o miedziane ciężarki zegara, to znów przyklękał na jedno kolano. Ogarnęła go niepoohamowana wesołość.

Hipolit Matwiejewicz stracił całkiem głowę.

— Przesłuchanie świadków trzeba będzie odłożyć do jutra — zdecydował Ostap. — Tymczasem prześpijmy się.

Stróża, który we śnie był ciężki jak kłoda, przenieśli na ławę. Worobianinow i Ostap zajęli do spółki stróżowskie łóżko. Ostap miał pod marynarką koszulę w czerwonej i czarnej kratkę. Pod koszulą nic więcej nie było. Za to Hipolit Matwiejewicz, pod znaną już czytelnikom gwiazdzistą kamizelką, miał jeszcze jedną włóczkową, jaskrawoniebieską.

— Kamizelka jak na zamówienie — rzekł z zazdrością Bender — będzie na mnie w sam raz. Niech mi ją pan sprzeda.

Nie wypadło jakoś odmawiać swemu nowemu współnikowi i bezpośredniemu współpracownikowi, toteż Hipolit Matwiejewicz rad nierad zgodził się sprzedać kamizelkę po cenie kosztu — za osiem rubli.

— Pieniądze po zrealizowaniu naszego skarbu — oznajmił Bender, biorąc z rąk Worobianinowa jeszcze ciepłą kamizelkę.

— Nie, na to się nie zgadzam — zaprotestował, rumieniąc się, Hipolit Matwiejewicz. — Proszę o zwrot kamizelki.

Subtelna natura Ostapa wzburzyła się.

— Toż to kompletne kramikarstwo! — krzyknął. — Bierzemy się do krociowych interesów, a ten klóci się o osiem rubli! Niech się pan uczy szerokich gestów!

Hipolit Matwiejewicz zacerwienił się jeszcze bardziej, wyjął małe notesik i wykaligrafował:

„25. IV. 27 r. wypłacono tow. Benderowi 8 rubli”.

Ostap zerknął do książeczki.

— Ho, ho! Jeśli już pan otwiera mój osobisty rachunek, to proszę go przynajmniej prawidłowo prowadzić. Tu winno być „debet”, a tam „credit”. W rubryce „debet” niech pan nie zapomni zakontować sześćdziesiąt tysięcy rubli, które mi się od pana należą, a w rubryce „credit” — niech wstawi kamizelkę. Saldo na moją korzyść wynosi pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa ruble. Można wytrzymać.

Po czym Ostap zasnął cichym, dziecięcym snem. A Hipolit Matwiejewicz zdjął wełniane nakolanniki, jaśniepańskie buty i ciężko sapiąc, w pocerowanej jaegerowskiej bie-

⁵⁴satysfakcja — tu: zadośćuczynienie za zniewagę, przeprosiny. [przypis edytorski]

⁵⁵czajka — tu: czajnik. [przypis edytorski]

liźnie⁵⁶, włożył pod koldrę. Było mu bardzo niewygodnie. Z jednej strony nie starczyło koldry i wiało, z drugiej zaś paliło młode, pełne szalonych myśli ciało wielkiego kombinatora.

ROZDZIAŁ SZÓSTY ŚLADY „TYTANIKA”

Hipolit Matwiejewicz z przyzwyczajenia obudził się o wpół do ósmej, bąknął „*guten Morgen*” i skierował się do zlewu, znajdującego się tuż w stróżówce. Mył się z rozkoszą, pluł i gwałtownymi ruchami głowy strząsał z siebie wodę, której miał pełne uszy. Przyjemnie było wytrzeć się, lecz nagle, odjąwszy ręcznik od twarzy, Hipolit Matwiejewicz spostrzegł, że jest on zasmarowany tym radykalnie czarnym kolorem, którym od dwóch dni wysmarowane były jego wąsy. Hipolita Matwiejewicza ogarnęło przygnębienie. Chwyił z krzesła kieszonkowe lustro. W lustrze ujrzął wielki nos i zielony, niby młoda trawka, lewy wąs. Hipolit Matwiejewicz gwałtownie przesunął lustro na prawy. Prawy wąs był tego samego obrzydliwego koloru. Nachyliwszy głowę, jak gdyby pragnąc przebić lustro, ujrzął nieszczęśnik, że radykalny czarny kolor panuje jeszcze wszechwładnie tylko pośrodku czupryny, po bokach zaś ustąpił miejsca młodej zieleni. Hipolit Matwiejewicz tak głośno z głębi duszy jęknął, że Ostap otworzył swe czyste, błękitne oczy.

— Oszałał pan! — krzyknął Bender i natychmiast zamknął senne powieki.

— Towarzyszu Bender — błagalnie szepnęła ofiara „Tytanika”.

Po wielu szturchańcach i perswazjach Ostap ocknął się. Spojrzał uważnie na Hipolita Matwiejewicza i wybuchnął serdecznym śmiechem. Odwróciwszy się od dyrektora, inicjatora brylantowej afery, główny kierownik i dyrektor techniczny trząsał się ze śmiechu, chwytając za krawędź łóżka, krzychał: „nie mogę” i dalej zaśmiewał się.

— To bardzo nieładnie z waszej strony, towarzyszu Bender — rzekł Worobianinow, ruszając zielonymi wąsami.

Uwaga ta wlała jak gdyby nowe siły w Ostap. Jego serdeczny śmiech trwał jeszcze dobre dziesięć minut. Wysapawszy się, od razu spoważniał.

— Czego patrzy pan na mnie jak cielę na malowane wrota? Popatrz lepiej na siebie.

— Aptekarz zapewniał mnie, że to jest radykalny czarny kolor. Nie zmywa się ani zimną wodą, ani gorącą wodą, ani pianą mydlaną, ani naftą. Zagraniczny towar.

Hipolit Matwiejewicz był ostatecznie zgnębiony. Wszedł Tichon. Ujrawszy zielone wąsy swego pana, przeżegnał się i poprosił o datek „na poprawiny”.

— Daj pan rubla bohaterowi pracy — poparł Tichona Ostap. — Tylko proszę nie zapisywać tego na mój rachunek. Jest to pańska osobista sprawa z dawnym współpracownikiem. Poczekaj, ojczu, nie odchodź. Mam do ciebie interesik.

Ostap nawiązał ze stróżem rozmowę na temat mebli i po pięciu minutach obaj wspólnicy wiedzieli już wszystko. Meble Worobianinowa w 1919 roku zostały zabrane przez wydział mieszkaniowy, z wyjątkiem jednego krzesła, które początkowo znajdowało się w posiadaniu Tichona, a następnie zostało mu odebrane przez administratora Drugiego Domu Opieki Społecznej.

— A więc jest ono tu, w tym domu?

— Tu właśnie stoi.

— A powiedz mi teraz, przyjacielu — pytał Worobianinow, zamierając ze strachu. — Gdy krzesło to stało u ciebie... nie naprawiałeś go czasem?

— Nie trzeba go było naprawiać. Za dawnych czasów robota była solidna. Trzydzieści lat może sobie jeszcze śmiało postać takie krzesło.

— Możesz już iść, przyjacielu, masz tu jeszcze rubla, tylko nie mów nikomu o moim przyjeździe.

— Kamień w wodę, obywatelu Worobianinow.

Splawiwszy w ten sposób stróża i krzyknąwszy: „lody ruszyły!”, Ostap Bender zajął się znów wąsami Hipolita Matwiejewicza.

— Trzeba będzie jeszcze raz pofarbować. Dajcie trochę forsy, pójdę do apteki. Wasz „Tytanik” diabła wart, nadaje się chyba tylko do farbowania psów... Ho, ho, za dawnych czasów bywała farba!... Jeden z profesorów wyścigowych opowiadał mi kiedyś frapującą

Kłamstwo, Koń

⁵⁶jaegerowska bielizna — wełniana bielizna. [przypis edytorski]

historię. Interesował się pan kiedykolwiek wyścigami? Nie? Szkoda. Kolosalna emocja. A więc... Grasował kiedyś słynny lotrzyk, hrabia Drucki. Przegrał na wyścigach pięćset tysięcy. Pechowy rekordzista... Gdy nie pozostało mu już nic innego prócz długów, zaczął hrabia myśleć o samobójstwie. Aż tu niespodziewanie jakiś gagatek dał mu za pięćdziesiąt rubli wspaniałą radę. Hrabia wyjechał i po roku wrócił z orłowskim wyścigowcem — trzylatkiem. Nie tylko odbił sobie przegraną, ale wygrał jeszcze trzysta tysięcy. Orłowice jako „Makler” miał świetne świadectwo i zawsze pierwszy przychodził do mety. Na derbach wyprzedził o całą długość „MacMahona”. Piorun z jasnego nieba!... Aż tu Kuroczkin (słyszał pan może o nim?) zauważył, że wszystkim orłowcom zaczyna się zmieniać maść — jeden tylko „Makler” nie zmienia koloru. Skandal był niesłychany. Hrabiego skazano na trzy lata. Wyszło bowiem na jaw, że „Makler” nie był wcale orłowcem, lecz farbowanym mieszańcem, a mieszańce są bardziej ręczne⁵⁷ niż orłowce i zawsze je wyprzedzają. No i cóż? To była farbka, jak się patrzy! A co warte są pańskie wąsy?

— Miał przecież świetne świadectwo?

— Takie akurat, jak etykieta na pańskim „Tytaniku”. Sfałszowane! Daj no pan forsy na nową farbę.

Ostap wrócił z nowym specyfikiem.

— „Najada”. Możliwe, że lepsze to będzie od pańskiego „Tytanika”. Zrzuć pan marynarkę!

Rozpoczęła się ceremonia farbowania. Niestety, zadziwiający kasztanowaty kolor, nadający włosom puszystość i miękkość, w połączeniu z zielenią „Tytanika” dał zgoła nieoczekiwany efekt: głowa i wąsy Hipolita Matwiejewicza mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

— Takich wąsów nie ma chyba nawet Aristide Briand⁵⁸ — zauważył Ostap. — Nie radziłbym jednak z takim ultrafioletowymi włosami mieszkać w sowieckiej Rosji. Trzeba je będzie zgolić.

— Nie mogę — odrzekł żałośnie Hipolit Matwiejewicz. — To jest niemożliwe.

— Czy te wąsy są dla pana pamiątką rodzinną?

— Nie mogę — bronił się zgnębiony ostatecznie Worobianinow.

— W takim razie siedź pan sobie całe życie w tej dziurze, a ja pójdę po krzesła. *À propos*, pierwsze krzesło znajduje się tuż nad pańską głową...

— Tnij.

Znalazłszy nożyczki, Bender w jednej chwili chwycił nimi wąsy. Pielęgnowane starannie przez Hipolita Matwiejewicza dziesiątki lat, spadały teraz bezszelestnie na podłogę. Były tam włosy radykalnie czarnego koloru, zielone i ultrafioletowe. Uporawszy się ze strzyżeniem, techniczny dyrektor wyjął z kieszeni starą brzytwę „Gillette”, a z portfela zapasowe ostrze, i począł golić niemal płaczącego Hipolita Matwiejewicza.

— Ostatni nożyk zużywam dla pana. Proszę zapisać na moje konto dwa ruble za golenie i strzyżenie.

Hipolit Matwiejewicz, mimo ciężkiego strapienia, zapytał:

— Dlaczego tak drogo? Wszędzie kosztuje tylko czterdzieści kopiejek.

— Za zachowanie konspiracji, towarzyszu feldmarszałku — odrzekł szybko Bender.

Okropne męki przeżywa człowiek, któremu golą głowę tępą brzytwą. Hipolit Matwiejewicz zrozumiał to od początku operacji.

Wszystko ma swój koniec, toteż wreszcie nastąpił kres tej męki.

— Gotowe! Obrady trwają nadal! Ludzi nerwowych uprasza się o niepatrzenie! Jest pan teraz podobny do znanego kuplecisty⁵⁹ Boborykina⁶⁰.

Hipolit Matwiejewicz strząsnął z siebie miękkie kłaki, będące jeszcze niedawno tak piękną siwizną, umył się i odczuwając na całej głowie silne swędzenie, przejrzał się chyba po raz setny tego dnia w lustrze. Obraz, który tam zobaczył, wbrew wszelkim oczekiwaniom spodobał mu się. Z tafli lustrzanej spojrziała na niego wykrzywiona cierpieniem, lecz dość młoda jeszcze twarz niezaangażowanego nigdzie aktora.

⁵⁷ *ręczny* — szybki w biegu. [przypis edytorski]

⁵⁸ *Briand, Aristide* (1862–1932) — polityk francuski, wielokrotnie minister i premier; znany z zaangażowania w sprawy międzynarodowe; laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1926). [przypis edytorski]

⁵⁹ *kuplecista* — śpiewający kabareciarz. [przypis edytorski]

⁶⁰ *Boborykin, Piotr* (1836–1921) — rosyjski pisarz, dramaturg i dziennikarz. [przypis edytorski]

— Naprzód marsz, obowiązek nas wzywa! — krzyknął Ostap. — Ja pójdę po tropie do wydziału mieszkaniowego, a raczej do tego domu, w którym niegdyś mieścił się wydział mieszkaniowy, a pan pójdzie do staruszek.

— Nie mogę — powiedział Hipolit Matwiejewicz — zbyt ciężko by mi było wejść do własnego domu.

— Ach, tak!... Wzruszająca historia! Hrabia-wygnaniec. Dobrze. A więc pan pójdzie do wydziału mieszkaniowego, a ja tymczasem popracuję tutaj. Punkt zborny: w stróżówce. Naprzód!

ROZDZIAŁ SIÓDMY NIEBIESKI PTASZEK

Zaw-choz⁶¹ Drugiego Domu Opieki Społecznej był złodziejaskiem nieśmiałym. Całe jego jestestwo buntowało się przeciw złodziejstwu, lecz nie kraść — było ponad jego siły.

Więc kradł i — wstydił się tego. Kradł ustawicznie i dlatego jego starannie wygolone policzki zawsze płonęły rumieńcem wstydu. Zaw-choz nazywał się Aleksander Jakowlewicz, a żona jego Aleksandra Jakowlewna. On nazywał ją „Saszchen”, ona zaś jego — „Alchen”. Jak świat światem nie bujał jeszcze po nim taki ptaszek jak Aleksander Jakowlewicz.

Był on nie tylko zaw-chozem, lecz również ogólnym administratorem całego domu. Jego poprzednik za brutalne traktowanie powierzonych mu staruszek został przed siedmiu miesiącami odwołany i mianowany dyrygentem orkiestry symfonicznej. Alchen nie był w niczym podobny do swego nieokrzesanego poprzednika. W kołowrocie dnia powszedniego wziął na siebie uciążliwy zarząd domem i swe pupilki traktował z ostentacyjną uprzejmością, co nie przeszkadzało mu bynajmniej w przeprowadzaniu doniosłych reform i innowacji.

Ostap Bender pchnął ciężkie dębowe drzwi i znalazł się w przedpokoju willi Worobianinowa. Unosił się tu zapach przypalonej kaszy. Z górnych apartamentów dochodził gwar zmieszanych głosów, podobny do dalekiego, zduszonego „hurra”. Nie było tu nikogo i nikt się nie zjawił. Na górę prowadziły schody z lakierowanymi ongiś stopniami. Teraz sterczały tu tylko metalowe gałki, natomiast z prętów, przytrzymujących niegdyś chodnik, nie pozostało ani śladu.

„Herszt szlachy niezgorzej⁶² żył” — pomyślał sobie Ostap, wchodząc na górę.

Zaraz w pierwszym pokoju, jasnym i obszernym, siedziało chyba z piętnaście siwiuteńkich staruszek w sukniach z tandetnego szarego samodziału⁶³. Z natężeniem wyciągały suche szyje i wpatrując się uważnie w stojącego pośrodku człowieka, śpiewały:

Słyszał dźwięk dzwonek u sanek w oddali

I tętent trójki tak dobrze mu znany...

A wkoło blaski złotymi się palił

Przestwór całunem śnieżystym zasłany...

Dyrygent chóru w szarej (z tego samego samodziału) kurtce i w samodziałowych spodniach wymachiwał do taktu obiema rękami i obracając się na wszystkie strony, komenderował:

— Dyszkanty⁶⁴ ciszej! Kokuszkina wolniej!

Spostrzegł Ostapa, lecz nie mogąc powstrzymać ruchu rąk, spojrział tylko wrogo na niego i dyrygował w dalszym ciągu. Chód grzmiał z takim wysiłkiem, jak gdyby pokonać musiał opór stosu pierzyn...

— Przepraszam, czy mógłbym zobaczyć się z towarzyszem zaw-chozem? — spytał Ostap, korzystając z chwilowej przerwy.

— A o co wam chodzi, towarzyszu?

Ostap uściśnił dyrygentowi dłoń i przyjaźnie zagadnął:

⁶¹*zaw-choz* — kierownik działu gospodarczego. [przypis redakcyjny]

⁶²*niezgorzej* — całkiem dobrze. [przypis edytorski]

⁶³*samodział* — grube płótno tkane ręcznie. [przypis edytorski]

⁶⁴*dyszkant* — wysoki, piskliwy głos. [przypis edytorski]

— Pieśni ludowe? Bardzo pięknie. Moje uszanowanie. Jestem inspektorem straży ogniowej.

Zaw-choz zmieszał się.

— Tak, tak — bąknął zawstydzony. — Zjawiacie się akurat w samą porę. Miałem właśnie pisać raport.

— Nie przejmujcie się — oznajmił wspaniałomyślnie Ostap. — Sam napiszę raport. No, chodźmy obejrzyć lokal.

Alchen skłonieniem ręki zwolnił chór i baby podreptały drobnymi, radosnymi kroczkami.

— Proszę za mną — rzekł zaw-choz.

Nim wyszli, Ostap utkwiał wzrok w meble stojące w pierwszym pokoju. Stał tam stół, dwie ogrodowe ławeczki na żelaznych nóżkach (na poręczu jednego z nich wyryte było imię „Kola”) i czerwona fisharmonia⁶⁵.

— Czy pali się w tym pokoju prymusy⁶⁶? A może są tu przenośne piecyki lub coś w tym rodzaju?

— Nie, nie. Tu ma siedzibę chór oraz kółka: dramatyczne, sztuk pięknych, muzyczne...

Przy słowie „muzyczne” Aleksander Jakowlewicz zaczerwienił się. Najpierw zapłonął podbródek, potem czoło i policzki. Alchen bardzo zawstydzził się. Dawno już, bardzo dawno powyprzedawał wszystkie instrumenty dętej orkiestry. Słabe płuca staruszka i tak wydmuchiwały z nich zaledwie szczeniące piski. Śmiech brał na widok tej góry metalu w tak niegodnej sytuacji. Alchen nie mógł nie ukraść instrumentów i teraz było mu bardzo wstyd.

Na ścianie między jednym oknem a drugim wisiał ogromny transparent. Białymi literami na kawałku szarego samodziła wykaligrafowane było hasło:

„Orkiestra dęta to droga do kolektywnej twórczości”.

— Bardzo dobrze — rzekł Ostap — siedziba kółek rozrywkowych nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa na wypadek pożaru. Chodźmy dalej.

Zlustrowawszy w szybkim tempie frontowe pokoje willi Worobianinowa, Ostap nie dostrzegł nigdzie orzechowego krzesła obitego jasnym, angielskim, wzorzystym kretonem.

Na gładkim marmurze ścian wisiały regulaminy obowiązujące w domu numer dwa Starsobiesa. Ostap czytał je, od czasu do czasu energicznie wypytyując: „Kominy czyści się regularnie? Piece w porządku?”. I otrzymując wyczerpujące odpowiedzi, ruszał dalej.

Inspektor straży ogniowej szukał gorliwie, pragnąc wyszperać jakikolwiek kącik grożący niebezpieczeństwem na wypadek pożaru, lecz pod tym względem wszystko było w porządku. Natomiast poszukiwanie skarbów nie dało żadnych rezultatów. Ostap zwiedził sypialnie staruszek, które na jego widok wstawały i niziutko kłaniały się. Stały tu nary⁶⁷, zasłane szorstkimi jak psia sierść kocami. Z jednej strony tych koców wydrukowane było słowo: „nogi”.

W domu numer dwa uderzało wszystko nadmierną skromnością, meble składały się wyłącznie z ogrodowych ławek, przywiezionych z dawnego Bulwaru Aleksandrowskiego; lampki były tandetne, naftowe; koce przerażały napisem „nogi”. Tylko jedna jedyna rzecz w tym domu była solidna i imponująca — sprężyny u drzwi.

Mechanizmy przy drzwiach były prawdziwą namiętnością Aleksandra Jakowlewicza. Toteż dołożył niezwykłych starań, by wyposażyć wszystkie bez wyjątku drzwi sprężynami najrozmaitszych systemów i kształtów. Były tu całkiem prymitywne sprężyny na kształt żelaznych sztab. Były sprężyny z miedzianymi cylindrycznymi pompami. Były też mechanizmy na blokach z opuszczającymi się workami śrutu. Były jeszcze sprężyny o tak złożonej konstrukcji, że zakładowy ślusarz w najwyższym zdumieniu kiwał tylko głową. Wszystkie te cylindry, sprężyny i ciężarki miały wprost niezwykłą siłę. Drzwi zatrzaśkiwały się tak samo błyskawicznie jak pułapki na myszy. Mechanizmy te wprawiały w drżenie cały dom. Z przeraźliwym piskiem babuleńki uciekały przed atakującymi je drzwiami,

⁶⁵fisharmonia — klawiszowy dęty instrument muzyczny, używany zamiast organów. [przypis edytorski]

⁶⁶prymus — naftowa maszynka do gotowania. [przypis edytorski]

⁶⁷nary (daw.) — prycza. [przypis edytorski]

lecz nie zawsze im się to udawało. Drzwi dosięgały swych ofiar, szturchały je w plecy, a z góry z ponurym krakaniem spuszczały się ciężarki, przelatując koło skroni jak pociski.

Gdy Bender z zaw-chozem lustrowali dom, drzwi witały ich straszliwymi salwami uderzeń.

Poza tą istic więzienną wspaniałością nie było nic — krzesła ani śladu. W poszukiwaniu niebezpieczeństwa pożaru inspektor znalazł się w kuchni. Tam w wielkim kotle do bielizny gotowała się kasza, której zapach wielki kombinator poczuł od razu w przed-sionku. Ostap pokręcił nosem i powiedział:

— Czy to na oleju maszynowym?

— Jak Boga kocham, na czystym, śmietankowym maśle — rzekł Alchen, rumieniąc się prawie aż do łez — ze wsi sprowadzamy.

Wstydzil się niesłuchanie.

— Ha, to niebezpieczeństwem pożaru nie grozi — zauważył Ostap.

W kuchni także nie było krzesła. Był tam tylko zatłuszczony taboret, na którym siedział kucharz w fartuchu i samodzielnym kołpaku⁶⁸.

— Dlaczego u was wszystko takie szare i tandetne? Perkalik⁶⁹ ten nadaje się w sam raz do wycierania okien.

Nieśmiały Alchen zmieszał się jeszcze bardziej.

— Udzielają nam zbyt małych kredytów...

Czuł wstręt do samego siebie.

Ostap spojrział na niego podejrzliwie i powiedział:

— Tak, to nie ma absolutnie nic wspólnego ze strażą ogniową, którą w tej chwili reprezentuję.

Alchen przeraził się.

— Na wypadek pożaru — oznajmił — przedsięwzięliśmy wszystkie środki ostrożności. Mamy nawet gaśnicę marki Eclair.

Zaglądną po drodze do rozmaitych zakamarków, inspektor, ociągając się niechętnie, podszedł do kąta, w którym stała gaśnica. Aczkolwiek czerwony, blaszany stożek był w tym domu jedynym przedmiotem mającym związek ze strażą ogniową, wywołał w inspektorze szczególne zdenerwowanie.

— Na tandecie⁷⁰ kupowaliście?

I nie czekając nawet na odpowiedź przerażonego Aleksandra Jakowlewicza, zdjął gaśnicę z zardzewiałego gwoźdźca, rozbił niespodzianie plombę i szybko obrócił stożek wylotem do góry. Lecz zamiast oczekiwanego strumienia wody gaśnica wypuściła tylko cieniutki syk, przypominający jakąś staroświecką melodię.

— Oczywiście, na tandecie — potwierdził Ostap swoje pierwotne przypuszczenie i powiesił śpiewający wciąż jeszcze instrument na poprzednie miejsce.

Żegnani smętnym sykiem, poszli dalej.

Ostap postanowił nie porzucać samodzielną twierdzy, póki nie dowie się wszyskiego.

W tym czasie, gdy inspektor i zaw-choz łazili po strychu, wnikając w najdrobniejsze szczegóły urządzeń przeciwpożarowych i kominów, drugi dom Starsobiesa żył swym codziennym życiem.

Obiad był już gotów. Woń przypalonej kaszy wyraźnie spotęgowała się i wchłonęła wszystkie inne panujące w tym domu zapachy. Korytarze ożywiły się. Staruszki szły gęsiego, trzymając w wyciągniętych rękach blaszane miseczki z kaszą. Siadały do ogólnego stołu, starając się przy tym usilnie nie patrzeć na rozwieszzone tam hasła, ułożone osobście przez Aleksandra Jakowlewicza i wykonane artystycznie przez Aleksandrę Jakowlewnę. Hasła były następujące:

„Pożywienie to źródło zdrowia!”

„Jedno jajko zawiera tyleż tłuszczu co pół funta⁷¹ mięsa!”

„Staranne przeżuwanie pokarmów przynosi pożytek społeczeństwu!”

„Mięso — to wróg!”

⁶⁸kołpak — wysokie, stożkowane nakrycie głowy bez daszka. [przypis edytorski]

⁶⁹perkal — cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

⁷⁰tandeta (daw.) — tu: sklep ze starymi, używanymi, sprzedawanymi okazyjnie rzeczami. [przypis edytorski]

⁷¹fiunt — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

Wszystkie te wzniosłe sentencje budziły w staruszkach wspomnienia: o straconych jeszcze przed rewolucją zębach; o mięsie, zawierającym tyleż tłuszczu, co jajka, których zresztą także dawno już nie jadły; o społeczeństwie, któremu nie mogą przynieść pożytku, przeżywając starannie pokarmy.

Najgorzej było ze starą Kukuszką, siedzącą naprzeciw wielkiej, doskonale namalowanej akwareli, wyobrażającej krowę. Akwarela ta była ofiarowana przez NNOŻ (Nowa Naukowa Organizacja Życia). Ta sympatyczna krowa, łypająca⁷² jednym ciemnym, hispańskim okiem, była po mistrzowsku rozdzielona na części; przypominała plan nowego domu spółdzielczego, z tą tylko różnicą, że w planie domu były oznaczone numerami kuchnie, korytarze i kuchenne schody — zaś w planie krowy numerami były oznaczone jej poszczególne części: połędwica, krzyżowa, gatunek pierwszy, drugi, trzeci i czwarty.

Kukuszkina jadła swą porcję, nie podnosząc głowy. Wizerunek krowy wywoływał w niej bowiem pożądliwe bicie serca i napływ śliny do ust: w drugim domu Starsobiesa mięso dawano bardzo rzadko.

Prócz staruszek siedzieli przy stole: Izydor Jakowlewicz, Ieleg Jakowlewicz i Pasza Emiliewicz. Ani wiek, ani płeć tych młodzieńców nie harmonizowały z wytycznymi opieki społecznej, ale Jakowlewicze byli młodszymi braciszkami Alchena, a Pasza Emiliewicz — ciotecznym bratankiem Aleksandry Jakowlewny. Młodzieńcy, z których najstarszy był trzydziestodwuletni Pasza Emiliewicz, bynajmniej nie uważali swego pobytu w domu Starsobiesa za nienormalny. Traktowano ich tu tak samo jak staruszki: a więc mieli takie same koszarowe łóżka i koce z napisem „nogi”, odziani byli tak jak staruszki, w tandetne, szare samodziały, jednak dzięki swej sile i młodości odżywiali się znacznie lepiej niż pupilki Starsobiesa. Kradli z domu wszystko, czego nie zdążył ukraść Alchen. Pasza Emiliewicz potrafił na jednym posiedzeniu wsunąć jak nic pięć funtów jarzyn, co zresztą pewnego dnia zrobił, cały dom w ten sposób pozbawiając obiadu.

Staruszki nie zdążyły jeszcze nawet dokumentnie pokosztować kaszy, gdy Jakowlewicz wraz z Emiliewiczem, przelknąwszy szybko swe porcje, zerwali się z czkawką od stołu i pobiegli do kuchni w poszukiwaniu czegoś konkretniejszego.

Obiad trwał nadal. Staruszki zaczęły trąkotać.

— Nażrą się, a potem zaczną wyc piosenki...

— A Pasza Emiliewicz sprzedał dziś rano krzesło z tamtej niszy⁷³. Kuchennymi schodami wyniósł je handlarzowi.

Rozmowę staruszek przerwało nagle chrząkanie głośnika, które zagłuszyło nawet syk gaśnicy; krowi głos rozpoczął:

— ...łazek...

Zgięte we dwoje staruszki, nie patrząc na stojące w kącie radio, spożywały w skupieniu strawę, licząc na to, że może jednak ominie je ten kielich gorczy. Lecz głośnik grzmiał w dalszym ciągu:

— ...cenny wynalazek. Dróżnik⁷⁴ Murmańskiej Dyrekcji Kolejowej, towarzysz Sokucki, Samara, Orzeł, Kleopatra, Ulianów, Caricyn, Klemens, Ifigenia — So-kuc-ki...

Głośnik, sapiąc, kontynuował zachrypniętym głosem:

— ...wynalazł sygnalizację świetlną przy pługach śnieżnych. Wynalazek został zalecony przez Dorizul, Daria, Onega, Rajmund...

Staruszki gęsiego podreptały do swych pokoi. Głośnik, zachłystując się z nadmiaru sił, grzmiał nadal w pustym już teraz pokoju:

— ...A teraz posłuchajcie nowogrodzkich piosenek ludowych...

Hen, gdzieś daleko, jak gdyby w samym środku ziemi, ktoś uderzył w struny bałajki⁷⁵ i proletariacki Battistini⁷⁶ zaczął śpiewać:

Pluskwy na murze siedziały

I na słońce się krzywiły,

⁷²łypać — spoglądać. [przypis edytorski]

⁷³nisza — wgłębienie w ścianie pomieszczenia. [przypis edytorski]

⁷⁴dróżnik — osoba pilnująca bezpieczeństwa przejazdu na powierzonym mu odcinku torów kolejowych. [przypis edytorski]

⁷⁵bałajka a. bałabajka — instrument strunowy, mniejszy od gitary. [przypis edytorski]

⁷⁶Battistini, Mattia (1856–1928) — włoski śpiewak operowy, zwany „królem barytonów”. [przypis edytorski]

Fininspektora ujrzały —
Wnet pouciekały...

Piosenki te wywołały w owym ośrodku ziemi burzliwą reakcję. Rozległ się niebywały loskot. Były to albo huraganowe oklaski, albo wybuch podziemnych wulkanów.

Zasepiony srodze inspektor straży ogniowej szedł tymczasem ze strychu i znalazłszy się ponownie w kuchni, ujrzał pięciu obywateli, którzy wprost rękami wygarniali z beczki kwaszoną kapustę i objadali się nią. Jedli w skupieniu. Jedyny tylko Pasza Emiliewicz kręcił głową z miną smakosza i zdejmując z wąsów kapuściane festony⁷⁷, mamrotał:

— Jeść taką kapustę bez wódki to grzech.

— Czy to nowy transport staruszek? — spytał Ostap.

— To sieroty — odrzekł Alchen, wypychając inspektora z kuchni i nieznacznie przy tym grożąc sierotom pięścią.

— Z okolic nadwołżańskich⁷⁸ zapewne?

Alchen zmieszał się.

— Smutna spuścizna carskiego ustroju?

Alchen rozłożył ręce, jak gdyby mówiąc: cóż począć, gdy taką mamy spuściznę...

— Wspólne wychowanie obu płci, jak widzę? Koedukacja?

Nieśmiały Aleksander Jakowlewicz, nie zwlekając już dłużej, zaprosił inspektora straży ogniowej na skromny posiłek. Czym chata bogata, tym rada...

W ów dzień właśnie „chata była bogata” w butelkę żubrówki, grzybki domowej roboty, sałatkę śledziową, ukraiński barszcz z mięsem pierwszego gatunku, kurę w potrawce z ryżu i kompot z suszonych jabłek.

— Saszchen — powiedział Aleksander Jakowlewicz — pozwól sobie przedstawić towarzysza z Gubpożaru.

Ostap skłonił się przed gospodynią domu w sposób wielce wyszukany i wysadził się na tak długi i dwuznaczny komplement, że nie mógł z niego ani rusz wybrnąć. Saszchen — rosła kobieta, której uroda była zniekształcona nikolajewskimi bokobrodami, cicho roześmiała się i napiła wódki razem z mężczyznanami.

— Za waszą komunę gospodarczą! — wznosił toast Ostap.

Obiad upłynął w wesołym nastroju; dopiero przy kompocie Ostap przypomniał sobie o celu swej wizyty.

— Dlaczego — zagadnął — macie w swym przedsiębiorstwie mlecznym tak skąpe umeblowanie?

— Jak to — oburzył się Alchen — a fisharmonia?

— Wiem, wiem, *vox humanum*⁷⁹. Lecz usiąść wygodnie absolutnie nie ma na czym. Same ogrodowe ławki.

— W niszy stoi krzesło — obraził się Alchen — angielskie krzesło. Powiadają, że to resztki dawnego umeblowania.

— *À propos*, nie widziałem dotąd tej waszej niszy. Jak tam z pożarem? Czy nie grozi czasem jakie niebezpieczeństwo? Rad bym skontrolować.

— Bardzo proszę.

W niszy prymusów nie zapalano, przenośnych pieców nie było, kominy były w porządku i czyszczono je regularnie, lecz ku niezmiernemu zdumieniu Alchena krzesła nie było. Zaczęto go na gwałt szukać. Zaglądano pod łóżka i ławki, odsuwano nie wiadomo po co fisharmonię, wypytywano staruszki, które trwożliwie zerknęły na Paszę Emiliewiczza — ale krzesła nie znaleziono. Pasza Emiliewicz wykazał w tych poszukiwaniach podziwu godną wytrwałność. Wszyscy już dali za wygraną, a Pasza Emiliewicz wciąż jeszcze krzątał się po pokojach, zaglądał pod karafki, przestawiał blaszane kubki do herbaty i pomrukiwał:

— Gdzież mogło się podziać? Dziś jeszcze było, widziałem je sam na własne oczy! Komiczne!

⁷⁷*feston* — element dekoracyjny w formie podwieszonoego po bokach pęku kwiatów czy owoców lub fragmentu tkaniny upiętej guzami, inaczej girlanda. [przypis edytorski]

⁷⁸*nadwołżański* — położony nad *Wolgą*: największą i najdłuższą rzeką Europy, płynącą przez Rosję, uchodzącą do Morza Kaspijskiego. [przypis edytorski]

⁷⁹*vox humanum* (łac.) — głos człowieka. [przypis edytorski]

— Niewesołe to, moje panny — rzucił oschle Ostap.

— Po prostu komiczne! — powtarzał beczelnie Pasza Emiliewicz.

Akurat w tej chwili sycząca cały czas gaśnica wzięła górne fa, na jakie zdobyć by się mogła jedynie chyba artystka republiki, Nieżdanowa⁸⁰; następnie gaśnica umilkła, po chwili zaś puściła z hałasem pierwszy strumień wody, który zalał sufit i zdarł z głowy kucharza samodiałowy czepiec. Po pierwszym strumieniu bryznęła gaśnica drugim brudnoszarym strumieniem, który zwałił z nóg niepełnoletniego Izydora Jakowlewicza. Gaśnica niezmordowanie wypływała potoki wody.

Na miejsce wypadku przybiegli Pasza Emiliewicz oraz wszyscy nieposzkodowani Jakowlewicze.

— A to heca! — rzekł Ostap. — Idiotyczny wynalazek!

— Słusznie! Miałem raz do czynienia z taką gaśnicą przy pożarze pociągu!

Zostawszy z Ostapem sam na sam bez asysty władz, staruszki poczęły na wyścigi wylewać swe żale.

— Całą rodzinę tu poumieszczał! Naszą krzywdą tuczą się!

— Prosiaki karmi mlekiem, a nam każe się opychać kaszą!

— Co tylko się da, powynosił z domu!

— Uspokójcie się, moje panny — rzekł, cofając się, Ostap. — Przyjdą tu do was z inspekcji pracy. To przekracza moje kompetencje.

Staruchy nie słuchały.

— A Paszka Mielentiewicz sam dziś wyniósł to krzesło i sprzedał je. Na własne oczy widziałam.

— Komu? — wrzasnął Ostap.

— Sprzedał i tyle. Mój koc także huncwot⁸¹ chciał sprzedać.

W korytarzu toczyła się zacięta walka z gaśnicą. Zwyciężył ostatecznie geniusz człowieka i gaśnica, zdeptana żelazną stopą Paszy Emiliewiczza, wypłuła z siebie po raz ostatni wątkły strumień wody i uciszyła się na wieki.

Staruszkom polecono wziąć się do mycia podłóg. Inspektor straży ogniowej westchnął głęboko, pochylił głowę i z lekką kołyszając się w biodrach, podszedł do Paszy Emiliewiczza.

— Jeden z moich znajomych — rzekł znacząco — także sprzedawał państwowe meble. Teraz pokutuje, siedzi w DOPR-ze.

— Nie rozumiem waszych bezpodstawnych podejrzeń — zauważył Pasza Emiliewicz.

— Komuś sprzedał krzesło? — syknął szeptem Ostap.

Pasza Emiliewicz, obdarzony nadludzką intuicją, zrozumiał, że zaczną go zaraz bić, kto wie — może nawet nogami.

— Handlarzowi — odrzekł.

— Adres?

— Widziałem go po raz pierwszy w życiu.

— Po raz pierwszy w życiu?

— Słowo honoru.

— Z przyjemnością stłukłbym cię na kwaśne jabłko — oznajmił Ostap. — No, wynoś się do stu diabłów!

Pasza Emiliewicz uśmiechnął się przymilnie i rozpoczął odwrót.

— Ech, ty ofermo — rzekł wyniośle Ostap. — Pomaleńku, nie spiesz się. A jak ten handlarz wygląda? Blondyn, brunet?

Pasza Emiliewicz zaczął dokładnie objaśniać. Ostap wysłuchał go uważnie i przypieczętował wywiad słowami:

— To już bezwzględnie nie ma żadnego związku ze strażą ogniową.

Do wychodzącego już Bendera podszedł na korytarzu nieśmiały Alchen i wsunął mu do ręki czerwonia⁸².

— Sto cztertnasty paragraf kodeksu karnego — rzekł Ostap — wręczenie łapówki osobie urzędowej podczas pełnienia czynności służbowych.

⁸⁰Nieżdanowa, Antonina (1873–1950) — rosyjska i radziecka śpiewaczka oraz pedagog muzyczny. [przypis edytorski]

⁸¹huncwot — łobuz. [przypis edytorski]

⁸²czerwonec — dawna moneta rosyjska. [przypis edytorski]

Pieniądże jednak wziął i pożegnawszy Aleksandra Jakowlewicza, skierował się ku wyjściu. Drzwi, wyposażone w potężny aparat, otwarły się z trudem i szturchnęły Ostapę boleśnie w plecy.

— Pierwszy cios — skonstatował Ostap, pocierając obolałe miejsce. — Obrady trwają nadal!

ROZDZIAŁ ÓSMY GDZIE SĄ PAŃSKIE BUJNE KĘDZIORY?

W owym czasie, gdy Ostap oglądał drugi dom Starsobiesia, Hipolit Matwiejewicz kroczył po mieście, odczuwając nieznośne zimno w ogolonej doszczętnie głowie. Przebrnął przez kałużę ciągnącą się od sklepu Stargiko aż do gmachu Gubplanu⁸³, którego wejście ozdobione było gipsowymi tygrysami i węzami oraz płaskorzeźbami wyobrażającymi zwycięstwo.

Nagle na Hipolita Matwiejewicza uderzyły siódme poty. Wprost na niego szedł nieznamy obywatel o dobrotliwym wyrazie twarzy i w garści trzymał krzesło. Hipolit Matwiejewicz, który dostał nagle gwałtownej czkawki, przyjrzał się i od razu poznał swoje krzesło.

Tak! To było krzesło pochodzące ze słynnej wytwórni Gambsa, obite pociemniałym w ogniu rewolucji angielskim kretonem w kwiatki, to było orzechowe krzesło o giętych nóżkach. Hipolit Matwiejewicz był tak oszołomiony, jak gdyby mu kto wypalił prosto w ucho.

— Noże, nożyczki ostrzę, brzytwy naprawiam! — krzyknął w pobliżu barytonowy bas.

I zaraz rozległo się cieniutkie echo:

— Lutuję, poprawiam!...

— Gazeta moskiewska „Izwestia”⁸⁴, „Smiechacz”⁸⁵, „30 dni”, „Czerwona N-i-i-wa”!

Gdzieś wysoko ktoś stłukł z hałasem szybę. Potężnie dudniąc, przejechała platforma ciężarowa Mielstroju. Gwizdnął przeraźliwie milicjant. Życie wrzało i przelewało się poprzez brzegi. Nie można było tracić ani chwili.

Hipolit Matwiejewicz lamparcim skokiem zbliżył się do bezczelnej figury i bez słowa, jednym szarpnięciem usiłował wyrwać krzesło.

Nieznamy szarpnął je z powrotem. Wtedy Hipolit Matwiejewicz uczeplił się lewej nóżki i starał się przemocą oderwać od krzesła grube palce nieznanego.

— Rozbój — szepnął nieznamy, jeszcze mocniej trzymając się krzesła.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem — bełkotał Hipolit Matwiejewicz, wciąż usiłując odkleić od krzesła palce nieznanego.

Zaczął się zbierać tłum. Już trzech ludzi przystanęło opodal, z najwyższą ciekawością śledząc rozwój wypadków.

Wtedy obaj zapaśnicy lekko rozejrzeli się i nie patrząc na siebie, lecz nie wypuszczając krzesła z drapieżnych rąk, poszli jak gdyby nigdy nic wprost przed siebie.

„Co to znaczy?” — Hipolit Matwiejewicz myślał z rozpaczą.

Trudno wprawdzie było odgadnąć, o czym myślał nieznamy, ale chód miał w owej chwili jak najbardziej zdecydowany.

Szli coraz prędzej. Spostregłszy wreszcie jakiś opuszczony płacyk, zasypany gruzem i budulcem, udali się tam jak na komendę. Siły Hipolita Matwiejewicza potroiły się.

— Za pozwoleniem! — ryknął, nie krępując się już wcale.

— Ra-tun-ku! — krzyknął prawie niedosłyszalnie nieznamy.

Ponieważ obaj mieli ręce zajęte, zaczęli się nawzajem kopać nogami. Nieznamy miał buty podkute, toteż los Hipolita Matwiejewicza nie był początkowo do pozazdroszczenia; szybko jednakże Hipolit Matwiejewicz przystosował się i skacząc bądź na prawo, bądź na lewo, jak gdyby tańcząc krakowiaka, unikał razów przeciwnika, starając się jednocześnie położyć go ciosem w brzuch.

⁸³ *Gubplan* — wydział planowania prowincji. [przypis edytorski]

⁸⁴ „*Izwestia*” — rosyjski dziennik; powstał po rewolucji lutowej w 1917, od marca 1918 wydawany w Moskwie. [przypis edytorski]

⁸⁵ „*Smiechacz*” — pismo satyryczne wydawane w Moskwie. [przypis edytorski]

W brzuch wprawdzie nie udało mu się trafić, ponieważ zawadzało krzesło, ale grzmotnął za to wroga w staw kolanowy, po czym ten mógł wierzcąc już tylko lewą nogą.

— O Boże! — szepnął nieznajomy.

Dopiero teraz Hipolit Matwiejewicz spostrzegł, że tym nieznajomym, który w tak bezczelny sposób porwał jego krzesło, był ni mniej, ni więcej, tylko proboszcz cerkwi Flora i Laura — ojciec Fiodor Wostrikow.

Hipolit Matwiejewicz zdębiał.

— Batuszka⁸⁶! — zdumiał się, odejmując ręce od krzesła.

Ojciec Wostrikow zsiniał i rozgiął palce. Krzesło, przez nikogo niepodtrzymane, upadło na cegły.

— Gdzież są pańskie wąsy, szanowny Hipolicie Matwiejewiczu? — spytała z wyrafinowaną zjadliwością osoba duchowna.

— A gdzie się podziały pańskie bujne kędziory? Wszak miał pan kędziory?

Słowa Hipolita Matwiejewicza były pełne niewysłowionej pogardy. Obrzucił ojca Fiodora spojrzeniem pełnym niezwyklej godności i wzięwszy krzesło pod pachę, zamierzał odejść. Lecz ojciec Fiodor, który opanował już zmieszanie, nie pozwolił Worobianinowi na tak łatwy triumf. Z krzykiem: „Hola, za pozwoleniem” chwycił znów krzesło. Był to powrót do pierwotnej sytuacji. Trzymając się kurczowo nóżek krzesła, obaj wrogowie stali naprzeciw siebie i z pasją spoglądali jeden na drugiego.

Przerwa, zapierająca dech w piersiach, trwała dobrą minutę.

— A więc to wy, ojcze duchowny — zgrzytnął Hipolit Matwiejewicz — polujecie na mój majątek?

Po tych słowach Hipolit Matwiejewicz kopnął ojca duchownego w bok.

Ojciec Fiodor uniknął zręcznie ciosu i z wściekłości dał marszałkowi szlachty takiego kuksańca, że ten zgiął się wpół, po czym syknął:

— To nie jest wasz majątek.

— A czyj?

— Nie wasz.

— A czyj?

— Nie wasz, nie wasz!

— A czyj, czyj?

— Nie wasz.

Sycząc tak, kopali się niemiłosiernie.

— A niby czyj jest ten majątek? — ryczał marszałek szlachty, wałąc, jak w bęben, w brzuch ojca duchownego.

Ojciec duchowny, przewyciężając ból, rzekł dobitnie:

— To jest upaństwowiona własność.

— Upaństwowiona?

— Ta-a-k, ta-a-k, upaństwowiona!

Mówili tak szybko, że trudno było odróżnić poszczególne wyrazy.

— Przez kogo upaństwowiona?

— Przez władzę sowiecką! Przez władzę sowiecką!

— Jaką władzę?

— Władzę ludu roboczego.

— Aaa!... — rzekł, blednąc, Hipolit Matwiejewicz. — Przez władzę robotników i włościan?

— T-a-a-a-k!...

— Hm-m-m!... To może i do partii ojciec duchowny należy?

— M-m-może!

To już było ponad siły Hipolita Matwiejewicza. Wrzeszcząc: „Może?”, plunął z satysfakcją w dobrotliwą twarz ojca Fiodora. Ojciec Fiodor bez namysłu zrewanżował się Hipolitowi Matwiejewiczowi i także trafił. Zetrzeć śliny nie mogli — w rękach wciąż kurczowo ściskali nóżki krzesła.

⁸⁶batuszka (ros.) — ojczulek. [przypis edytorski]

Z chrapliwym rżeniem Hipolit Matwiejewicz pchnął swego wroga. Wróg upadł, pociągając za sobą sapiącego z trudem Worobianinowa. Walka toczyła się nadal w dolnych regionach.

Nagle rozległ się trzask — i jednocześnie odłamały się dwie nóżki krzesła. W zgodnym wysiłku obaj wrogowie zaczęli znęcać się nad orzechowym skarbem. Podarli na strzępy angielski kreton w kwiatki. Potężnym rzutem odrzucili precz bezwartościową dla nich poręcz. Poszukiwacze skarbów zerwali pokrycie wraz z miedzianymi guzikami i kalecząc się o sprężyny, zanurzyli palce w wołokowym włosiu. Po pięciu minutach zostało zaledwie wspomnienie krzesła. Na placu walki poniewierały się bezużyteczne sprężyny, w powietrzu zaś unosiło się zgniłe włosie. Gięte nóżki leżały w rynsztoku. Brylantów nie było.

— Znalazł pan? — spytał Hipolit Matwiejewicz, sapiąc jak miech⁸⁷ kowalski.

Pokryty kłaczkami włosia, ojciec Fiodor zachowywał dostojne milczenie.

— Jest pan wstrętnym aferzystą! — krzyknął Hipolit Matwiejewicz. — Mordę ci skuję, ojcie Fiodorze!

— Hola, nie tak ostro! — odrzekł pop.

— Dokąd pójdzie pan teraz w takim stanie?

— A panu co do tego?

— Wstyd, księżu. Jesteś po prostu złodziejem!

— Nic panu nie ukradłem!

— A jak dowiedziałeś się o skarbach? Dla osobistych celów wykorzystaleś tajemnicę spowiedzi? Nie ma co mówić, pięknie! Bardzo pięknie!

Hipolit Matwiejewicz z pełnym oburzenia „a fe!” opuścił plac boju i otrzepując po drodze palto, skierował swe kroki w stronę domu.

Przy zbiegu ulic Leńskich Wydarzeń i Erofiejewskiej Worobianinow ujrzał swego towarzysza. Dyrektor techniczny i główny kierownik przedsiębiorstwa stał z wysuniętą naprzód lewą nogą — czyszczono mu właśnie buciki pięknym, kanarkowym kremem. Hipolit Matwiejewicz podbiegł ku niemu. Dyrektor nucił niefrasobliwie *shimmy*⁸⁸:

Dawniej to tańczyły
dzikie słonie,
Teraz tańczą taniec ten
w salonie... —
Shimmy, shimmy słyńie
dziś na cały świ-a-a-t...

— Nic mi pan teraz nie opowiadaj — rzekł szybko. — Jest pan silnie podniecony, musi pan wpięrować się.

Zapłaciwszy pucybutowi za fatywę siedem kopiejek, Ostap ujął Worobianinowa pod ramię i zaczął przechadzać się z nim po mieście.

— No, a teraz proszę wszystko wyładować.

Wszystkiego, co wyładował z siebie Hipolit Matwiejewicz, Ostap wysłuchał z wielkim zainteresowaniem.

— Aha! Niewielka, czarna bródka? Zgadza się. Palto z barankowym kołnierzem? W porządku. To było krzesło z przytułku. Kupiono je dziś rano za trzy ruble.

— To jeszcze nie wszystko...

I Hipolit Matwiejewicz opowiedział głównemu aranżerowi o całej podłości ojca Fiodora. Ostap spochmurniał.

— Szpetna chryja — skonstatował. — Tajemniczy rywal. Musimy go za wszelką cenę uprzedzić, a gębę zawsze zdążymy mu pomacać.

Podczas gdy przyjaciele posilali się skromnie w barze „Stienka Razin” i Ostap informował się, gdzie poprzednio znajdował się wydział mieszkaniowy, jaką tam teraz ulokowano instytucję, zapadał z wolna zmrok wieczorny.

⁸⁷*miech* — używany w kuźni przyrząd pompujący powietrze do ognia, co pozwala osiągnąć jego wyższą temperaturę. [przypis edytorski]

⁸⁸*shimmy* — ruch taneczny znany w różnych tańcach (korpus pozostaje w bezruchu, ręce lekko zgięte w łokciach, dłonie nieruchome, natomiast ramiona poruszają się w nieco hieratyczny, ale płynny, naprzemienny sposób do przodu i do tyłu, co daje efekt erotyczny z powodu poruszających się i falujących piersi); także: taniec związany z jazzem, narodził się w Stanach Zjednoczonych po I wojnie światowej; inaczej: *shimmy-sha-wabble*, *hootchy-kootchy*. [przypis edytorski]

Tygrysy, zwycięstwa i węże Gubplanu wyglądały tajemniczo w blaskach wschodzącego nad miastem księżycy.

Idąc do domu, z zamilkłym nagle Ostapem, Hipolit Matwiejewicz spojrział na owe tygrysy i węże. Za jego czasów mieścił się tu urząd powiatowy i obywatele chlubili się bardzo tymi ozdobami, uważając je za starogrodzką osobliwość.

„Odnajdę” — pomyślał Hipolit Matwiejewicz, wpatrując się w gipsowe zwycięstwo.

Tygrysy łagodnie merdały ogonami, węże radośnie wyginały się i duszę Hipolita Matwiejewicza ogarnęła radosna pewność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY PAPUGA, ŚLUSARZ I WRÓŻKA

Dom oznaczony liczbą 7 przy ulicy Zagajnikowej, miał tylko dwie ozdoby, obie o wybitnie handlowym charakterze. Na tle błękitnego szyldu: „Odeska wytwórnia moskiewskich obwarzanków” wdział się młodzieniec w krawacie i krótkich francuskich spodniach⁸⁹.

W ręce trzymał legendarny róg obfitości, z którego sypały się moskiewskie obwarzanki, mogące od biedy uchodzić za słynne odeskie publiczki. Młodzian obleśnie uśmiechał się. Po drugiej stronie bramy paczkarnia „Szybkopak” o istnieniu swym zawiadmiała P.T.⁹⁰ klientelę czarnym szyldem z okrągłymi złotymi literami.

Mimo tak, zdawałoby się, namacalnego kontrastu szyldów oba tak różne na pozór przedsiębiorstwa zajmowały się tymi samymi interesami — spekulowały na wszelkiego rodzaju manufakturze, a więc wełnach, bawełnach, a jeśli trafiały się okazynie jedwabie w pięknych kolorach i deseniach, to handlowały również jedwabiami.

Za bramą, tonącą w egipskich ciemnościach i wodzie, widać było dwoje drzwi, bez ganków, wychodzących wprost na podwórze. Miedziany szyldzik z wyrytym na nim nazwiskiem:

W. M. POLESOW

znajdował się na drzwiach z prawej strony, lewe zaś drzwi były opatrzone białą blaszką: MAGAZYN MÓD

I to również były tylko pozory. W magazynie mód nie było bowiem ani bezgłowych manekinów z wysuniętą naprzód piersią, ani też lalek porcelanowych, służących do przemierzania wytwornych damskich kapelusików. Zamiast tego wszystkiego mieszkała sobie w trzypokojowym mieszkaniu nieposzlakowane biała papuga. Papugę zameczały pchły; nie mogła się jednak biedaczka przed nikim użalić, ponieważ nie potrafiła mówić ludzkim językiem. Po całych dniach gryzła ziarno i wypluwała łupiny, śmiejąc wokół klatki. Brak tu było tylko harmonijki i nowych skrzypiących kaloszy, by udatnie⁹¹ naśladować podochocznego galanta⁹²—rzemieślnika. Okna były zasłonięte ciemnobrązowymi storami⁹³. Nad pianinem wisiała oszklona reprodukcja *Wyspy umarłych*⁹⁴ Böcklina w fantazyjnej ciemnozielonej dębowej ramie, szkło z jednego kąta dawno już wypadło, wskutek czego część obrazu była upstrzona przez muchy, tak że stanowiła z ramą jedną całość. Co się działo w tej części wyspy umarłych — było zagadką.

W sypialni na łóżku siedziała pani domu we własnej osobie. Oparłszy łokcie na ośmio-kątnym stoliku, nakrytym brudną serwetką „richelieu”⁹⁵, stawiała kabałę. Przed nią siedziała wdowa Grycacujewa we włóczkowym szalu.

— Muszę panią uprzedzić, że za seans nie biorę mniej niż pięćdziesiąt kopiejek — powiedziała gospodyni.

⁸⁹spodenki (zdr.) — spodni, spodnie. [przypis edytorski]

⁹⁰P.T. — skrót od *pleno titulo*, z łac.: z zachowaniem wszystkich należnych tytułów. [przypis edytorski]

⁹¹udatny (daw.) — udany. [przypis edytorski]

⁹²galant (daw.) — mężczyzna odznaczający się wyszukaną uprzejmością. [przypis edytorski]

⁹³stora — ciężka zasłona. [przypis edytorski]

⁹⁴*Wyspa umarłych* — najbardziej znany obraz szwajcarskiego malarza *Arnolda Böcklina* (1827–1901): malarza symbolisty, który tworzył nastrojowe, fantastyczne pejzaże, często z istotami mitologicznymi: nimfami, najadami, trytonami. [przypis edytorski]

⁹⁵richelieu — ażurowy haft imitujący koronkę. [przypis edytorski]

Praca, Handel

Los

— Prosiłabym bardzo o przepowiednię na przyszłość — smętnie przymilała się wdowa.

Gospodyni zaczęła rozkładać karty. Parę minut wystarczyło na określenie wdowiego losu. Wdowę czekały duże i drobne przykrości, na sercu miała króla kier, który skłaniał się w stronę damy dzwonekowej. Potem wrócono z ręki. Linie wdowy Grycacujewej były wyraziste, silne, bez zarzutu. Linia życia sięgała tak daleko, że koniec jej wjechał w puls i jeśli linia ta nie kłamała — winna była wdowa dożyć aż do chwili zwołania konstytuanty⁹⁶. Linie rozumu i sztuki pozwalały spodziewać się, że wdowa porzuci handel towarami kolonialnymi i obdarzy ludzkość bezcennymi tworamami w jakiegokolwiek dziedzinie sztuki, nauki czy też socjologii. Wzgórze Wenery⁹⁷ zdradzało niewyczerpane zasoby miłości i czułości...

Wszystko to wróżka zakomunikowała wdowie, posługując się wyrazami i terminami używanymi przez grafologów, chiromantów⁹⁸ i handlarzy koni.

— Pięknie paniusi dziękuję. — Kłaniała się wdowa. — Teraz to już wiem, kto jest królem kier. I damę dzwonekową także dokumentnie znam. A czy ten król kier nie oznacza czasem bliskiego ślubu?

— Król? A jakże, moja panno.

Uszczęśliwiona wdowa wróciła do siebie. A wróżka cisnęła karty do szuflady, potężnie ziewnęła, demonstrując szczękę pięćdziesięcioletniej kobiety, i poszła po wodę.

Obfity, sfatygowany już mocno biust leniwie trząśł się pod farbowaną bluzką. Na głowie ukazywały się kosmyki siwych włosów. Była to kompletnie stara kobieta i gdyby ją Hipolit Matwiejewicz nagle ujrzał, to w żaden żywy sposób nie poznałby w niej Heleny Bour, pięknej prokuratorowej, ubóstwianej przezeń Heleny, o której sekretarz sądu wyraził się ongiś wierszem, że „tak jest powiewna ta nasza cud-królowna”.

Madame Bour spotkała przy studni swego sąsiada, Wiktora Michałowicza Polesowa, ślusarza-inteligenta, który bańką od benzyny czerpał właśnie wodę. Polesow wyglądał jak operowy Mefisto⁹⁹, którego przed wypuszczeniem na scenę smarują starannie sadzą.

— Piękne czasy — rzekł ironicznie Polesow — obszedłem wczoraj calutkie miasto i znikąd nie udało mi się wytrzasnąć mutry¹⁰⁰ o średnicy trzy ósme cala¹⁰¹. Nie ma i basta.

Helena Stanisławówna współczuła serdecznie z Polesowem, mimo iż miała o murtrach akurat takie wyobrażenie, jakie ma słuchaczka kursów choreograficznych imienia Leonarda da Vinci¹⁰² o gospodarstwie wiejskim.

— Czyż w ogóle można teraz mówić o sklepach? Mamy przecież teraz właściwie tylko kolejki, a sklepów żadnych dawno już nie ma. Wszystkie te sklepy tak jakoś cudacznie teraz nazywają się. Stargiko!...

Czarna twarz ślusarza połyskiwała w blaskach słońca. Białka oczu były z lekka żółtawe. Spośród chałupników, których w Starogrodzie było bez liku, Wiktorowi Michałowiczowi wiodło się bodaj najgorzej. Największym szkodnikiem Wiktora Michałowicza był jego nieokiełznany temperament. Nigdy, na przykład, nie można go było zastać w warsztacie, który mieścił się w drugim podwórzu domu numer 7 przy ulicy Zagajnikowej. Wygasły przenośny tygiel¹⁰³ sterczał samotnie na środku kamiennej szopy, po której kątach poniewierały się stopy przekłutych pudełek i podartych ochraniaczy „Trieugolnik”, zardzewiałe zamki, tak olbrzymie, że można by chyba było zamykać na nie miejskie wrota, pogięte srodze kotły, wózki dziecinne, zamknięte na wieki dynamo, przegniłe rzemienie, nasyczone oliwą pakuły¹⁰⁴, zużyty doszczętnie gładzypapier¹⁰⁵, austriacki bagnet i mnóstwo podartych i powyginanych rupieci.

⁹⁶konstytuantą — zgromadzenie ustawodawcze powołane w celu uchwalenia konstytucji państwa. [przypis edytorski]

⁹⁷wzgórze Wenerę — wzgórek łonowy. [przypis edytorski]

⁹⁸chiromanta — osoba potrafiąca wróżyć z linii papilarnych dłoni. [przypis edytorski]

⁹⁹Mefisto a. Mefistofeles — postać diabła z *Fausta* Goethego. [przypis edytorski]

¹⁰⁰mutra — nakrętka na śrubę. [przypis edytorski]

¹⁰¹cal — dawna jednostka miary długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

¹⁰²Vinci da, Leonardo (1452–1519) — włoski malarz, rysownik, rzeźbiarz, architekt, anatom, teoretyk sztuki i uczonek, uważany za archetyp człowieka renesansu. [przypis edytorski]

¹⁰³tygiel — ogniotrwałe naczynie. [przypis edytorski]

¹⁰⁴pakuły — krótkie, splecione włókna lnu, konopi bądź juty używane m.in. do uszczelniania. [przypis edytorski]

¹⁰⁵gładzypapier — papier ścierny. [przypis edytorski]

Klientom nigdy nie udawało się zastać Wiktora Michałowicza w pracowni. Wiktor Michałowicz bowiem wiecznie gdzieś kimś komenderował i nie miał głowy do roboty. Nie mógł, na przykład, patrzeć spokojnie na wjeżdżające w podwórze wozy z towarami. Wychodził zaraz z pracowni i splótszy ręce na plecach, pogardliwie obserwował woźnicę.

— Któż tak zajeżdża? — obruszał się. — Zawracaj.

Przestraszony woźnica zawracał.

— Jak ty, ofermo, zawracasz?! — biadał Wiktor Michałowicz, chwytając konia za uzdę. — Za dawnych czasów oberwałbyś po gębie raz i drugi, to już nauczyłbyś się zawracać, jak należy!

Takie komenderowanie trwało dobre pół godziny, po czym Polesow skłonny już był wrócić do pracowni, gdzie czekała na niego jakaś nienaprawiona opona, lecz wtedy zazwyczaj znów jakieś nieoczekiwane zdarzenie zakłócało spokojne życie miasteczka. Albo wozy zaczepiały się na ulicy osiami i Wiktor Michałowicz pouczał, w jaki sposób najszybciej i najlepiej można je rozłączyć; albo stawiano nowy słup telegraficzny i Polesow sprawdzał jego prostopadłość własnym specjalnie z warsztatu przyniesionym pionem; bądź wreszcie przejeżdżała straż ogniowa i Polesow, podniecony dźwiękami pobudki strażackiej i trawiony niepokojem, biegł za wozami strażackimi.

Od czasu do czasu jednakże ogarniał Wiktora Michałowicza szal realnej pracy, wówczas na parę dni zniknął w swej pracowni i w milczeniu pracował. Wozy ciężarowe zajeżdżały sobie w podwórze, opisując najrozmaitsze krzywe linie, pojazdy na ulicy w ogóle przestały zderzać się, wozy strażackie samotnie pędziły na miejsce pożaru — Wiktor Michałowicz bez wytchnienia pracował. Kiedyś po takim napadzie pilności wyciągnął z pracowni, niby barana, motocykl, sporządzony przezeń z części automobilów¹⁰⁶, gaśnic, rowerów i maszyn do pisania. Motor o sile półtora konia mechanicznego miał markę Wanderer¹⁰⁷, koła markę Davidson¹⁰⁸, a inne części składowe dawno już utraciły jakąkolwiek markę. Z siodła zwisała na sznurku tekturka z napisem: „Próba”. Zrobiło się zbiegowisko. Nie patrząc na nikogo, Wiktor Michałowicz zaczął obracać ręką pedał. Iskra nie ukazywała się przez jakieś dziesięć minut. Nagle rozległ się szcęk żelaza, maszyna drgnęła i otuliła się kłębamii brudnego dymu. Wiktor Michałowicz wskoczył na siodło. Motocykl z szaloną szybkością poniósł go poprzez bramę na środek jezdni i natychmiast stanął, jak gdyby ugodzony kulą. Wiktor Michałowicz chciał właśnie zejść i poddać swą tajemniczą maszynę gruntownym oględzinom, gdy ta zaczęła się ni stąd, ni zowąd cofać i pomknąwszy wraz ze swym twórcą przez tę samą bramę, zatrzymała się akurat na tym samym miejscu, z którego wyruszyła — w środku podwórza, po czym gderliwie mruknęła i eksplodowała. Wiktor Michałowicz cudem ocalał i z odłamków motocykla zbudował podczas następnego ataku pilności silnik kolejowy, który był całkiem podobny do prawdziwego silnika, lecz — nie funkcjonował.

Jednakże koroną pracy ślusarza-inteligenta była epopeja z bramą domu numer 5. Zrzeszenie lokatorów tego domu zawarło z Wiktorem Michałowiczem umowę, mocą której Polesow zobowiązał się doprowadzić do zupełnego porządku żelazną bramę tego domu, a nadto pomalować ją, według własnego uznania, na jakiś praktyczny kolor. Z drugiej strony zrzeszenie zobowiązało się — po przyjęciu roboty przez specjalną komisję — wypłacić Wiktorowi Michałowiczowi Polesowi dwadzieścia jeden rubli i siedemdziesiąt pięć kopiejek. Koszt marek stemplowych winien był ponieść wykonawca roboty.

Wiktor Michałowicz wziął bramę na plecy jak Samson¹⁰⁹. W swej pracowni zabrał się z zapalem do pracy. Dwa dni strawił na rozwalaniu bramy. Rozłożył ją na części składowe. Żelazne kółka leżały w dziecinny wózek, zaś sztaby i pręty ułożone były pod warsztatem. Jeszcze parę dni zeszło na badaniu uszkodzeń. A potem wydarzyła się w mieście nader nieprzyjemna historia — przy ulicy Drewnowskiej pękły rury wodociągowe i Wik-

¹⁰⁶ *automobil* (daw.) — samochód. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *Wanderer*, właśc. *Wanderer-Werke* — byłe niemieckie przedsiębiorstwo, które produkowało m.in. motocykle i samochody. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *Davidson*, właśc. *Harley-Davidson* — amerykański producent motocykli i akcesoriów motocyklowych. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *Samson* — biblijny wojownik obdarzony nadludzką siłą; podstępem schwytyany do niewoli przewrócił kolumny budynku, grzebiąc pod ruinami siebie i wrogów. [przypis edytorski]

tor Michałowicz spędził resztę tygodnia na miejscu katastrofy, uśmiechając się ironicznie, krzyżąc na robotników i raz po raz zaglądając do kanału.

Gdy szła organizatorski nieco osłabł, Wiktor Michałowicz przypomniał sobie o naprawie bramy, lecz było już za późno: dzieciaki z całego podwórza bawiły się w jak najlepsze żelaznymi kółkami i prętami. Ujrawszy Wiktora Michałowicza, przestraszona dziatwa¹¹⁰ zaczęła na gwałt ciskać żelastwo i zmiatać, gdzie oczy poniosą. Brak było połowy kółek i niepodobna było ich znaleźć. Po tym epizodzie Wiktor Michałowicz zobojętniał do reszty w stosunku do bramy. A w otwartym na oścież domu numer 5 działy się okropne rzeczy: kradli tam na zabój i ściągali ze strychu mokrą bieliznę, a kiedyś wieczorem ukradli nawet z podwórza kipiący samowar. Wiktor Michałowicz brał osobiście udział w pościgu za złodziejem. Złodziej trzymał w wyciągniętych dłoniach kipiący samowar, z którego rury buchał płomień, lecz uciekał bardzo szybko i odwracając się, kłął niechętnie biegnącego na samym przodzie Wiktora Michałowicza. Jednakże najbardziej uszkodzony był dozorca domu numer 5. Tracił nocny zarobek — bramy nie było, a więc nie miał co otwierać i zapóźnieni¹¹¹ lokatorzy zwolnieni byli od obowiązku płacenia szpery¹¹². Z początku dozorca domu numer 5 przychodził informować się, czy prędko brama będzie doprowadzona do ładu, potem błagał rzewnymi słowy, aż wreszcie zaczął miotać mgliste pogroźki. Sytuacja stawała się z dnia na dzień poważniejsza.

*

— Prawda! Proszę zgadnąć, kogo dziś widziałem! Worobianinowa! — krzyknął ślusarz.

Helena Stanisławówna oparła się o studnię, w najwyższym zdumieniu, trzymając wciąż w powietrzu napełnione wodą wiadro.

— Wstąpiłem do Komunchozu, aby przedłużyć kontrakt najmu, idę sobie po korytarzu. Naraz podchodzi do mnie jakichś dwóch jegomościów. Przyglądam się im bacznie. Twarz jednego wydała mi się jak gdyby znajoma. Worobianinow czy kie lichu. Zagadnął mnie: „Czy mógłbym się dowiedzieć, jaka instytucja mieściła się przedtem w tym gmachu?”. Powiadam mu, że przedtem było tu żeńskie gimnazjum, a potem wydział mieszkaniowy. „A na co panu te informacje?” — pytam. A ten tylko: „dziękuję” i poszedł sobie. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to był sam Worobianinow. Skąd mógł się tu tak nagle wziąć? A ten drugi to był bardzo piękny mężczyzna. Założyłbym się, że to dawny oficer. Pomyślałem sobie wtedy...

Nagle Wiktor Michałowicz dostrzegł coś przykrego. Nie kończąc zaczętego zdania, złapał bańkę i spiesznie schował się za śmietnikiem. Na podwórzu wszedł powoli dozorca domu numer 5, przystanął koło studni i zaczął rozglądać się po podwórzu. Nie dostrzegłszy nigdzie Wiktora Michałowicza, srodze się zmartwił.

— Witka-ślusarza znów nie ma? — spytał Heleny Stanisławówny.

— Ach, nic a nic nie wiem — rzekła wróżka — nic nie wiem.

I niezwykle podniecona, wylewając po drodze wodę z wiadra, poszła spiesznie do domu.

Dozorca domu numer 5 pobębnił chwilę palcami po ocembrowaniu studni i udał się do pracowni Polesowa. O dwa kroki od szyldu „Do pracowni ślusarskiej” sterczał szyld „Pracownia ślusarska i reperacja prymusów”, pod którym wisiała ciężka kłódka. Dozorca domu numer 5 kopnął nogą drzwi i z nienawiścią burknął:

— A to gangrena!

Dozorca domu numer 5 stał tak pod pracownią jeszcze ze trzy minuty, podsycając w sobie wrogię uczucia, po czym zerwał z muru szyld, zaniósł go na środek podwórza pod studnię i depcąc go obydwoma nogami, zaczął awanturować się.

— Zbóje w domu numer 7 mieszkają! — wył dozorca domu numer 5. — Najgorsza hołota! Hycel¹¹³ zatracony! Patrzcie, i to ma być gość ze średnim wykształceniem... Gwiżdżę na takie średnie wykształcenie... Przekłęta gangrena!...

¹¹⁰dziatwa (daw.) — dzieci. [przypis edytorski]

¹¹¹zapóźniony — spóźniony. [przypis edytorski]

¹¹²szpera — napiwek dla dozorca otwierającego bramę w nocy. [przypis edytorski]

¹¹³hycel (pot.) — łobuz. [przypis edytorski]

Podczas tej przemowy zatracony hycel ze średnim wykształceniem przycupnął za śmietnikiem na swej bańce i nudził się śmiertelnie.

Rozbawieni lokatorzy otwierali z hałasem okna i przyglądali się tej scenie. Z ulicy — bez zbyteńnego pośpiechu — przychodzili gapie. Dozorca domu numer 5 widząc tak liczne audytorium, zaczął się coraz bardziej unosić.

— Patrzcie go, ślusarz-mechanik! — wykrzykiwał. — Świński arystokrata!

Gdy skandal dosięgnął punktu kulminacyjnego, zjawił się milicjant i milcząc, zaczął ciągnąć dozorcę domu numer 5 do komisariatu. Milicjantowi pomagały gorliwie zuchy z „Szybkopaku”.

Skruszony dozorca objął milicjanta za szyję i rzewnie zaszlochał.

Niebezpieczeństwo minęło. Toteż znudzony już setnie¹¹⁴ Wiktor Michałowicz wyskoczył zza śmietnika. Audytorium zaczęło hałasować.

— Cham! — rzucił Wiktor Michałowicz w stronę pochodu. — Skończony cham! Popamiętasz ty mnie jeszcze! Łajdak!

Płaczący żałośnie dozorca nic z tego nie usłyszał. Niesiono go na rękach do komisariatu, dokąd, jako dowód rzeczowy, zabrano również szyld „Pracownia ślusarska i reperacja prymusów”.

— Dajcie spokój, Wiktorze Michałowiczu. — Helena Stanisławówna wyjrzała przez kuchenne okno. — Wstąpcie do mnie na chwilę.

Postawiła przed Wiktorem Michałowiczem talerzyk z kompotem i chodząc po pokoju, zaczęła wypytywać.

— Powiadam pani, że to był on: bez wąsów wprawdzie, lecz on — grzmiał wedle zwyczaju Wiktor Michałowicz — znam go przecież doskonale. Worobianinow we własnej osobie!

— Ciszej... na miłość boską!... Jak pan myśli, co mogło go tu sprowadzić?

Na smagłym obliczu Wiktora Michałowicza wykwitł ironiczny uśmiezek.

— No, a cóż pani myśli?

Uśmiechnął się z jeszcze większą ironią.

— W każdym bądź razie ręczę za to, że nie na to tu przyjechał, by skapitulować przed bolszewikami.

— Przypuszcza pan, że jest on narażony na jakieś niebezpieczeństwo?

Zasoby ironii, skretnie gromadzone przez Wiktora Michałowicza w ciągu dziesięciu lat rewolucji, były niewyczerpane. Na obliczu jego ukazała się cała gama uśmiezków.

— A któż w sowieckiej Rosji nie jest narażony na niebezpieczeństwo, zwłaszcza zaś człowiek będący w takiej sytuacji jak Worobianinow?! Wąsów swych, Heleno Stanisławówno, nikt się dla kaprysu nie pozbywa.

— Czy jest on wysłannikiem emigracji? — odważyła się spytać Helena Stanisławówna.

— Oczywiście — odrzekł genialny ślusarz.

— W jakim celu przyjechał tutaj?

— Niechże pani nie będzie dzieckiem.

— Wszystko mi jedno. Muszę go zobaczyć.

— A czy pani wie, czym to pachnie?

— Wszystko mi jedno! Po dziesięciu latach rozłąki nie mogę się nie zobaczyć z Hipolitem Matwiejewiczem. Błagam o to, by go pan odnalazł, dowiedział się, gdzie przebywał. Pan wszędzie się wciśnie! To dla pana taka błahostka! Proszę mu powiedzieć, że muszę go widzieć. Słyszysz pan?

Papuga w czerwonych porteczkach, drzemiąca dotąd na deseczce, złąkała się hałaśliwej rozmowy, przechyliła się głową na dół i w tej pozycji zastygła.

— Heleno Stanisławówno — rzekł ślusarz-mechanik, wstając i kładąc rękę na sercu — znajdę go i wejdę z nim w kontakt.

Wiktor Michałowicz zjadł kompot, wygłosił gniewne kazanie o niewłaściwej budowie papuziej klatki i pożegnał Helenę Stanisławównę, nakazując jej zachowanie wszystkiego w jak najgłębszej tajemnicy.

¹¹⁴setnie (daw.) — bardzo. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY ALFABET — ZWIERCIADŁO ŻYCIA

Wspólnicy przenieśli się do Hotelu Sorbona, po czym udali się do Starkomchozu, gdzie otrzymali wszystkie niezbędne informacje. Okazało się, że wydział mieszkaniowy został w 1921 roku zreorganizowany i że jego obszerne archiwum zostało połączone z archiwum Starkomchozu. Sprawę ujął w swe ręce wielki kombinator. Pod wieczór wspólnicy znali już prywatny adres kierownika archiwum, Bartłomieja Korobiejnikowa, dawniej urzędnika gradonaczalstwa¹¹⁵, obecnie zaś robotnika pracy biurowej.

Ostap wystrzelił się w błękitną kamizelkę, wytrzepał marynarkę o poręcz łóżka, wydusił od Hipolita Matwiejewicza rubla i dwadzieścia kopiejek na reprezentację i wybrał się z wizytą do archiwisty.

W ów zimny i mglisty wieczór rozstrzygały się losy całej imprezy. Jeśli uda się zdobyć kopie nakazów, na mocy których przydzielono meble pochodzące z willi Worobianinowa — można uważać, że impreza udała się w pięćdziesięciu procentach.

— Byleby tylko mieć te nakazy — szepnął Hipolit Matwiejewicz, rzucając się na łóżko — byleby tylko je mieć!...

Sprężyny zepsutego materaca wpijały się w ciało Worobianinowa. On jednak nie czuł tego. Ukołysany do snu różowymi nadziejami przewracał się Hipolit Matwiejewicz z boku na bok. Sprężyny piszczały.

Ostap musiał przeciąć całe miasto, bowiem Korobiejnikow mieszkał na krańcu Starogrodu. Czasem wzdłuż nasypu ogrodzonego betonowym, cienkim płotem cofała się, sapiąc, lokomotywa i migotliwym blaskiem oświetlała na chwilę dachy domów; czasem toczyły się po szynach próżne wagony, a czasem znów wybuchały petardy.

Ostap sprawdził zapisany na karteczce adres, zatrzymał się przed domkiem archiwisty i nacisnął dzwonek z wypukłymi literami: „Proszę nacisnąć”.

Drzwi odemknięto i Ostap ujrzał przed sobą maleńkiego, schludnego staruszka o niezwykle giętkich plecach. Nie było ani cienia wątpliwości, że ten staruszek to obywatel Korobiejnikow we własnej osobie. Ostap, nie czekając, aż go poproszą, siadł sobie od razu na krzesło.

Bez cienia strachu staruszek patrzył na intruza i milczał. Ostap z całą uprzejmością pierwszy wszczął rozmowę:

— Mam do pana interes. Pracuje pan w archiwum Starkomchozu?

Plecy staruszka wygięły się potakująco.

— A przedtem pracował pan w wydziale mieszkaniowym?

— Wszędzie się pracowało — rzekł wesoło starzec.

— Nawet w biurze gradonaczalstwa?

Ostap, wymawiając te słowa, uśmiechnął się z wdziękiem. Plecy staruszka długo wyginały się, aż wreszcie przyjęły pozycję mającą świadczyć o tym, że praca w biurze gradonaczalstwa to sprawa już dawno przebrzmiała i że zapamiętać to wszystko, to rzecz absolutnie niemożliwa.

— A może jednak raczy mi pan powiedzieć, czemu zawdzięczam... — spytał gospodarz, przyglądając się ciekawie gościowi.

— Raczę — odrzekł gość. — Jestem synem Worobianinowa.

— Którego? Marszałka szlachty?

— Tak.

— A cóż się z nim dzieje, żyje?

— Umarł, obywatelu Korobiejnikow, snem wiecznym zasnął!

— Tak — skonstatował staruszek, nie przejmując się zbytnio — smutne zdarzenie. Lecz jeśli mnie pamięć nie myli, Worobianinow nie miał przecie¹¹⁶ dzieci.

— Nie miał — zgodził się z całą uprzejmością Ostap.

— A więc?...

— Pochodzę ze związku morganatycznego¹¹⁷.

¹¹⁵gradonaczalstwo — miasto wydzielone z guberni; także: zarząd tego miasta. [przypis edytorski]

¹¹⁶przecie (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

¹¹⁷związek morganatyczny — małżeństwo zawarte przez członka rodu arystokratycznego lub dynastii z osobą niższego stanu, która poprzez ten związek nie zmienia swego stanu, tzn. nie uzyskuje awansu społecznego,

— A może jest pan synem Heleny Stanisławówny?

— Tak. Właśnie.

— Czy dopisuje jej zdrowie?

— *Maman*¹¹⁸ już dawno spoczywa w grobie.

— Tak, tak... To bardzo przykre.

I długo jeszcze ze łzami współczucia starzec spoglądał na Ostapę, mimo iż nie dalej jak dziś rano widział Helenę Stanisławównę na rynku przy jatkach¹¹⁹ z mięsem.

— Wszyscy kiedyś umrzemy — powiedział. — Rad bym jednak wiedzieć, co pana, szanowny panie... przepraszam, nie znam imienia...

— Woldemar — zakomunikował szybko Ostap.

— Włodzimierz Hipolitowicz? Bardzo mi miło.

Staruszek usiadł przy stole nakrytym wzorzystą ceratą i zajął Ostapowi prosto w oczy.

Ostap w wyszukanych słowach wyraził swój żal po stracie rodziców. Bardzo mu przykro, że o tak późnej godzinie wtargnął do mieszkania wielce szanownego archiwisty i wizytą swoją sprawił mu kłopot.

— Pragnąłbym — demonstrował Ostap swą głęboką synowską miłość — odnaleźć cokolwiek z ojcowskich mebli i zachować je na wieczną rzeczy pamiątkę. Czy nie wie pan czasem, komu przydzielono meble z domu mego ojca?

— To rzecz wielce skomplikowana — odrzekł stary po namyśle — tylko człowiek zamożny mógłby sobie na coś podobnego pozwolić... A pan, przepraszam za ciekawość, czym się zajmuje?

— Uprawiam wolny zawód. Mam własne rzeźnie i chłodnie w Samarze¹²⁰.

Stary spojrzął z powątpiewaniem na zielone szatki młodego Worobianinowa, lecz nie odrzekł.

„Sprytny młodzieniaszek” — skonstatował. Ostap zaś, który akurat ukończył swe obserwacje nad Korobiejnikowem, orzekł, że „stary to skończony łotr”.

— A więc — rzekł Ostap.

— A więc — rzekł archiwista — jak się da, to się zrobi...

— Nie traćmy czasu, jak powiada Maupassant¹²¹. Wszelkie informacje będą sownie opłacone.

— Ha, proszę wyłożyć na stół siedemdziesiąt rubelków. Zaopatrzył się pan w pieniądze?

Ostap poklepał się po kieszeni.

— A więc mogę panu służyć choćby zaraz — oznajmił triumfalnie Korobiejnikow.

Zapałił świecę i zaprowadził Ostapę do sąsiedniego pokoju. Stało tam biurko, zavalone buchalteryjnymi księgami, oraz długa szafa biurowa, poprzecinana licznymi półkami. Do półek były przybite drukowane litery — A, B, C i dalej aż do końcowej litery Z. Na półkach zaś leżały pliki nakazów, przewiązane świeżym sznurkiem.

— Ho, ho! — zachwycił się Ostap. — Ma pan tu w domu kompletne archiwum!

— Całkiem kompletne — odparł skromnie archiwista — tak, wie pan, na wszelki wypadek... Dla Komunchozu jest ono zbyt cenne, a mnie na schyłku życia może się przydać... Żyjemy wszakże jak na wulkanie... Wszystkiego możemy się spodziewać... Rzucają się wtedy ludziska na poszukiwanie swych mebli, a gdzież owe meble są? Tu są! Tu! W szafie! A któż je zachował, kto ustrzegł? Korobiejnikow. Ano, podziękują państwo staruszkowi, pomogą mu na schyłku żywota... Dużo mu nie potrzeba, dziesiątkę za każdy nakazik dadzą, i pięknie im za to podziękuję... A jak nie, bardzo proszę: szukajcie sobie wiatru w polu. Beze mnie nie znajdą!...

Ostap spojrzął z zachwytem na starego. Polechtany tym mile archiwista, zaczął wtajemniczać gościa w szczegóły ukochanej swej pracy. Otworzył grube księgi ewidencyjne oraz księgi rozdzielcze.

a potomstwo pochodzące z tego związku nie ma praw do tytułów, funkcji i dóbr dziedziczonych w rodzinie małżonka wyższego stanem. [przypis edytorski]

¹¹⁸*maman* (fr.) — mama. [przypis edytorski]

¹¹⁹*jatka* — sklep lub stragan z mięsem. [przypis edytorski]

¹²⁰*Samara* — miasto w płd. Rosji, port nad Wołgą. [przypis edytorski]

¹²¹*Maupassant, Guy de* (1850–1893) — francuski pisarz-naturalista; autor wielu opowiadań wyrażających ostrą krytykę obyczajowości mieszczańskiej. [przypis edytorski]

— Tu jest wszystko — powiedział — cały Starogród! Jakie, kiedy, komu meble zabrano, komu i kiedy wydano je. A to jest książka alfabetyczna, zwierciadło życia! Czyje meble sprawdzić? Kupca pierwszej gildii Angielowa? Ba-a-rdzo proszę. Oto litera A. Litera A, Ak, Am, An, Angielow... Liczba?... Jest! Osiemdziesiąt dwa tysiące siedemset czterdzieści dwa. Teraz zajrzyjmy do księgi ewidencyjnej. Stronica sto czterdzieści dwa. Gdzie Angielow? Jest Angielow. Zabrano z mieszkania kupca Angielowa w dniu 18 grudnia 1928 roku — fortepian Beckera numer 977012, taborecik wyścielany, dwa biurka, cztery szafy do ubrań, dwie z czerwonego drzewa, jedną serwantkę¹²² i tak dalej... A komu to wszystko wydano?... Zaglądamy do książki rozdzielczej. Ta jedna liczba osiemdziesiąt dwa tysiące siedemset czterdzieści dwa... Wydano... serwantkę — Gorkojenkomowi, trzy szafy do ubrań — dziecięcemu internatowi „Skowronek”... Czwartą zaś szafę — do osobistej dyspozycji sekretarza Starprodkomgubu. A gdzie powędrował fortepian? Fortepian powędrował do Starsobiesa, do drugiego domu Starsobiesa. Dotychczas tam ten fortepian stoi...

„Nie widziałem tam jakoś żadnego fortepianu” — pomyślał Ostap, przypominając sobie nieśmiałą twarzyczkę Alchena.

— Albo, na ten przykład, kierownik kancelarii zarządu miejskiego, Murin... A więc musimy poszukać litery M... Wszystko tu jest. Całe miasto. Są tu fortepiany, kozetki wszelakie, lustra, fotele, kanapki, pufy, żyrandole... Nawet serwisy mam tutaj...

— Doprawdy — rzekł Ostap — zasłużył pan sobie solennie na trwały pomnik. Jednakże nie mamy czasu. Na przykład litera W...

— O, tu jest litera W — odezwał się z całą godnością Korobiejnikow. — Zaraz... Wm, Wn, Worbicki numer 48238, Worobianinow Hipolit Matwiejewicz, ojciec pański, niech mu ziemia lekką będzie, był to pan, jak się patrzy... Fortepian Beckera numer 5480009, waz — imitujących chińskie — z sewrskiej¹²³ porcelany cztery, dywanów Aubusson¹²⁴ różnych wielkości osiem, gobelin¹²⁵ „Pasterka”, gobelin „Pastuszek”, tekińskich dywanów dwa, chorośański dywan jeden, niedźwiedź wypchany z tacą jeden, garnitur sypialny — dwanaście sztuk, garnitur stołowy — szesnaście sztuk — orzech, roboty mistrza Gambsa.

— A komu wydano? — przerwał niecierpliwie Ostap.

— Momencik... Niedźwiedź z tacą — do drugiego obwodu milicji. Gobelin „Pastuszek” — do muzeum, gobelin „Pasterka” — do klubu wioślarskiego. Dywan Aubusson, tekińskie i chorośański — do Narkomwniesztorga¹²⁶. Garnitur z sypialni — do związku myśliwskiego, garnitur stołowy — do starogrodzkiego oddziału Gławczaju. Garnitur salonowy, orzech — rozbito na części. Stół okrągły i jedno krzesło — do drugiego domu Starsobiesa, kanapa z oparciem — do dyspozycji wydziału mieszkaniowego, dotąd jeszcze stoi w korytarzu, całe obicie, łajdaki, zasmarowali... Jeszcze jedno krzesło wydano towarzyszowi Grycacujewowi, jako inwalidzie imperialistycznej wojny, przychylając się do prośby jego tudzież do wniosku kierownika wydziału mieszkaniowego, towarzysza Burkina. Dziesięć krzeseł do Moskwy do Państwowego Muzeum Mebli, zgodnie z okólnikiem¹²⁷ Narkomprosu¹²⁸... Imitacje waz chińskich...

— Podziwiam — rzekł Ostap, promieniejąc — to po prostu kapitalne! Nie zawadziłoby obejrzeć teraz nakazy.

Archiwista podszedł do szafy i stanąwszy na palcach, wyjął okazały plik papierów.

— Proszę. Oto meble pańskiego ojca. Czy życzy pan sobie otrzymać wszystkie nakazy?

— Na co mi wszystkie... Pragnąłbym tylko... Oto wspomnienie dzieciństwa: salonowy garnitur... Pamiętam, bawiłem się nieraz w salonie, na dywanie chorośańskim, patrząc na gobelin „Pasterka”. To były złote czasy: dzieciństwo sielskie, anielskie!... A więc, staruszkule, poprzestaną na salonowym garniturze.

Korobiejnikow wyjął pięć zielonych nakazów. Jeden nakaz na dziesięć krzeseł, dwa po jednym krześle, jeden na okrągły stół i jeden na gobelin „Pasterka”...

¹²²serwantka — oszklona szafka, służąca do przechowywania szkła i drobnych ozdób. [przypis edytorski]

¹²³sewrski — pochodzący z Sèvres, słynnej francuskiej manufaktury porcelany. [przypis edytorski]

¹²⁴Aubusson — miejscowość i gmina we Francji, w regionie Nowa Akwitania; słynna z produkcji dywanów. [przypis edytorski]

¹²⁵gobelin — dekoracyjna tkanina przypominająca dzieło malarskie. [przypis edytorski]

¹²⁶Narkomwniesztorg — Ludowy Komisariat Handlu Zagranicznego. [przypis edytorski]

¹²⁷okólnik — pismo zawierające wskazówki, rady. [przypis edytorski]

¹²⁸Narkompros — Ludowy Komisariat Oświaty. [przypis edytorski]

— Proszę tylko popatrzeć, wszystko w porządku. Gdzie co stoi — wiadomo. Na grzbiecie figurują wszystkie adresy i własnoręczny podpis odbiorcy. Nikt nie może się wyprzeć. Może reflektuje pan również na garnitur generalowej Popowej? Bardzo piękny. Również dzieło mistrza Gambsa.

Lecz Ostap, palający wyłącznie miłością ku rodzicom, złapał nakazy i wsunął je na samo dno bocznej kieszeni, a z generalskiego gabinetu zrezygnował.

— Czy mogę napisać pokwitowanie? — spytał archiwista, zręcznie wyginając się.

— Proszę — powiedział Bender — pisz, szermierzu idei.

Przeszli do pierwszego pokoju. Korobiejnikow wykaligrafował pokwitowanie i z uśmiechem wręczył je gościowi.

Główny impresario niezwykle dystyngowanie wziął papierek w dwa palce prawej ręki i włożył go do tej samej kieszeni, w której spoczywały już drogocenne nakazy.

— No, żegnam — powiedział, mrużąc oczy — przepraszam za sprawiony kłopot. Nie śmiem niepokoić pana dłużej swą obecnością.

Archiwista — zmieszany nieco — uściśnął podaną rękę.

— Żegnam — powtórzył Ostap.

I skierował swe kroki ku wyjściu.

Korobiejnikow nic nie zrozumiał. Spojrzał nawet na stół, czy gość nie zostawił tam czasem pieniędzy, lecz pieniędzy na stole nie było. Wówczas archiwista bardzo cicho zapytał:

— A pieniądze?

— Jakie pieniądze? — rzekł Ostap, otwierając drzwi wejściowe. — Wydaje mi się, że pytał pan o jakieś pieniądze?

— Jak to! Za meble, za nakazy!

— Kochasiu — dworował¹²⁹ sobie Ostap — dalibóg¹³⁰, prochy świętej pamięci ojca mego biorę na świadka, że rad bym z duszy, serca, lecz nie mam, zapomniałem wziąć z banku...

Stary zadygotał i wyciągnął przed siebie wątlą dłoń, pragnąc w ten sposób zatrzymać nocnego gościa.

— Ciszej, durniu — rzekł groźnie Ostap — powiadam ci po ludzku, jutro — a więc jutro. No, żegnam! Polecam się łaskawej pamięci!...

Drzwi z łoskotem zatrzęsły się. Korobiejnikow niezwłocznie otworzył i wybiegł na ulicę, lecz Ostapa już nie było. Szedł on szybko obok mostu.

Przejeżdżająca po wiadukcie lokomotywa oświetliła go swoimi ogniami i otoczyła kłębami dymu.

— Lody ruszyły! — krzyknął Ostap do maszynisty. — Lody ruszyły, panowie przysięgli!

Maszynista nie dosłyszał, machnął tylko ręką, koła mocniej zaturkotały i lokomotywa pobiegła w dal.

Korobiejnikow postął jeszcze ze dwie minuty, po czym kostniejąc z zimna, zaklął i wrócił do swej chałupy. Ogarnął go niewypowiedziany żal. Stał na środku pokoju i w bezsilnej pasji zaczął kopać stół. Podskakiwała popielniczka w kształcie kalosza, z czerwonym napisem: „Trieugolnik”, i szklanka trąciła się z karafką. Nigdy jeszcze Bartłomiej Korobiejnikow nie był tak podle oszukany.

W dzielnicy tej nazywano Korobiejnikowa po prostu Bartłomiejewiczem. Zwracano się do niego jedynie w razie ostatecznej biedy, Bartłomiejewicz pożyczal pieniądze pod zastaw i brał zabójcze procenty. Od kilku już lat uprawiał ten proceder i ani razu dotąd nie wpadł w ręce milicji. A teraz tak haniebnie wpadł w sidła przy swej najlepszej handlowej imprezie, po której spodziewał się ogromnych zysków, jako też zabezpieczenia na starość.

— Zarciki?! — krzyknął, rozpaczając nad utratą nakazów. — Teraz zawsze już tylko pieniążki na stół. Jak mogłem zagapić się do tego stopnia? Własnymi rękami oddałem orzechowy garnitur! Tylko jeden taki gobelin „Pasterka” nie ma po prostu ceny! Ręczna robota!...

¹²⁹dworować — drwić. [przypis edytorski]

¹³⁰dalibóg (daw.) — doprawdy, słowo daję; wykrzyknienie podkreślające prawdziwość wypowiedzi. [przypis edytorski]

Dzwonek „Proszę nacisnąć” od dawna już naciskała jakaś ręka i głos człowieka, za-
błąkanego w labiryncie szaf, odezwał się:

— Którędy tu się wchodzi?

Bartłomiejewicz wyszedł do przedpokoju, przyciągnął do siebie czyjeś palto — ot, po
omacku — i wprowadził do stołowego pokoju ojca Fiodora Wostrikowa.

Po dziesięciu minutach wzajemnych nieudomówień wyjaśniło się, że obywatel Koro-
biejnikow rzeczywiście posiada pewne wiadomości o meblach Worobianinowa, a ojciec
Fiodor nie uchyła się od wynagrodzenia za te informacje. Nadto, ku niezwykłemu zado-
woleniu archiwisty, okazało się, iż gość był rodzonym bratem dawnego marszałka szlach-
ty. Pragnął zachować o nim pamięć i chciał nabyć orzechowy garnitur. Z tymi bowiem
meblami łączył brat Worobianinowa najmiłsze wspomnienia pacholeństwa.

Bartłomiejewicz zażądał setki. Pamięć brata swego ocenił gość znacznie niżej, ot —
na trzydzieści rubli. Stało wreszcie na pięćdziesięciu.

— Najpierw prosiłbym o pieniądze, to moja zasada.

Bartłomiejewicz przeliczył dwukrotnie pieniądze, po czym poprosił gościa o chwilkę
cierpliwości i poszedł po nakazy. W sekretnej swej kancelarii, nie tracąc czasu na próżne
namysły, otworzył alfabet — zwierciadło życia — na literę P; szybko znalazł tam po-
szukiwaną liczbę i wziął z półki plik nakazów generałowej Popowej. Zerwawszy sznurek,
wyciągnął szybko jeden nakaz, wydany towarzyszeni Brunsovi, zamieszkałemu przy uli-
cy Winiarnej 34, na dwanaście krzeseł z drzewa orzechowego roboty mistrza Gamba.
Archiwista, pełen podziwu dla własnego sprytu i umiejętności lawirowania, uśmiechnął
się z zadowoleniem i odniósł nakazy czekającemu na niego klientowi.

— Wszystkie w jednych rękach? — entuzjasmował się klient.

— Trafila się panu gratka. Wszystkie tam stoją. Wyjątkowy garnitur. Paluszki lizać...
A zresztą, po co ja to wszystko mówię?! Sam pan najlepiej wie!

Ojciec Fiodor potrząsał długo dłoń archiwisty, po czym, potknąwszy się po drodze
niezliczoną ilość razy o szafy stojące w przedpokoju, przepadł w mrokach nocy.

„Co też im ubrdało¹³¹ się z tymi meblami Worobianinowa? — rozważał Korobiejni-
kow. — Powariowali”.

Rozebrał się, zmówił — aby zbyć — pacierz, położył się na wąziutkim dziewczym
łóżeczku i — mocno zaaferowany — zasnął.

ROZDZIAŁ JEDENASTY UPALNA KOBIETA — MARZENIE POETY

W pokoju hotelowym „Sorbonny”, urządzonej z nader prymitywnym komfortem (dwa
łóżka i nocny stolik), rozległo się końskie rżenie i parskanie. To Hipolit Matwiejewicz,
upojony radością, mył się i wycierał nos. Wielki kombinator zaś leżał w łóżku i oglądał
uważnie defekty swych kanarkowych butów.

— Racja — rzekł — poproszę o uregulowanie długu.

Hipolit Matwiejewicz wypuścił z rąk ręcznik i w najwyższym zdumieniu wybałuszył
na swego współnika nieuzbrojone w binokle oczy.

— Pana to dziwi? Zapomniałem zakomunikować panu wczoraj o tym, że za nakazy
musiałem wybulić na stół siedemdziesiąt rubelków. Proszę, służę pokwitowaniem. Wobec
tego proszę o trzydzieści pięć rubli. Spodziewam się, że współnicy ponoszą koszty imprezy
do połowy?

Hipolit Matwiejewicz włożył binokle na nos, przeczytał pokwitowanie i z widocz-
ną niechęcią wręczył Ostapowi pieniądze. Lecz i to nawet nie zdołało zamącić jego ra-
dości. Miał przecież w rękach bogactwo. Trzydziestorublowy pyłek zginął w blaskach
brylantowej góry. Hipolit Matwiejewicz z promiennym uśmiechem na twarzy wyszedł
na korytarz i zaczął przechadzać się. Radowała go perspektywa nowego, zbudowanego na
drogocennym fundamencie, życia. „A ojciec duchowny? — pomyślał złośliwie. — Został
z kwitkiem”.

Pożegnać się musi z nadzieją zdobycia tych krzeseł, tak jak pożegnać się musiał z wła-
sną brodą.

¹³¹ubrdać się (pot.) — uroić się komuś. [przypis edytorski]

Doszedłszy do końca korytarza, Worobianinow obrócił się. Białe popękane drzwi numer trzynastcie otworzyły się i wprost naprzeciw Worobianinowa wyszedł ojciec Fiodor. Odziany był w granatową bluzę, przewiazaną w pasie przetartym czarnym sznurem z wspaniałym chwastem. Jego dobroduszne oblicze promieniało radością. I on również wyszedł na przechadzkę. Rywale spotykali się kilkakrotnie, po czym, zwycięsko spoglądając na siebie, szli każdy w swoją stronę. Doszedłszy do przeciwległych końców korytarza, obaj jednocześnie zawracali i znów zbliżali się do siebie. Piersi Hipolita Matwiejewicza rozpieął entuzjazm. To samo uczucie ogarniało również ojca Fiodora. Uczucie politowania nad pokonanym przeciwnikiem ogarniało ich obu. Wreszcie podczas piątej tury Hipolit Matwiejewicz nie wytrzymał:

— Witam księdza proboszcza — rzekł z uśmiechem słodkim jak lukrecja¹³².

Ojciec Fiodor z całym sarkazmem, którym go Bóg obdarzył, odrzekł:

— Dzień dobry, Hipolicie Matwiejewiczu.

Wrogowie rozeszli się. Gdy drogi ich zeszyły się ponownie, Worobianinow spytał od niechcenia:

— Czy nie wyrządziłem czasem jakiej krzywdy podczas ostatniego spotkania?

— Nie, skądże znowu, bardzo miło mi było spotkać się — odrzekł triumfujący ojciec Fiodor.

Znów rozeszli się. Fizjonomia ojca Fiodora zaczynała już działać Hipolitowi Matwiejewiczowi na nerwy.

— Mszy świętej, jak widzę, nie odprawia już proboszcz?

— Czyż mogę odprawiać?! Wszak parafianie moi po świecie uganiają się, skarbów szukają.

— Zakarbujcie¹³³ to sobie, własnych skarbów! Własnych!

— Ja tam nie wiem czyich, ale wiem, że szukają...

Hipolit Matwiejewicz chciał palnąć coś i otworzył nawet w tym celu usta, lecz nic nie zdołał wymyślić i z pasją wrócił do swego numeru. Po chwili wyszedł stamtąd syn tureckiego obywatela Ostap Bender, w niebieskiej kamizelce, i skierował swe kroki w stronę Wostrikowa. Róże na obliczu ojca Fiodora zwiędły i zamieniły się na popiół.

— Stare graty skupujesz? — spytał groźnie Ostap. — Krzesła? Bebechy? Prózne pudełka?

— Czego pan chce ode mnie? — wyszeptał ojciec Fiodor.

— Chcę ci sprzedać stare spodnie. Czegoż tak milczysz, jakbyś wody w gębę nabrał?

Ojciec Fiodor wolnym krokiem udał się do swego numeru.

— Stare rzeczy skupujesz, a nowe kradniesz?! — krzyknął za nim Ostap. — Więc jakże będzie z tymi spodniami, czcigodny handlarzu? Reflektujesz na nie? Mogę ci jeszcze sprzedać rękawy od kamizelki, dziurkę z ciastka i uszy zdechłego osła. Jeśli kupisz hurtem, dam ci odpowiedni rabat. Nic z tego w krzesłach nie leży, szperanie tam na nic się nie zda! Rozumiesz?!

Ulżywszy sobie w ten sposób, Ostap wykręcił się na pięcie i wolnym krokiem wracał do siebie. Gdy masywna postać Ostapa znalazła się już w przyzwoitej odległości, ojciec Fiodor wychylił szybko głowę przez drzwi i dając wyraz tajonemu długo oburzeniu, zapisał:

— To ty właśnie jesteś durniem!

— Co? — krzyknął Ostap, rzucając się na wroga, lecz drzwi zatrzasnęły się błyskawicznie i klucz zgrzytnął w zamku.

Ostap zajrzał przez dziurkę od klucza, zwinął dłoń w trąbkę i dobitnie powiedział:

— Ojcaszku¹³⁴, jesteś skończonym łotrem!

W tej samej chwili w dziurce od klucza ukazał się ołówek Fabera¹³⁵; wierząc nim, ojciec Fiodor usiłował ugodzić wroga zatemperowanym końcem. Nasz aferzysta jednak odskoczył w samą porę i złapał koniec ołówka. Wrogowie, przedzieleni drzwiami, zaczęli

¹³²lukrecja — wyciąg z korzenia drzewa lukrecjowego o charakterystycznym słodko-mdłym smaku, stosowany w przemyśle cukierniczym i w lecznictwie. [przypis edytorski]

¹³³zakarbować (daw.) — dobrze zapamiętać. [przypis edytorski]

¹³⁴ojcaszek — ojciec. [przypis edytorski]

¹³⁵Faber — niemieckie przedsiębiorstwo produkujące artykuły piśmiennicze, założone w 1761 przez Kaspara Fabera, od 1900 noszące nazwę Faber-Castell. [przypis edytorski]

w milczeniu walczyć o ołówek. Zwyciężyła młodość i ołówek opornie jak drzazga wylał wreszcie z dziurki od klucza.

Z tym łupem wojennym Ostap wrócił do swego numeru. Wyciął na ołówku szczyrym obelżywe słowo, wybiegł na korytarz i wsunął ołówek przez dziurkę od klucza, natychmiast zwiął.

Przyjaciele wyciągnęli z ukrycia zielone grzbiety nakazów i zaczęli je starannie studiować.

— Pal diabli „Pasterkę”! — krzyknął Ostap, drąc nakaz na drobne strzępy. — Proszę i o ten drugi nakaz. A niechże i ten stolik wezmą wszyscy diabli!!!

Pozostały ostatecznie dwa nakazy: jeden opiewał na dziesięć krzesel, przekazanych Muzeum Dawnych Mebli w Moskwie, a drugi na jedno krzesło, wydane towarzyszowi Grycacujewowi w Starogrodzie, ulica Plechanowa 15.

*

Przyjaciele wrócili dopiero pod wieczór. Hipolit Matwiejewicz był strapiony. Ostap natomiast promieniał. Miał nowe malinowe trzewiki, do obcasów których były przytwierdzone okrągłe gumki, skarpetki jego wyglądały jak szachownica o zielonych i czarnych polach; na szyi miał bułgarski, półjedwabny szalik.

— Nie przeczę, jest tam — odezwał się Hipolit Matwiejewicz, nawiązując do odwiedzin u wdowy Grycacujewej — lecz jak go stamtąd wydobyć? Kupić go czy co? Co robić? Co robić?

Ostap z lubością przyjrzał się raz jeszcze cholewkom swych nowych trzewików.

— Szyk francuski — skonstatował — co robić? Nie trzeba się, szlachecki marszałku, denerwować, ja podejmuję się operacji. Takim trzewiczkom ani jedno krzeselko nie zdoła się oprzeć.

— Posłuchaj pan — ożywił się Hipolit Matwiejewicz — podczas gdy pan zabawiał panią Grycacujewą rozmową o powodzi, siadłem sobie na naszym krześle i słowo honoru daję, wyczułem pod sobą coś twardego. Tam są, dalibóg, tam... już i je, dalibóg, czuję.

— Tylko bez hysterii, dziewico.

— Musimy je w nocy wykraść! Jak mi Bóg miły, wykraść!

— Muszę z bólem stwierdzić, że te poziome¹³⁶ zamiary nie licują bynajmniej z godnością marszałka szlachty. Porzuć pan te niewczesne¹³⁷ pomysły. Wszak okradzenie biednej wdowy to łajdactwo najpodlejszego gatunku!

Hipolit Matwiejewicz opamiętał się.

— Chciałbym przecież jak najprędzej — powiedział błagalnie.

— Prędko rodzą się tylko kocięta — mentorował Ostap. — Ożenię się z nią.

— Z kim?

— Z *madame* Grycacujewą.

— Po co?

— Po to, by spokojnie, bez hałasu pogmerać w tym krześle.

— Ale w ten sposób zwiąże się pan na całe życie!

— Ha, czegoż się nie robi dla dobra sprawy?!

*

Dniało już, gdy Ostap Bender wpakował się do pokoju hotelowego, zdjął z nóg malinowe trzewiki, postawił je na nocnej szafce i zaczął z lubością gładzić połyskującą skórę, czule przy tym w kółko powtarzając:

— Moi mali przyjaciele.

— Gdzie pan był? — spytał sennie Hipolit Matwiejewicz.

— U wdowy — bąknął Ostap.

Hipolit Matwiejewicz wsparł się na łokciu.

— Ożeni się pan z nią?

¹³⁶*poziomy* (daw.) — przyziemny, pospolity. [przypis edytorski]

¹³⁷*niewczesny* — powstały w nieodpowiednim czasie; niewłaściwy. [przypis edytorski]

Oczy Ostapa roziskrzyły się.

— Teraz, jako człowiek honoru, muszę się z nią ożenić.

Zażenowany Hipolit Matwiejewicz chrząknął raz i drugi:

— Upalna kobieta — dzielił się wrażeniami Ostap — marzenie poety, prowincjonalna bezpośredniość! W stolicach ze świecą trzeba by szukać takiego podzwrotnikowego żaru. Takie niewiasty spotyka się chyba jeszcze tylko w jakichś zapadłych, zabitych deskami dziurach.

— Kiedy ślub?

— Jutro.

— A cóż się stanie z naszą imprezą? Pan się żeni, a może wypadnie nam pojechać do Moskwy?

— I o co się pan denerwuje? Posiedzenie trwa nadal.

— A żona?

— Żona? Brylantowa wdówka? Z tym to już najmniej ambarasu. Nagły wyjazd. Wezwanie ze stolicy. Małeńki raport w Małym Sownarkomie¹³⁸. Scena pożegnalna i kurczak na drogę. Nie należy rezygnować z komfortu. Dobrej nocy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY ZWIĄZEK MIECZA I LEMIESZA

W ciągu nocy znacznie się ociepliło. Wiatr szumiał nad gzymsami. Nad śmietnikami unosił się zapach fiołków i zupy jarzynowej. W ów pogodny ranek natknął się ślusarz na wałęsających się po mieście kombinatorów.

Długo szedł za nimi, aż wreszcie, zdobywszy się na odwagę w chwili, gdy nikogo wokół nie było, podszedł do Worobianinowa.

— Dobry wieczór, panie Hipolicie Matwiejewiczu! — skłonił się z szacunkiem.

Worobianinowi zrobiło się bardzo niewyraźnie.

— Nie mam przyjemności — odburknął.

Ostap wysunął się naprzód i zagadnął ślusarza-inteligenta:

— Proszę, pan chciał powiedzieć coś memu przyjacielowi.

— Proszę się niczego nie obawiać — szepnął Polesow, rozglądając się na wsze strony.

— Przysłała mnie Helena Stanisławówna.

— Co? Jest tutaj?

— Jest. I bardzo pragnie pana zobaczyć. Niech pan tylko, Hipolicie Matwiejewiczu, nic takiego nie myśli. Pan mnie nie zna, ale za to ja doskonale pana pamiętam.

— Chciałbym zejść do Heleny Stanisławówny — wahał się Worobianinow. — Lecz skąd się mogła dowiedzieć?...

— Spotkałem pana w korytarzu Komchozu i głowiłem się nad tym, skąd też ja znam pańską twarz. Aż wreszcie przypomniałem sobie. Nie trzeba się, Hipolicie Matwiejewiczu, denerwować! Wszystko będzie zachowane w najgłębszej tajemnicy.

— Znajoma kobieta? — spytał Ostap rzeczowo.

— Tak, stara znajoma...

— W takim razie może wstąpimy na kolację do tej starej znajomej? Ja, na przykład, zjadłbym wołu. Chodźmy. Prowadź nas, tajemniczy wysłanniku.

Gdy Polesow zastukał do drzwi i Helena Stanisławówna spytała: „Kto tam?”, Worobianinow drgnął. Głos jego kochanki brzmiał tak samo jak w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

Stara zarzuciła mu ręce na szyję.

— Dziękuję — rzekła — wiem, na co się pan naraża, odwiedzając mnie. Zawsze jednakowo szlachetny i rycerski. Nie dopytuję się wcale, po co pan tu przyjechał z Paryża. Widzi pan, nie jestem tego zupełnie ciekawa.

— Ależ ja bynajmniej nie przyjeżdżam z Paryża — oponował Worobianinow.

— Ja i mój kolega przyjeżdżamy obecnie z Berlina — sprostował Ostap, trącając łokciem Hipolita Matwiejewicza — lecz wskazane jest, by nikomu o tym nie mówić.

¹³⁸Mały Sownarkom — mniejsza komisja przy Radzie Ludowych Komisarzy RFSRR, działająca w latach 1918–1930; jej zadaniem było przygotowywanie spraw do rozpatrzenia przez pełny Sownarkom oraz samodzielne podejmowanie decyzji w sprawach drugorzędnych dotyczących finansów i gospodarki. [przypis edytorski]

I, przerywając Hipolitowi Matwiejewiczowi, który zaczął wspominać sobie wiosnę swego żywota, powiedział:

— W Berlinie mają bardzo dziwny zwyczaj, jadają tam tak późno, że trudno się zorientować, czy to ma być wczesna kolacja, czy też późny obiad!

Helena Stanisławówna otrząsnęła się, oderwała wreszcie pełne oddania oczy od Hipolita Matwiejewicza i poszła do kuchni.

— A teraz działać, działać i jeszcze raz działać! — rzekł Ostap tonem jak najbardziej konspiracyjnym.

Wziął Polesowa za rękę.

— Stara nie zapomni o was — rzekł Ostap z namaszczeniem.

Hipolit Matwiejewicz, trzymając ciastko w ręce, ze zdumieniem słuchał Ostapę; lecz powstrzymać Ostapę było niepodobieństwem. Ponościło go. Wielki kombinator czuł natchnienie — upajający stan przed więcej niż przeciętnym szantażem. Wielkimi krokami mierzył pokój.

W takim podnieceniu zastała go Helena Stanisławówna, uginająca się pod ciężarem samowaru. Ostap szarmancko podbiegł do niej, odebrał jej niemal gwałtem samowar i postawił go na stole. Samowar syczał. Ostap postanowił działać.

— Pani — rzekł — mamy to szczęście, iż w osobie jej widzimy...

Nie wiedział, kogo ma szczęście widzieć w osobie Heleny Stanisławówny. Trzeba więc było zacząć od początku. Z wszystkich wspaniałych frazesów carskiego régime'u¹³⁹ błąkało mu się po głowie tylko to jedno: „miłościwie rozkazać raczył”. Lecz to było ni przypiął, ni przyłatał. Wobec tego zaczął rzeczowo:

— Najściślejsza konspiracja... Tajemnica stanu...

Ostap wskazał ręką Worobianinowa:

— Kim, przypuszczacie, jest ten krzepki starzec? Nie mówcie nic, wy nie możecie o tym wiedzieć. Jest to tytan myśli, ojciec rosyjskiej demokracji i człowiek stojący blisko cara.

Hipolit Matwiejewicz wyprostował swą imponującą postać i zmieszany rozglądał się dokoła. Wiedząc zaś z doświadczenia, że Ostap Bender nie robi nigdy niczego na próżno — milczał. To, co się działo, wywołało w Polesowie niesamowity dreszcz. Z głową zadartą w górę stał w pozycji człowieka szykującego się do defilady. Helena Stanisławówna opadła na krzesło, spoglądając ze strachem na Ostapę.

— Czy naszych dużo jest w mieście? — spytał bez ogródek Ostap. — Jaki tu nastrój panuje?...

— Ewentualnie, aczkolwiek brak jakichkolwiek... — rzekł Wiktor Michałowicz i zaczął w sposób wielce zawily opowiadać o swych tarapatach. A więc figurował w tym opowiadaniu i dozorca numer pięć, skończenie zarozumiały cham, i mutry o średnicy półcalowej, i wiele innych rzeczy.

— Dobrze! — wykrzyknął Ostap. — Heleno Stanisławówno! Przy pani pomocy pragniemy wejść w kontakt z kwiatem i nadzieją tego miasta, z ludźmi, których zły los zapędził do podziemi. Kogo można by zaprosić do pani?

Po naradzie, w której ochno wziął również udział Wiktor Michałowicz, wyklarowało się, że zaprosić można śmiało Maksyma Piotrowicza Czarusznikowa, dawniej członka rady miejskiej, a obecnie człowieka zaliczonego jakimś cudem do sowieckich pracowników, właściciela „Szybkopaku”, Diadiewa, prezesa odeskiej wytwórni publicznych pod firmą „Moskiewskie obwarzanki”, Kislarskiego, oraz jeszcze dwóch żółtodziobów o nieznanym nazwiskach, lecz zasługujących na zaufanie.

— A więc proszę ich natychmiast w najgłębszym sekrecie wezwać na niewielką naradę.

Polesow znikł. Wróżka popatrzyła z szacunkiem na Hipolita Matwiejewicza i również znikła.

— Co to wszystko znaczy? — spytał Hipolit Matwiejewicz, wydymając wargi.

— To znaczy — odrzekł Ostap — że jest pan zacofanecem.

— Dlaczego?

— Dlatego że... proszę mi darować trywialne pytanie: ile pan ma gotówki?

¹³⁹ régime (fr.) — ustrój. [przypis edytorski]

— Trzydzieści pięć rubli.

— I pan sobie imaginuje, że taką sumą można opędzić wydatki związane z naszą imprezą?

Hipolit Matwiejewicz milczał.

— Posłuchaj, drogi patronie. Wydaje mi się, że mnie pan rozumie. W ciągu godzinki musi pan być tytanem myśli i człowiekiem stojącym blisko cara.

— Po co?

— Po to, by zdobyć niezbędny kapitał obrotowy. Dziś mój ślub. Nie jestem dziadem spod kościoła. Chcę w tym doniosłym dniu wyprawić ucztę.

— A co ja mam robić? — jęknął Hipolit Matwiejewicz.

— Pan ma milczeć. Od czasu do czasu tylko, dla nadania sobie większej powagi, niech pan nadyma policzki.

— Ależ to przecież... oszustwo!...

— I któż to mówi? Czy mówi to hrabia Tolstoj¹⁴⁰? Lub Darwin¹⁴¹? Słyszę to z ust człowieka, który nie dawniej jak wczoraj zamierzał zakraść się w nocy do mieszkania Grycacujewej i pozbawić biedną wdowę mebli. Pana niech już o to głowa nie boli. Niech pan milczy. I nie zapomina nadymać policzków.

— Po co wdawać się w tak niebezpieczną aferę? Mogą przecież zadenuncjować¹⁴².

— Niech pan o to będzie spokojny. Tak sprawą pokierujemy, że nikt z tego nic nie zrozumie. A teraz siadajmy do herbaty.

W czasie gdy nasi aferzyści pili i jedli, a papuga gryzła hałaśliwie ziarenka słonecznika, schodzili się do izby goście.

Nikiesza i Wołodia przyszli jednocześnie z Polesowem. Wiktor Michałowicz nie mógł się zdecydować na to, by przedstawić tych młodzieńców tytanowi myśli. Toteż młodzieńcy przykucnęli w kącie i w skupieniu obserwowali, jak ojciec demokracji wcinął zimną cielęcinę.

Dawny członek rady miejskiej Czarusznikow, opasły starzec, potrząsał długo dłoń Hipolita Matwiejewicza i zaglądał mu w oczy. Pod baczną kontrolą Ostapa stare, mało-miasteczkowe wygi zaczęły dzielić się wspomnieniami. Ostap pozwolił im rozgadać się, po czym zwrócił się do Czarusznikowa:

— W jakim pułku pan służył?

Czarusznikow zasapał:

— Ja... ja, że tak powiem, w ogóle nie służyłem, dlatego że zaszczycony zaufaniem gminy bywałem stale wybierany do rady.

— Jest pan szlachcicem?

— Owszem, byłem.

— Spodziewam się, że i nadal pan nim pozostał? Wytrwałości. Potrzebna nam będzie pańska pomoc. Czy Polesow już co wspominał? Zagranica nam pomoże. Powoli nawiązuje się kontakt ze społeczeństwem. Ścisła tajemnica organizacyjna. Bacność!

Ostap przepędził Polesowa od Nikieszy i Wołodii i gdy młodzieńcy zostali sami, z nieudaną surowością zapytał ich:

— W jakim pułku służyliście? Trzeba zasłużyć się ojczyźnie. Jesteście panowie szlachcicami? Bardzo pięknie. Europa przyjdzie nam z pomocą. Wytrwałości. Dyskrecja co do wkładów, to jest co do organizacji, zapewniona. Bacność!

Ostapa ponosiło. Sprawa wedle wszelkich oznak na niebie i ziemi była na dobrej drodze. Ostap, przedstawiony przez Helenę Stanisławównę właścicielowi „Szybkopaku”, poprosił go na bok, radził mu uzbroić się w cierpliwość, poinformował się, w którym pułku właściciel „Szybkopaku” służył, przyrzekł pomoc zagranicy i zachowanie zupełnej dyskrecji. Pierwszym uczuciem, które ogarnęło właściciela „Szybkopaku”, było pragnienie jak najszybszego opuszczenia spiskowego mieszkania. Uważał swą firmę za zbyt solidną na to, by wdawać się w tak ryzykowne interesy. Lecz obejrzawszy dokładnie zwinną postać Ostapa, zawahał się.

¹⁴⁰Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik, dramaturg, myśliciel, krytyk literacki, publicysta. Jego dzieła wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej na początku XX w. Jeden z najwybitniejszych realistów, łączył wnikliwą obserwację z prezentacją własnych poglądów. [przypis edytorski]

¹⁴¹Darwin, Charles (1809–1882) — brytyjski przyrodnik i geolog, twórca teorii ewolucji. [przypis edytorski]

¹⁴²zadenuncjować — donieść władzy na kogoś, kto postąpił niezgodnie z prawem. [przypis edytorski]

Przyjazna pogawędka przy herbacie ożywiła się z każdą chwilą. Wtajemniczeni święcie dochowywali tajemnicy i rozmawiali o ostatnich miejskich ploteczkach.

Ostatni zjawił się obywatel Kislarski, który ze względu na to, iż nie był szlachcicem i nie służył nigdy w gwardii cesarskiej, szybko, tylko po krótkiej rozmowie z Ostapem, zorientował się w sytuacji.

— Odwagi! — rzekł Ostap znacząco.

Kislarski przyrzekł.

— Pan, jako przedstawiciel prywatnego kapitału, nie może obojętnie przysłuchiwać się jękowi ojczyzny.

Kislarski przytakiwał na znak współczucia.

— A czy wie pan, kto tu siedzi? — spytał Ostap, wskazując Hipolita Matwiejewicza.

— Rozumie się — odrzekł Kislarski — to jest pan Worobianinow.

— To jest — rzekł Ostap — tytan myśli, ojciec rosyjskiej demokracji, człowiek stojący blisko cara.

„W najlepszym wypadku dwa lata ze ścisłą izolacją — pomyślał, dygocąc ze strachu Kislarski. — I po co ja tu przyszedłem?”

— Tajny Związek Miecza i Lemiesza¹⁴³! — szepnął złowrogo Ostap.

„Dziesięć lat!” — pomyślał błyskawicznie Kislarski.

— A zresztą może pan odejść, lecz uprzedzam: nasze ramię daleko sięga!...

„Już ja ci, skurczybyku, pokażę — pomyślał Ostap — taniej niż za setkę nie puszczać ciebie”.

Kislarski zbladł jak chusta. Nie dalej jak dziś z jakim spokojem, ze smakiem zjadł obiad, delektował się kurczakiem i bulionem i nic a nic nie wiedział o straszliwym Związku Miecza i Lemiesza. Został — „daleko sięgające ramię” wywołało zamierzony efekt.

— Obywatele! — zagał Ostap posiedzenie. — Życie dyktuje nam swe prawa, swe okrutne prawa. Nie będę się rozwodził nad celem naszego zebrania, jest nam znany. Święty cel. Zewsząd dochodzą nas jęki. Ze wszystkich krańców naszej rozległej ojczyzny żądają pomocy. Musimy wyciągnąć pomocną dłoń i wyciągniemy ją. Jedni z was pracują i jedzą chleb z masłem, a inni spekulują i zjadają bułki z kawiolem. I jedni, i drudzy śpią we własnych łóżkach i otulają się w ciepłe kołdry. Tylko małe, bezdomne dzieciaki nie mają domu. Te kwiaty ulicy, lub jak powiadają proletariusze pracy umysłowej, te kwiaty na asfalcie, zasługują na lepszy los. Musimy, panowie przysięgli, pomóc im. I my, panowie przysięgli, pomożemy im.

Właściciel „Szybkopaku” był nadzwyczajnie zadowolony.

„Ładnie skomponowane — orzekł — pod takim pretekstem można nawet dać pieniądze. W razie powodzenia — honor wielki! Nie uda się — ani mnie to grzeje, ani ziębi. Pomagałem dzieciom i basta”.

Czarusznikow spojrzał porozumiewawczo na Diadiewa i zachwycony konspiracyjną taktyką, robił w dalszym ciągu galki z chleba.

Kislarski był w siódmym niebie.

„Ministerialna głowa” — myślał. Wydawało mu się, że nigdy nie pałał jeszcze taką miłością do bezdomnych dzieci, jak w tej właśnie chwili.

— Towarzysze! — mówił dalej Ostap. — Trzeba niezwłocznie spieszyć z pomocą! Musimy wyrwać dzieci z grząskiego błota ulicy i wyrwiemy je stamtąd! Pomożemy dzieciom. Pamiętajmy, że dzieci to kwiaty życia. Wzywam was do niezwłocznego składania ofiar na pomoc dla dzieci. Tylko dla dzieci i dla nikogo więcej. Rozumiecie mnie?

Po czym Ostap wyciągnął z bocznej kieszeni upoważnienie i kwitariusz¹⁴⁴.

— Proszę składać ofiary. Hipolit Matwiejewicz może zaświadczyć prawdziwość mych pełnomocnictw.

Hipolit Matwiejewicz odął¹⁴⁵ się i skłonił głowę. Teraz nawet słabo orientujący się Nikiesza i Wołodja, jak również genialny ślusarz zrozumieli wreszcie ukryty sens przemowy Ostapa.

Los, Dziecko

Dziecko

¹⁴³lemiesz — metalowa część pługa, zagłębiająca się w ziemię podczas orki. [przypis edytorski]

¹⁴⁴kwitariusz — bloczek z wydrukowanymi blankietami pokwitowań. [przypis edytorski]

¹⁴⁵odąć się — wydąć policzki. [przypis edytorski]

— Według starszeństwa, panowie — rzekł Ostap — zaczynamy od szanownego Maksyma Piotrowicza.

Szanowny Maksym Piotrowicz powiercił się i dał trzydzieści rubli.

— Gdy będą lepsze czasy, dam więcej! — oświadczył.

— Lepsze czasy bardzo rychło już będą — rzekł Ostap — a zresztą to nie ma żadnego związku z bezdomnymi dziećmi, które w tej chwili reprezentuję.

Osiem rubli dali wspólnie Nikiesza i Wołodia.

Polesow pobiegł do domu i przyniósł pięćdziesiąt.

— Brawo, rycerzu — rzekł Ostap — jak na samotnika-rycerza z motorem sumka ta na pierwszy raz wystarczy. A co powie nasze kupiectwo?

Diadiew i Kislarski targowali się przez dłuższą chwilę i narzekali na kiepskie czasy. Ostap był nieubłagany.

— Uważam rozmowy te — w obecności samego Hipolita Matwiejewicza — co najmniej za zbędne!

Hipolit Matwiejewicz skłonił głowę. Kupcy złożyli na rzecz bezdomnej dziatwy po dwieście rubli.

— Zbiórka — oznajmił Ostap — przyniosła raptem czterysta osiemdziesiąt osiem rubli. Ech! Tylko dwunastu rubli brak do równego rachunku.

Helena Stanisławówna przemogła się wreszcie, poszła do sypialni i przyniosła stamtąd w starej torebce brakujące dwanaście rubli.

Reszta posiedzenia odbyła się byle jak i miała już mniej uroczysty charakter. Ostap rozdokazywał się na dobre. Helena Stanisławówna całkiem się rozkrochmaliła¹⁴⁶. Goście rozchodzili się powoli, żegnając z szacunkiem organizatorów zebrania.

— O terminie następnego posiedzenia nastąpią osobne zawiadomienia — informował Ostap przy pożegnaniu. — Tylko ci-cho-sza. Akcja pomocy dzieciom musi być otoczona najgłębszą tajemnicą. Leży to w waszym interesie.

Kislarski, słysząc te słowa, gotów był dać jeszcze pięćdziesiąt rubli, byle już tylko nie przychodzić więcej na żadne konspiracyjne zebrania. Ledwo zdołał się powstrzymać od wykonania tego zamiaru.

— No — rzekł Ostap — czas już na mnie. Sądzę, że pan, Hipolicie Matwiejewiczu, skorzysta z gościnności Heleny Stanisławówny i przenocuje u niej. A zresztą i ze względów konspiracyjnych wskazane jest, byśmy się na pewien czas rozeszli.

Hipolit Matwiejewicz z rozpaczą mrugał na Ostapę, lecz ten udawał, że nic nie widzi, i wyszedł na ulicę.

*

Apartamenty wdowy Grycacujewej przybrały odświętną szatę. Przy stole weselnym na honorowym miejscu siedział król kier — syn tureckiego obywatela. Był elegancki i pijany. Goście hałasowali.

Pani młoda nie była już młoda. Miała co najmniej trzydzieści pięć lat. Natura obdarzyła ją wielkimi, jak bochny chleba, piersiami, rumianymi policzkami i grubym karkiem.

Nowego męża ubóstwiała i bardzo się go bała. Dlatego też nie nazywała go po imieniu, lecz mówiła oficjalnie — towarzyszu Bender.

Hipolit Matwiejewicz znów siedział na tak bardzo upragnionym krześle. W ciągu weselnej kolacji ustawicznie podskakiwał, by wyczuć coś twardego. Czasem udawało mu się to nawet. Wtedy wszyscy obecni ogromnie mu się podobali i zaczynał nieludzko wrzeszczeć.

Ostap przez cały czas wygłaszał mowy i toasty. Wzniesiono między innymi toast na cześć oświaty ludowej i kanalizacji w Uzbekistanie. Następnie zaczęli się rozchodzić. Hipolit Matwiejewicz zatrzymał się i zakomunikował szeptem Benderowi:

— Ostrożnie tylko. Są tam!

— Ty, ostrożniszu — odrzekł pijany Ostap — czekaj na mnie w hotelu. I nigdzie nie wychodź. Mogę się zjawić w każdej chwili. Rachunek hotelowy należy wyrównać. Wszystko ma być gotowe. A teraz dobrej nocy.

¹⁴⁶rozkrochmalić się — pozbyć się skrępowania. [przypis edytorski]

Hipolit Matwiejewicz poszedł denerwować się do „Sorbonny”.

O piątej z rana zjawił się Ostap z krzesłem. Hipolit Matwiejewicz oniemiał. Ostap postawił krzesło na środku pokoju i siadł na nim.

— Jak wam się to udało? — wyrzekł wreszcie Worobianinow.

— Całkiem prosto, familijnie, że tak powiem. Wdówka śpi i śni. Żał mi ją było budzić. „Ty nie budź jej o świtanu”... Ha! Musiałem swej ukochanej zostawić karteczkę: „Jadę z raportem do Nowochoperska. Nie czekaj z obiadem. Twój Kiciunio”. Krzesło wziąłem z sobą. A że tramwajów o tak wczesnej godzinie jeszcze nie ma, odpoczywałem sobie na nim w drodze.

Hipolit Matwiejewicz, głucho pomrukując, rzucił się na krzesło.

— Ciszej! — rzekł Ostap. — Trzeba pracować bez hałasu.

Z głębokich czeluści kieszeni wydobyl obcęgi i starannie zerwał obicie z krzesła, usiłując nie uszkodzić angielskiego, wzorzystego kretonu.

— Takiego już się teraz nie spotyka, trzeba go schować. Głód towarowy, trudna rada.

Wszystko to doprowadzało Hipolita Matwiejewicza do pasji.

— Już — rzekł cicho Ostap i obiema rękoma zaczął macać między sprężynami. Na czoło wystąpiły mu sine żyły.

— No? — powtarzał Hipolit Matwiejewicz najrozmaitszymi tonami. — No? No?

— No i no — odpowiedział z rozdrażnieniem Ostap — jedna szansa na dwanaście. I ta szansa...

Dokumentnie pogrzebał w krześle i skończył.

— I ta szansa nie jest, jak dotąd, nasza.

Wyprostował się i zaczął otrząpywać spodnie.

— Bagatela! To krzesło przyniosło nam dwa razy więcej, niż zapłaciliśmy za zdobycie nakazu.

Mówiąc to, Ostap wyjął z bocznej kieszeni złotą broszkę wysadzaną szkiełkami, dętą złotą bransoletkę, pół tuzina pozłaczanych łyżeczek i sitko do herbaty.

Hipolit Matwiejewicz był tak srodze zmartwiony, że nie spostrzegł nawet, iż rad nierad stał się współnikiem najzwyczajniejszej kradzieży.

— Draństwo! — zauważył Ostap. — Lecz zgodzi się pan chyba, że nie mogłem porzucić ukochanej kobiety, nie biorąc sobie nic na pamiątkę. Jednak nie tracmy czasu. To dopiero początek. Koniec w Moskwie. A Muzeum Mebli to nie jakaś tam wdowa. Trudniej, znacznie trudniej tam będzie!

Wspólnicy wepchnęli szczątki krzesła pod łóżko i zliczywszy pieniądze (było ich razem ze składką na bezdomne dzieci sześćset dziesięć rubli) — wyjechali na dworzec do moskiewskiego pociągu.

Musieli przejechać całe miasto. Na ulicy Spółdzielczej dostrzegli ze swej dorożki Polesowa biegnącego po chodniku. Za nim ulicą Zagajnikową pędził dozorca domu numer 5. Na zakręcie wspólnicy zdążyli jeszcze zauważyć, że dozorca dopadł do Wiktora Michalłowicza i zaczął go potężnie grzmocić. Polesow wrzeszczał: „Ratunku!” i „Cham!”.

Do czasu odejścia moskiewskiego pociągu nasi bohaterzy przesiadli w ustępie, obawiając się spotkania z ukochaną kobietą.

Pociąg unosił przyjaciół do stolicy. Przyłgnęli obaj do okna. Wagony miały właśnie przedmieście.

Nagle Ostap syknął i złapał Worobianinowa za rękę.

— Patrz pan, patrz! — krzyknął. — Prędzej! Alchen! Psubrat!¹⁴⁷

Hipolit Matwiejewicz spojrział w dół. Pod nasypem rosły wąsal ciągnął taczkę, obładowaną fisharmonią i pięcioma ramami okiennymi. Taczkę popychał obywatel w szarej bluzie o wstydlwym wyglądzie.

Słońce przedarło się przez chmury. Błyszczały krzyże cerkiewne. Ostap wychylił się przez okno i chichocząc, wrzasnął:

— Paszka! Na targ jedziesz?

Pasza Emiliewicz podniósł głowę, lecz zobaczył już tylko bufory ostatniego wagonu i przyspieszył kroku.

— Widział pan? — spytał radośnie Ostap. — Pycha! Ci ludzie umieją pracować!

¹⁴⁷ psubrat (obelż.) — lajdak. [przypis edytorski]

Ostap poklepał zafrasowanego Worobianinowa po plecach:
— Głupstwo. Nie trzeba się poddawać. Posiedzenie trwa nadal! Jutro wieczorem będziemy w Moskwie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY BURSA IMIENIA MNICHA BERTHOLDA SCHWARZA

Statystyka wie wszystko.

Nauka, Rosja

Obliczono już dokładnie ilość ornej ziemi w ZSRR z podziałem na czarnoziem i less. Wiadomo, czym się żywi i ile spożywa w ciągu roku przeciętny obywatel republiki. Wiadomo, ile ten przeciętny obywatel wypija przeciętnie wódki z przykładowym wymiennieniem konsumowanych przez niego zakąsek. Wiadomo, ile jest w kraju myśliwych, baletnic, warsztatów amunicyjnych, psów wszelakich gatunków, rowerów, pomników, dziewcząt, latarni morskich i maszyn do szycia.

Jakiż ogrom życia, ileż porywów, namiętności i myśli spogląda na nas ze statystycznych tablic!

Kim jest ten rumiany inwalida z serwetką zatkniętą za gors¹⁴⁸, siedzący przy stoliku i z apetytem spożywający dary boże? Dokoła niego leżą pokotem¹⁴⁹ stada miniaturowych byków. Opasłe świnie stłoczyły się w kącie tablicy. W specjalnym statystycznym basenie pluskają niezliczone jesiotry, łososie i sandacze. Na ramionach, rękach i głowie tego indywiduum siedzą sobie kury. Z pierzastych chmur wylaniają się gęsi, kaczki i indyki. Pod stołem przykucnęły dwa króliki. Ku niebu wznoszą się piramidy i wieżycy wszelakiego pieczywa. Niewielkiej twierdzy z konfitur broni mleczna rzeka. Na horyzoncie odcina się wyraźnie ogórek wielki jak wieża w Pizie¹⁵⁰. Za murami fortecznymi z soli i pieprzu maszerują baterie win, wódek i nalewek. Na tyłach mizerną grupkę stanowią napoje bezalkoholowe — wody mineralne, lemoniady i syfony z wodą sodową.

Któż jest ten rumiany inwalida — żarłok, pijaczyna i łasuch?

Gargantua¹⁵¹? Lukullus¹⁵²?...

To nie Lukullus. To Iwan Iwanowicz Sidorow lub Sidor Sidorowicz Iwanow — przeciętny obywatel, spożywający przeciętnie w ciągu swego całego życia zobrazowane na tablicy dary boże. To normalny konsument kalorii i witamin — Bogu ducha winny czterdziestoletni kawaler, zatrudniony w państwowym sklepie galanterii i trykotaży¹⁵³.

Nauka, Rosja

Przed statystyką niepodobna uciec. Ma ona dokładne dane nie tylko o liczbie dentystów, wianków kielbas, dozorców domów, kinooperatorów, prostytutek, strzech słomianych, wdów, dorożkarzy i dzwonnów, lecz wie nawet i to, ile jest w kraju — statystyków.

O jednym tylko nie wie. Nie wie, ile jest w ZSRR — krzesel!...

Według ostatniego spisu ludność republik związkowych wynosi sto czterdzieści trzy miliony osób. Jeśli odrzucimy dziewięćdziesiąt milionów chłopów, którzy zamiast krzesel posługują się ławami lub siadają na przyzbach¹⁵⁴ i przypieckach¹⁵⁵, a na Wschodzie na wytartych mocno dywanach — to bądź co bądź pozostają jeszcze pięćdziesiąt trzy miliony ludzi, dla których krzesła stanowią przedmiot codziennego użytku. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę omyłki, które mogły wkraść się przy obliczeniach, oraz właściwy niektórym obywatelom sowieckim zwyczaj siedzenia na dwóch stołkach, to zmuszeni będziemy uznać powyższą liczbę pięćdziesiąt trzy miliony za nader skromną.

Pośród tego morza krzesel zrobionych z orzecha, dębu, jesionu, drzewa palisandrowego, mahoni i brzozy, pośród krzesel jodłowych i sosnowych — bohaterzy naszej powieści muszą znaleźć orzechowe krzesło z giętymi nóżkami roboty mistrza Gamba,

¹⁴⁸gors (daw.) — dekol. [przypis edytorski]

¹⁴⁹pokotem — jeden obok drugiego. [przypis edytorski]

¹⁵⁰Piza — włoskie miasto w regionie Toskania, znane m. in. ze swej lekko pochylonej wieży. [przypis edytorski]

¹⁵¹Gargantua — olbrzym, bohater powieści *Gargantua i Pantagruel* François Rabelais'go. [przypis edytorski]

¹⁵²Lukullus (ok. 117–56 r. p.n.e.) — wódz i polityk rzymski, słynący z bogactw, rozrzutności i wyprawiania wystawnych uczt. [przypis edytorski]

¹⁵³trykotaż — wyrób z *trykotu*: tkaniny dzianej jak pończochy, delikatnej i ściśle przylegającej do ciała. [przypis edytorski]

¹⁵⁴przyzba — ława usypana z ziemi i gliny wzdłuż zewnętrznej ściany domu; dawniej ludzie na wsi zwykli odpoczywać, siedząc na przyzbie i mając za oparcie ścianę chałupy. [przypis edytorski]

¹⁵⁵przypiecek — rodzaj ławy wokół pieca w wiejskim domu, używanej do siedzenia i spania. [przypis edytorski]

krzesło ukrywające w swym obitym angielskim kretonem łonie — skarby *madame* Pietuchowej.

Pociąg ostrożnie przebył most na Ocie¹⁵⁶ i ze zdwojoną szybkością zaczął zbliżać się ku Moskwie.

Hipolit Matwiejewicz i Ostap sterczeli przy otwartym oknie nieprzytulnego wagonu i uważnie przyglądali się stadu krów wolniutko schodzących z nasypu.

Pociąg skakał na zwrotnicach. Semafony, patrząc nań, rozdziawiały gęby. Tory zgęszczały się. Czuć było zbliżanie się olbrzymiego węzła kolejowego. Trawa znikła — zastąpił ją czarny żużel. Manewrujące lokomotywy przeraźliwie gwizdały. Dróżnicy raz po raz sygnalizowali. Nagle turkot wzmógł się. Pociąg wtoczył się w korytarz pomiędzy próżnymi wagonami i dudniąc, mijał je.

Ukazała się kula słoneczna. Niziutko, po ziemi niemal, rozpełzły się latarki kolejarzy. Buchał dym... Lokomotywa, sapiąc, otuliła się welonem śnieżnobiałej pary. Wszczął się tumult.

Wskutek nagłego zahamowania chrzęstnęły wagony. Rozległ się syk tak przeraźliwy, że Hipolitowi Matwiejewiczowi wydało się, że losy zagnały go do krainy bólu zębów. Pociąg wylądował na asfaltowym peronie.

Była to Moskwa. Dworzec Riazański.

Wspólnicy, torując sobie drogę pięściami, przecisnęli się do wyjścia i znaleźli się na Placu Kałanczewskim. Na prawo pyszniły się herbowe kurki Dworca Jarosławskiego¹⁵⁷. Na wprost zaś mienił się wszystkimi barwami pomalowany na olejno Dworzec Październikowy. Zegar wskazywał tam pięć minut po dziesiątej. Natomiast na zegarze Dworca Jarosławskiego była punktualnie dziesiąta. Gdy zaś nasi podróżni spojrzeli na ciemnognatową, przyozdobioną znakami zodiaku tarczę Dworca Riazańskiego, to zauważyli, że zegar wskazywał tam godzinę dziewiątą minut pięćdziesiąt pięć.

— Bardzo wygodne przy randkach! — rzekł Ostap. — Dziesięć minut, jak znalazł.

Ostap podszedł do dorożki, usiadł bez słowa i szerokim gestem zaprosił Hipolita Matwiejewicza.

— Siwcew Wrażek! — Rzucił osiemdziesiąt kopiejek.

Dorożkarz zbaraniał. Wywiązała się nieciekawa sprzeczka, w której często wspomniano ceny na owies i klucz od mieszkania, w którym leżą pieniądze.

Wreszcie dorożkarz cmoknął ustami. Dorożka przejechała pod wiaduktem. Przed oczyma wędrowców roztoczyła się wspaniała panorama stołecznego miasta.

Przez Wozdwiżenkę przyjaciele dostali się na Arbat, minęli Bulwar Preczystieński i skręciwszy na prawo, znaleźli się na Siwcewym Wrażku przed różowym domkiem.

— Co to za dom? — spytał Hipolit Matwiejewicz.

— Bursa studentów-chemików imienia mnicha Bertholda Schwarza¹⁵⁸!

— Czyżby mnicha?

— Zażartowałem sobie, zażartowałem!... Imienia towarzysza Siemaszki¹⁵⁹.

Jak to się stało zwyczajem w studenckich bursach moskiewskich, bursę studentów-chemików od dawna już zamieszkiwali ludzie, których z chemią łączyły całkiem luźne stosunki. Studenci rozleźli się. Część ukończyła studia i rozjechała się według przydziałów po świecie, część zaś za brak postępów została usunięta z uniwersytetu i ta właśnie część, zwiększająca się z roku na rok, wytworzyła w różowym domku coś pośredniego pomiędzy spółdzielnią lokatorów i feudalną fortecą. Na próżno szeregi nowych studentów usiłowały wedrzeć się do bursy. Dawni chemicy odznaczali się niezwykłą wprost wynalazczością i zwiędzisko odpierali wszelkie ataki. Na domku postawiono krzyżyk. Znikł ze wszystkich planów MUNI. Jak gdyby go nie było. A tymczasem był i mieszkali w nim ludzie.

¹⁵⁶ *Oka* — rzeka w Rosji, prawy dopływ Wołgi. [przypis edytorski]

¹⁵⁷ *Dworzec Jarosławski* — jedna z głównych stacji kolejowych Moskwy; stacja początkowa Kolei Transsyberyjskiej. [przypis edytorski]

¹⁵⁸ *Schwarz, Berthold* — legendarny niemiecki (lub według niektórych przekazów pochodzenia greckiego lub duńskiego) alchemik żyjący w XIV w., któremu przypisuje się wynalezienie prochu strzelniczego. [przypis edytorski]

¹⁵⁹ *Siemaszko, Józef* (1798–1868) — biskup Kościoła greckokatolickiego, następnie prawosławny biskup wileński i litewski; główny realizator kasaty Cerkwi unickiej w Cesarstwie Rosyjskim w 1839. [przypis edytorski]

Po krętych schodach wspólnicy weszli na facjatę¹⁶⁰. Obszerny pokój był pokrajany cieniutkimi przegródkami na długie skiby, mające dwa arszyny¹⁶¹ szerokości. Pokoiki wyglądały jak uczniowskie piórniki, z tą jedyną różnicą, że prócz ołówków i obsadek¹⁶² byli tu jeszcze ludzie i prymusy.

— Kola, jesteś w domu? — spytał cicho Ostap, zatrzymując się przed głównymi drzwiami.

Jak gdyby na komendę we wszystkich pięciu piórnikach zawrzało.

— Jestem! — odpowiedziano za drzwiami.

— Znów do tego osła przychodzą o świcie goście — szepnął kobiecy głos z ostatniego piórnika po lewej stronie.

— Pozwólcie człowiekowi wypaść się! — burknął piórnik numer dwa.

Z trzeciego piórnika dobiegł radosny szepc:

— Do Kolki przyszli z milicji. Za wczorajsze szyby.

Piąty piórnik nie reagował. Syczał tam prymus i całowano się.

Ostap pchnął drzwi nogą. Tekturowe rusztowanie chybotąło się i wspólnicy znaleźli się w wąwozie Kolki. Obraz, który ukazał się oczom Ostapa, pomimo pozorów niewinności był zaiste okropny. Całkowite umeblowanie pokoju stanowił tapczan w czerwone pasy, wsparty na dwóch ceglach. Lecz nie to zaniepokoiło Ostapa. Umeblowanie Kolki znał już od dawna. Nie zadziwił go nawet sam Kolka. Lecz tuż obok Kolki siedziało na tapczanie takie niebiańskie stworzenie, że Ostap od razu sposepniał. Stworzenia takie nie bywają nigdy interesantkami — zbyt niebiańskie mają na to oczy i czystą szyję. Są to kochanki albo — co gorsza — żony, i to żony kochane. Istotnie. Kola nazywał to stworzenie Liżą i mówił jej „ty”.

Hipolit Matwiejewicz zdjął swój filcowy kapelusz. Ostap wywołał Kolę na korytarz. Długo tam szeptali.

— Piękną mamy dziś pogodę, łaskawa pani — nawiązał rozmowę Hipolit Matwiejewicz, czując się bardzo nieswojo.

Niebieskooka „łaskawa pani” roześmiała się i bez jakiegokolwiek związku z uwagą Hipolita Matwiejewicza zaczęła opowiadać o tym, jacy to głupcy mieszkają w piórniku.

— Specjalnie nastawiają prymus, żeby nie było słyhać, jak się całują. Lecz zgodzi się pan chyba, że to jest całkiem głupie. My i tak wszystko słyszymy. A oni za to przez ten swój prymus nic a nic nie słyszą. Chce pan, zaraz się przekonamy. Proszę posłuchać.

I stworzenie, które przeniknęło wszelakie tajniki prymusa, powiedziało delikatnie:

— Zwieriewowie to głupcy.

Za ścianą słyhać było syk prymusa i dźwięki pocałunków.

— Widzi pan? Nic a nic nie słyszą! Zwieriewowie to głupcy, osły i psychopaci! Widzi pan?

— Tak — rzekł Hipolit Matwiejewicz.

— A my nie mamy prymusa. Bo po co? Stołujemy się w wegetariańskiej jadłodajni, mimo iż jestem przeciwniczką jarskiej kuchni. Lecz Kola marzył o tym, że gdy się pobierzemy, będziemy się razem stołowali w wegetariańskiej jadłodajni. No i jadamy tam. Lecz ja bardzo lubię mięso.

Tymczasem wrócił Kola z Ostapem.

— Pójdziemy do Panteleja Iwanopulo — rzekł Ostap.

— Proszę o nas nie zapominać — zapraszała żona Koli — oboje z mężem będziemy bardzo radzi.

— Znów zapraszają do siebie! — oburzano się w ostatnim piórniku z lewej strony.

— Jak gdyby mało jeszcze mieli gości.

— A was to, głupcy, osły i psychopaci, nic a nic nie obchodzi — rzekła żona Koli normalnym głosem.

— Słyszysz, Iwanie Andreiczu — zakotłowało się w ostatnim piórniku — żonę twoją znieważają, a ty milczysz!...

¹⁶⁰*facjata* — mieszkanie albo pokój na poddaszu, z oknem wychodzącym z dachu i nakrytym własnym daszkiem. [przypis edytorski]

¹⁶¹*arszyn* — dawna jednostka długości używana w Rosji, ok. 0,7 m. [przypis edytorski]

¹⁶²*obsadka* — element służący do mocowania stalówki na piórze. [przypis edytorski]

Przyłączyli się niewidzialni komentatorzy z innych piórników. Utarczka słowna przybierała coraz większe rozmiary.

Wspólnicy zeszli na dół do Iwanopulo. Studenta nie było w domu.

— Nie ma nieszczęścia — rzekł Ostap — wiem, gdzie leży klucz.

Pomacał pod stojącą w korytarzu ogniotrwałą kasą, wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

Pokój studenta Iwanopulo zajmował akurat taką samą przestrzeń jak pokój Koli, lecz był narożny. Jedna ściana była kamienna, co napawało studenta niebywałą dumą. Hipolit Matwiejewicz skonstatował z zalem, że student nie miał nawet tapczanu.

— Doskonale urządził się — rzekł Ostap — wysmienity pokój, jak na Moskwę. Jeśli cała trójka położy się na podłodze, to zostanie jeszcze nawet trochę wolnego miejsca.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY OBYWATELE — RESPEKT PRZED TAPCZANAMI!

Liza — silnie wzburzona — biegła ulicą. Uprzykrzyły się już jej i obrzydły do cna mdłe oladki¹⁶³, patrzeć po prostu nie mogła na jarskie „zające”. Posprzeczala się z mężem.

Była to owa niedzielna godzina, w której wybrańcy losu wracają z Rynku Smoleńskiego objuczeni tapczanami i wszelakimi gratami.

Nowożeńcy i sowieccy średnio zamożni obywatele to główni nabywcy sprężynowych tapczanów. Stojąc na wozie, obejmują je obiema rękoma. Czyż mogliby nie obejmować czule niebieskiej, o połyskliwych kwiatach, podstawy swego szczęścia?

Obywatele! Miejcie respekt przed sprężynowym tapczanem w niebieskie kwiatki! To ognisko rodzinne, alfa i omega umebrowania, gwarancja przytulności, miłosa baza, ojciec prymusa! Jakaż to rozkosz spać przy demokratycznych dźwiękach jego sprężyn! Jakie sny miewa człowiek zasypiający na jego niebieskim płótnie! Jakim szacunkiem cieszy się każdy właściciel tapczanu!

Człowiek niemający tapczanu jest godzien pożałowania. Nie egzystuje po prostu. Nie płaci podatków, nie ma żony, znajomi nie pożyczają mu pieniędzy „do jutra”, szoferzy taksówek obsypują go gradem obelg, dziewczęta wysmiewają go — nie lubią idealistów. Człowiek niemający tapczanu pisuje przeważnie wiersze: „W fotela miękkie poduszki wtulony o szarej zmierzchu godzinie marzę. Starego zegara pieściwie tony do wtóru myślom moim gwarzą”.

Pisuje te strofy na poczcie przy wysokim pulpicie, zabierając miejsce zaaferowanym właścicielom tapczanów, pragnącym jak najszybciej nadać swe depesze.

Tapczan zmienia radykalnie życie człowieka. W obiciu jego i sprężynach kryje się jakaś przyciągająca i dotąd jeszcze niezbadana siła. Na apel jego sprężyn gromadzą się ludzie i rzeczy. Przychodzi fin-agent i dziewczątka. Chcą żyć w zgodzie z właścicielami tapczanów. Fin-agent robi to w celach fiskalnych — dla dobra państwa, a dziewczątka — bezinteresownie, ulegając prawom natury. Zaczyna się rozkwit młodości. Fin-agent, ściągawszy podatek, z radosnym brzęczeniem ulatuje do swego rejonowego ula. A odpływającą falę dziewczątek zastępuje żona i prymus „Ursus nr 1”.

Tapczan jest nienasycony. Żąda ofiar, w nocy wydaje dźwięki przypominające szcęk spadającego miecza. Potrzeba mu etażerki¹⁶⁴. Potrzeba mu stołu na głupich nogach. Szczękając sprężynami, żąda stor, portier¹⁶⁵ i naczyń kuchennych. Trąca człowieka i mówi mu:

— Idź i kup fotel na biegunach!

— Człowieku, rumienię się za ciebie! Nie masz jeszcze dywanu!

— Pracuj! Obdarzę cię dziećmi! Musisz zdobyć pieniądze na pieluszki i kołyskę!

Nawet poeta nie może uniknąć ogólnego losu. Patrzcie, wiezie z Rynku Sucharewskiego tapczan i z przerażeniem tuli się do jego miękkiego łona.

— Pokonam twój upór, poeto! — mówi tapczan. — Nie będziesz już musiał biegać na pocztę po to, by pisać wiersze, a zresztą, czy oplaca się w ogóle pisać? Weź posadę w biurze! Zawsze wtedy saldo wypadnie na twoją korzyść. Pomyśl o żonie i dzieciach.

¹⁶³oladka — mały placek z mąki lub utartych kartofli, smażony na tłuszczu. [przypis edytorski]

¹⁶⁴etażerka — lekka szafka składająca się z kilku otwartych półek. [przypis edytorski]

¹⁶⁵portiera — zasłona u drzwi lub okna z grubego, ciężkiego materiału, chroniąca przed przeciągami. [przypis edytorski]

— Nie mam żony! — krzyczy poeta, odsuwając się gwałtownie od sprężynowego nauczyciela.

— Będziesz miał. I nie mogę nawet zapewnić cię, że będzie to najpiękniejsza z dziewcząt na kuli ziemskiej. Nie wiem nawet, czy będzie dobra. Bądź przygotowany na wszystko. Przyjdą na świat dzieci.

— Nie lubię dzieci!

— Polubisz je!

— Obywatelu tapczanie, jestem przerażony!

— Milcz, głupcze! Nie wiesz jeszcze wszystkiego! W Mosdrzewie będziesz brał na kredyt meble.

— Tapczanie, zabiję cię!

— Szczeniaku! Jeśli ośmielisz się to zrobić, sąsiedzi zadenuncjują cię przed rządcą domu.

I tak w każdą niedzielę przy radosnych dźwiękach tapczanów kursują po Moskwie wybrańcy losu.

Lecz nie tylko to, oczywista, cechuje moskiewską niedzielę.

Niedziela — to dzień poświęcony muzeom.

Istnieje w Moskwie szczególna kategoria ludzi. Nie rozumie się ona nic a nic na marlarstwie, nie interesuje się architekturą i zachowuje obojętność wobec pomników przeszłości. Ta kategoria ludzi zwiedza muzea wyłącznie dlatego, że znajdują się one w pięknych gmachach. Wałęsają się ci ludzie po olśniewających salach, zazdrosnym okiem oglądają malowane sufity, ruszają rękoma to, czego ruszać nie wolno, i bezustannie pomrukują:

— Ho, ho! Jak to dawniej mieszkało!

Nie obchodzi ich to, że ściany są pokryte precudnymi freskami. Obchodzi ich natomiast, ile też mogło to kosztować poprzedniego właściciela willi. Na kominku stoi porcelana, lecz oni, nie zwracając na nią ani krzty uwagi, orzekają, że kominek to rzecz arcyniepraktyczna, pochłania zbyt wiele drzewa. W ozdobionym dębową boazerią stołowym nie dostrzegają wspaniałej rzeźby. Absorbują ich jedna jedyna myśl: tutaj jadła poprzedni gospodarz kupiec — ile też to mogłoby kosztować przy obecnej drożyznie.

*

Dławiąc się łzami, Liza biegła wzdłuż ulicy. Popędzały ją własne myśli. Rozmyślała nad swym szczęśnym¹⁶⁶, skromnym życiem:

„Gdybyśmy mieli jeszcze choćby tylko stół i dwa krzesła, byłoby już całkiem dobrze. I prymus trzeba by też koniec końcem nabyć. Trzeba się jakoś urządzić”.

Wracać do domu było nijako. Nie miała do kogo pójść. W kieszonce leżało dwadzieścia kopiejek. I Liza postanowiła rozpocząć samodzielny żywot od zwiedzenia Muzeum Mebli. Po sprawdzeniu posiadanej gotówki weszła do westybulu¹⁶⁷.

W westybulu Liza natknęła się na człowieka o postrzępionej brodzie, który przyglądając się uporczywie malachitowym kolumnom, cedził przez zęby:

— Jednak z komfortem dawniej mieszkało!

Liza spojrziała z należnym respektem na kolumny i poszła na górę.

W małych, kwadratowych pokoikach, o tak niskich sufitach, że każdy wchodzący tam człowiek wydawał się niemal gigantem — Liza wałęsała się dobre dziesięć minut.

Były to pokoje umeblowane w stylu empire¹⁶⁸ z czasów Pawła¹⁶⁹.

Stały tu poważne, przepiękne rycerskie meble z cesarskiego czerwonego drzewa i brzozy karelskiej. Dwie kwadratowe szafy, poprzez szklane drzwi których widać było skrzy-

¹⁶⁶szczęśny (daw.) — szczęśliwy, obdarzony szczęściem. [przypis edytorski]

¹⁶⁷westybul — pomieszczenie prowadzące do głównej klatki schodowej lub reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]

¹⁶⁸empire — późna odmiana klasycyzmu francuskiego, która rozwinęła się za panowania Napoleona I; ornamenty charakterystyczne dla tego stylu nawiązywały do motywów pochodzących ze starożytnego Egiptu, pojawiały się także zdobiona litera „N”, gwiazdy, wieńce laurowe. [przypis edytorski]

¹⁶⁹Paweł I Romanow (1754–1801) — cesarz Rosji (od 1796), następca Katarzyny II. [przypis edytorski]

żowane dziryty¹⁷⁰, stały naprzeciw biurka. Biurko było bezbrzeżne. Jak Plac Teatralny¹⁷¹. Teatr Wielki z kolumnadą i czwórką brązowych rumaków niosących Apollina¹⁷² na premierę *Czerwonego Maku* — wyglądały na biurku jak przybór do pisania. Tak przynajmniej wydawało się Lizie, która nigdy nie wychylała nosa na szeroki świat. Słońce igrało na brzoskwinowym obiciu foteli.

Liza zestawiała w myśli beczenny fotel empire ze swym tapczanem w czerwone pasy. Wcale nieźle by to jednak wyglądało... Przeczytała wiszącą na ścianie tabliczkę z naukowym i ideologicznym uzasadnieniem stylu cara Pawła, po czym, srodze strapiona tym, że oboje z Kolą nie mają ani jednego pokoju w tym pałacu, poszła dalej i niespodzianie znalazła się w jakimś korytarzu.

Po lewej stronie, tuż nad podłogą, ciągnęły się niziutkie, półokrągłe okna. Pod stopami Liza ujrziała olbrzymią białą salę kolumnową. Po sali tam i sam¹⁷³ błądzili zwiedzający. Liza przystanąła. Nigdy dotąd nie widziała jeszcze sali pod swymi stopami. Zdumiona, z szeroko otwartymi ustami, patrzyła długo w dół. Nagle dostrzegła, że do krzeseł w kierunku biurka idą szybko jej nowi znajomi — Bender i jego towarzysz, reprezentatywny, ogolony starzec.

— Doskonale — ucieszyła się Liza — nie będzie mi tak nudno.

Radośnie pobiegła na dół i od razu zabłądziła. Trafiła do czerwonego salonu, w którym stało ze czterdzieści sztuk krzeseł. Były to meble z orzecha o giętych nóżkach. Z salonu nie było innego wyjścia. Trzeba było wracać przez okrągłą komnatę.

Pędziła obok adamszkowych¹⁷⁴ foteli w stylu włoskiego renesansu, obok holenderskich szaf, obok szerokiego, gotyckiego łóża z baldachimem na czarnych kolumnach. W łóżu tym człowiek wydawałby się nie większy od orzecha. Sala była wciąż gdzieś pod stopami, może po prawej stronie, lecz trafić do niej było niepodobieństwem.

Wreszcie dostrzegła wycieczkowiczów, słuchających nieuważnie przewodnika, który demaskował imperialistyczne plany Katarzyny II¹⁷⁵ w związku z upodobaniem zmarłej carycy do mebli w stylu rococo¹⁷⁶. Była to właśnie olbrzymia sala kolumnowa. Liza udała się do przeciwnego krańca, gdzie znany już jej towarzysz Bender konferował¹⁷⁷ namiętnie ze swym wygolonym towarzyszem.

Podchodząc, Liza usłyszała dźwięczny głos:

— Meble w stylu *chic moderne*¹⁷⁸. Lecz wydaje mi się jednak, że to nie to. Musimy wszystko systematycznie obejrzeć.

— Dzień dobry — rzekła Liza.

Odwrócili się obaj i skrzywili niechętnie.

— Dzień dobry, towarzyszu Bender. Jak to dobrze, że was tu znalazłam. Będziemy razem zwiedzać.

Wspólnicy porozumieli się wzrokiem. Hipolit Matwiejewicz, powodowany próżnością, wyprostował się, choć niezbyt mu było miło, że przez Lizę może być na szwank narażona ważna sprawa poszukiwania brylantowych mebli.

— Jesteśmy typowymi gośćmi z prowincji — rzekł niecierpliwie Bender — lecz w jaki sposób pani, rdzenna Moskwianka, znalazła się tutaj?

— Zupełnie przypadkowo. Posprzeczałam się z Kolą.

— No, może opuścimy tę salę — rzekł Ostap.

— A ja jeszcze nie zdążyłam jej obejrzeć. Bardzo ładniutka.

¹⁷⁰*dziryty* — krótka włócznia. [przypis edytorski]

¹⁷¹*Plac Teatralny* a. *Plac Swierdłowski* — jeden z najbardziej znanych placów miejskich, leżący w centralnym okręgu administracyjnym Moskwy; w jego bliskim sąsiedztwie znajdują się gmachy trzech teatrów: Teatru Bolszoi (zwanego również Teatrem Wielkim), Małego Teatru oraz Rosyjskiego Teatru Młodzieży Akademickiej. [przypis edytorski]

¹⁷²*Teatr Wielki z kolumnadą i czwórką brązowych rumaków niosących Apollina (...)* — gmach Teatru Wielkiego zdobi osiem kolumn z zaprzężonym w cztery konie rydwanem Apollina nad portykiem. [przypis edytorski]

¹⁷³*tam i sam* (daw., gw.) — tu i tam. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*adamszkowy* — wykonany z *adamszku*: wzorzystej tkaniny, której błyszczące części są na rewersie matowe. [przypis edytorski]

¹⁷⁵*Katarzyna II Wielka* (1729–1796) — żona cesarza Piotra III, po dokonaniu w 1762 zamachu stanu samodzielna cesarzowa Rosji. [przypis edytorski]

¹⁷⁶*rococo* — rokoko, dekoracyjny styl w sztuce europejskiej w latach ok. 1720–1790. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*konferować* — obradować, naradzać się. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*chic moderne* (fr.) — nowoczesna elegancja. [przypis edytorski]

— Nie ma tu zupełnie co oglądać — oświadczył Ostap. — Dekadentyzm, epoka Kiereńskiego¹⁷⁹.

— Mówili mi, że są tu gdzieś meble roboty mistrza Gambsa — oznajmił Hipolit Matwiejewicz — może tam pójdziemy.

Obecność Lizy bardzo krępowała współników. Podczas gdy oni jednym rzutem oka skonstatowali, że w danym pokoju nie ma poszukiwanych mebli i bezwiednie podążali do następnego pokoju, Liza grzęzła w każdym oddziale. Bezwiednie i nie dostrzegając tego zupełnie, dopasowywała w myśli stojące tu meble do swego pokoju i do swych potrzeb. Gotyckie łóżko nie przypadło jej do gustu. Było zbyt wielkie jak na wąziutkie mieszkanko Lizy.

Salony ciągnęły się bez końca. Meble z epoki Aleksandra były bardzo licznie reprezentowane. Stosunkowo niewielkie ich rozmiary wprawiły Lizę w zachwyt.

— Popatrz pan, popatrz — krzyknęła z całym zaufaniem, ciągnąc Worobianinowa za rękaw. — Widzi pan to biurko? Świetnie pasowałoby do naszego pokoju. Prawda?

— Prześliczne meble! — rzekł gniewnie Ostap. — Szkoda tylko, że dekadentkie.

Masy kanap, sekretarzyków, szaf, wszystkie style, wszystkie okresy, wszystkie epoki — oglądali kolejno nasi współnicy.

— A ja tu już byłam — rzekła Liza, wchodząc do czerwonego salonu — wydaje mi się, że nie warto tu zatrzymywać się.

Ku jej niebywałemu zdumieniu obojętni dotąd towarzysze nie tylko nie spieszyli dalej, ale zastygli, jak gdyby na warcie, koło drzwi.

— Zaraz — rzekł Hipolit Matwiejewicz, uwalniając się od jej ręki — momencik...

Olbrzymi pokój był dosłownie zawałony meblami. Pod ścianą i dokoła stołu stały krzesła roboty mistrza Gambsa. W kącie koło kanapy również stały krzesła. Ich gięte nóżki i wygodne oparcia były aż nadto dobrze znane Hipolitowi Matwiejewiczowi. Ostap przyglądał mu się badawczo. Hipolit Matwiejewicz zacerwienił się jak burak.

— Zapewne już się pani zmęczyła — rzekł do Lizy — proszę tu usiąść i odpocząć, a my sobie trochę pospacerujemy. Wydaje mi się, że to bardzo ciekawa sala.

Liza usiadła. Wspólnicy stanęli pod oknem.

— Te? — spytał Ostap.

— Jak gdyby te. Tylko inne obicie.

— Doskonale. Obicie mogli zmienić.

— Musimy dokładniej obejrzeć.

— Czy wszystkie krzesła są tutaj?

— Zaraz policzę. Momencik, momencik...

Worobianinow zaczął przenosić wzrok z jednego krzesła na drugie.

— Za pozwoleniem — rzekł wreszcie — dwadzieścia cztery krzesła. To niemożliwe. Miało ich wszakże być raptem dziesięć.

— Niech się pan tylko dobrze przyjrzy. Może to inny garnitur.

— Oparcie jak gdyby inne niż przy moich.

— A więc to nie te?

— Nie te.

Hipolit Matwiejewicz był kompletnie zdruzgotany.

— Trudno — rzekł Ostap — posiedzenie trwa nadal. Krzesło to nie szpilka. Znajdzie się. Proszę o nakazy. Wypadnie nam nawiązać niezbyt miły kontakt z administracją muzeum. Siadaj pan obok tej dziewczuszki i siedź. Zaraz wrócę.

Hipolit Matwiejewicz pod surowym okiem Bendera zatracił swą fizjonomię i nader szybko ginał w cieniu potężnego intelektu syna tureckiego obywatela. Teraz, gdy na chwilę został sam na sam z uroczą obywatelką Kałaczewą, zapragnął opowiedzieć jej o wszystkich swych troskach i nadziejach, lecz nie ważył się na to.

— Tak — rzekł, patrząc czule na swą towarzyszkę. — Takie to sprawy.

„Miłości legenda złota” — pomyślał ni stąd, ni zowąd Hipolit Matwiejewicz, wpatrując się w miłą twarzyczkę Lizy. I stary marszałek szlachty tak gwałtownie zapragnął

Pożądanie, Mężczyzna

¹⁷⁹Kiereński, Aleksandr Fiodorowicz (1881–1970) — rosyjski polityk, parlamentarzysta i prawnik; jeden z przywódców umiarkowanych socjalistów; od 20 lipca do 8 listopada 1917 przewodniczący liberalnego Rządu Tymczasowego w Rosji po rewolucji lutowej, obalonego przez rewolucję październikową. [przypis edytorski]

kobięcych pieszczot, których brak nader dotkliwie daje się we znaki, że nie tracąc czasu, ujął łapkę Lizy w swe pomarszczone dłonie i zaczął jej z ferworem opowiadać o Paryżu. Zaprzagnął być bogaty, rozrzutny i zdobywca.

— Pan zapewne jest robotnikiem nauki? — spytała Liza.

— Tak... do pewnego stopnia — odrzekł Hipolit Matwiejewicz, czując, że od chwili zawarcia znajomości z Benderem zachowuje się, wbrew swej naturze, coraz bezczelniej.

— A ile też — przepraszam za ciekawość — liczy pan sobie lat?

— Z nauką, którą w tej chwili reprezentuję, nie ma to żadnego związku.

— Kiedy znów będę miał szczęście oglądać panią? — spytał Hipolit Matwiejewicz.

— Czyż rozmowa ze mną sprawia panu tak wielką przyjemność?

— A więc kiedy? — pytał zniecierpliwiony. — Kiedy i gdzie spotkamy się? Dziś?

— A więc dobrze. Proszę wstąpić do nas.

— Nie, spotkajmy się lepiej gdzieś na ulicy. Takie teraz prześliczne pogody. „To jest wiosna, o której nam szepczą drzewa!...” A więc gdzie się spotkamy?

— Taki pan dziwny! Gdziekolwiek. Może obok kasy ogniotrwałej. Zauważył ją pan?

— Zauważyłem. W korytarzu. O której godzinie?

— Nie mamy zegara. Gdy się ściemni.

Hipolit Matwiejewicz zdążył zaledwie z całym namaszczeniem pocałować Lizę w rączkę, gdy wrócił Ostap. Ostap był bardzo zaaferowany.

— Pani wybaczy — rzekł spiesźnie — ani ja, ani mój przyjaciel nie możemy jej, niestety, odprowadzić. Musimy załatwić pewną drobną, lecz nader ważną sprawę. Musimy, i to natychmiast, udać się w pewne miejsce.

Hipolitowi Matwiejewiczowi aż zaparło dech w piersiach.

— Do widzenia, Elżbieto Piotrówna — rzekł spiesźnie — przepraszam, przepraszam i jeszcze raz przepraszam, mamy sprawę niecierpiącą zwłoki.

Po czym obaj współnicy znikli, zostawiając zdumioną Lizę w pokoju zastawionym obficie dziełami mistrza Gambsa.

— Gdyby nie ja — rzekł Ostap, gdy schodzili ze schodów — byłaby z tego wszystkiego figa. Powinien pan codziennie pacierz za mnie mówić. Módl się pan, módl, głowa panu z karku nie spadnie!

— Znalazły się? — pisał Worobianinow.

— Wyobraź pan sobie, wyobraź, że w tym chaosie ocalały. Nie mają wartości muzealnej. Toteż wpakowano je do magazynu i dopiero wczoraj, akurat wczoraj, wystawiono je po siedmiu latach na licytację. Hala licytacyjna Głównauki¹⁸⁰. I jeśli nie kupiono ich jeszcze wczoraj lub dziś rano, będą nasze! Zadowolony pan?

— Prędzej! — krzyknął Hipolit Matwiejewicz. — Fiakier!¹⁸¹

Wsiadli, nie targując się o cenę.

— Paciorek na moją intencję niech pan zmówi, paciorek! Śmiało, marszałku! Wino, kobiety i karty: murowane. Wtedy też wyrównamy już rachunek za niebieską kamizelkę.

Do pasażu na Pietrowce¹⁸², gdzie znajduje się hala licytacyjna, nasi współnicy wbiegli żwawo jak żrebaki.

Zaraz w pierwszym pokoju znaleźli to, czego tak długo poszukiwali. Dziesięć krzesel Hipolita Matwiejewicza stało wzdłuż przepierzenia. Nawet obicie na nich nie wyblakło, nie zbrukało się ani też nie zepsuło. Krzesła były świeże i czyste, jak gdyby dopiero przed chwilą wyszły spod starannej opieki schludnej Klauдії Iwanowny.

— Te? — spytał Ostap.

— Boże, Boże — powtarzał w kółko Hipolit Matwiejewicz — te, te. Te same. Tym razem nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Dla pewności sprawdzimy — rzekł Ostap, usiłując zachować pozorny spokój.

Podszedł do sprzedawcy.

— Jeśli się nie mylę, krzesła te pochodzą z Muzeum Mebli?

— Te? Tak.

¹⁸⁰ *Głównauka* — Główny Zarząd Placówek Naukowych, Muzealnych i Naukowo-Artystycznych; agencja rządowa koordynująca badania teoretyczne i promująca naukę i kulturę w RFSRR w latach 1921–1930. [przypis edytorski]

¹⁸¹ *fiakier* (daw.) — dorożkarz. [przypis edytorski]

¹⁸² *Pietrowka* — ulica w centrum Moskwy, wychodząca z Placu Teatralnego. [przypis edytorski]

— A czy są one na sprzedaż?
— Na sprzedaż.
— Cena?
— Ceny jeszcze nie wyznaczono. Pójdą z licytacji.
— Aha! Dziś?
— Nie. Dziś już handel skończony. Jutro od piątej.
— A teraz nie można by ich kupić?
— Nie, jutro od piątej.

Trudno było odejść tak od razu od krzesel.

— Czy pozwoli pan — wybelkotał Hipolit Matwiejewicz — obejrzeć je? Można?

Aferzyści długo oglądali krzesła, siadali nawet na nich, a dla niepoznaki oglądali też inne rzeczy. Worobianinow sapał i ustawicznie trącał Ostapa łokciem.

— Paciorek zmów pan — szeptał Ostap. — Paciorek, marszałku.

Hipolit Matwiejewicz gotów był nie tylko zmówić pacierz na intencję Ostapa, lecz nawet całować podeszwy jego malinowych trzewików.

— Jutro — powtarzał — jutro, jutro, jutro.

Chciało mu się śpiewać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY EUROPEJSKIE GŁOSOWANIE

Pobyt Worobianinowa i wielkiego kombinatora pozostawił w mieście niezatarte ślady.

Spiskowcy starannie dochoowywali tajemnicy.

Polesow odwiedzał regularnie wszystkich członków tajnego Związku Miecza i Lemiesza. Wizyty te niepokoiły zwłaszcza ostrożnego właściciela odeskiej wytwórni „Moskiewskie obwarzanki”, obywatela Kislarskiego. Na widok Polesowa obywatel Kislarski dosłownie zieleniał. Słowa o konieczności czynnego wystąpienia doprowadzały lękliwego kupca niemal do szału.

Pod koniec tygodnia zebrali się wszyscy u Heleny Stanisławówny w pokoju z papugą. Polesow gorączkował się.

— Ty, Wiktorze, nie miał jeżorem po próżnicy¹⁸³ — perswadował roztropny Diadiew.

— Po co całymi dniami wałęsas się po mieście?

— Trzeba działać! — wrzasnął Polesow.

— Działać trzeba, ale krzyczeć całkiem nie trzeba. Jeśli Hipolit Matwiejewicz powiedział, to jak amen w pacierzu. I należy przypuszczać, że niedługo już wypadnie nam czekać. Nie musimy bynajmniej wiedzieć, jak to wszystko będzie się odbywało. Do tego są powołani wojskowi. A my jesteśmy cywilami: przedstawicielami miejskiej inteligencji i kupiectwa. O co przede wszystkim musimy dbać? O to, by być w pogotowiu. A czy my co mamy? Mamy jakie władze? Nie. Kto stanie na czele miasta? Nie wiadomo. A to, panowie, jest rzecz najważniejsza. Anglicy, jak głoszą ostatnie wieści, nie będą już dłużej patyczkować się z bolszewikami. To jak gdyby pierwsza jaskółka. Wszystko, proszę państwa, zmieni się, i to już bardzo prędko. Zapewniam was.

— Cóż więc mamy teraz robić? — przerwał niecierpliwie Wiktor Michałowicz.

— Zaraz — rzekł Diadiew — weźcie przykład z towarzysza pana Worobianinowa. Co za spryt! Jaka przezorność! Zauważyliście, jak szybko skierował rozmowę na pomoc dla bezdomnych dzieci? Tak właśnie winniśmy działać. Pomagamy wyłącznie dzieciom. Panowie, proszę stawiać kandydatury.

— Hipolita Matwiejewicza Worobianinowa proponujemy na marszałka szlachty! — wykrzyknęli młodzi Nikiesza i Wołodia.

Czarusznikow pobłażliwie chrząknął.

— Z księżycza spadliście?! Worobianinow będzie co najmniej ministrem. A kto wie, może zajędzie jeszcze wyżej: dyktatorem będzie!

— Dajcie spokój, panowie — mitygował Diadiew — marszałek to fraszka! O gubernatorze musimy pomyśleć, a nie o marszałku. Zaczniemy od gubernatora. Sądzę...

— Pana Diadiewa! — wrzasnął z zachwytem Polesow. — Któż jest godniejszy od niego, by sprawować rządy nad całą gubernią?

¹⁸³po próżnicy — na próżno. [przypis edytorski]

— Dziękuję panom za zaufanie... — zaczął Diadiew.

Czarusznikow oblał się nagle rumieńcem.

— Kwestię tę, proszę państwa — rzekł zmienionym głosem — należałoby jeszcze przewentylować...

Starł się przy tym nie patrzeć na Diadiewa.

Właściciel „Szybkopaku” oglądał dumnie swe buty, do których przyłgnęły trociny.

— Nie oponuję — rzekł — przegłosujmy. Zarządzimy tajne czy też jawne głosowanie?

— Nie będziemy się chyba wzorowali na sowieckich zwyczajach — rzekł urażony Czarusznikow. — Głosujmy uczciwie, po europejsku: tajnie.

Głosowano kartkami. Za kandydaturą Diadiewa padły cztery głosy, za kandydaturą Czarusznikowa — dwa. Ktoś wstrzymał się. Z wyrazu twarzy Kisłarskiego widać było, że to on właśnie wstrzymał się od głosowania. Nie chciał zadzierać z przyszłym gubernatorem, ktokolwiek nim będzie.

Gdy drżący z emocji Polesow ogłosił wynik uczciwego europejskiego głosowania, zapanowała w pokoju przygnębiająca cisza. Starano się nie patrzeć na Czarusznikowa. Niefortunny kandydat na gubernatora siedział jak obity pies.

Helenie Stanisławównie było go żal. To ona właśnie głosowała za nim. Drugi głos oddał na siebie sam — obznajomiony dokładnie z kwestiami wyborczymi — Czarusznikow. Ciszę przerwała zacna Helena Stanisławówna:

— A na burmistrza proponowałabym jednakże *monsieur*¹⁸⁴ Czarusznikowa.

— Dlaczego „jednakże”? — odezwał się wspaniałomyślny gubernator. — Nie „jednakże”, lecz jego właśnie i nikogo innego. Doskonale znamy wszyscy działalność społeczną pana Czarusznikowa.

— Prosimy, prosimy! — krzyknęli wszyscy.

— A więc mogę uważać wybór za dokonany?

Czarusznikow ożywił się i zdobył się nawet na protest:

— Nie przyjmuję, panowie, nie przyjmuję. Proszę przegłosować. Głosowanie nad osobą burmistrza jest nawet konieczniejsze niż głosowanie na gubernatora. Jeśli chcecie, panowie, dać wyraz swemu zaufaniu do mnie, to bardzo usilnie was proszę, poddajcie moją kandydaturę pod głosowanie!

Kartki wrzucono do pustej cukiernicy.

— Sześć głosów za — oznajmił Polesow — jedna kartka pusta.

— Gratuluję panu burmistrzowi — rzekł Kisłarski z wyrazem twarzy, z którego widać było, że i tym razem wstrzymał się od głosowania — gratuluję!

Czarusznikow promieniał.

— Trzeba to, wasza ekscelencjo, oblać — zwrócił się do Diadiewa. — Polesow, może by pan skoczył do „Października”. Ma pan forszę?

Polesow zrobił ręką tajemniczy gest i zniknął. Zarządzono przerwę. Dalsza część wyborów odbyła się już podczas kolacji.

Na kuratora okręgu szkolnego upatrzono ongi dyrektora szlacheckiego gimnazjum, a obecnie księgarza — Raspopowa. Cieszył się dobrą opinią.

Kisłarskiemu zaproponowano godność prezesa rady giełdowej. Nie oponował przeciw temu, lecz podczas głosowania wrzucił — na wszelki wypadek — białą kartkę.

Wertując znajomych i krewnych, wybrano policmajstra, zarządcę mennicy, inspektora podatkowego i fabrycznego, wyznaczono prokuratora sądu okręgowego, prezesa, sekretarza i sędziów tego sądu, obsadzono stanowiska przewodniczących samorządu powiatowego, izby przemysłowo-handlowej, komitetu pomocy dzieciom i wreszcie stanowisko prezesa zarządu miejskiego. Helenę Stanisławównę obdarzono godnością kuratorki towarzystw „Kropla mleka” i „Biały kwiatek”. Nikieszę i Wołodię — ze względu na ich młody wiek — mianowano urzędnikami do specjalnych zleceń przy gubernatorze.

— Za pozwoleniem! — krzyknął nagle Czarusznikow. — Gubernatorowi przydzielono aż dwóch urzędników! A mnie?

— Burmistrz — rzekł z całą delikatnością gubernator — nigdy nie miewa urzędników do specjalnych zleceń.

— A więc proszę o wyznaczenie mi sekretarza.

¹⁸⁴*monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

Na to Diadiew zgodził się. Ożywiła się również Helena Stanisławówna.

— A może dałoby się... — zaczęła nieśmiało. — Mam na oku pewnego młodzieńca... Bardzo miły i dobrze ułożony chłopak. Syn *madame* Czerkiesowej... Bardzo, bardzo miły i bardzo zdolny. Jest teraz bezrobotny. Zarejestrowany na giełdzie pracy. Ma nawet książeczkę. Obiecano przyjąć go w tych dniach do związku... Czy mógłby pan dać mu u siebie zajęcie? Matka jego byłaby panu niezmiernie obowiązana.

— Przypuszczam, że da się to zrobić — łaskawie przychylił się do prośby Czarusznikow. — Jak się państwo na to zapatrujecie? Tak... Sądzę, że nie powinno to napotkać na żadne trudności.

— A więc — zauważył Diadiew — wydaje mi się, że to jest w ogólnych zarysach... wszystko? Chyba wszystko?

— A ja? — rozległ się naraz cienki, wzburzony głos.

Wszyscy odwrócili się. W kącie obok papugi stał rozdygotany całkiem Polesow. Na rzesach Wiktora Michałowicza drżały lzy. Wszystkim zrobiło się nad wyraz przykro. Przypomnieli sobie nagle goście, że piją wódkę Polesowa i że w ogóle jest on jednym z głównych organizatorów starogrodzkiej sekcji „Miecza i Lemiesza”.

— Wiktorze Michałowiczu! — jęknęli chórem. — Drogi, miły Wiktorze Michałowiczu! Wstydź się pan! Dlaczego stanął pan tak na uboczu? W kącie? Proszę się zaraz zbliżyć.

Polesow zbliżył się. Cierpiał. Nie spodziewał się takiego despektu¹⁸⁵ od współtowarzyszy spod znaku miecza i lemiesza.

Helena Stanisławówna nie wytrzymała.

— A czy, proszę państwa, nie mógłby Wiktor Michałowicz sprawować godnie obowiązków kuratora okręgu szkolnego lub policmajstra?

— Cóż, Wiktorze Michałowiczu? — spytał gubernator. — Chce pan zostać kuratorem?

— Rozumie się, że Polesow będzie świetnym humanitarnym kuratorem! — poparł kandydaturę Polesowa burmistrz.

— A Raspopow? — wtrącił dotknięty do żywego Wiktor Michałowicz. — Raspopowa przecież mianowaliście kuratorem?

— Racja, co począć z Raspopowem?

— Może zrobimy go komendantem straży ogniowej... Jak myślicie?

— Komendantem straży? — zerwał się nagle Wiktor Michałowicz.

Ukazały mu się naraz w wyobraźni wozy strażackie, luna pożaru, usłyszał dźwięki pobudki, łomot bębnow... Błysnęły topory, zamigotały pochodnie, rozwarła się ziemia i gniade smoki poniosły go w stronę płonącego miejskiego teatru.

— Komendant straży? Ja chcę być komendantem straży!

— Doskonale! Gratuluję, jest pan komendantem straży!

— Niech żyje straż ogniowa! — wniósł ironicznie toast przewodniczący rady giełdowej.

Wszyscy zgodnie zaatakowali Kislarskiego.

— Pan zawsze był lewicowcem! Dobrze o tym wiemy!

— Panowie, czyż ja jestem lewicowcem?

— Wiemy, wiemy!

— Lewicowiec!

— Wszyscy Żydzi są lewicowcami.

— Jak mi Bóg miły, panowie, nie rozumiem tych żartów.

— Lewicowiec, lewicowiec, niech się pan nie zapiera!

— Śpi, a we śnie śni mu się Milukow¹⁸⁶.

— Kadet! Kadet!

Kislarski nie mógł znieść tego gradu nieuzasadnionych oskarżeń. Błady jak chusta prezes rady giełdowej oparł się o poręcz krzesła i rozdygotanym głosem, mrugając raz po raz oczkami, oświadczył:

¹⁸⁵*despekt* — afront. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*Milukow, Paweł* (1859–1943) — rosyjski polityk, historyk i publicysta; założyciel Partii Konstytucyjno-Demokratycznej (tzw. kadetów). [przypis edytorski]

— Byłem zawsze paździenikowcem i nadal pozostanę.

Rozmowa potoczyła się na temat wojny.

— Będzie wojna, będzie.

— Radzę wam, póki czas, zrobić jakie takie zapasiki.

— Czyżby? — zląkł się Kislarski.

— A cóż pan przypuszcza? Wydaje się panu, że w razie wojny można będzie choć cokolwiek zdobyć? Przede wszystkim znika mąka ze sklepów! Srebrne monетки zapadają się jak gdyby pod ziemię, zaczynają kursować rozmaite świstki, marki pocztowe¹⁸⁷ i temu podobne śmiecie.

— Róbcie, jak uważacie — rzekł Diadiew. — Ja tam cały zapas gotówki zużyję na zakup artykułów pierwszej potrzeby.

— A pańska manufaktura?

— Manufaktura manufakturą, a mąka i cukier swoją drogą. I wam również to radzę. Gorąco radzę.

Rozeszli się dopiero po północy. Gubernator odprowadził burmistrza. Obaj dotrzy-mywali sobie przesadnie kroku.

— Gubernatorze! — mówił Czarusznikow. — Jaki z ciebie gubernator, jeśli nie jesteś generałem?

— Będę cywilnym gubernatorem, a ciebie zazdrość żre? Jeśli zechcę, wpakuję cię do kryminału. Posiedzisz sobie.

— Nie wolno mnie więzić. Jestem zaszczycony zaufaniem mas. Wybrany w tajnym głosowaniu.

— Gdy przymknę ciębie, nie będzie dziury w niebie!

— Wypraszam sobie tego rodzaju żarty! — wrzasnął nagle Czarusznikow na całe gardło.

— Czego się drzesz?! — spytał gubernator. — Chcesz nocować w milicji?

— Nie mogę nocować w milicji — odrzekł burmistrz — jestem sowieckim urzęd-nikiem...

Płonęły gwiazdy. Noc była pełna czarów. Na ulicy Sowieckiej toczył się zajadły spór pomiędzy gubernatorem i burmistrzem...

ROZDZIAŁ SZESNASTY OD SEWILLI DO GRENADY

Za pozwoleniem, a gdzie jest ojciec Fiodor? Gdzie się podział ogolony proboszcz parafii Flora i Laura? Wybierał się bodaj do domu numer 34 przy ulicy Winnej do obywatela Brunsa? Gdzież jest ten poszukiwacz skarbów w masce anioła i śmiertelny wróg Hipolita Matwiejewicza, czatującego właśnie z biciem serca w ciemnym korytarzu koło kasy ogniotrwałej?

Ojciec Fiodor przepadł jak kamień w wodę. Licho go gdzieś poniosło. Powiadają, że widziano go na stacji Popasnaja w okręgu donieckim. Biegł po peronie z czajnikiem pełnym wrzątku.

Opętało coś ojca Fiodora. Zachciało mu się bogactwa. Ugania się po Rosji, szukając krzesel generałowej Popowej, w których, wyznać to trzeba bez ogródek, nie ma ani złamanego szeląga¹⁸⁸.

Jędzi ojcaszek po Rosji. I pisze listy do żony.

LIST

ojca Fiodora, pisany na dworcu w Charkowie do żony przebywającej w po-wiatowym mieście N.

Kochanie moje, Katarzyno Aleksandrówno! Zawiniłem bardzo wobec cie-bie. Porzuciłem cię, niebogo¹⁸⁹, w tych okropnych, niepewnych czasach. Muszę ci wszystko dokumentnie opowiedzieć. Zrozumiesz mnie i bez wąt-pienia rozgrzeszysz. A teraz czytaj uważnie. Wkrótce już zmieni się nasze

¹⁸⁷marka pocztowa (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

¹⁸⁸szeląg — dawna drobna moneta miedziana. [przypis edytorski]

¹⁸⁹nieboga — biedaczka, nieszczęsna. [przypis edytorski]

życie na lepsze. Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś o fabryce świc. Będzie jak amen w pacierzu i może jeszcze coś niecoś będzie. A ty nie będziesz już musiała gotować sama obiady i trzymać jeszcze na dobitkę stołownika. Do Samary pojedziemy. Służącą sobie przyjmiemy. Sprawa, uważasz, jest taka... lecz zachowaj to w wielkim sekrecie: nikomu, nawet Marii Iwanownie, nie piśnij ani słówka. Szukam skarbu. Przypominasz sobie nieboszczkę Klaudię Iwanownę Pietuchową, teściową Worobianinowa? Klaudia Iwanowna wyznała przed śmiercią, że w jej domu w Starogrodzie, w jednym z krzesel (jest ich raptem dwanaście) ukryła swe brylanty. Nie pomyśl, uchowaj Boże, Katiénko, że jestem jakimś złodziejem. Brylanty te przekazała mi nieboszczka na łożu śmiertelnym i nakazała strzec ich przed dręczycielem jej, Hipolitem Matwiejewiczem. Oto powody, dla których ciebie, nieboże!¹⁹⁰, porzuciłem tak niespodzianie. Już ty mi daruj me winy. Przyjechałem do Starogrodu. Wyobraź sobie, ten stary rozpustnik też tam się znalazł. Dowiedział się jakimś cudem. Najwidoczniej torturował nieboszczkę przed śmiercią. Okropny człowiek! Jeździ z nim jakiś kryminalista spod ciemnej gwiazdy, wynajął sobie, uważasz, bandytę. Po prostu napadli na mnie, chcieli mnie sprzątnąć. Lecz ze mną nie tak łatwo, lepiej nie zadzierać, nie dałem się. Najpierw natrafiłem na fałszywe ślady. W willi Worobianinowa (jest tam teraz zakład dobroczynny) znalazłem jedno krzesło. Niosę ten mebel do siebie do Hotelu Sorbona, aż tu naraz z za węglą¹⁹¹ rzuca się na mnie jakieś indywiduum, rycząc dziko jak lew. Złapał za krzesło. Omal nie doszło do bójki. Chciano mnie, uważasz, skompromitować. Przyjrzałem mu się — wielkie nieba — Worobianinow! Ostrzygł się, wyobraź sobie, łeb sobie zgolił. Aferzysta, kompromituje się na stare lata. Połamaliśmy krzesło doszczętnie, lecz nic tam nie było. Dopiero wtedy zrozumiałem, że byłem na fałszywym tropie. A wtedy bardzo martwiłem się. Dotknęło mnie to do żywego, toteż wyłożyłem temu rozpustnikowi całą prawdę na talerz. „A to — powiadam — hańba na stare lata. A to — powiadam — jakieś dzikie zwyczaje zapanowały teraz w Rosji. Marszałek szlachty, niby lew, rzuca się na osobę duchowną i wymawia jej bezpartyjność? Pan — powiadam — jest podłym człowiekiem, dręczycielem Klaudii Iwanowny i amatorem cudzego mienia, które teraz jest już państwowym, a nie jego mieniem”. Wstyd mu się zrobiło i poszedł sobie — przysięgłbym, że do domu publicznego. A ja wróciłem do siebie, do Hotelu Sorbona, i zacząłem obmyślać plan działania na przyszłość. I wpadłem na taki pomysł, na który ten golony dureń nigdy by nie wpadł. Postanowiłem odnaleźć człowieka, który z urzędu przydzielał zarekwirowane meble. Widzisz, Katiénko, nie na próżno kształciłem się na wydziale prawnym — przydało mi się teraz. Odnalazłem tego człowieka. Nazajutrz już go odnalazłem. Bartłomiejewicz — bardzo godny staruszek. Żyje sobie — ciężką pracą na chleb powszedni zarabia. Dał mi wszystkie dokumenty. Musiałem go, oczywista, wynagrodzić za tę przysługę. Zostałem bez pieniędzy (ale o tym potem). Okazało się, że wszystkie dwanaście krzesel z salonu Worobianinowa nabył inżynier Bruns, zamieszkały przy ulicy Winnej 34. Zauważ, wszystkie krzesła są w posiadaniu jednego człowieka. A tego w żadnym wypadku nie spodziewałem się (obawiałem się, że krzesła będą w rozmaitych miejscach). Bardzo się z tego powodu ucieszyłem. I znów, akurat w „Sorbonie”, spotkałem się z tym łotrem Worobianinowem. Zbeształem go, jak się patrzy, a i jego kamrata nie szczędziłem. Okropnie bałem się, by nie przeniknęli czasem mojej tajemnicy. Toteż przyczałem się w hotelu aż do chwili ich odjazdu. Bruns, jak się okazało, w 1923 roku przeniósł się ze Starogrodu do Charkowa, gdzie otrzymał posadę. Od dozorczy domu dowiedziałem się, że zabrał ze sobą wszystkie meble i że bardzo o nie dba. Powiadają, że to człowiek solidny. Siedzę teraz w Charkowie na dworcu i piszę z tej oto racji. Po

¹⁹⁰nieboże — biedactwo, nieborak, ktoś nieszczęśliwy. [przypis edytorski]

¹⁹¹węgiel — zewnętrzny róg budynku, narożnik. [przypis edytorski]

pierwsze, bardzo ciebie kocham i często wspominam, a po drugie, Bruna już tu nie ma. Lecz nie martw się. Bruns, jak mnie poinformowano, pracuje teraz w Rostowie, w Noworoscemencie¹⁹². Pieniędzy starczy mi ledwo na drogę. Wyjeżdżam za godzinę. A ty, moja kochana, wstąp, proszę cię, do szwagra, weź od niego pięćdziesiąt rubli (winien mi tę kwotę i przyrzekł oddać) i wyślij do Rostowa — na *poste restante*¹⁹³ dla Fiodora Joanowicza Wostrikowa. Przekaz — ze względów oszczędnościowych — wyślij pocztą. Będzie cię to kosztować trzydzieści kopiejek. Co słyhać w mieście? Czy są jakie nowiny? Czy była u ciebie Kontratiewna? Ojcu Cyryłowi powiedz, że lada dzień wrócę, że pojechałem, uważasz, do konającej ciotki do Woroneża. Żyj oszczędnie. Czy Jewstigniejew stołuje się nadal? Pozdrów go ode mnie. Powiedz, że pojechałem do ciotki. Czy pogoda wam dopisuje? Tu, w Charkowie, mamy kompletne lato. Miasto wspaniałe. Stolica ukraińskiej republiki. Po dziurze prowincjonalnej wydaje się człowiekowi, że znalazł się za granicą. Pamiętaj: 1) Letnią sutannę oddaj do pralni (lepiej zapłacić trzy ruble za wypranie, niż rujnować się na nową). 2) Szanuj zdrowie. 3) Jeśli będziesz pisała do Gulenki, zaznacz od niechcienia, że pojechałem do ciotki do Woroneża. Pozdrów wszystkich. Powiedz, że wkrótce wrócę. Czule całuję cię, obejmuję i błogosławię. Twój mąż Fiedia. P. S. Gdzie też teraz myszkuje ten Worobianinow?

*

Miłość zjada człowieka. Byk ryczy z namiętności. Kogut nie może znaleźć sobie miejsca. Marszałek szlachty traci apetyt.

Miłość

Hipolit Matwiejewicz, zostawiwszy Ostapa w knajpie, udał się do różowego domku i stanął na czatach obok kasy ogniotrwałej. Słyszał turkot odchodzących do Kastylii¹⁹⁴ pociągów i plusk odbijających od brzegu parostatków.

Nikną w oddali Alpuhary¹⁹⁵ złote wieżycy...

Serce tłukło jak dzwon na trwogę. W uszach dzwoniło...

Wyjdz, me kochanie, na zew gitary, ukój tęsknicę¹⁹⁶... Niepokój unosił się w powietrzu. Bezlitosny był chłód kasy ogniotrwałej.

Od Sewilli¹⁹⁷ do Grenady¹⁹⁸, poprzez cichej nocy lęk...

W „piórnikach” jęczały gramofony. Rozlegało się brzęczenie prymusów.

Słyhać dźwięki serenady, słyhać groźny mieczy szczyk...

Jednym słowem, Hipolit zakochał się po uszy w Lizie Kałaczewej.

Wielu ludzi mijają czatującego w korytarzu Hipolita Matwiejewicza, lecz zalatywał od nich zapach tytoniu, wódki, apteki albo też zapach kwaszonego barszczu.

Wskutek panujących w korytarzu ciemności można było rozróżniać ludzi jedynie po zapachu lub krokach.

Liza nie przechodziła dotąd.

Co do tego Hipolit Matwiejewicz nie miał żadnych wątpliwości. Nie ćmiła przecież papierosów, nie piła wódki i nie nosiła butów podkutych żelaznymi gwoździami.

Nie mogła pachnieć ani jodyną, ani wędzonką. Mógł od niej zalatywać jedynie najsubtelniejszy zapach ryżowej kaszy lub smacznie przyrządzonego siana, którym pani Nordman-Siewierowa tak długo żywiła znakomitego malarza Ilję Riepina.

¹⁹²*Noworoscement* — rosyjska firma produkująca cement, z siedzibą w Noworosyjsku; założona w 1882. [przypis edytorski]

¹⁹³*poste restante* (fr.) — poczta pozostająca, wysyłka na adres urzędu pocztowego dogodnego dla odbiorcy, a nie na adres zamieszkania. [przypis edytorski]

¹⁹⁴*Kastylia* — region w śr. Hiszpanii, położony na płaskowyżu, z licznymi pasmami górskimi. [przypis edytorski]

¹⁹⁵*Alpuhara* — górzysta kraina w płd. Hiszpanii, w Andaluzji. [przypis edytorski]

¹⁹⁶*tęsknica* (daw.) — tęsknota. [przypis edytorski]

¹⁹⁷*Sewilla* — główne miasto Andaluzji. [przypis edytorski]

¹⁹⁸*Grenada* — miasto w płd. Hiszpanii, w Andaluzji. [przypis edytorski]

Lecz oto rozległy się lekkie, niepewne kroki. Ktoś szedł przez korytarz, rozkosznie pomrukując i potykając się o jego elastyczne ściany.

— Czy to pani, Elżbieto Piotrówna? — spytał Hipolit Matwiejewicz głosikiem przypominającym podmuch zefiru.

W odpowiedzi rozległ się bas:

— Przepraszam, gdzie tu mieszkają Pfefferkornowie? Ciemno choć oko wykol.

Przeżony Hipolit Matwiejewicz zamilkł. Poszukiwacz Pfefferkornów, nie doczekawszy się odpowiedzi, poszedł po omacku dalej.

Liza nadeszła dopiero około dziewiątej. Wyszli na ulicę. Niebo powlekło się karmelkową zielenią.

— Dokąd pójdziemy? — spytała Liza.

Hipolit Matwiejewicz spojrzał na jej białą, roziskrzoną twarzyczkę i zamiast powiedzieć po prostu: „Tu, Inezjo, pod oknem twym stoję”, zaczął rozwlekle i nudno opowiadać o tym, że już dawno nie był w Moskwie i że Paryż stokrotnie przewyższa Moskwę, która, niech sobie ludzie mówią, co chcą, jest jeno¹⁹⁹ dużą, bezplanowo rozrzuconą wsią.

— Pamiętam, Elżbieto Piotrówno, owe czasy, gdy Moskwa była inna. Teraz na każdym kroku odczuwa się sknerstwo. A my w owych czasach nie liczyliśmy się z groszem. Hej, użyjmy żywota, wszak żyjem²⁰⁰ tylko raz! Piękna piosenka...

Poprzez Bulwar Preczystieński doszli do Kościoła Zbawiciela. Tramwaje toczyły się poprzez mosty. Rzekę pruły łódki. Smętnie brzęczała harmonijka.

Liza, ścisnąwszy dłoń Hipolita Matwiejewicza, opowiedziała mu o swych wszystkich strapieniach. O sprzeczce z mężem, o ciężkiej doli wśród podsłuchujących ustawicznie sąsiadów — dawnych chemików — i o monotonii jaskiej kuchni.

Hipolit Matwiejewicz słuchał i kombinował. Budziły się w nim demony. Marzył o jakiejś niezwyklej kolacji.

Doszedł do wniosku, że takie dziewczę trzeba koniecznie czymś olśnić.

Hipolit Matwiejewicz miał w kieszeni połowę kwoty zarobionej przez aferzystów na starogrodzkim spisku. Dla odwykłego od komfortu Worobianinowa była to zawrotna suma.

Podniecony nadzieją romansu, pragnął olśnić Lizę szerokim gestem. Uważał, iż ma po temu wspaniałe warunki.

Z dumą pomyślał o tym, jak łatwo zdobył ongi serce pięknej Heleny Bour.

Posiadał zdolność łatwego i nonszalanckiego wydawania pieniędzy. W całym Starogrodzie słynął z oglądy towarzyskiej i umiejętności prowadzenia rozmów z salonowymi lwicami. Śmieszna rzeczą wydawało mu się roztaczanie wszystkich swych walorów towarzyskich w celu zdobycia tego sowieckiego maleństwa, które, prawdę mówiąc, niczego jeszcze, jak się patrzy, nie znało ani nie widziało.

Po krótkiej perswazji Hipolit Matwiejewicz zawiózł Lizę do wzorowej restauracji MSPO pod firmą „Praga”. Był to, według słów Bendera, najlepszy lokal w Moskwie.

„Praga” olśniła Lizę mnóstwem luster, żyrandoli i kwiatów. Lizie można to było darować, albowiem jeszcze nigdy w życiu nie była w dużych, luksusowych restauracjach.

Lecz całkiem nieoczekiwanie sala lustrzana zdziwiła również Hipolita Matwiejewicza. Zacofaniec zapomniał o zwyczajach światowych. Wstydził się teraz kompletnie swych buciarów o sfatygowanych mocno obcasach, wstydził się przedwojennych jeszcze spodni i księżycowej kamizelki upstrzonej srebrnymi gwiazdkami.

Oboje zmieszali się i stanęli, jak wryci, na progu. Towarzystwo w restauracji było dość mieszane.

— Może siądziemy w tamtym kącie? — zaproponował Worobianinow, mimo iż tuż koło estrady, na której orkiestra znęcała się nad *Bajadera*, były wolne stoliki.

Liza, czując, że wszyscy na nią patrzą, szybko zgodziła się. Za nią, bardzo zmieszany, kroczył lew salonowy i zdobywca kobiet — Worobianinow.

Wytarte spodnie salonowego lwa zwiślały na kształt worka. Zdobywca kobiet zgarbił się i pragnąc opanować mieszanie, zaczął przecierać szkła.

¹⁹⁹jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

²⁰⁰żyjem — skrócona forma od: żyjemy. [przypis edytorski]

Nikt nie podchodził do stołu. Tego Hipolit Matwiejewicz nie spodziewał się. I zamiast uprzejmą rozmową bawić swą damę, milczał, męczył się, nieśmiało stukał popielniczką i nieustannie chrząkał.

Liza ciekawie rozglądała się po sali, milczenie stawało się nieznośne, lecz Hipolit Matwiejewicz nie mógł wyksztusić ani słowa. Zapomniał z kretesem, co w takich okolicznościach zwykł był mówić.

Usta knebłowało mu to, że nikt ze służby nie podchodził do stolika.

— Proszę pana — przywoływał przebiegających koło stolika robotników „nar-pita”²⁰¹.

— Momencik — krzykali kelnerzy, mijając stolik.

W końcu przyniesiono kartę. Hipolit Matwiejewicz z widoczną ulgą pogrążył się w kontemplacjach nad nią.

— Patrzcie — bąknął — sznycle cielące dwa dwadzieścia pięć, filet — dwa dwadzieścia pięć, wódka — pięć rubli.

— Pięć rubli duża karafka — poinformował kelner, niecierpliwiąc się najwidoczniej.

„Co się ze mną dzieje? — przeraził się Hipolit Matwiejewicz. — Staję się śmieszny”.

— Bardzo proszę — zwrócił się do Lizy z mocno spóźnioną uprzejmością — może pani zechce wybrać? Co pani każe?

Lizie było przykro. Widziała, że kelner lekceważąco spogląda na jej towarzysza i rozumiała, że robi on coś nie tak, jak należy.

— Nie chce mi się zupełnie jeść — głos jej się załamywał — albo... już wiem... Powiedzcie mi, towarzyszu, czy mogłabym dostać u was coś z jarskich potraw?

Kelner zaczął przestępować z nogi na nogę, jak koń.

— Nic jarskiego nie mamy. Może by tak omlecek z szynką?

— Już wiem — rzekł, powziąwszy nagle decyzję, Hipolit Matwiejewicz. — Proszę nam dać parówek. Elżbieto Piotrówno, będzie pani jadła parówki?

— Będę.

— Tak. Parówki. Te po rubel dwadzieścia pięć. I butelkę wódki.

— Mogę służyć tylko karafeczką.

— A więc proszę o dużą karafkę.

Robotnik nar-pita rzucił okiem na bezbronną Lizę.

— Jakie zakąski każą państwo podać? Kawioru świeżego? Coś z ryb? A może paszteciki?

W Hipolicie Matwiejewiczu zachnął się urzędnik ZAGS-u.

— Nie trzeba — burknął opryskliwie. — Po ile są u was kwaszone ogórki? Dobrze, poproszę o dwa.

Kelner zniknął i przy stoliku znów zapanowało milczenie. Ciszę przerwała Liza.

— Nigdy tu jeszcze nie byłam. Bardzo tu przyjemnie.

— T-a-a-k — przytaknął Hipolit Matwiejewicz, obliczając w myśli cenę zamówionych potraw.

„Gdy tylko — pomyślał sobie — napiję się wódki, zaraz nabiorę animuszu. Bo to, doprawdy, tak jakoś nijako”.

Lecz gdy napił się wódki i przegryzł ogórkiem, to nie nabrał wcale animuszu, lecz jeszcze bardziej zasepił się. Liza nie piła. Naprężenie nie znikło. Na dobitkę podszedł do stolika sprzedawca kwiatów i patrząc przymilnie na Lizę, zachęcał Worobianinowa do kupna kwiatów.

Hipolit Matwiejewicz udał, że nie dostrzega wąsatego sprzedawcy, lecz ten nie odchodził. Zalecać się przy nim było absolutną niemożliwością.

Na pewien czas uratował sytuację rozpoczęty właśnie program. Na estradę wyszedł rozlazły mężczyzna w smokingu i lakierach.

— A więc znów mamy przyjemność widzieć się — zwrócił się z nonszalancją do publiczności. — Jako kolejny numer naszego programu ukaże się światowej sławy śpiewaczka, wykonawczyni rosyjskich pieśni ludowych, powszechnie znana w Marinej Roszczy²⁰² Barbara Iwanówna Godlewska. Barbaro Iwanówno! Prosimy!

²⁰¹„nar-pita” — kelner. [przypis redakcyjny]

²⁰²Marina Roszcza — dzielnica w płn. części Moskwy. [przypis edytorski]

Hipolit Matwiejewicz pił wódkę i milczał. Ponieważ Liza nie piła i ciągle wrywała się do domu, trzeba było spieszyć się, żeby wypić całą karafkę.

Gdy na scenę wyszedł kupiecista w prążkowanej kurtce, który zajął z kolei miejsce śpiewaczki, znanej w Marinej Roszczy, i zaśpiewał:

Wciąż w kółko chodźcie
I wszędzie łązicie,
A taka łązega
To istna mordega.
I kiszce waszej ślepej
Nie będzie ni krzty lepiej —

Hipolit Matwiejewicz był już porządnie podchmielony i razem ze wszystkimi gośćmi luksusowej restauracji, których jeszcze tak niedawno uważał za ordynarnych sowieckich bandytów i obrzydliwe sknery — zaczął bić do taktu w dłonie i nucić do wtóru:

Bo taka łązega...
To istna mordega...

Alkohol

Często zrywał się z miejsca i, nie przepraszając swej towarzyszki, pędził do garderoby. Sąsiednie stoliki nazywały go już poufale stryjkiem i zapraszały na kufel piwa. Lecz Worobianinow był nieczuły na te uprzejmości. Stał się naraz dumny i podejrzliwy. Liza stanowczo wstała od stołu:

— Ja idę. A pan niech sobie zostanie. Sama trafię.

— Nie, skądże znowu? Jako szlachcic nie mogę na to pozwolić! Senior! Rachunek! Dranie!

Hipolit Matwiejewicz, kołysząc się na krześle, oglądał długo rachunek.

— Dziewięć rubli dwadzieścia kopiejek? — mamrotał. — A może dać wam jeszcze klucz od mieszkania, w którym leżą pieniądze?

Koniec był taki, że Hipolita Matwiejewicza wyprowadzono z sali, trzymając go tro-skliwie pod rękę. Liza nie mogła uciec, ponieważ numer z szatni miał lew salonowy.

Na ulicy Hipolit Matwiejewicz, nie tracąc czasu, przyparł Lizę do muru i zaczął ją obmacywać. Liza, milcząc, broniła się.

— Panie — mówiła. — Panie! Panie!

— Jedźmy do hotelu! — namawiał ją Worobianinow.

Liza wydarła się wreszcie z objęć Worobianinowa i swą małą piąstką trzepnęła zdobywcę kobiet prosto w nos. Momentalnie spadły mu z nosa binokle i pod potężnym butem stłukły się na miazgę.

Chłodził tam skronie powiew zefiru...

Liza, dławiąc się łzami, pobiegła pędem do swego domu.

Szemrały wody Gwadalkiwiru²⁰³...

Hipolit Matwiejewicz, pozbawiony szkieł, podreptał w przeciwnym kierunku, wrzeszcząc na całe gardło:

— Łap złodzieja!

Potem długo płakał i, wciąż płacząc, kupił od przekupki wszystkie obwarzanki razem z koszem. Wyszedł na Rynek Smoleński, opustoszały i ciemny, i długo przechadzał się po nim, rozrzucając obwarzanki tak, jak siewca rzuca ziarna. Przy tym fałszywie nucił:

— Bo taka łązega to istna mordega...

Następnie Hipolit Matwiejewicz pokumał się z dorożkarzem, duszę przed nim otworzył na oścież i mętnie opowiedział mu o brylantach.

— Wesoły gość! — krzyknął z uznaniem dorożkarz.

Hipolit Matwiejewicz istotnie rozweselił się. Najwidoczniej jednak wesołość jego miała nieco niewłaściwy charakter, albowiem o godzinie jedenastej rano obudził się w milicji. Z dwustu rubli, które miał, zaczynając tak haniebnie szaloną noc uciech, pozostało mu zaledwie dwanaście.

Wydawało mu się, że umiera. Bolał go krzyż, dokuczala wątroba i głowa ciążyła jak olów. Lecz najokropniejsze było to, że absolutnie nie mógł sobie przypomnieć, gdzie

²⁰³ Gwadalkiwir — rzeka w pld. Hiszpanii. [przypis edytorski]

i w jaki sposób wydał tak zawrotną sumę. Po drodze do domu musiał jeszcze wstąpić do optyka po nowe szkła do binokli.

Ostap długo w najwyższym zdumieniu oglądał stłamszoną figurę Hipolita Matwiejewicza. Nic jednak nie powiedział. Był spokojny i gotów do walki.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY EGZEKUCJA

Licytacja rozpoczęła się o piątej. Obywatele pragnących obejrzeć rzeczy znajdujące się na licytacji wpuszczano od czwartej. Przyjaciele przyszli o trzeciej i calutką godzinę oglądali znajdującą się w tym samym gmachu wystawę z zakresu budowy maszyn.

— Widzi mi się — rzekł Ostap — że już jutro, jeśli zechcemy, będziemy mogli kupić sobie ten parowozik. Szkoda, że nie ma na nim ceny. Co tu gadać, przyjemnie jest mieć własny parowóz.

Hipolit Matwiejewicz był zgnębiony. Jedynie tylko krzesła mogłyby go pocieszyć. Oddalił się od nich dopiero wtedy, gdy na katedrę wlał brodaty jegomość w kraciastych spodniach „Stulecie” i kurtce z rosyjskiego kowerkotu²⁰⁴.

Nasi aferzyści usiedli w czwartym rzędzie po prawej stronie. Hipolit Matwiejewicz zaczął się okropnie denerwować. Myślał, że licytację zaczną od krzesel. Lecz w długim spisie stały one dopiero na czterdziestym trzecim miejscu i na pierwszy ogień — jak to zwykle na licytacji — poszła wszelaka starzyzna i rupiecie: pojedyncze sztuki herbowych serwisów, sosjerka, srebrny kubek, pejzaż pędzla Pietunina, wyszywana koralikami torebka damska, zupełnie nowy palnik od prymusa, popiersie Napoleona, płócienne biustonosze, gobelin *Mysliwy strzelający do dzikich kaczek* i temu podobna zbieranina.

Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i czekać. Czeakać było straszliwie ciężko. Wszystkie krzesła stały na widoku. Cel był bliski — osiągalny. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę.

„Zakotłowałoby się tutaj nieludzko — pomyślał Ostap, oglądając zgromadzoną publiczność — gdyby te ananasy dowiedziały się, jaka gratka przypadnie dziś nabywcy tych krzesel”.

— Rzeźba wyobrażająca sprawiedliwość! — oznajmił licytator. — Brąz. W całkiem dobrym stanie. Pięć rubli. Kto da więcej? Sześć i pół po prawej, tam w końcu: siedem. Osiem rubli w pierwszym rzędzie na wprost. Po raz drugi osiem rubli na wprost. Po raz trzeci. W pierwszym rzędzie na wprost.

Do obywatela w pierwszym rzędzie pomknęła chyżo jakaś dziewczoja²⁰⁵, by za pokwitowaniem zainkasować należną od niego kwotę.

Stukał młotek. Sprzedano już popielniczkę z pałacu, szkło Baccarat²⁰⁶, porcelanową puderniczkę. Czas dłużył się niemiłosiernie.

— Brązowa figurka Aleksandra III²⁰⁷. Może służyć jako przycisk. Do niczego więcej chyba się nie nadaje. Kto kupi popiersie Aleksandra III?

Wśród publiczności rozległ się śmiech.

— Kup sobie, marszałku — zadrwił Ostap. — Pan przecież na to jak na lato!

Hipolit Matwiejewicz nie odrywał oczu od krzesel i milczał.

— Nie ma amatorów? Wycofujemy z licytacji brązowe popiersie Aleksandra III. Rzeźba wyobrażająca sprawiedliwość. Pięć rubli. Kto da więcej?

W pierwszym rzędzie na wprost rozległo się sapanie. Najwidoczniej obywatel z pierwszego rzędu pragnie mieć sprawiedliwość w komplecie.

— Pięć rubli: sprawiedliwość z brązu!

— Sześć! — powiedział obywatel.

— Sześć rubli na wprost. Siedem. Dziewięć rubli w końcu po prawej stronie.

— Dziewięć i pół — rzekł cicho amator sprawiedliwości, podnosząc rękę do góry.

— I pół na wprost. Po raz drugi, i pół na wprost. Po raz trzeci: dziewięć i pół.

Młotek stuknął. Obywatela w pierwszym rzędzie zaatakowała dziewczica z kwitkiem.

²⁰⁴kowerkot — gęsta tkanina wełniana lub półwełniana, używana na płaszczki i kostiumy. [przypis edytorski]

²⁰⁵dziewoja — dorodna dziewczyna. [przypis edytorski]

²⁰⁶Baccarat — huta szkła powstała w 1764 w Baccarat w Lotaryngii. [przypis edytorski]

²⁰⁷Aleksander III Romanow (1845–1894) — cesarz Rosji, król Polski (od 1881), syn Aleksandra II. [przypis edytorski]

Zapłacił należność i udał się do sąsiedniego pokoju, aby odebrać swe brązy.

— Dziesięć krzesel z pałacu! — rzekł nagle urzędnik.

— Dlaczego z pałacu? — zdziwił się szeptem Hipolit Matwiejewicz.

Ostap rozgniewał się na dobre.

— Do stu diabłów! Siedź pan i nie ciskaj sie!

— Dziesięć krzesel z pałacu. Epoka Aleksandra II²⁰⁸. W doskonałym stanie. Z fabryki mebli Gamsa. Wasylu, proszę pokazać jedno krzesło.

Wasyl tak bezceremonialnie chwycił krzesło, że Hipolit Matwiejewicz aż podskoczył.

— A to ciężki idiota! Skaranie boskie! Siadaj pan! — syknął Ostap. — Siadaj, powiadam!

Hipolit Matwiejewicz wyciągnął szyję. Ostap zmienił się cały w słuch. Twarz mu się rozjaśniła.

— Dziesięć krzesel. Orzech. Osiemdziesiąt rubli.

Sala ożywiła się. Sprzedawano rzecz przydatną w gospodarstwie. Ręce podnosiły się jedna za drugą. Ostap nie tracił zimnej krwi.

— Czemu pan nie przystępuje do licytacji? — zaatakował go Worobianinow.

— Precz — odrzekł Ostap, zaciskając zęby.

— Sto dwadzieścia rubli w tylnych rzędach. Sto trzydzieści pięć także tam. Sto czterdzieści.

Ostap z całym spokojem odwrócił się plecami do katedry i z uśmiechem na ustach zaczął oglądać swych konkurentów.

Licytacja osiągnęła punkt kulminacyjny. Wolnych miejsc już nie było. Dama jakaś, stojąca akurat za Ostapem, zapłonęła chęcią zdobycia krzesel i naradziwszy się z mężem — („Prześliczna robota! Popatrz, złotko! Z pałacu przecież!”) — podniosła rękę do góry.

— Sto czterdzieści pięć w piątym rzędzie na prawo. Po raz pierwszy.

Zainteresowanie zgąsło. Zbyt słono.

— Sto czterdzieści pięć. Po raz drugi.

Ostap obojętnie oglądał gzyms. Hipolit Matwiejewicz siedział z głową pochyloną i za każdym razem podskakiwał.

— Sto czterdzieści pięć. Po raz trzeci.

Lecz nim czarny lakierowany młoteczek stuknął o polituowaną katedrę, Ostap odwrócił się, podniósł rękę do góry i niezbyt głośno rzucił:

— Dwieście!

Wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę w stronę naszych aferzystów. Zakolysały się czapki, kaszkiety i kapelusze. Licytator podniósł znudzone oblicze i spojrzał na Ostapę.

— Dwieście, po raz pierwszy — rzekł — dwieście w czwartym rzędzie na prawo, po raz drugi. Czy nikt więcej nie staje do licytacji? Dwieście rubli, pałacowy garnitur orzechowy złożony z dziesięciu sztuk. Dwieście rubli po raz trzeci w czwartym rzędzie na prawo.

Ręka z młoteczkiem zawisła nad katedrą.

— Mało! — rzekł głośno Hipolit Matwiejewicz.

Ostap, zaróżowiony i spokojny, uśmiechał się. Młoteczek stuknął, wydając niebiański dźwięk.

— Sprzedane! — oznajmił licytator. — Pani się pofatyguje, w czwartym rzędzie na prawo.

— I cóż, marszałku, efektownie wypadło? — spytał Ostap. — Ciekaw jestem, co by pan począł bez technicznego doradcy?

Hipolit Matwiejewicz westchnął głęboko z nadmiaru szczęścia. Truchcikiem podbiegła do nich funkcjonariuszka.

— Panowie nabyli krzesła?

— My! — wrzasnął powstrzymujący się dotąd gwałtem Hipolit Matwiejewicz. — My, my. Kiedy można je będzie zabrać?

— To już od pana zależy. Choćby zaraz!

²⁰⁸Aleksander II Romanow (1818–1881) — cesarz rosyjski; twórca wielu liberalnych reform, m.in. uwłaszczenia chłopów w Rosji i Królestwie Polskim; zginął w zamachu bombowym. [przypis edytorski]

Refren — „Bo taka łąęga to istna mordęga” — kołatał się uporczywie po głowie Hipolita Matwiejewicza. Krzesła są nasze, nasze, nasze! Krzyczał o tym cały jego organizm. „Nasze!” — krzyczała wątroba. „Nasze!” — potakiwała nerka.

Tak się ucieszył, że w najbardziej nieoczekiwanych miejscach zaczęły mu tłuc tętnice. Wszystko wibrowało, przewalało się i trzeszczało pod naporem niesłychanego szczęścia. Oczom jego ukazał się pociąg zbliżający się do Saint-Gothard. Na platformie ostatniego wagonu stał w białych spodniach Hipolit Matwiejewicz Worobianinow i ćmił cygaro. Szarotki padały na jego głowę, pokrytą znów piękną, aluminiową siwizną. Hipolit Matwiejewicz jechał do raję.

— A dlaczego dwieście trzydzieści, a nie dwieście? — usłyszał nagle Hipolit Matwiejewicz.

Mówił to Ostap, oglądając pokwitowanie.

— Dolicza się piętnaście procent komisowego — odrzekła panna.

— Trudna rada! Proszę!

Ostap wyciągnął portfel, odliczył dwieście rubli i zwrócił się do głównego dyrektora imprezy.

— Kochany panie, proszę wybulić trzydzieści rubelków, tylko raz, dwa, widzi pan, niewiasta czeka. No!

Hipolit Matwiejewicz nawet nie próbował wyjąć pieniędzy.

— No? Czego pan gapi się na mnie jak cielę na malowane wrota? Szczęście pana zamroczyło?

— Nie mam pieniędzy — wybełkotał wreszcie Hipolit Matwiejewicz.

— Kto nie ma? — spytał Ostap bardzo cicho.

— Ja nie mam.

— A dwieście rubli?

— Ja... hm... zgubiłem je.

Ostap spojrział na Worobianinowę, jednym rzutem ocenił jego zmięte oblicze, zieloną cerę i nabrzmięte worki pod oczyma.

— Daj pan pieniądze! — szepnął z nienawiścią. — Stare bydlę!

— Czy pan zapłaci? — spytała niewiasta.

— Momencik — rzekł Ostap, uśmiechając się rozkosznie — małeńka przeszkoda.

Była jeszcze odrobina nadziei. Można było wytłumaczyć im, by poczekać na zapłatę.

Akurat Hipolit Matwiejewicz oprzytomniał i plując na wszystkie strony, wmieszał się do rozmowy.

— Za pozwoleniem! — ryknął. — Za co komisowe? Nic nie wiemy o komisowym! Trzeba uprzedzić o takich rzeczach. Odmawiam zapłacenia tych trzydziestu rubli!

— Dobrze — rzekła grzecznie niewiasta. — Zaraz to załatwię.

Wziąwszy kwitek, pofrunęła w kierunku licytatora i mruknęła doń kilka słów. Licytator niezwłocznie wyprostował się. Broda jego połyskiwała w świetle jaskrawych lamp elektrycznych.

— Zgodnie z regulaminem licytacji — oznajmił dobitnie — osoba wzdragająca się przed zaplaceniem całkowitej kwoty za nabyty przedmiot winna opuścić halę licytacyjną! Sprzedaż krzesel niniejszym unieważniam.

Zdumieni przyjaciele siedzieli bez ruchu.

— Proszę państwa — rzekł licytator.

Efekt był piorunujący. Publiczność zaczęła się złośliwie śmiać. Ostap jednak nie ruszał się z miejsca. Takich emocji od dawna już nie doświadczał.

— Proszę państwa!

Licytator pisał głosem nieznośnym sprzeciwu.

Śmiech na sali stał się głośniejszy.

Wyszli więc. Niewielu ludzi wychodziło z hali licytacyjnej z tak gorzkim uczuciem. Pierwszy szedł Worobianinow. Zgiąwszy w pałąk kościste ramiona, szedł jak żuraw w kusej marynarczynie i sfatygowanych „pańskich” butach; czuł na sobie ciepłe spojrzenie wielkiego kombinatora.

Aferzyści zatrzymali się w pokoju sąsiadującym z halą licytacyjną. Mogli teraz obserwowac przetarg jedynie poprzez szklane drzwi. Droga tam była już zamknięta. Ostap solidarnie milczał.

— Oburzające porządki — bełkotał tchórzliwie Hipolit Matwiejewicz — kompletny skandal! Do milicji warto by pójść na skargę.

Ostap milczał.

— Nie, to doprawdy przechodzi już wszelkie pojęcie! — denerwował się w dalszym ciągu Worobianinow. — Skórę zdierają z ludu pracującego. Dalibóg!... Za jakieś tam używane dziesięć krzesel dwieście trzydzieści rubli. Oszaleć można...

— Tak — bezdźwięcznie rzekł Ostap.

— Prawda? — upewnił się Worobianinow. — Oszaleć można!...

— Można.

Ostap podszedł do Worobianinowa i rozejrzawszy się dokoła, wymierzył marszałkowi szlachty krótki, silny i niedostrzegalny dla obcego oka cios w bok.

— To za milicję! To za drożyznę krzesel dla ludu pracującego wszystkich krajów! To za nocne włóczenie się po dziewczynkach! Świece w oczach ci staną! Ruski miesiąc popamiętasz!

Podczas tej całej egzekucji Hipolit Matwiejewicz ani pisnął.

Komuś obcemu mogłoby się wydać, że to syn rozmawia ze swym czcigodnym ojcem i dziwne jedynie mogłoby wydawać się to, że ten ojciec z nadmiernym ożywieniem trzęsie głową.

— A teraz idź do stu diabłów!

Ostap odwrócił się tyłem do dyrektora imprezy i zaczął patrzeć na halę licytacyjną. Po chwili obejrzał się. Hipolit Matwiejewicz, wyprężony na baczność, stał wciąż jeszcze na tym samym miejscu.

— Bawidamku, jeszcze pan tu sterczy? Precz! No?

— Towarzyszu Bender — zaczął błagać Worobianinow. — Towarzyszu Bender!

— Wynos się! A do Iwanopulo nie przychodź! Wypędź!

— Towarzyszu Bender!

Ostap nie odwracał się już. W sali działo się coś, co tak mocno zainteresowało Bendera, że uchylił nieznacznie drzwi i zaczął przysłuchiwać się:

— Wszystko przepadło! — wymamrotał.

— Co przepadło? — spytał pojednawczo Worobianinow.

— Krzesła sprzedają pojedynczo, psiakrew! Może pragnie pan nabyć? Bardzo proszę. Nie zatrzymuję pana. Wątpię tylko, czy puszcza, bo o ile wiem, pieniądze się u pana nie przelewają.

W tym czasie w hali licytacyjnej działy się ciekawe rzeczy: licytator zorientował się, że nie uda mu się wydebić od zebranych za jedynym zamachem dwustu rubli (była to zbyt wielka suma dla płotek pozostałych na sali), i postanowił wyrwać te dwieście rubli kawalkami. Krzesła wystawiono jeszcze raz na licytację, ale już partiami.

— Cztery krzesła z pałacu. Orzech. Wyścielane. Robota Gamsa. Trzydzieści rubli. Kto da więcej?

Ostap odzyskał niezwłocznie zimną krew i panowanie nad sobą.

— Te, pupilku kobiet, stój tutaj i nigdzie się stąd nie ruszaj. Za pięć minut wrócę. A pan niech tu dopilnuje, kto i co. Żeby mi ani jedno krzesło nie wsiądkło.

W głowie Bendera zrodził się plan jedynie możliwy w tak ciężkiej sytuacji.

Wybiegł na ulicę i skierował swe kroki do najbliższej budki asfaltowej, w której siedziała banda bezdomnych dzieciaków. Ostap wszczął z nimi fachową rozmowę.

Stosownie do obietnicy, wrócił do Hipolita Matwiejewicza po pięciu minutach. Ulicnicy stanęli w pogotowiu przy wejściu do hali licytacyjnej.

— Sprzedają, sprzedają — wyszeptał Hipolit Matwiejewicz. — Cztery i dwa już sprzedali.

— To pana zasługa — rzekł Ostap — niech się pan cieszy. W rękach naszych prawie, rozumie pan, mieliśmy, w rękach. Czy pan to rozumie?

W sali rozległ się skrzeczący głos, jakim matka natura obdarzyła licytatorów, krupierów i szklarzy.

— I pół rubelka, po lewej stronie. Po raz trzeci. Jeszcze jedno krzesło z pałacu. Orzech. Całkiem niezniszczone... I pół na wprost. Po raz pierwszy — i pół na wprost.

Trzy sztuki sprzedano pojedynczo. Licytator zapowiedział sprzedaż ostatniego krzesła. Wściekłość dławiała Ostapa. Znowu napadł na Worobianinowa. Obelżywe jego uwagi były pełne goryczy. Kto wie, do czego doszedłby Ostap w swych sarkastycznych wycieczkach, gdyby nie przerwał mu nagle jakiś jegomość w brązowym garniturze z łódzkiego materiału. Wymachiwał pulchnymi rękoma, pochylał się, skakał i cofał się, jak gdyby grał w tenisa.

— Powiedz mi pan — zagadnął spieszenie Ostapa — doprawdy odbywa się tu licytacja? Tak? Licytacja? I doprawdy są tu rzeczy na sprzedaż? Ciekawe!

Nieznamy odskoczył i przez twarz jego przewinęła się cała gama uśmiechów.

— Doprawdy sprzedają tu rzeczy? I istotnie można tu tanio kupić? Pierwsza klasa! Ho, ho! Ach!...

Nieznamy grubasek, kołysząc się w biodrach, przemknął tuż obok oszołomionych aferzystów i tak szybko kupił ostatnie krzesło, że Worobianinow zdążył zaledwie chrząknąć.

Nieznamy z kwitkiem w ręce pobiegł do paczkarni.

— Czy krzesło to mogę od razu zabrać? Ciekawe... Ach!... Ach!...

Wykrzykując wciąż i żywo gestykulując, wpakował krzesło do dorożki i odjechał. Jeden z uliczników biegł za nim.

Powoli rozeszli się i rozjechali wszyscy nowonabywcy krzesel. Za nimi biegli niepełnoletni agenci Ostapa. On sam też wreszcie poszedł. Hipolit Matwiejewicz lękliwie podążył za nim. Dzień dzisiejszy wydawał mu się snem. Wszystko odbyło się błyskawicznie i nie tak, jak tego oczekiwano.

Na Siwcewym Wrażku pianina, mandoliny i harmonie święciły nadejście wiosny. Okna były na oścież otwarte. Zdobiły je kwiaty w glinianych doniczkach. Opasły jegomość z rozchełstaną na owłosionej piersi koszulą, w szelkach, stał w oknie i namiętnie śpiewał. Wzdłuż ściany powoli skradał się kot. W kramikach spożywczych migotały nafetowe lampki.

Koło różowego domku przechadzał się Kola. Ujrawszy idącego na przedzie Ostapa, uprzejmie go pozdrowił i podszedł do Worobianinowa. Hipolit Matwiejewicz powitał go bardzo serdecznie, Kola jednakże nie tracił na próżno czasu.

— Dobry wieczór — powiedział twardo i uderzył Hipolita Matwiejewicza w głowę.

Jednocześnie Kola wygłosił całkiem banalne — zdaniem obserwującego tę scenę Ostapa — słowa:

— Taki los czeka każdego — rzekł Kola dziecinnym głosem — kto ośmieli się...

Na co właściwie ośmielił się, tego Kola nie dokończył. Stał na palcach i przymknąłszy oczy, trzasnął Worobianinowa w głowę.

Hipolit Matwiejewicz podniósł z lekka rękę, lecz nie ważył się nawet pisać.

— Słusznie — rzekł Ostap — a teraz lu go w kark. Dwa razy. Tak. Trudna rada. Czasem jajko musi dać lekcję pogładową kurze... Jeszcze raz... Tak. Niech się pan nie krępuje. Po głowie proszę więcej nie bić. To jego najsłabsze miejsce.

Przypuszczać należy, że gdyby starogrodzcy spiskowcy mogli ujrzyć tytana myśli i ojca rosyjskiej demokracji w owym tak krytycznym dlań momencie, to tajny Związek Miecza i Lemiesza zakończyłby swój żywot.

— Starczy chyba — rzekł Kola, pakując rękę do kieszeni.

— Jeszcze tylko jeden jedyny raz — błagał go Ostap.

— Pał go lichu! Popamięta teraz!

Kola odszedł. Ostap wszedł do Iwanopulo i spojrział stamtąd w dół.

Hipolit Matwiejewicz stał naprzeciw, oparty o żelazne sztachety.

— Obywatelu! — krzyknął Ostap. — Wejdźcie do lokalu! Łaskawie zezwalam!

Wchodząc do pokoju, Hipolit Matwiejewicz ożywił się z lekka.

— Niesłychana bezczelność! — rzekł gniewnie. — Z trudem zapanowałem nad sobą!

— Aj, aj, aj! — współczuł mu Ostap. — Jaka to teraz młodzież! Okropna młodzież! Napastuje cudze żony! Sprzeniewierza cudze pieniądze... Kompletny upadek obyczajów!

I przypomniawszy sobie hałaśliwego nieznanego, spytał:

— A proszę ja was, gdy tłuką po głowie, to doprawdy boli?

Młodość

— Na pojedynek go wyzwe!

— Pycha! Mogę panu polecić mego dobrego znajomego. Zna kodeks honorowy na wrywki i posiada dwie miotły nadające się akurat do walki nie na życie, lecz na śmierć. Na sekundantów można wziąć Iwanopulo i jego sąsiada z prawej strony. Jest to dawny honorowy obywatel miasta Krzywe Kąty i dotąd jeszcze pyszni się tą godnością. Można również zaimprovizować pojedynek na tasaki do mięsa — szykowniej nawet. Każda rana śmiertelna — gwarantuję. Pokonany przeciwnik zmienia się mechanicznie w kotlet. Czy dogadza to panu, panie marszałku?

Akurat na ulicy rozległ się gwizd, wobec czego Ostap wyszedł, by zebrać informacje od swych przygodnych agentów.

Ulicznicy wyśmienicie wywiązały się z powierzonych im zadań. Cztery krzesła powędrowały do Teatru Kolumba. Ulicznik szczegółowo opowiedział, jak krzesła te wieziono w dorożce, potem wyładowano i wniesiono do gmachu przez boczne wyjście. Miejsce, w którym znajdował się teatr, było Ostapowi dobrze znane.

Dwa krzesła zabrała na dorożce „szykowna lafirynda”, jak oznajmił drugi młodociany detektyw. Chłopak, jak widać, nie odznaczał się zbyt wielkimi zdolnościami. Uliczkę, na którą przywieziono krzesła — ulicę Warsonofiewską — zapamiętał, zapamiętał również numer pokoju — siedemnasty, lecz numeru domu nie mógł sobie ani rusz przypomnieć.

— Bardzo prędko biegłem — oświadczył ulicznik — wypadło mi z głowy.

— Nie dostaniesz pieniędzy — oznajmił impresario.

— Stry-y-jku!... Ja ci ten dom pokażę.

— Dobrze. Pał sęk. Pójdziemy razem.

Hałaśliwy jegomość mieszkał, jak się okazało, na ulicy Sadowo-Spasskiej. Jego dokładny adres Ostap zapisał sobie w notesie.

Ósme krzesło powędrowało do Domu Ludowego. Chłopak pilnujący tego krzesła okazał się nie lada wygą.

Przezwyjęzyszy wszelkie przeszkody w postaci portierni i nader licznych gońców, dotarł do środka i przekonał się, że krzesło zostało nabyte przez administratora czasopisma „Warsztat”.

Brakowało jeszcze dwóch chłopców. Przybiegli zasapani niemal jednocześnie, padając kompletnie ze znużenia.

— Ulica Koszarowa, przy Czystych Prudach.

— Numer domu?

— Dziewiąty. I numer mieszkania także dziewiąty. Tatarzy tam mieszkają. W podwórzu. Odniosłem tam to krzesło. Na piechotkę szliśmy.

Ostatni goniec przyniósł smutne wieści. Najpierw było wszystko dobrze, a potem zmieniło się wszystko na złe. Nabywca poszedł z krzesłem do składów towarowych na Dworcu Październikowym i było zupełnym niepodobieństwem iść za nim dalej — na warcie stali strzelcy OWONKPS.

— Na pewno wyjechał — zakończył andrus swój raport.

Ostatnia wiadomość bardzo zaniepokoiła Ostapę. Techniczny dyrektor wynagrodził andrusów iście po królewsku — rubel na twarz, prócz, oczywista, gońca z ulicy Warsonofiewskiej, który zapomniał numeru (kazano mu stawić się nazajutrz wczesnym rankiem); następnie Ostap wrócił do domu i nie odpowiadając na indagacje²⁰⁹ skompromitowanego sromotnie prezesa zarządu, zaczął kombinować, co dalej należy czynić.

Nic straconego jeszcze. Są adresy, a na to, by wydostać krzesła, istnieje wszak mnóstwo starych, wypróbowanych sposobów: 1) zwykła znajomość, 2) miłosna intryga, 3) znajomość z włamaniem, 4) zamiana, 5) pieniądze. Ostatnie — najpewniejsze, lecz pieniędzy jest diablo²¹⁰ mało.

Ostap spojrział ironicznie na Hipolita Matwiejewicza. Wielki kombinator odzyskał już właściwą sobie rzeźkość umysłu i duchową równowagę. Pieniądze, rozumie się, będzie można wydostać. W zanadrzu miał jeszcze obraz pod tytułem *Bolszewicy piszą list do Chamberlaina*, sitko do herbaty i możliwość kontynuowania kariery wielożeńca.

²⁰⁹indagacja (z łac.) — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

²¹⁰diablo (pot.) — bardzo. [przypis edytorski]

Niepokoilo go tylko dziesiąte krzesło. Ślad, oczywista, był, lecz ślad mglisty, nieuchwytny!

— Ha! — rzekł głośno Ostap. — Przy takich szansach można ryzykować. Dziewięć kontra jeden. Posiedzenie trwa nadal! Słyszysz pan? Hej, panie przysięgły.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY DZIKUSKA LALUSIA

Słownik Williama Szekspira²¹¹ — według obliczeń badaczy — liczy czternaście tysięcy słów. Słownik czarnoskórego z plemienia ludożerców Mumbo-Jumbo liczy trzysta słów.

Lalusi Szczukiniej wystarczyło w zupełności słów trzydzieści.

Oto słowa, zdania i wykrzykniki wybrane przez nią kapryśnie z bogatego i potężnego rosyjskiego języka:

1. Bezcelność!
2. Ho, ho! (Zależnie od okoliczności oznacza — ironię, zdziwienie, zachwyt, nienawiść, radość, pogardę i zadowolenie).
3. Wspaniale.
4. Ponury. (Odnosi się do wszystkiego. Na przykład: „Przyszedł ponury Pietia”, „Ponura pogoda”, „Ponure zdarzenie”, „Ponury kot” i tak dalej).
5. Niesamowity. (Na przykład spotykając dobrą znajomą: „Niesamowite spotkanie”).
6. Chłopczyna. (W stosunku do wszystkich znajomych mężczyzn, niezależnie od ich wieku i stanowiska społecznego).
7. Obejdzie się bez moralów.
8. Jak dziecko. (Biję go „jak dziecko” — przy grze w karty, lub na przykład „Ściągam go jak dziecko”).
9. Pych-cha!
10. Gruby i ładny. (Używa się jako charakterystyki rzeczy zarówno nieżyjących, jak i żyjących).
11. Weźmy dorożkę. (To mówi się do męża).
12. Weźmy taksówkę. (Do znajomych spośród płci brzydkiej).
13. Całe plecy ma pan ubielone. (Dowcip).
14. Patrzcie!
15. Ula. (Pieszczośliwe zakończenie imion, na przykład: Gienuła, Griszula).
17. Oh! (Ironia, zdziwienie, zachwyt, nienawiść, radość, pogarda, zadowolenie).

Reszta słów — nader skromna liczba — służyła do porozumiewania się Lalusi z subiektami magazynów konfekcyjnych.

Na fotografiach Lalusi Szczukiniej, wiszących nad łóżkiem jej męża — inżyniera Ernesta Pawłowicza Szczukina — (jedna *en face*²¹², druga z profilu), można było dostrzec wysokie i w miarę wypukłe czoło, duże, wilgotne oczęta, najrozkoszniejszy w moskiewskiej guberni nosek i podbródek z maleńką muszką.

Wzrost Lalusi pochlebiał mężczyznom. Była maleńka, toteż najgorszy cherlak stojąc obok niej, wyglądał na męża rosłego i barczystego.

Znaków szczególnych nie miała. Nie było ich zresztą potrzeba. Lalusia była ładna.

Dwieście rubli, które miesięcznie otrzymywał jej mąż w fabryce „Elektro-zyr”, były dla Lalusi zniewagą. W żaden sposób nie mogły wystarczyć na tę nieustępliwą walkę, którą Lalusia toczyła już od czterech lat, to znaczy od chwili, gdy w drabinie społecznej zajęła stanowisko żony Szczukina. Walka toczyła się z ogromnym natężeniem sił. Pochłaniała wszystkie dochody. Ernest Pawłowicz brał do domu nadprogramową robotę, odprawił służącą, sam rozpałał prymus, wynosił śmiecie, a nawet smażył kotlety.

Wszystko jednak było daremne. Niebezpieczny wróg podminowywał gospodarstwo z każdym dniem coraz bardziej. Jak już wspomniano, przed czterema laty zauważyła Lalusia, że ma za oceanem rywalkę. Nieszczęście spadło na Lalusię w ów radosny wieczór, gdy

²¹¹Szekspir, William właśc. *Shakespeare, William* (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor, jeden z najwybitniejszych pisarzy literatury angielskiej oraz reformatorów teatru. [przypis edytorski]

²¹²*en face* (fr.) — twarzą na wprost. [przypis edytorski]

przymierzała prześliczną krepdeszynową²¹³ bluzeczkę. W stroju tym wyglądała niemal jak bogini.

— Ho, ho! — krzyknęła, zawierając w tym murzyńskim okrzyku zadziwiająco skomplikowane uczucia. Przetłumaczone na ludzki język oznaczało to: „Widok mój wytrąci mężczyzn z równowagi. Zadygocą. Pójdą za mną na kraj świata, urywanym głosem prawiąc mi o swej miłości. Lecz ja będę zimna. Czyż który z nich wart mnie? Jestem najładniejsza. Takiej szykownej bluzeczki nie ma nikt na całej kuli ziemskiej”.

Lecz słów było raptem trzydzieści i Lalusia wybrała z nich najbardziej charakterystyczne — „ho, ho”.

W ową pamiętną godzinę przyszła do niej Fima Psiuk. Przyniosła z sobą mroźny powiew zimy i francuski żurnal mód²¹⁴. Lalusia nie mogła oderwać oczu od pierwszej strony. Była tam barwna fotografia córki amerykańskiego miliardera Vanderbilta²¹⁵ w stroju wieczorowym. Były tam futra i pióra, jedwab i perły, powiewność linii i niezwykła, wstrzymująca dech w piersiach fryzura.

To zadecydowało o wszystkim.

— Oho — powiedziała Lalusia do siebie.

Oznaczało to: albo ja, albo ona.

Ranek następnego dnia zastał Lalusię u fryzjera. Pani Szczukina rozstała się tu ze swym prześlicznym czarnym warkoczem i pomalowała włosy na rudo. Następnie udało się jej podnieść o szczebelek wyżej na drabinie, która zbliżała Lalusię do czarującego rajy, po którym przechadzają się córeczki miliardarów. Kupiła na raty psią skórkę, imitującą bobry. Użyła jej do przybrania toalety wieczorowej.

*Mister*²¹⁶ Szczukin, marzący od dawna o nabyciu nowego rajzbretu²¹⁷, z lekka zasępił się...

Suknia, oblamowana psem²¹⁸, była pierwszą dotkliwą zniewagą dla zadzierającej nosa Amerykanki. Wkrótce na dumną miliarderkę spadły jedna za drugą trzy zniewagi. Lalusia nabyła u kuśnierza²¹⁹ Fimoczki Psiuk szynszylową etolę (rosyjski szarak zabity w guberni tulskiej), sprawiła sobie popielaty kapelusik z argentyńskiej pilśni i nową marynarkę męża przerobiła na modną damską kamizelkę. Miliarderka straciła grunt pod nogami, lecz ocalił ją najwidoczniej jej czuły ojczulek — Vanderbilt.

Kolejny numer żurnalu mód zawierał cztery podobizny przekłętej rywalki: 1) w srebrnym lisie, 2) z brylantową gwiazdą na czole, 3) w stroju pilota — wysokie lakierki, cieniułka zielona kurtka i rękawiczki, których mankieciki były inkrustowane szmaragdami średniej wielkości, oraz 4) w sukni balowej — kaskady klejnotów i troszeczkę jedwabiu.

Lalusia zarządziła mobilizację. Szczukin zaciągnął pożyczkę rubli. Nowy, potężny wysiłek podminował gospodarstwo. Trzeba było walczyć na wszystkich frontach. Niedawno nadeszły fotografie *miss*²²⁰ w jej nowym zamku na Florydzie²²¹. Wobec tego i Lalusia musiała sobie sprawić nowe meble. Kupiła na licytacji dwa wyściełane krzesła. Bez pozwolenia męża Lalusia wzięła pieniądze z sum przeznaczonych na gospodarstwo. Do piętnastego było jeszcze dziesięć dni i cztery ruble.

Lalusia przywozła te krzesła z szykiem na ulicę Warsonofiewską. Męża nie było w domu. Zresztą wkrótce nadszedł, niosąc pod pachą portfel-walizkę.

— Przyszedł ponury mąż — rzekła dobitnie Lalusia.

Wszystkie słowa wymawiała dobitnie i bardzo rezolutnie.

— Jak się masz, Helenko, a to co? Skąd się wzięły te krzesła?

— Ho, ho!

— Nie, doprawdy?

²¹³*krepdeszynowy* — wykonany z krepdeszyny: miękkiej, lekkiej tkaniny jedwabnej, stanowiącej rodzaj krepy. [przypis edytorski]

²¹⁴*żurnal mód* — czasopismo poświęcone modzie. [przypis edytorski]

²¹⁵*Vanderbilt, Cornelius* (1794–1877) — amerykański przedsiębiorca, który swoje bogactwo zdobył na transporcie morskim i kolejowym. [przypis edytorski]

²¹⁶*mister* (ang.) — pan. [przypis edytorski]

²¹⁷*rajzbret* (z niem.) — deska kreślarska, do której przymocowywano papier; rysownica. [przypis edytorski]

²¹⁸*oblamowana psem* — obszyta psim futrem. [przypis edytorski]

²¹⁹*kuśnierz* — rzemieślnik szyjący futra i kozuchy. [przypis edytorski]

²²⁰*miss* (ang.) — panna. [przypis edytorski]

²²¹*Floryda* — stan na południowym wschodzie Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

— Pych-cha!
 — Tak. Krzesła są ładne.
 — Wspa-nia-łe!
 — Czy je kto podarował?
 — Oho!
 — Jak to? Kupiłaś je? Za jakie pieniądze? Za gospodarskie? Milion razy już ci mówiłem...

— Ernestula! To bezczelność!
 — Czyż można tak postępować?! Przecież nie będziemy mieli co do ust włożyć!
 — Patrzcie!...
 — Doprawdy to niesłychane! Żyjesz ponad stan!
 — Żarty!
 — Tak, tak. Żyjesz ponad stan...
 — Obejdzie się bez moralów!
 — Nie, raz wreszcie pomówmy poważnie. Dostaję dwieście rubli miesięcznie.
 — Ponure!
 — Łapówek nie biorę. Pieniądzy nie kradnę i podrabiać ich nie potrafię...
 — Niesamowite!

Ernest Pawłowicz umilkł.

— Słuchaj — rzekł wreszcie — tak dłużej być nie może.
 — Ho, ho — odrzekła Lalusia, siadając na nowym krześle.
 — Musimy rozejść się.
 — Patrzcie!
 — Mamy odmienne usposobienia. Ja...
 — Jesteś grubym i ładnym chłopczyną.
 — Już tyle razy prosiłem ciebie, byś nie nazywała mnie chłopczyną!
 — Żarty!
 — Skąd wytrzasnęłaś ten idiotyczny żargon?
 — Obejdzie się bez moralów!
 — Psiakrew! — zaklął inżynier.
 — To bezczelność, Ernestula.
 — Wiesz, rozejdźmy się bez scen.
 — Oho!
 — Nie przekonasz mnie! Ta sprzeczka...
 — Pobję cię jak dziecko.
 — Nie, to staje się nieznośne. Twoje argumenty nie mogą powstrzymać mnie od kroku, który zmuszony jestem zrobić. Zaraz idę po wózek.
 — Żarty!
 — Meble podzielimy na równe części...
 — Niesamowite!
 — Będziesz otrzymywała miesięcznie sto rubli. Nawet sto dwadzieścia. Pokój zatrzymasz dla siebie. Ułóż sobie życie, jak ci się podoba, ja już tak dłużej nie wytrzymam...
 — Wspaniale — rzekła pogardliwie Lalusia.
 — Przenoszę się do Iwana Aleksiejewicza.
 — Oho!
 — Wyjechał na wieś i całe swe mieszkanie oddał do mojej dyspozycji. Dał mi klucz... Brak tam tylko mebli.

— Pych-cha!
 Po pięciu minutach Ernest Pawłowicz wrócił w towarzystwie dozorca domu.
 — No, szafy nie zabiorę ze sobą, tobie jest bardziej potrzebna, lecz biurko, uważasz... I jedno krzesło zechce pan także zabrać. Wezmę jedno z tych dwóch krzesel. Sądzę, że mam chyba prawo?...

Ernest Pawłowicz związał swoje manatki w duży toboł, zawinął buty w gazetę i skierował kroki ku drzwiom.

— Całe plecy masz ubielone — rzekła Lalusia głosem przypominającym gramofon.
 — Do widzenia, Heleno.

Spodziewał się, że żona przynajmniej teraz wstrzyma się od rzucania zwykłych metalicznych słówek. Lalusia również poczuła całą powagę chwili. W skupieniu ducha zaczęła szukać słów odpowiednich w chwili rozstania się. Szybko znalazła je.

— Pojedziesz taksówką? Pych-cha!

Inżynier, jak lawina, stoczył się ze schodów.

Wieczór Lalusia spędziła z Fimą Psiuk. Omawiały niezwykle ważne zdarzenia, mogące zaważyć na szalach gospodarki światowej.

— Znosi się na to, że będą nosić długie i szerokie — mówiła Fima, wtulając głowę w ramiona.

— Ponure!

I Lalusia spojrzała z szacunkiem na Fimę Psiuk. *Mademoiselle*²²² Psiuk miała opinię kulturalnej panny — słownik jej liczył około stu osiemdziesięciu słów. Nadto знаła jedno takie słówko, które Lalusi nie mogłoby się nawet przyśnić. Tym nadzwyczajnym słowem był — homoseksualizm. Fima Psiuk była, bez wątpienia, kulturalną panną.

Ożywiona rozmowa przeciągnęła się długo w noc.

*

O dziesiątej rano wielki kombinator znalazł się na ulicy Warsonofiewskiej. Przed nim biegł znany już nam andrus. Wskazał Ostapowi dom.

— Nie łiesz?

— Czyżbym śmiał?... O tu, z frontu.

Bender wypłacił chłopakowi uczciwie zapracowanego rubla.

— Mało, mało — targował się chłopak, naśladując dorożkarzy.

— Figę dostaniesz. Zgłoś się po nią do Puszkina²²³. Zmykaj, faflu.

Ostap zapukał do drzwi, nie zastanawiając się zupełnie nad tym, pod jakim pretekstem tam wejdzie. Przy rozmowach z kobietkami liczył przede wszystkim na natchnienie.

— Oho? — rozległo się pytanie za drzwiami.

— Za interesem — odrzekł Ostap.

Otworzono. Ostap wszedł do pokoju, w którym dobrze czuć się mogło jedynie stworzenie o ptasim mózgu. Na ścianie wisiały widokówki, laleczki i tambowskie²²⁴ gobeliny. Na tym pstrym tle, od którego bolały po prostu oczy, trudno było dojrzeć maleńką panią domu. Miała na sobie szlafroczek, przerobiony z bluzy Ernesta Pawłowicza i oblamowany zagadkowym futrem.

Ostap od razu zorientował się, jak należy zachować się w tak wytwornym towarzystwie. Przymknął oczy i z lekka cofnął się.

— Prześliczne futro! — zawołał.

— Żarty! — rzekła łaskawie Lalusia. — To są amerykańskie oposy.

— Niemożliwe. Nabrali panią. Dali znacznie lepsze futro. To są szanghajskie rysie. Tak, tak! Poznają po odcieniu. Widzi pani, jak futro to mieni się w słońcu!... Szmaragd, prawdziwy szmaragd.

Lalusia sama pofarbowała amerykańskie oposy na zielono i dlatego pochwały wczesnego gościa były tak miłe dla jej ucha.

Nie pozwalając pani domu opamiętać się, wielki kombinator wyładował wszystko, co kiedykolwiek w życiu słyszał o futrach. Następnie potoczyła się rozmowa o jedwabiach i Ostap przyrzekł uroczej Lalusi, że ofiaruje jej kilkaset kokonów jedwabnika, podarowanych mu przez prezesa Centralnego Komitetu Wykonawczego Uzbekistanu.

— Czego sobie chłopczyzna życzy? — spytała Lalusia po paru chwilach znajomości.

— Dziwi panią niewątpliwie tak wczesna wizyta nieznanego mężczyzny?

— Ho, ho.

— Przyszedłem do pani w pewnej delikatnej materii.

— Żarty!

— Była pani wczoraj na licytacji i zrobiła na mnie kolosalne wrażenie.

²²²*mademoiselle* (fr.) — panna. [przypis edytorski]

²²³*Puszkina, Aleksandr Siergiejewicz* (1799–1837) — rosyjski poeta, dramaturg i prozaik, najwybitniejszy przedstawiciel romantyzmu rosyjskiego. [przypis edytorski]

²²⁴*tambowski* — pochodzący z Tambowa: miasta obwodowego w śr. Rosji. [przypis edytorski]

— Bezczelność!

— Na miłość boską! Prawie bezczelności tak czarującej kobiecie byłoby rzeczą nieludzką.

— Niesamowite!

Rozmowa toczyła się nadal w taki, dający chwilami bajeczne efekty, sposób. Lecz komplementy Ostapa stawały się coraz krótsze i mniej treściwe. Spostrzegł, że w pokoju brak drugiego krzesła. Trzeba było szukać śladu. Przeplatając pytania kwiecistym wschodnim schlebaniem, Ostap dowiedział się o przebiegu poprzedniego wieczoru w życiu Lalusi.

„A to heca — pomyślał — krzesła rozłączają się jak karaluchy”.

— Dziewczę kochane — rzekł Ostap niespodzianie — sprzedaj mi to krzesło. Bardzo mi się podoba. Jedynie pani, dzięki właściwej kobietom subtelności, mogła wybrać tak artystyczny sprzęt. Sprzedaj, królowo, dam ci za nie siedem rubli.

— To bezczelność, chłopczyno — rzekła przebiegle Lalusia.

— Ho, ho! — kombinował Ostap.

„Trzeba z nią spekulować na zamianę” — postanowił.

— Czy wie pani, że w Europie i w znakomitszych domach Filadelfii²²⁵ przywrócono obecnie dawny zwyczaj: rozlewają herbatę przez sitko. Wygląda to nadzwyczaj efektownie i elegancko.

Lalusia zamieniła się cała w słuch.

— Tak się akurat składa, że znajomy dyplomata przyjechał z Wiednia i przywiózł mi w prezencie. Ładne cacko.

— To musi być wspaniałe — zainteresowała się Lalusia.

— Oho! Ho, ho! Może się zamienimy? Pani da mi krzesło, a ja dam pani sitko. Zgoda?

Mówiąc to, Ostap wyjął z kieszeni maleńkie połączane sitko.

W sitku odbijało się słońce. Po suficie skakały jasne plamy. Nieoczekiwanie rozświetlił się ciemny kąt pokoju. Przedmiot ten wywarł na Lalusi niezapomniane wrażenie. Tak samo działa stara puszka od konserw na ludożercę z plemienia Mumbo-Jumbo. W takich razach ludożerca wrzeszczy ze wszystkich sił, Lalusia natomiast cichutko jęknęła:

— Ho, ho!

Ostap, nie pozwalając Lalusi opamiętać się, położył sitko na stole, zabrał krzesło i dowiedziawszy się od uroczej kobiety, gdzie zamieszkał jej mąż, pożegnał ją z galanterią.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY AWESSAŁOM WŁADIMIROWICZ IZNURENKOW

W życiu naszych aferzystów zaczął się gorączkowy okres. Ostap dowodził, że należy kuć krzesła, póki są gorące. Hipolitowi Matwiejewiczowi darował Ostap jego przewiny, od czasu do czasu jednak znęcał się nad nim:

— Diabli wiedzą, po co się pan mnie uczeplił? Prawdę mówiąc, jest mi pan wcale a wcale niepotrzebny. Najlepiej będzie, gdy pojedzie pan sobie do domu, do ZAGS-u. Umrzyki²²⁶ tam na pana czekają, noworodki. Miej pan litość nad niemowlętami. Jedź sobie.

Lecz w głębi duszy wielki kombinator przywiązał się do wykołajonego marszałka. „Bez niego życie jest znacznie mniej zabawne” — rozmyślał Ostap. I spoglądał wesoło na Worobianinowa, który na głowie miał już srebrne kępki.

Inicjatywie Hipolita Matwiejewicza pozostawiono szerokie pole. Gdy tylko cichy Iwanopulo wychodził z pokoju, zaczynał Bender wbijać w głowę swego współnika najkrótsze drogi wiodące do znalezienia skarbów.

— Działaj odważnie. Nigdy o nic nie pytać. Jak najwięcej cynizmu. Ludzie to lubią. Niczego nie załatwiać przez trzecie osoby. Nie ma już durniów. Nikt nie będzie dla pana wyciągał brylantów z cudzej kieszeni. Ale kryminału unikać. Winniśmy szanować kodeks.

²²⁵ *Filadelfia* — miasto na płn.-wsch. wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w stanie Pensylwania. [przypis edytorski]

²²⁶ *umrzyk* — nieboszczyk. [przypis edytorski]

Mimo wszystko poszukiwania szły nieświetnie. Przeszkadzał kodeks i mnóstwo burżuazyjnych przeżytków, którym hołdowali mieszkańcy stolicy. Nie znosili, na przykład, nocnych wizyt przez okno. Z konieczności trzeba było postępować legalnie.

W pokoju studenta Iwanopulo w dniu wizyty Ostapa u Lalusi Szczukinej znalazł się mebel. Było to krzesło uzyskane za cenę sitka do herbaty — trzecia z kolei zdobycza wyprawy. Dawno już minęły te czasy, gdy polowanie na brylanty wywoływało w obu współnikach emocje, gdy pazurami szarpali krzesła i gryźli sprężyny.

— Jeśli nawet w krzesłach nic nie ma — powiadał Ostap — można uważać, że zarobiliśmy przynajmniej dziesięć tysięcy. Każde zbadane krzesło zwiększa nasze szanse. Cóż z tego, że w krzesle tej damulki nic nie znaleźliśmy? To jeszcze nie racja, by je niszczyć. Niech Iwanopulo umebluje się. Nam też będzie przyjemniej.

Tego samego dnia współnicy wyfrunęli z różowego domku i rozeszli się w różne strony. Hipolitowi Matwiejewiczowi przydzielono hałaśliwego jegomościa z ulicy Sadowo-Spasskiej, dano mu na wydatki dwadzieścia pięć rubli. Kazano nie wstępować do knajp i bez krzesła nie wracać. Męża Lalusi wielki kombinator zostawił dla siebie.

Trzęsąc się na obitej skórą ławeczce i podskakując aż pod sam sufit, Worobianinow myślał o tym, w jaki sposób można by dowiedzieć się nazwiska hałaśliwego jegomościa, pod jakim pretekstem wejść do niego, co powiedzieć na przywitanie i jak się wziąć do rzeczy.

Wysiadłszy przy Krasnych Wrotach, odszukał dom wskazany przez Ostapa i zaczął dokoła niego krążyć. Nie mógł się zdecydować na to, by wejść. Był to stary, brudny moskiewski hotel, przekształcony na dom mieszkalny, zajęty, jak można było wnioskować z odrapanych ścian, przez zalegających podstępnie z komornym lokatorów.

Hipolit Matwiejewicz stał długo naprzeciw bramy, podchodził do niej, nauczył się na pamięć wywieszonego na bramie ogłoszenia z pogrozkami pod adresem niepoprawnych lokatorów i nic mądrego nie wymyśliwszy, wszedł na drugie piętro. Z korytarza prowadziły drzwi do poszczególnych pokojów. Powoli, jak gdyby podchodził do tablicy, by dowieść niezbyt dobrze wykutego twierdzenia, zbliżył się Hipolit Matwiejewicz do pokoju numer czterdzieści jeden. Na drzwiach zwiisał na jednej już tylko pluskiewce bilet wizytowy koloru brudnawego kołnierzyka:

„Awessałom Władimirowicz Iznurenkow”.

Kompletnie zmieszany, Hipolit Matwiejewicz zapomniał o tym, że należy zapukać, otworzył drzwi, zrobił trzy lunatyczne kroki i znalazł się na środku pokoju.

— Przepraszam — rzekł zduszonym głosem — czy mógłbym się zobaczyć z towarzyszem Iznurenkowem?

Awessałom Władimirowicz nie odpowiadał, Worobianinow podniósł głowę i wówczas dopiero spostrzegł, że w pokoju nikogo nie było.

Z zewnętrznego wyglądu pokoju nie można było w żaden sposób wnioskować o upodobaniach gospodarza. Jasne było jedynie to, że jest kawalerem i nie ma służącej. Na oknie leżał papierek z ogryzkami kielbasy. Tapczan pod ścianą zarzucony był gazetami. Na małej półeczce stało parę zakurzonych książek. Ze ścian spoglądały barwne fotografie kotów, kotków i koczek. Na środku pokoju tuż obok przewróconych trzewików stało orzechowe krzesło. Wszystkie meble, nie wyłączając krzesła pochodzącego ze starogrodzkiej willi, opatrzone były czerwonymi pieczęciami.

Lecz Hipolit Matwiejewicz nie zwrócił na to uwagi. Od razu zapomniał o kodeksie karnym i radach Ostapa i jednym susem znalazł się obok krzesła.

Gazety na tapczanie poruszyły się. Hipolit Matwiejewicz zląkł się. Gazety zaczęły się posuwać i spadły na podłogę. Jak gdyby nigdy nic wylazł spod nich kotek. Spojrzał objętnie na Hipolita Matwiejewicza i zaczął łapką trzeć ucho i pyszczek.

— Tfu — splunął Hipolit Matwiejewicz.

Złapał krzesło i zmierzał z nim ku drzwiom. Drzwi otworzyły się same. Na progu stał gospodarz pokoju — hałaśliwy jegomość z hali licytacyjnej. Miał na sobie palto, spod którego wylażyły liliowe kalesony. W ręce trzymał spodnie.

O Awessałomie Władimirowiczu Iznurenkowie można było powiedzieć z całą pewnością, że takiego człowieka jak on nie ma w całej republice. Przynosił jej ogromny pożytek. I mimo wszystko pozostał nieznany, chociaż w swoim rodzaju był równie niedościgniony

jak Szalapin²²⁷ w śpiewie, Gorki²²⁸ — w literaturze, Capablanca²²⁹ — w grze w szachy, Mielnikow²³⁰ — w sporcie łyżwiarskim i najbardziej brązowy Asyryjczyk, urzędujący w najlepszym punkcie przy zbiegu ulic Twerskiej i Kamerherskiej — w czyszczeniu butów żółtą pastą.

Szalapin śpiewał. Gorki pisał obszerną powieść. Capablanca przygotowywał się do rozgrywki z Alechinem²³¹. Mielnikow osiągał rekordy. Asyryjczyk nadawał butom obywateli blask słońca. Awessałom Iznurenkow — robił dowcipy.

Nigdy nie robił dowcipów bezcelowo, ot, z łaski na uciechę. Na barkach swych dźwiagał nader odpowiedzialne kampanie. Większość moskiewskich humorystycznych pism zaopatrywał w tematy do rysunków i felietonów.

Wielkim ludziom udają się ze dwa dowcipy w życiu. Dowcipy te przysparzają im sławy i przechodzą do historii. Iznurenkow puszczał w ciągu miesiąca nie mniej niż sześćdziesiąt pierwszorzędných dowcipów, które wszyscy z uśmiechem powtarzali, lecz autor ich pozostawał nieznanym. Jeśli pod jakimś rysunkiem figurował dowcip Iznurenkowa, to rozgłos przypadał w udziale malarzowi. Nazwisko malarza umieszczano pod rysunkiem. Nazwiska Iznurenkowa nie było.

— To okropne! — wrzeszczał. — Niepodobna podpisać się. Pod czym podpiszę się? Po dwoma wierszami?

I dalej walczył żarliwie z wrogami społeczeństwa: kiepskimi spółdzielcami, defraudantami, Chamberlainem, biurokratami. Gnębił swymi dowcipami nieudolnych administratorów, kupców, kierowników, chuliganów, obywateli niechcących obniżyć cen i rolników wyłamujących się z ram polityki ekonomicznej.

Po ukazaniu się dzienników powtarzano dowcipy Iznurenkowa na arenie cyrkowej, przedrukowywano je — bez wskazania źródła — w prasie wieczornej i częstowano nimi publiczność po kabaretach.

Iznurenkow potrafił robić dowcipy na takie tematy, o których, zdawałoby się, nic śmiesznego niepodobna było powiedzieć. Z takiego suchotniczego tematu, jak statystyka kosztów utrzymania, Iznurenkow potrafił wycisnąć około setkę dowcipów. Heine²³² załamałby ręce, gdyby mu zaproponowano powiedzenie czegoś dowcipnego, a zarazem społecznie pouczającego z powodu wprowadzenia niewłaściwej taryfy towarowej. Mark Twain²³³ zwiałby przed takim tematem. A Iznurenkow trwał na posterunku.

Biegał po pokojach redakcyjnych, przewracał kosze na śmiecie i swoim zwyczajem pokrzykiwał. W ciągu dziesięciu minut temat był opracowany, rysunek obmyślony i tytuł wynaleziony.

Ujrzawszy w swym pokoju człowieka zabierającego opieczętowane krzesło, Awessałom Władimirowicz podrzucił w górę dopiero co odprasowane u krawca spodnie, podskoczył i zatrajkotał:

— Oszałał pan! Zakładam protest! Nie ma pan prawa! Chwalić Boga, mamy jeszcze ustawy! Nie są one wprawdzie przeznaczone dla cymbałów, lecz może obilo się panu o uszy, że meble mogą stać jeszcze w ciągu dwóch tygodni! Wniosę skargę do prokuratora! Zapłacę do kroćset!

Hipolit Matwiejewicz stał jak wryty, a Iznurenkow zrzucił z siebie palto i nie odchodząc ode drzwi, włożył spodnie. Nogi miał grube jak Czyczykow²³⁴. Iznurenkow był grubawy, lecz twarz miał szczupłą.

²²⁷ Szalapin, Fiodor (1873–1938) — rosyjski śpiewak operowy uważany za jednego z najwybitniejszych muzyków z przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

²²⁸ Gorki, Maksim (1868–1936) — rosyjski pisarz i publicysta, uważany za inicjatora socrealizmu w literaturze. [przypis edytorski]

²²⁹ Capablanca, José Raúl, właśc. José Raúl Capablanca y Graupera (1888–1942) — kubański szachista, mistrz świata w szachach. [przypis edytorski]

²³⁰ Mielnikow, Jakow (1896–1960) — rosyjski łyżwiarz szybki, brązowy medalista mistrzostw świata. [przypis edytorski]

²³¹ Alechin, Aleksandr (1892–1946) — rosyjski i francuski szachista, mistrz świata w szachach. [przypis edytorski]

²³² Heine, Heinrich (1797–1856) — niemiecki poeta romantyczny, znany liryk, prozaik i publicysta. [przypis edytorski]

²³³ Twain, Mark, właśc. Samuel Langhorne Clemens (1835–1910) — amerykański pisarz i satyryk. [przypis edytorski]

²³⁴ Czyczykow — bohater z *Martwych dusz* Gogola. [przypis redakcyjny]

Worobianinow nie wątpił, że złapią go zaraz za kark i zaprowadzą do milicji. Toteż był niezwykle zdziwiony, gdy gospodarz pokoju, uporawszy się z toaletą, nieoczekiwanie uspokoił się.

— Niech pan zrozumie — zaczął pojednawczo — nie mogę się przecież na to zgodzić.

Hipolit Matwiejewicz, będąc na miejscu Iznurenkowa, też ostatecznie nie mógłby się z tym pogodzić, by ktoś w biały dzień kradł mu krzesło. Nie wiedział jednak, co mówić, i dlatego milczał.

— To nie moja wina. Winien jest Muzpred²³⁵. Owszem, przyznaję. W ciągu ośmiu miesięcy nie płaciłem rat za pianino, lecz nie sprzedałem go przecież, choć mogłem to z łatwością zrobić. Ja postąpiłem uczciwie, a oni po łajdacku. Nie dość, że zabrali mi instrument, ale zaskarżyli mnie jeszcze do sądu i zajęli meble. Niczego u mnie nie może komornik zająć. Meble moje — to narzędzie produkcji. I krzesło również jest narzędziem produkcji!

Hipolit Matwiejewicz zaczął coś niecoś kombinować.

— Oddaj pan krzesło! — wrzasnął nagle Awessałom Władimirowicz. — Słyszysz pan? Co? Biurokrata!

Hipolit Matwiejewicz postawił pokornie krzesło i wybelkotał:

— Przepraszam za nieporozumienie, taka to służba.

Iznurenkow strasznie ucieszył się. Zaczął biegać po pokoju i nucić: „I uśmiech promienny na ustach jej igrał”... Nie wiedział, co począć z rękoma. Były w ustawicznym ruchu. Zaczął wiązać krawat i nie dokończył. Potem złapał gazetę i nie dowiedziawszy się z niej niczego, cisnął na podłogę.

— A więc nie zabierze mi pan dziś mebli?... Doskonale!... Ach! Ach!...

Hipolit Matwiejewicz, korzystając z pomyślnego obrotu rzeczy, skierował swe kroki ku drzwiom.

— Momencik! — krzyknął nagle Iznurenkow. — Czy widział pan kiedy takiego kota? Prawda, że jest on niezwykle puszysty?

Kotek znalazł się ni stąd, ni zowąd w drżących rękach Hipolita Matwiejewicza.

— Pierwsza klasa! — mamrotał Awessałom Władimirowicz, nie wiedząc, co począć z nadmiarem energii. — Ach!... Ach!...

Rzucił się do okna, klasnął w dłonie i zaczął raz po raz klaniać się dwóm panom stojącym w oknie przeciwległego domu. Przeształ z nogi na nogę i siał tęskne westchnienia.

— Dziewczęta z przedmieść! Najlepszy kąsek!... Pierwsza klasa!... Ach!... I uśmiech promienny na ustach jej igrał...

— Pójdę już, obywatelu — rzekł głupio główny dyrektor koncesji.

— Zaraz, zaraz!... — Zakrzętał się nagle Iznurenkow. — Momencik tylko!... Ach!... A kotek? Prawda, że jest niezwykle puszysty?... Zaraz!... Chwileczkę tylko!...

Zaczął z zażenowaniem grzebać po wszystkich kieszeniach, znikł, wrócił, krzyknął coś, wyjrzał przez okno, znów znikł i znów wrócił.

— Pozwól, kochasiu — rzekł do Worobianinowa, który podczas tych wszystkich manipulacji stał z rękoma złożonymi po żołniersku.

I wsunął marszałkowi w garść rubla.

— Nie, nie, bardzo proszę, niech mi pan tylko nie odmawia. Za każdą pracę należy się zapłata.

— Rączki całuję — rzekł Hipolit Matwiejewicz, zdziwiony własną przebiegłością.

— Dzięki ci, kochanie, dzięki, mój drogi!...

Idąc przez korytarz, Hipolit Matwiejewicz słyszał rozlegające się w pokoju Iznurenkowa gwizdanie, śpiewy i niesamowite okrzyki. Na ulicy Worobianinow przypomniał sobie o Ostapie i zadrżał ze strachu.

*

²³⁵Muzpred — Zjednoczenie Przedsiębiorstw Muzycznych działające przy Ludowym Komisariacie Oświaty w latach 20. XX w. [przypis edytorski]

Ernest Pawłowicz Szczukin chodził po pustym mieszkaniu, odstąpionym mu uprzejmie na lato przez przyjaciela, i biedził się nad tym, czy wykąpać się dziś, czy też nie.

Trzypokojowe mieszkanie znajdowało się pod samym dachem dziewięciopiętrowego domu. Całe umeblowanie stanowiły: biurko, krzesło Worobianinowa oraz toaleta. Słońce odbijało się w lustrze i raziło w oczy. Inżynier oparł głowę na biurku, lecz zaraz zerwał się. Wszystko było rozżarzone.

— Umyję się chyba — postanowił.

Rozebrał się, ochłonął nieco; przejrzał się w lustrze i poszedł do łazienki. Ogarnął go miły chłód. Włazł do wanny, oblał się wodą z niebieskiego emaliowanego garnuszka i obficie namydlił. Pokryty pianą, wyglądał jak święty Mikołaj.

— Świetnie! — skostatował Ernest Pawłowicz.

W ogóle było świetnie. Upał już nie dokuczał. Żony nie było. W perspektywie — niczym nieskrępowana wolność. Inżynier przykucnął i odkręcił kran, aby zmyć mydło. W kranie zabulgotało. Wody nie było. Ernest Pawłowicz wsunął śliski od mydła palec do otworu w kranie. Kapnęło trochę wody i koniec.

Ernest Pawłowicz zasępił się, wyszedł z wanny i poszedł do kuchni. Lecz z kuchennego kranu nie udało się również nic wydoić.

Ernest Pawłowicz skrzywił się, poczłapał do pokoju i stanął przed lustrem. Pianą gryzła oczy, plecy swędziły, mydło kapało na posadzkę. Ernest Pawłowicz, stwierdziwszy raz jeszcze, że wody w łazience nie ma, postanowił zawołać dozorcę domu.

„Każę mu chyba przynieść wody — postanowił inżynier, przecierając oczy i wpadając z wolna w pasję — kompletny skandal”.

Wyjrzał przez okno. Na samym dnie podwórzowego szybu bawiły się dzieci.

— Dozorca! — krzyknął Ernest Pawłowicz. — Dozorca!

Nikt nie odezwał się.

Wtedy Ernest Pawłowicz przypomniał sobie, że dozorca domu mieszka pod schodami frontowymi. Wszedł na zimne stopnie i przytrzymując drzwi ręką, przechylił się przez poręcz. Na dziewiątym piętrze było tylko jedno mieszkanie i Ernest Pawłowicz nie obawiał się, że może go ktoś zobaczyć w dziwnym stroju z piany mydlanej.

— Dozorca! — rzucił w dół. Słowo padło i z hukiem potoczyło się po stopniach.

— Hu-hu! — odpowiedziały schody.

— Dozorca! Dozorca!

— Bum-bum! Bum-bum!

Jak na złość, bosy inżynier, przestępujący niecierpliwie z nogi na nogę, poślizgnął się i usiłując zachować równowagę, puścił z rąk drzwi. Ściana zadygotała. Rozległ się trzask miedzianego języczka przy amerykańskim zamku i drzwi zamknęły się. Ernest Pawłowicz nie zdając sobie jeszcze sprawy z grozy sytuacji, pchnął drzwi. Drzwi nie ustąpiły. Inżynier — oszołomiony — pchnął jeszcze parę razy i nasłuchiwał z bijącym coraz głośniejszym sercem. Było cicho jak w kościele o zmroku. Poprzez różnobarwne szyby górnego okna sączyło się nikle światło.

„A to sytuacja” — pomyślał Ernest Pawłowicz.

— Kanalia — cisnął pod adresem drzwi.

Na dole głosy ludzkie wybuchały jak petardy. Potem jakiś psiak pokojowy zaszczekał jak głos w radio. Po schodach pchano na górę dziecinny wózek.

Ernest Pawłowicz zaczął się tchórzliwie kręcić w kółko:

— Oszaleć można!

Wszystko to wydawało mu się zbyt niesamowite, by mogło być rzeczywistością. Poszedł znów do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał jakieś nowe dźwięki. Z początku wydawało mu się, że ktoś chodzi po mieszkaniu.

„A może ktoś wszedł kuchennymi schodami?” — pomyślał, chociaż wiedział, że drzwi kuchenne są zamknięte i nikt wejść nie może.

Monotonny szmer nie ustawał. Inżynier wstrzymał dech w piersiach. Zorientował się, że szmer ten — to plusk wody. Najwidoczniej woda lała się ze wszystkich kranów. Ernest Pawłowicz miał ochotę wyć. Sytuacja była okropna.

W Moskwie, w centrum miasta, na pomoście dziewiątego piętra stał dorosły wąsaty człowiek z wyższym wykształceniem kompletnie nagi, pokryty pianą mydlaną! Nie miał

dokąd pójść. Zgodziłby się raczej pójść do więzienia, niż w takim stanie pokazać się ludziom. Pozostawało tylko jedno — szczeznąć. Piana pękała i piekła plecy. Na rękach i na twarzy zastygła już i ściągająca skórę jak alun²³⁶.

Upłynęło tak pół godziny. Inżynier tarł się o mur, jęczał i parę razy bezskutecznie usiłował wyłamać drzwi. Wyglądał niechlujnie, okropnie.

— Nie ma innego wyjścia, nie ma. Byleby tylko ukryć się u dozorczy.

Sapiąc i zasłaniając się ręką tak, jak czynią to zazwyczaj mężczyźni wchodzący do wody, Ernest Pawłowicz zaczął powoli przekradać się wzdłuż poręczy. Znalazł się na pomoście pomiędzy ósmym a dziewiątym piętrem.

Padł na niego odbłask słońca. Różnokolorowe romby i kwadraty okna sprawiły, iż wyglądał jak Arlekin podsłuchujący rozmowy Kolombiny z Pierrotem²³⁷. Miał właśnie zamiar zejść, gdy nagle zamek położonego niżej mieszkania trzasnął i wyszła stamtąd jakaś panna z walizką. Nie zdążyła jeszcze zrobić nawet kroku, gdy Ernest Pawłowicz znalazł się już na swym pomoście. Okropne bicie serca kompletnie go ogłuszyło.

Dopiero po upływie pół godziny inżynier opanował się i mógł zaryzykować nowy wypad. Tym razem postanowił nieodwołalnie zbiec błyskawicznie na dół i nie zwracając na nic uwagi, dotrzeć do upragnionej portierni.

Tak właśnie zrobił. Skacząc cichutko po cztery stopnie i z lekka pojękując, członek zarządu sekcji inżynierów i techników zaczął zbiegać ze schodów. Na pomoście szóstego piętra zatrzymał się na chwilę. To go zgubiło. Ktoś się z dołu gramolił.

— Nieznośny brzdąc! — rozległ się głos kobiecy, wielokrotnie wzmożony przez echo. — Setki razy już mu mówiłam...

Ernest Pawłowicz, kierowany już nie przez rozum, ale przez instynkt, jak kot gnany przez psy, wpadł na dziewiąte piętro.

Znalazłszy się na swoim — pełnym mokrych śladów — pomoście, zapłakał bezgłośnie, targając się przy tym za włosy i konwulsyjnie kołysząc się. Cieknące ciurkiem lzy wyślubiły duże, faliste bruzdy w mydlanej powłoce.

— Boże! — rzekł inżynier. — Boże mój! Boże kochany!

Życie stanęło. A jednak Ernest Pawłowicz usłyszał najwyraźniej hałas przejeżdżającego ulicą wozu. A więc gdzieś tam daleko w dole żyli ludzie.

Parę razy zmuszał się, by zejść na dół, lecz nie mógł — nerwy rozklekotały się.

— Zapaskudzili schody jak świnię! — usłyszał starczy głos z dolnego pomostu.

Inżynier podbiegł do ściany i parę razy uderzył o nią głową. Najrozumniejszą, oczywista, rzeczą byłoby wrzeszczeć tak długo, póki by ktoś nie nadszedł, a potem oddać się przybyłemu do niewoli. Lecz Ernest Pawłowicz postradał doszczętnie zdolność myślenia i ciężko sapiąc, kręcił się po pomoście.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY KLUB AUTOMOBILISTÓW

W redakcji „Warsztatu” szykowano na gwałt materiał do druku. Ze składu (materiał, który został już złożony, lecz nie wszedł do poprzedniego numeru) wybrano notatki i artykuły, obliczono ilość zajętych przez nie wierszy, po czym zaczęły się zwykłe targi o miejsce.

Pismo na wszystkich czterech kolumnach mogło zmieścić raptem cztery tysiące czterysta wierszy. Musiało wejść tu wszystko: telegramy, artykuły, kronika, korespondencje, ogłoszenia, trzy felietony, z tych jeden wierszowany, karykatury, fotografie, wiadomości teatralne i sportowe, kącik szachowy, artykuł wstępny, komunikaty sowieckich, partyjnych i zawodowych organizacji, odcinek powieściowy, szkice z życia stolicy, drobiazgi w dziale „Okruczy”, popularne artykuły naukowe, radio i rozmaite przygodne wiadomości. Poszczególne działy reflektowały w sumie na dziesięć tysięcy wierszy. Toteż przydzielowi miejsca na poszczególnych kolumnach towarzyszyły wielce dramatyczne sceny.

Pierwszy przybiegł do sekretarza redakcji kierownik kącika szachowego, mistrz Sudiejkin. Zadał uprzejme, lecz zaprawione goryczą pytanie:

²³⁶ *alun* — kruchy, rozpuszczalny w wodzie minerał przybierający formę kryształków, stosowany do tamowania krwawienia. [przypis edytorski]

²³⁷ *Arlekin podsłuchujący rozmowy Kolombiny z Pierrotem* — Arlekin, Kolombina i Pierrot to postacie z *commedia dell'arte* z końca XVII w. [przypis edytorski]

— Jak to? Nie będzie dziś szachów?
— Nie zmieszczą się — odrzekł sekretarz. — Duży odcinek dziś idzie. Trzysta wierszy.
— Dziś przecież sobota. Czytelnik spodziewa się, że znajdzie świąteczny kącik. Mam rozwiązania, mam wspaniałą kombinację Nieunywako, mam wreszcie...

— Dobrze. Ile żądacie?

— Co najmniej stu pięćdziesięciu wierszy.

— Dobrze, jeśli macie rozwiązania, to damy wam sześćdziesiąt wierszy.

Mistrz próbował choćby trzydzieści na kombinację Nieunywako (kapitałna indyjska partia Tartakower²³⁸–Bogolubow²³⁹ spoczywała już w jego tece więcej niż miesiąc), lecz spławiono go.

Przyszedł Persicki.

— Czy dać wrażenia z plenum²⁴⁰? — spytał niezwykle cicho.

— Rozumie się! — krzyknął sekretarz. — Obiecaliście mi przecież onegdaj.

— Mam plenum — powiedział Persicki jeszcze ciszej — i dwa szkice także mam, lecz nie dają mi miejsca.

— Jak to nie dają? Z kim mówiliście? Oszaleli czy co?

Sekretarz pobiegł z awanturą. Za nim, wciąż intrygując, biegł Persicki, a dalej jeszcze ajaksy²⁴¹ z działu ogłoszeń.

— Mamy dziś „Erdal”²⁴²! — krzyczeli smętnie.

— „Erdal” we wtorek. Dziś idą nasze dodatki.

— Dużo będziecie mieli z waszych bezpłatnych ogłoszeń, a za „Erdal” wplacono już pieniądze.

— Dobrze, rozstrzygnie się to na nocnym dyżurze. Ogłoszenie wasze dajcie Paszy. Akurat idzie na dyżur.

Sekretarz zaczął czytać artykuł wstępny. Zaraz oderwano go od tej ciekawej pracy. Przyszedł rysownik.

— Aha — rzekł sekretarz — bardzo dobrze, że was widzę. Mamy temat do karykatury w związku z ostatnimi telegramami z Niemiec.

— Mam pomysł — rzekł rysownik. — Stahlhelm²⁴³ i ogólna sytuacja Niemiec.

— Dobrze. Coś tego owego wykombinujcie, a potem pokażcie mi.

Rysownik pobiegł do swego działu. Chwytał skrawek papieru i naszkicował ołówkiem chudego psa. Na psi łeb wsadził pikelhaubę²⁴⁴. A potem zabrał się do napisów. Na tułowiu zwierzęcia napisał drukowanymi literami słowo: „Niemcy”, na ogonie: „korytarz gdański”²⁴⁵, na szczęce: „marzenia odwetowe”, na obroży: „Plan Dawesa”²⁴⁶ i na wysuniętym języku — „Stresemann”²⁴⁷. Przed psem postawił Poincarégo²⁴⁸ z kawałkiem mięsa w ręce. Na kawałku tym zamierzał artysta zrobić również napis, lecz mięsa było tak mało, że napis nie mógł się na nim w żaden sposób zmieścić. Człowiek mniej rzutki niż dziennikarz-karykaturzysta zmieszałby się, lecz artysta nasz bez namysłu przyczepił do mięsa coś na kształt recepty i na niej już napisał maczkiem: „Francuskie propozycje: rękojmią bezpieczeństwa”. Aby nikt nie mógł pomylić się co do osoby Poincarégo i nie wziąć go

²³⁸ *Tartakower, Savielly* (1887–1956) — polski i francuski szachista pochodzenia żydowskiego, arcymistrz szachowy. [przypis edytorski]

²³⁹ *Bogolubow, Jefim* (1889–1952) — rosyjski i niemiecki szachista, arcymistrz szachowy. [przypis edytorski]

²⁴⁰ *plenum* — ogół członków jakiejś organizacji obecnych na zebraniu. [przypis edytorski]

²⁴¹ *ajaks* (pot.) — określenie zadziornego młodzieńca pochodzące od imienia Ajaksa: bohatera mitologii greckiej, uczestnika wojny trojańskiej, najdzielniejszego po Achillesie wojownika achajskiego. [przypis edytorski]

²⁴² „Erdal” — marka pasty do butów. [przypis edytorski]

²⁴³ *Stahlhelm* — „Stalowy Hełm”, niemiecka kombatancka organizacja paramilitarna, założona przez byłych uczestników I wojny światowej w 1919. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *pikelhauba* a. *pikielhauba* — skórzany niemiecki hełm zakończony charakterystycznym szpikulcem. [przypis edytorski]

²⁴⁵ *korytarz gdański*, właśc. *korytarz polski* — pochodzące z niemieckiej nomenklatury lat 20. XX w. określenie obszaru polskiego województwa pomorskiego. [przypis edytorski]

²⁴⁶ *Plan Dawesa* — przyjęty w 1924 plan gospodarczy zakładający rozłożenie na wiele lat niemieckich reparacji wojennych po I wojnie światowej oraz udzielenia Niemcom pożyczek na ich spłatę; opracowany przez zespół ekspertów pod przewodnictwem amerykańskiego bankiera Charlesa Dawesa. [przypis edytorski]

²⁴⁷ *Stresemann, Gustav* (1878–1929) — niemiecki polityk, kanclerz i minister spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej. [przypis edytorski]

²⁴⁸ *Poincaré, Raymond* (1860–1934) — polityk francuski, pięciokrotny premier, prezydent Francji w latach 1913–1920. [przypis edytorski]

czasem za jakiegoś innego działacza państwowego, umieszczono na jego brzuchu napis: „Poincaré”. Szkic był skończony.

W dziale artystycznym leżały na stole zagraniczne czasopisma, duże nożyce oraz słoiiki z tuszem i bielidłami. Na podłodze poniewierały się skrawki fotografii — jakieś ramię, jakieś nogi i kawałki pejzażu. Pięciu artystów skrobało fotografie brzytwami „Gillette”. Nadawali oni zdjęciom ostrość, barwili je tuszem i bielidłami, a na odwrotnej stronie umieszczali podpis i wymiar trzy i trzy czwarte kwadratu²⁴⁹, dwie kolumny i tak dalej — wskazówki dla cynkografów²⁵⁰.

W pokoju redaktora siedziała zagraniczna delegacja. Tłumacz redakcyjny patrzył w twarz przemawiającego cudzoziemca i zwracając się do redaktora, mówił:

— Towarzysz Arno pragnie dowiedzieć się...

Tematem rozmowy była struktura sowieckiej gazety.

Podczas gdy tłumacz wyjaśniał redaktorowi, czego pragnąłby się dowiedzieć towarzysz Arno, sam Arno w aksamitnych spodniach sportowych, jak również pozostali cudzoziemcy przyglądali się ciekawie czerwonej obsadce ze stalówką numer osiemdziesiąt sześć, stojącej w kącie pokoju. Stalówka niemal dotykała sufitu, a obsadka w swej dolnej części nie ustępowała średniej tuszy człowiekowi. Obsadką tą można było pisać — stalówka była najprawdziwsza w świecie, mimo iż przekraczała rozmiary sporego szczupaka.

— Oho ho — śmieli się cudzoziemcy. — *Kolossal!*²⁵¹

Obsadka ta była darem rab-korów²⁵² dla redakcji „Warsztatu”.

Redaktor, siedzący na krześle Worobianinowa, uśmiechał się i spoglądając kolejno na obsadkę i na gości, czynił honory domu.

Hałas w sekretariacie nie ustawał. Persicki przyniósł artykuł Siemaszki i sekretarz wyrzucił na gwałt ze składu trzeciej kolumny kącik szachowy. Mistrz Sudejkin nie kruszył już kopii²⁵³ o cudowną kombinację Nieunywako. Usiłował zachować chociażby „rozwiązania”. Po walce bardziej wyczerpującej niż jego walka z Capablancą na turnieju szachowym w San Sebastián²⁵⁴ wywalczył sobie mistrz mały kącik kosztem sprawozdania „Z sali sądowej”.

Siemaszkę dano do składania. Sekretarz znów zatonął we wstępnym artykule. Póstanowił przeczytać go za wszelką cenę po prostu dla sportu — nie mógł tego dokonać w ciągu dwóch godzin.

Gdy doszedł do miejsca:

„Jednakże treść ostatniej konwencji jest taka, że jeśli Liga Narodów²⁵⁵ zarejestruje ją, to trzeba będzie uznać, że...” — zauważył nadejście brodatego mężczyzny: „Sali sądowej”. Sekretarz czytał dalej, nie patrząc celowo w stronę „Sali sądowej” i robiąc w artykule wstępnym całkiem zbędne poprawki.

„Sala sądowa” podeszła z drugiej strony i z urazą powiedziała:

— Nie rozumiem.

— No, no — mamrotał sekretarz, grając na zwłokę — o co idzie?

— Idzie o to, że w środę „Sali sądowej” nie było, w piątek „Sali sądowej” nie było, we czwartek z całego składu dano tylko sprawę o alimenty, a w sobotę wyrzuca się proces, o którym dawno piszą w całej prasie, i tylko my...

— Gdzie piszą? — wrzasnął sekretarz. — Nie czytałem.

— Jutro ukaże się wszędzie, a my znów spóźnimy się.

²⁴⁹kwadrat — rozmiar czcionki o wielkości 48 punktów. [przypis edytorski]

²⁵⁰cynkograf — osoba zajmująca się cynkografią: techniką graficzną druku wypukłego, stosowaną głównie jako metoda druku przemysłowego. [przypis edytorski]

²⁵¹kolossal (niem.) — sens: robi wrażenie. [przypis edytorski]

²⁵²rab-kor — korespondent robotniczy. [przypis redakcyjny]

²⁵³kruszyć kopie — spierać się. [przypis edytorski]

²⁵⁴San Sebastián — miasto w pln.-wsch. Hiszpanii nad Zatoką Biskajską, tuż przy granicy z Francją; w 1911 i 1912 odbyły się tu dwa ważne turnieje szachowe. [przypis edytorski]

²⁵⁵Liga Narodów — międzynarodowa organizacja istniejąca w latach 1919–1946, powołana na mocy traktatu wersalskiego w celu zapewnienia pokoju, rozwiązana po powstaniu ONZ. [przypis edytorski]

— A gdy poleciliśmy wam dostarczyć nam wiadomości o procesie czubarowców²⁵⁶, to nie raczyliście... Ani jednego wiersza nie można się było doprosić. Myślicie, że nie wiem? Pisaliście o czubarowcach, ale do „Kurierka”.

— Skąd wiecie o tym?

— Wiem. Mówiono mi.

— W takim razie wiem już, kto wam mówił. Mówił to wam Persicki, który z całą bezczelnością korzysta z telefonu redakcyjnego i nadaje materiał do Leningradu.

— Pasza! — rzekł cicho sekretarz. — Zawołajcie Persickiego.

„Sala sądowa” siedziała obojętna na oknie. Przez okno widać było ogród pełen ptaków.

Spór „Sali sądowej” z Persickim rozpatrywano bardzo długo. Gdy konflikt zbyt się zaostrzył, sekretarz przeciął go sprytnym posunięciem: wyrzucił szachy i zamiast nich wstawił zrehabilitowaną „Salę sądową”. Persickiemu udzielono nagany.

Była godzina piąta po południu. Praca w redakcji wrzała. Nad rozgrzanyimi maszynami do pisania unosiły się smugi dymu. Dziennikarze dyktowali na gwałt przykrymi wskutek pośpiechu głosami. Starsza maszynistka besztala nicponiów, podrzucających niespostrzeżenie materiał poza kolejką. Po korytarzu kręcił się redakcyjny poeta.

Zalecał się do maszynistki, której wąskie biodra rozpętywały jego poetyczne uczucia. Prowadził ją na sam koniec korytarza i tam pod oknem, pomiędzy miestkiem i damską garderobą, wyznawał jej swą miłość, na co panienka odpowiadała:

— Mam dziś nadprogramową robotę i jestem bardzo zajęta.

Oznaczało to, że kocha innego.

Poeta plątał się pod nogami i nagabywał wszystkich znajomych w zdumiewająco jednakowy sposób:

— Pożyczcie mi osiem kopiejek na tramwaj!

Szukając tej kwoty, zawędrował do działu rab-korów. Pokręcił się tam najpierw nieco koło stołów, przy których ślęczeli „czytaczki”, pomacał rękami stopy korespondencji, po czym wznowił swe próby. „Czytaczki”, ludzie najbardziej posępni z całej redakcji (wpłynęła tak na nich konieczność czytania stu listów dziennie) — milczeli.

Poeta powąłęsał się po ekspedycji²⁵⁷ i ostatecznie wyłądował w administracji. Lecz nie tylko nie wyděbił tam osmiu kopiejek, lecz nawet naraził się na atak ze strony kom-somolca²⁵⁸ Awdotiewa. Zaproponowano poecie, by wstąpił do sekcji automobilistów. Rozmiłowaną duszę poety zasnuły opary benzyny. Cofnął się o dwa kroki, po czym z zawrotną szybkością znikł z oczu.

Incydent ten bynajmniej nie zniechęcił Awdotiewa. Wierzył on w triumf automobilizmu. W sekretariacie przeszkodził sekretarzowi, kończącemu właśnie czytanie wstępnego artykułu.

— Słuchaj, Aleksandrze Józefowiczu! Sprawa, uważasz, poważna — zaczął Awdotiew, sadowiąc się przy biurku sekretarza — zorganizowaliśmy klub automobilowy. Automobilu wprawdzie nie mamy jeszcze, lecz chcemy go nabyć. Jak myślisz, czy redakcja nie dałaby nam pięciuset rubli na przeciąg osmiu miesięcy.

— Nie łudź się.

— Co? Przypuszczasz, że to nierealne?

— Nie przypuszczam, lecz wiem. Ile też macie członków w tej waszej sekcji?

— O, bardzo wielu.

Sekcja składała się jak dotąd tylko z jednego jedyne go organizatora, lecz Awdotiew nie uważał za wskazane rozpowiadać o tym.

— Za pięćset rubli kupimy sobie jaką zdezelowaną maszynę. Jegorow już patrzył. Remont, powiada, nie wyniesie więcej niż pięćset. Cała parada: tysiąc rubli. Zamierzam właśnie zebrać dwudziestu chłopa, na każdego wypadnie raptem pół setki. Pierwsza klasa będzie. Jegorowa zrobimy szefem. I za trzy miesiące w sierpniu potrafiemy już kierować,

²⁵⁶A gdy poleciliśmy wam dostarczyć nam wiadomości o procesie czubarowców (...) — chodzi o proces sądowy przeciw oskarżonemu o zgwałcenie studentki Lubow Bielakowej, który odbył się w 1926. [przypis edytorski]

²⁵⁷ekspedycja — dział w organizacji zajmujący się przyjmowaniem i wysyłaniem towarów, dokumentów itp. [przypis edytorski]

²⁵⁸komsomolec — członek *Komsomolu*: komunistycznej organizacji młodzieży w Rosji Radzieckiej i ZSRR, powstałej w 1918. [przypis edytorski]

będzie maszyna i każdy kolejno będzie sobie jeździł, gdzie go oczy poniosą. Można nawet będzie puścić się naprawdę w podróż! Nie wykrzywiaj gęby. Całkiem realna kombinacja.

— A pięćset rubli na maszynę?

— Kasa samopomocy da nam na procent. Spłacimy. A więc, zapisać ciebie?

Lecz sekretarz był już łysawy, dużo pracował, przywykł do jarzma rodziny i mieszkania, lubił leżeć po obiedzie na sofce, a przed zaśnięciem poczytać „Prawdę”. Zastanowił się i odmówił.

— Wstydz się! — rzekł Awdotiew. — Dziad! Zobaczysz, będziemy sobie jeździć pod twymi oknami. Umyślnie będziemy trąbić, żebyś nie mógł zasnąć!

Awdotiew podchodził do każdego biurka i wygłaszał płomienne przemówienia. Na starszuchach, za których uważał wszystkich współpracowników liczących ponad dwadzieścia lat, słowa jego wywierały wątpliwy efekt. Odmawiali mu z kwaśną miną, podkreślając, że należą już do przyjaciół dzieci i wpłacają regularnie po dwadzieścia kopiejek rocznie na akcję pomocy dla biednych małeństw. Prawdę mówiąc, zgodziliby się na wstąpienie do nowego klubu, ale...

— Jakie ale? — wrzeszczał Awdotiew. — Gdyby auto dziś już było? Co? Gdyby wam tak wetknąć w łapę niebieskiego sześciocyndrowego Packarda²⁵⁹ za piętnaście kopiejek rocznie, a benzynę i smary dać na rachunek państwa?!

— Zmykaj, zmykaj! — mówili starszuchowie. — Zamykają zaraz numer, przeszkadzasz nam w pracy!

Według wszelkich oznak na niebie i ziemi imprezę Awdotiewa spotkało zupełne fiasko. Idea automobilowa stopniowo przygasła i zaczynała kopcić. W końcu znalazł się pionier tej idei. Persicki odskoczył z hałasem od telefonu, wysłuchał Awdotiewa i powiedział:

— Niezły interes. Zapisuję się. Ilu już masz kandydatów?

Tym razem Awdotiew nie blagował²⁶⁰.

— Źle bierzesz się do rzeczy — skrytykował Persicki — daj no mi listę. Zaczniemy od początku.

I Persicki razem z Awdotiewem rozpoczął nową wędrówkę.

— Słuchaj, niedołego — zagadnął Persicki niebieskookiego młodzieńca — możesz nie dawać nawet na to pieniędzy. Masz obligacje z dwudziestego siódmego roku? Na ile? Na pięćdziesiąt? Doskonale. Dasz nam te obligacje do klubu. Z obligacji powstanie kapitał. Do sierpnia zrealizujemy wszystkie obligacje i nabędziemy auto.

— A jeśli na mój numer padnie wygrana? — bronił się młodzian.

— Ile chcesz wygrać?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Za te pięćdziesiąt tysięcy nabędziemy samochody. I gdybym ja wygrał, także kupimy. I gdyby Awdotiew — także. Jednym słowem, na którąkolwiek obligację padnie wygrana, forsa idzie na zakup maszyn. Zrozumiałeś teraz? Ej, dziwaku! Własną maszyną jeździć sobie będziesz po Gruzjińskiej Drodze Wojennej²⁶¹! Góry! Durniu! A za tobą na własnych maszynach pędzi „Sala sądowa”, kronika, dział wypadków i tamta, wiesz, damulka, ta, co pisze o kinie!... No i cóż? Zalecać się będziesz!...

Posiadacz obligacji w głębi duszy nie wierzy nigdy w możliwość wygranej. Cechuje go jednak zawiść w stosunku do sąsiadów i znajomych posiadających obligacje. Jak ognia boi się tego, że wygrają oni, a on, zawodowy pechowiec, zostanie z kwitkiem. Dlatego też nadzieja na wygraną któregośkolwiek kompana redakcyjnego pchała nieubłaganie posiadaczy obligacji w objęcia nowego klubu. Powstrzymywała ich jedynie obawa, że na żadną obligację nie padnie wygrana. Lecz nie wiadomo dlaczego, wydawało się to im niezbyt prawdopodobne, a zresztą klub automobilistów nic nie stracił: dzięki stworzonemu z obligacji kapitałowi jedna maszyna ze szmelcu²⁶² była murowana.

Kondycja ludzka, Zazdrość

²⁵⁹ *Packard* — luksusowy samochód produkowany w latach 1899–1958 przez amerykańskie przedsiębiorstwo Packard. [przypis edytorski]

²⁶⁰ *blagować* (pot.) — klamać. [przypis edytorski]

²⁶¹ *Gruzjińska Droga Wojenna* — główny szlak przechodzący w poprzek Wielkiego Kaukazu, biegnący z Tbilisi do Władykaukazu. [przypis edytorski]

²⁶² *szmelc* (z niem.) — odpadki metalowe; złom. [przypis edytorski]

W ciągu pięciu minut zapisało się dwadzieścia osób. Gdy sprawa była już sfinalizowana, zjawił się sekretarz, do którego dotarły wieści o ponętnych perspektywach otwierających się przed klubem automobilistów.

— Jak sądzicie, chłopcy — zagadnął — może i ja bym się zapisał?

— Zapisz się, stary — odrzekł Awdotiew — tylko nie do nas. Mamy już niestety komplet i zapis nowych członków wstrzymaliśmy do 1929 roku. Zapisz się lepiej do „Przyjaciół dzieci”. Tanio i przyjemnie. Dwadzieścia kopiejek rocznie i nigdzie nie trzeba jeździć.

Sekretarz zmieszał się, pomyślał o tym, że istotnie starzeje się już, westchnął i poszedł przeczytać wreszcie do końca frapujący wstępny artykuł.

— Przepraszam, towarzyszu. — Zatrzymał go na korytarzu piękny młodzian o czernych²⁶³ rysach. — Gdzie tu jest redakcja „Warsztatu”?

Był to Wielki Kombinator.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY ROZMOWA Z NAGIM INŻYNIEREM

Przybycie Ostapa Bendera do redakcji poprzedzał cały szereg doniosłych wydarzeń.

Wielki Kombinator nie zastał Ernesta Pawłowicza w domu (mieszkanie było zamknięte, inżynier zaś był najwidoczniej w biurze), wobec czego postanowił odwiedzić go nieco później, a tymczasem wałęsał się po mieście. Trawiony gorączką czynu, przebiegał ulicę, zatrzymywał się na placach, sypał oko do milicjanta, pomagał paniom przy wsiedaniu do autobusów i w ogóle tak się zachowywał, jak gdyby całutka Moskwa wraz z pomnikami, tramwajami, cerkwiami, dworcami i słupami elektrycznymi przyszła do niego na raut. Kręcił się między gośćmi, uprzejmie gawędził z nimi i dla każdego znajdował miłe słówko. Przyjęcie tak wielkiej liczby gości znużyło nieco Wielkiego Kombinatora. Poza tym zbliżała się już godzina szósta i trzeba było spieszyć do inżyniera Szczukina.

Lecz tak się złożyło, że — nim Ostap spotkał się z Ernestem Pawłowiczem — musiał zmarudzić dwie godziny na podpisanie krótkiego protokołu.

Na Placu Teatralnym Wielki Kombinator dostał się pod konia. Zupełnie niespodzianie wpadło na niego nieśmiałe zwierzę o białej maści i pchnęło go kościstą piersią. Bender, zlany potem, upadł. Było bardzo gorąco. Biała szkapa gromkim głosem prosiła o przebaczenie. Ostap żwawo wstał. Jego krzepkie ciało nie doznało żadnego szwanku.

Tym większy, oczywista, był powód do zrobienia skandalu.

Gościnnie i uprzejmie gospodarz Moskwy zmienił się nie do poznania. Kołyszając się, podszedł do zafrasowanego staruszka-woźnicy i trzepnął go pięścią po wywatowanych plecach. Staruszek cierpliwie zniósł tę karę. Przybiegł milicjant.

— Żądam spisania protokołu — wrzasnął z patosem Ostap.

Jego głos był metaliczny. Był to głos człowieka obrażonego w swych najświętszych uczuciach. I pod murami Teatru Małego²⁶⁴, w tym samym miejscu, w którym kiedyś stanie pomnik wielkiego rosyjskiego dramaturga Ostrowskiego²⁶⁵, Ostap podpisał protokół i udzielił krótkiego wywiadu Persickiemu. Persicki nie gardził czarną robotą. Zapisał dokładnie w notiesie nazwisko i imię poszkodowanego i pobiegł dalej.

Ostap ruszył dumnie w drogę. Wciąż jeszcze przeżywając w pamięci atak białego konia i czując spóźniony żal, że nie zdążył dać woźnicy uczciwie po karku, dotarł, skacząc po dwa stopnie, na siódme piętro domu, w którym mieszkał Szczukin. Nagle spadła mu na głowę ciężka kropla. Spojrzał w górę. Prosto w oczy spłynął z górnego pomostu biały wodosпадzik brudnej wody.

— Za takie kawały należy prać po gębie — zdecydował Ostap.

Pobiegł na górę. Podo drzwiami wiodącymi do mieszkania Szczukina siedział nagi człowiek pokryty białymi liszajami. Siedział wprost na kafłowych płytach, trzymając się za głowę i kiwając na wszystkie strony. Dokoła nagusa zbierała się woda, sącząca się przez szczeliny we drzwiach.

— Ooo — jęczał nagus — ooo...

²⁶³ *czerkieski* — właściwy *Czerkiesom*: grupie etnicznej z płn.-zach. Kaukazu. [przypis edytorski]

²⁶⁴ *Teatr Mały* — teatr w Moskwie, położony przy Placu Teatralnym w centrum miasta. [przypis edytorski]

²⁶⁵ *Ostrowski, Aleksandr* (1823–1886) — dramaturg rosyjski. [przypis edytorski]

— Do licha, dlaczego pan leje wodę? — spytał poirytowany Ostap. — Czy to jest miejsce do kąpania się? Oszalał pan czy co?

Nagus spojrział mętnie na Ostapę i beknął.

— Słuchajcie, obywatelu, zamiast beczeć, może byście lepiej poszli do łazienki? Jak pan wygląda?! Po prostu jak jakiś pikador²⁶⁶!

— Klucz! — wystękał inżynier, kłapiąc zębami.

— Jaki klucz? — spytał Ostap.

— Od m-miesz-sz-ka-a-nia.

— W którym leżą pieniądze?

Nagus miał rozpaczliwą czkawkę.

Nic nie mogło zbić z tropu Ostapę. Zaczynał kombinować. I gdy wreszcie skombinował, porwał go taki śmiech, że o mały włos nie spadł ze schodów. Z takim śmiechem walczyć było rzeczą zgoła bezcelową.

— A więc nie może pan dostać się do mieszkania? Przecież to takie proste.

Wymijając starannie nagusa, by się o niego nie zabrudzić, Ostap podszedł do drzwi, wsunął paznokieć dużego palca i zaczął nim ostrożnie manewrować.

Drzwi bezgłośnie rozwarły się i nagus z radosnym wyciem wbiegł do zalanego wodą mieszkania.

Krany hałasowały. W stołowym woda tworzyła wiry. W sypialni utworzyła spokojny staw, po którym dostojnie na kształt łabędzi płynęły nocne pantofle. W kącie zaś, jak gromadka ryb, stłoczyły się niedopalki.

Krześło Worobianinowa stało w stołowym, gdzie był najsilniejszy prąd wody. Białe pęcherzyki tworzyły się koło jego czterech nóg. Krzesło z lekka dygotało i wydawało się, że lada chwila, uciekając przed swym prześladowcą, popłynie z prądem. Ostap siadł na nim po turecku. Ernest Pawłowicz oprzytomniał i krzycząc: „*Pardon!*”²⁶⁷ „*Pardon!*”, zamknął krany, umył się, po czym stanął przed Benderem nagi do pasa, w podwiniętych do kolan mokrych spodniach.

— Pan mnie po prostu uratował! — krzyczał w podnieceniu. — Przepraszam, że nie mogę panu podać ręki, jestem cały mokry. Wie pan, omal nie zwariowałem.

— Zanosilo się, jak widzę, na to.

— Znalazłem się w okropnej sytuacji.

I Ernest Pawłowicz na nowo przeżywał straszliwe zdarzenie, opowiadając z przejęciem Wielkiemu Kombinatorowi wszystkie szczegóły nieszczęścia.

— Zginałbym bez pana — zakończył inżynier.

— Tak — powiedział Ostap — i mnie kiedyś przytrafiła się akurat taka sama historia. Nawet trochę gorsza.

Szczukina tego stopnia interesowało wszystko, co dotyczyło podobnych historii, że cisnął nawet wiadro, którym zbierał wodę, i zaczął uważnie przysłuchiwać się.

— Zupełnie tak, jak z panem — zaczął Bender — lecz było to zimą i nie w Moskwie, lecz w Mirhorodzie, podczas rozkosznej przerwy pomiędzy Machną²⁶⁸ i Tiutiunnykiem²⁶⁹ w dziewiętnastym roku. Mieszkałem wtedy przy pewnej rodzinie. Okropne „chochły” to były! Typowi burżuje — jednopiętrowy budynek i mnóstwo rozmaitych gratów. Zauważ pan sobie, jeśli mowa o kanalizacji i pozostałych wygodach, to w Mirhorodzie były tylko doły. A więc, uważa pan, wyskoczyłem kiedyś w nocy, tylko w samej bieliźnie, wprost na mróz; przeziębienia nie bałem się, toż to przecie tylko chwilka. Wyskoczyłem i machinalnie zatrzasnąłem za sobą drzwi. Mróz siarczysty: dwadzieścia stopni. Pukam — i nie otwierają. I co najważniejsze: w domu nikt nie śpi. Okropna noc. Psy wyją. Gdzieś tam strzelają. A ja biegam po dołach w letnich kałesonach. Calutką godzinę pukałem. Kopyta już wybiegałem. I, jak panu się zdaje, dlaczego oni nie otwierali? Mienie chowali, kierrenki²⁷⁰ do poduszki zaszywali. Myśleli, że to rewizja. Omal ich potem nie ukatrupiłem.

²⁶⁶pikador — konny uczestnik corridy, który kłuje byka piką. [przypis edytorski]

²⁶⁷pardon (fr.) — przepraszam. [przypis edytorski]

²⁶⁸Machno, Nestor (1888–1934) — ukraiński robotnik, przywódca powstania chłopskiego, walczący przeciwko okupantom niemieckim i austro-węgierskim, Hetmanatowi oraz białym i bolszewikom. [przypis edytorski]

²⁶⁹Tiutiunnyk, Jurko (1891–1930) — ukraiński generał-chorąży armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, partyzant. [przypis edytorski]

²⁷⁰kierenka — nieoficjalna nazwa banknotu będącego w obiegu w czasie rządów Kiereńskiego. [przypis edytorski]

Inżynier doskonale to rozumiał.

— Tak — rzekł Ostap — a więc to pan jest inżynierem Szczukinem?

— Ja! Tylko niech już pan, z łaski swej, nikomu o tym nie mówi. Przykro mi, do prawdy.

— Za kogo mnie pan ma! *Entre nous, tête-à-tête*²⁷¹. W cztery oczy, jak powiadają Francuzi. Przyszedłem tu za interesem, towarzyszu Szczukin.

— Rad jestem, że mogę się panu przysłużyć.

— *Grand merci*²⁷². To bagatela. Małżonka pańska prosiła mnie, bym wstąpił do pana i wziął stąd krzesło. Mówiła mi, że jest jej koniecznie potrzebne do pary. A ona panu za to przyśle fotel.

— Z miłą chęcią! — zgodził się Ernest Pawłowicz. — Bardzo się cieszę! Po co się pan będzie fatygował? Sam zaniosę. Dziś jeszcze.

— Nie, po cóż? Dla mnie to blahostka. Mieszkam w pobliżu, nie sprawi mi to żadnego kłopotu.

Inżynier, wielce zaaferowany, odprowadził Wielkiego Kombinatora do samych drzwi, których przekroczenie napawało go panicznym lękiem, mimo iż klucz schował przeźornie do kieszeni mokrych spodni.

Były student Iwanopulo otrzymał w prezencie jeszcze jedno krzesło. Wprawdzie obicie było z lekka uszkodzone, lecz bądź co bądź krzesło było wspaniałe i akurat takie samiuteńkie jak pierwsze.

Było to czwarte z kolei krzesło. Ostapa jednak nie przerażało niepowodzenie. Znał wszystkie zasadzki losu.

„Szczęście — rozmyślał — zawsze przychodzi w ostatniej chwili. Jeśli chce kto, na przykład, wsiąść przy Rynku Smoleńskim do tramwaju numer cztery, a tam prócz czwórki kursują jeszcze piątka, siedemnastka, piętnastka, trzydziestka, trzydziesty pierwszy, B, G i dwie linie autobusowe, to gotów jestem założyć się, że najpierw nadejdzie G, potem dwie piętnastki, jedna za drugą, co w ogóle nie jest rzeczą normalną, następnie siedemnastka, trzydziestka, parę B, znów G, trzydziesty pierwszy, piątka, znów siedemnastka i znów B. I gdy zacznie człek przypuszczać, że czwórki nie ma już na świecie, nadejdzie sobie wolniutko, od strony briańskiego dworca. Wdarcie się do zapchanego wagonu jest dla doświadczonego pasażera tramwajowego fraszką. Najważniejsze, by tramwaj nadszedł. Jeśli natomiast chce ktoś wsiąść do piętnastki, to jest rzeczą pewną, że najpierw przyjedzie mnóstwo innych numerów, przekłeta czwórka przejedzie osiem razy raz za razem, a piętnastka, która dopiero co kursowała co pięć minut, zjawiać się będzie nie więcej niż raz na dobę. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać”.

Szczęście

W tym logicznym systemie wniosków, którego założeniem był przypadek, przykrą lukę stanowiło krzesło, które zniknęło w przepastnej otchłani Dworca Październikowego. Myśl o tym krześle była nieprzyjemna i rodziła przykre wątpliwości.

Wielki Kombinator przypominał gracza hazardowego stawiającego wyłącznie na numery mogące przynieść wygraną wynoszącą trzydzieści sześć razy więcej niż stawka. Jego sytuacja była nawet gorsza. Aferzyści grali w taką ruletkę, gdzie na dwanaście numerów przypadało jedenaście zer. A na dobitkę dwunasty numer był poza polem widzenia, przepadł лихо wie gdzie i, nie było wyłączone, że ukrywał w sobie cudowną wygraną.

Łańcuch tych niewesołych dumań przerwało przyjście głównego dyrektora. Już sam jego widok wzbudził w Ostapie niemiłe uczucia.

— Oo — odezwał się kierownik techniczny — widzę, że pan robi postępy. Tylko bez żartów. Dlaczego zostawił pan krzesło za drzwiami? Chce mnie pan zaintrygować?

— Towarzyszu Bender — wybełkotał marszałek.

— Ach, dlaczego gra mi pan na nerwach! Przynieś je pan tu prędzej, przynieś! Widzi pan przecież, że nowe krzesło, na którym właśnie siedzę, zwielokrotniło znaczenie wartości pańskiej zdobyczy.

— Dość już — wrzasnął wreszcie basem — gdzie jest krzesło? Dlaczego pan go nie przyniósł?

²⁷¹*entre nous, tête-à-tête* (fr.) — między nami, sam na sam. [przypis edytorski]

²⁷²*grand merci* — wielkie dzięki. [przypis edytorski]

Mętnemu raportowi Hipolita Matwiejewicza towarzyszyły okrzyki z miejsca, ironiczne oklaski i zabójcze pytania. Worobianinow zakończył swój raport wśród ogólnego śmiechu audytorium.

— A moje instrukcje? — spytał grzecznie Ostap. — Tyle razy mówiłem panu, że kradzież jest śmiertelnym grzechem! Już wówczas, gdy w Starogrodzie chciał pan okraść żonę moją Grycacujewą, już wówczas zrozumiałem, że jest pan kryminalistą pośledniejszego gatunku. Nigdy nic się panu nie stanie. Ręczę za to. Sześć miesięcy bez surowej izolacji — to maksimum, do którego mogą pana doprowadzić jego upodobania. Jak na giganta myśli i ojca rosyjskiej demokracji skala niezbyt rozległa. Toteż widzimy teraz rezultaty. Krzesło, które pan miał w rękach, wyslizgnęło się. Mało tego, zepsuł pan łatwą robotę. Niech no pan spróbuje teraz zaatakować go drugą wizytą. Toż Awessałom Iznurenkow głowę panu by urwał. Całe szczęście, że pomógł panu idiotyczny zbieg okoliczności, inaczej siedziałby pan za kratkami i daremnie czekał na wałówkę. Wałówek nosić panu nie będę, niech pan to sobie zapamięta. Co mnie obchodzi Hekuba²⁷³? Ostatecznie nie jest mi pan ani bratem, ani swatem.

Hipolit Matwiejewicz, rozumiejąc całą swą nicość, stał zaszepiony.

— Uważasz, kochasiu, widzę teraz, że nasza wspólna praca jest najzupełniej bezcelowa. W każdym razie na czterdzieści procent wydaje mi się absurdem. *Nolens volens*²⁷⁴ muszę postawić nowe warunki.

Hipolit Matwiejewicz zasapał. Dotychczas starał się nie oddychać.

— Tak, stary przyjacielu, choruje pan na organizacyjne niedołęstwo i niemoc. Proporcjonalnie do tego zmniejsza się udział pana w naszej imprezie. Było nie było, chce pan dwadzieścia procent?

Hipolit Matwiejewicz potrząsnął stanowczo głową.

— Nie chce pan? Dlaczego? Mało?

— M-mało.

— Ależ to przecie wynosi trzydzieści tysięcy rubli! Ileż pan chce?

— Zgadzam się na czterdzieści.

— Rozbój na równej drodze! — rzekł Ostap, przedrzeźniając ton głosu marszałka podczas historycznego ubijania interesu w portierni.

— Trzydzieści tysięcy to jeszcze mało? Potrzeba panu może jeszcze klucza do mieszkania?!

— To panu potrzeba klucza do mieszkania — wybełkotał Hipolit Matwiejewicz.

— Bierz pan dwadzieścia, pókim dobry, bo mogę się jeszcze rozmyślić. Niech pan korzysta z mego dobrego humoru.

Worobianinow od dawna już zatracił tę pewność, z którą ongi rozpoczynał poszukiwania brylantów.

Lody, które ruszyły jeszcze w portierni, lody, które huczały, pękały i uderzały o granitowe brzegi, od dawna już pokruszyły się i tajały. Nie było już lodów. Były natomiast szeroko rozlane wody, które niedbale na falach swych niosły Hipolita Matwiejewicza, przerzucając go z boku, uderzając nim o polana, zderzając go z krzesłami, to znów unosząc go het daleko od nich. Nieznośny strach ogarnął Hipolita Matwiejewicza. Wszystko go przerażało. Rzeka unosiła z sobą odpadki, resztki kurników, zdechłe ryby, jakiś okropny kapelusz... Może był to kapelusz ojca Fiodora, porywany przez wiatr w Rostowie?... Kto wie? Kres drogi jeszcze daleki. Brzegu nie widać, a płynąc przeciw prądowi, dawny marszałek szlachty nie miał ani sił, ani ochoty.

Fale niosły go do otwartego morza przygód.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI DWIE WIZYTY

Wyjęte z powijaków niemowlę ustawicznie bez chwili wypoczynku otwiera i zaciska wojskowe piąsteczki, rusza nóżkami, kręci główką nie większą niż duże jabłko przystrojone w czepeczek i bez przerwy ślini się. Tak samo Awessałom Iznurenkow był w stanie

²⁷³Hekuba a. Hekabe (mit. gr.) — żona Priama, króla Troi; w czasie burzenia miasta przeżyła śmierć swych wszystkich dzieci. [przypis edytorski]

²⁷⁴*nolens volens* (łac.) — chcąc nie chcąc. [przypis edytorski]

wiecznego niepokoju. Manewrował pulchnymi nóżkami, kręcił wygolonym podbródkiem, wydawał okrzyki i owłosionymi rękami robił takie ruchy, jak gdyby wykonywał ćwiczenia gimnastyczne.

Prowadził bardzo czynny żywot — wyrastał wszędzie, jak spod ziemi, i proponował coś, po ulicy pędził jak nastraszona kwoka i bardzo prędko i głośno mówił do siebie. Istota jego życia i działalności polegała na tym, że organicznie nie mógł zająć się jakąś sprawą, przedmiotem czy myślą dłużej niż minutę.

Jeżeli dowcip nie podobał się i nie wywołał natychmiast śmiechu, Iznurenkow nie przekonywał bynajmniej redaktora, jak to usiłowali czynić inni, że dowcip jest dobry i dla należytej oceny wymaga jedynie krótkiej chwili zastanowienia. Zaraz na poczekaniu częstował innym dowcipem.

— Jak źle, to źle — powiadał — trudno.

W sklepach Awessałom Władimirowicz robił taki rwetes, tak szybko zjawiał się i nikł z oczu przerażonym subiektom, że kasjerka spodziewała się, że taki klient kupi towar za co najmniej trzydzieści rubli. Lecz Iznurenkow, balansując koło kasy, chwytając za krawat, jak gdyby się dusił, rzucał na szklany blat stołu zniszczoną trzyrubłówkę i zwyczajem swoim pokrzykując, uciekał.

Gdyby ten człowiek potrafił zatrzymać siebie chociażby na dwie godziny, mogłoby dojść do najbardziej nieoczekiwanych wydarzeń. Kto wie, może Iznurenkow usiadłby przy biurku i napisał wspaniałą powieść, a może prośbę do kasy samopomocy o bezzwłoczną pożyczkę, albo też jakiś nowy paragraf do ustawy o korzystaniu z przestrzeni mieszkalnej lub może podręcznik *O dobrym tonie i sposobie zachowania się w towarzystwie*.

Lecz zrobić tego nie mógł. Pracujące wściekle nogi porywały go z miejsca; z poruszającej się ręki wylatywał ołówek, jak strzała myśli skakały.

Iznurenkow biegł po pokoju i pieczęcie na meblach trzęsły się jak kolczyki tańczącej Cyganki. Na krześle siedziała jakaś śmieszka z przedmieścia.

— Ach, ach! — pokrzykiwał Awessałom Władimirowicz. — Bosko! „Królowa uczyta jest ozdoba”... Ach, ach! Pierwsza klasa!... Jesteś królową Margot²⁷⁵.

Królowa przedmieścia, nie rozumiejąc z tego nic a nic, śmiała się z szacunkiem.

— Proszę, jedz czekoladki, bardzo cię proszę!... Ach, ach!... Uroczko!...

Co chwilę całował rączki królowej, zachwycał się jej skromną sukienką, pchał jej pod nos kota i pytał:

— Prawda, wygląda jak papuga? Lew! Lew! Prawdziwy lew! Prawda, to jest duży ogon? Ach!

Następnie Awessałom Władimirowicz cisnął kota w kąt i przyłożywszy dłonie do swej pulchnej piersi, zaczął kłaniać się komuś przez okno. Naraz w głowie jego odemknęła się jakaś kłapka i zaczął wyzywająco dowcipkować na temat fizycznych i duchowych cech swego gościa.

— Czy broszka ta jest doprawdy szklana? Ach! Ach! Co za blaski... Olśniłaś mnie, słowo honoru!... A czy Paryż jest doprawdy dużym miastem? Doprawdy jest tam wieża Eiffla?... Ach! Ach!... Co za ręce!... Co za nosek... Ach...

Nie obejmował dziewczynki. Wystarczyło mu prawienie komplementów. Toteż prawił je bez wytchnienia. Potok ten przerwała wizyta Ostapa.

Wielki Kombinator trzymał w ręce świstek papieru i surowo indagował²⁷⁶:

— Czy tu mieszka Iznurenkow? To pan?

Awessałom Władimirowicz lęklawie wpatrywał się w kamienne oblicze gościa. Z jego oczu starał się wyczytać, z jakimi właściwie zgłasza się pretensjami. Czy ma to być kara za szybę stłuczoną podczas rozmowy w tramwaju, czy wezwanie do sądu ludowego z racji zaległego czynszu, czy też może składka na czasopismo dla ślepych.

— Cóż to ma znaczyć, towarzyszu — rzekł oschle Bender. — Jakim prawem wyrzucił pan stąd funkcjonariusza państwowego?

— Jakiego funkcjonariusza??? — przeraził się Iznurenkow.

— Sami wiecie jakiego. Zaraz zabiorę stąd meble. Obywatelko, proszę uwolnić krzesło od swej osoby.

²⁷⁵Margot, właśc. *Małgorzata Walezjuszka* (1553–1615) — królowa Francji i Nawarry. [przypis edytorski]

²⁷⁶indagować — dopytywać się. [przypis edytorski]

Obywatelka, przed którą deklamowano przed chwilą wiersze najbardziej lirycznych poetów, wstała z miejsca.

— Nie! Siedź! — wrzasnął Iznurenkow, zasłaniając krzesło własnym ciałem. — Oni nie mają prawa!

— Co do praw, to milczcie lepiej, obywatelu. Uświadomionym trzeba być. Proszę uwolnić mebel od swej osoby! Trzeba przestrzegać prawa!

Mówiąc to, złapał krzesło i potrząsnął nim kilkakrotnie w powietrzu.

— Zabieram meble! — oświadczył stanowczo Bender.

— Nie, nie zabierze ich pan!

— Jak to, nie zabiorę? — Ostap uśmiechnął się, wychodząc z krzesłem na korytarz.

Awessałom pocałował królową w rękę i z pochyloną głową pobiegł za surowym sędzią. Ten schodził już ze schodów.

— A ja powiadam, że nie ma pan prawa. W myśl ustawy meble mogą stać w ciągu dwóch tygodni, a moje są opieczętowane raptem od trzech dni! A może ja zapłacę?!

Iznurenkow krążył koło Ostapa jak pszczoła. W ten sposób obaj w końcu znaleźli się na ulicy. Awessałom Władimirowicz biegł za krzesłem do samego rogu. Tutaj ujrzał gromadę wróbli fruujących dokoła kupy gnoju. Spojrzał na nie rozjaśnionym wzrokiem, wymamrotał coś, klasnął w ręce i zaśmiewając się, orzekł:

— Pierwsza klasa! Ach!... Ach!... Kapitalny manewr!...

Iznurenkow, pochłonięty nowym tematem, obrócił się wesoło na pięcie i podskakując, pobiegł do domu. O krzesło przypomniał sobie dopiero w domu, gdy zastał dziewczę z przedmieścia stojące na środku pokoju.

Ostap odwiózł krzesło dorożką.

— Ucz się pan — powiedział Hipolitowi Matwiejewiczowi. — Zdobyłem to krzesło gołymi rękoma. Darmo. Rozumie pan?

Umeblowanie pokoju Iwanopulo powiększyło się jeszcze o jedno krzesło. Po zbadaniu krzesła Hipolit Matwiejewicz spespniał.

— Nasze szanse wciąż się zwiększają — rzekł Ostap — lecz o pieniądzech ani słydu. Mój panie, a czy ta nieboszczka teściowa nie lubiła czasem żartować?

— Bo co?

— Może żadnych brylantów nie ma?

Hipolit Matwiejewicz zaczął tak wymachiwać rękoma, że aż uniosła się na nim marnarka.

— A więc doskonale. Miejmy nadzieję, że dobytek Iwanopulo zwiększy się jeszcze tylko o jedno krzesło.

— A o was, towarzyszu Bender, pisano dziś w gazetach — rzucił przypochleбно Hipolit Matwiejewicz.

Ostap spochmurniał. Nie lubił, gdy nazwisko jego wywoływało wrzawę w prasie.

— Co pan plecie? W jakiej gazecie?

Hipolit Matwiejewicz rozłożył z dumą „Warsztat”.

— O, tutaj. W dziale „Wypadki i kradzieże”.

Ostap uspokoił się nieco, ponieważ jak ognia obawiał się tylko notatek w demaskujących działach „Uklucia” i „Aferzyści — pod sąd”.

Istotnie, w dziale „Wypadki i kradzieże” było wydrukowane:

WPADŁ POD DOROŻKĘ

Wczoraj na Placu Swierdłowa wpadł pod dorożkę nr 8974 ob. O. Bender. Ofiara nie doznała żadnego szwanku, lecz bardzo się przestraszyła.

— To dorożkarz bardzo się przestraszył, a nie ja — burknął O. Bender. — Idioci. Piszą, piszą, a sami nie wiedzą, co piszą. Aha! To „Warsztat”? Bardzo, bardzo przyjemnie. Czy wie pan, panie Worobianinow, że notatkę tę mógł ktoś pisać, siedząc na naszym krześle? Komiczna historia.

Wielki Kombinator zamyślił się.

Pretekst do złożenia wizyty w redakcji znalazł się.

Dowiedziawszy się od sekretarza, że wszystkie pokoje po prawej i po lewej stronie korytarza należą do redakcji, Ostap, udając Greka, udał się na obchód biur redakcyjnych. Chciał się koniecznie dowiedzieć, w którym pokoju stoi krzesło.

Najpierw włął do miastkomu, w którym rozpoczęło się już posiedzenie młodych automobilistów, i ponieważ od razu zorientował się, że krzesła tam nie ma, powędrował do sąsiedniego lokalu. W administracji udawał, że czeka na rezolucję, w dziale rab-korów dopytywał się, gdzie tu — zgodnie z ogłoszeniem — można by kupić trochę makulatury. W sekretariacie informował się co do warunków prenumeraty, a w pokoju felietonistów dowiadywał się, gdzie przyjmują ogłoszenia o zgubieniu dokumentów. W ten sposób dotarł do gabinetu redaktora naczelnego, który, siedząc na krześle Worobianinowa, rozmawiał przez telefon.

Dokładne poznanie terenu wymagało czasu.

— Tu, towarzyszu redaktorze, wydrukowano prawdziwe oszczerstwo — powiedział Bender.

— Jakie oszczerstwo? — spytał redaktor.

Ostap powoli rozkładał numer „Warsztatu”. Spojrzawszy na drzwi, dostrzegł amerykański zamek. Gdyby się wycięło kawałek szyby w drzwiach, można by z łatwością wpakować rękę i otworzyć zamek od środka.

Redaktor przeczytał wskazaną mu przez Ostapę notatkę.

— W czym, towarzyszu, dopatrujecie się tu oszczerstwa?

— Jak to! O, tu: „Ofiara... bardzo się przestraszyła”.

— Nie rozumiem.

Ostap spojrzał życzliwie na redaktora i na krzesło.

— Czyż to jest do pomyślenia, bym się bał jakiegoś tam dorożkarza! Skompromitowaliście mnie przed całym światem. Żądam sprostowania.

— Proszę was, obywatelu — rzekł redaktor. — Nikt was nie kompromitował i sprostowań w takich błahych sprawach nie dajemy.

— Jak uważacie, lecz ja tej sprawy płazem nie puszcę — zapowiadał Ostap, wynosząc się z gabinetu.

Zobaczył już wszystko, czego mu było potrzeba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI PRZEDZIWNY KOSZYCZEK

Starogrodzki oddział mglistego „Miecza i Lemiesza” wraz z zuchami „Szybkopaku” utworzył długi ogonek przed składem „Chlebproduktu”. Przechodnie zatrzymywali się.

— Za czym tu stoją? — pytali obywatele.

W kolejce stojącej przed składem zawsze znajdzie się jakiś człowiek, którego język śwędzi tym więcej, im dalej stoi od drzwi składu. A najdalej stał Polesow.

— Ładne czasy — mówił komendant straży ogniowej — chyba wkrótce zaczniemy się żywić trawą. Nawet w dwudziestym roku nie było tak źle. Mąki w mieście starczy raptem na cztery dni.

Obywatele nieufnie podkręcali wąsy, wdawali się z Polesowem w dyskusję i powoływali się na „Starogrodzką Prawdę”. Udowodniwszy Polesowowi czarno na białym, że w mieście jest mąki w bród i że nie ma najmniejszego powodu do paniki, biegli ci obywatele do domu, brali z sobą całą gotówkę i przyłączali się do mącznego ogonka.

Zuchy z „Szybkopaku”, wykupiwszy całą mąkę, rzucili się na towary kolonialne i utworzyli cukrowo-herbacianą kolejkę.

W ciągu trzech dni w Starogrodzie nastąpił kryzys żywnościowy.

Do chwili przybycia znajdujących się w drodze transportów żywności ograniczono sprzedaż towarów do jednego funta cukru i pięciu funtów mąki na osobę.

Nazajutrz wynaleziono antidotum.

W kolejce cukrowej pierwszy stanął Alchen. Za nim — żona jego, Saszchen, Pasza Emiliewicz, czterej Jakowlewicze i wszystkie piętnaście pupilek — staruszek w tandetnych szarych strojach. Wypompowawszy ze składu Stargiko pół puda²⁷⁷ cukru, Alchen

²⁷⁷ pud — dawna rosyjska jednostka wagi, równa ok. 16 kg. [przypis edytorski]

powiódł swoją gromadkę do innej kooperatywy. Po drodze skłął siarczyście Paszę Emiliewiczza, który zdążył już wsunąć przypadającą na niego rację cukru. Pasza sypał sobie cukier na rękę, a następnie wrzucał do swej szerokiej paszczęki. Alchen uwijał się całutki dzień. Celem uniknięcia straty na wadze wskutek przetrzymywania towaru wyłączył z kolejki Paszę Emiliewiczza i poruczył²⁷⁸ mu przenoszenie zdobyczy na rynek. Tam Alchen z zażenowaniem sprzedawał do prywatnych sklepików zdobyty przed chwilą cukier, mąkę, herbatę i markizetę²⁷⁹.

Polesow wystawał w ogonkach głównie dla zasady. Pieniądzy nie miał i tak czy owak nabyć niczego nie mógł. Wędrował z jednego ogonka do drugiego, przysłuchiwał się rozmowom, robił zjadliwe uwagi, znacząco marszczył brwi i prorokował. Skutek jego póślówek był taki, że w mieście zaczęły krążyć głuche wieści o przyjeździe spiskowej organizacji.

Gubernator Diadiew zarobił w ciągu jednego dnia dziesięć tysięcy. Ile zarobił prezes rady giełdowej, Kislarski, nie wiedziała nawet jego żona.

Świadomość, że należy do tajnej organizacji, nie dawała Kislarskiemu spokoju. Szerzące się po mieście pogłoski przeraziły go ostatecznie. Spędziwszy bezsennie noc, prezes rady giełdowej zdecydował, że jedynie szczere przyznanie się do winy może wpłynąć na skrócenie okresu kary więziennej.

— Słuchaj, Henrieto — powiedział do żony — manufakturę trzeba przenieść do szwagra.

— Bo co, czy przyjdą? — spytała Henrieta Kislarska.

— Mogą przyjść. Gdy w kraju nie ma wolności handlu, to muszą mnie chyba kiedyś wreszcie przymknąć.

— A więc przygotować ci bieliznę? Biada mi, biada! Ciągłe nosić do więzienia wałówki. Właściwie dlaczego ty nie wstępujesz do służby sowieckiej? Przecież szwagier należy do związku zawodowego i nic! A temu zachciewa się na gwałt być czerwonym kupcem!

Henrieta nie wiedziała o tym, że los wysunął jej męża na stanowisko prezesa rady giełdowej. Dlatego też była stosunkowo spokojna.

— Gdybym nie wrócił na noc — powiedział Kislarski — to przynieś mi jutro wałówkę. Tylko, bardzo cię proszę, nie przynoś mi czasem pierożków. Jakiż smak mogą mieć zimne pierożki?!

— A może byś wziął ze sobą prymus?

— Akurat pozwolą mi na trzymanie w celi prymusa! Daj mi mój koszyczek.

Kislarski miał specjalny, zrobiony na zamówienie, koszyk. Uniwersalny koszyk. Gdy się go rozkładało zupełnie, mógł służyć jako łóżko, gdy się rozkładało do połowy — jako stolik, poza tym zastępował z powodzeniem szafę — były tam półeczki wszelakie, haki i szufladki. Żona włożyła do uniwersalnego koszyka zimną kolację i świeżą bieliznę.

— Możesz mnie nie odprowadzać — rzekł doświadczony małżonek. — Jeżeli Rubens przyjdzie po pieniądze, powiedz, że nie ma pieniędzy. Do widzenia. Rubens może zaczekać.

I Kislarski z całą powagą wyszedł na ulicę, trzymając w ręku koszyk.

— Dokąd spieszycie, obywatelu Kislarski? — zagadnął go Polesow.

Polesow stał koło słupa telegraficznego i głośnymi okrzykami zagrzewał robotnika wspinającego się po słupie i pragnącego dotrzeć do izolatorów.

— Idę przyznać się — odrzekł Kislarski.

— Do czego?

— Do miecza i lemiesza.

Wiktor Michałowicz oniemiał. A Kislarski, wysunąwszy naprzód jajowaty brzuszeczek przepasany szerokim pasem z kieszonką na zegarek, zmierzał wolnym kroczkiem do Gub-prokuratury.

Wiktor Michałowicz załopotał skrzydłami i pocałował do Diadiewa.

— Kislarski jest prowokatorem! — zawołał komendant straży. — Przed chwilą poszedł zasypać²⁸⁰ nas. Jeszcze go widać.

²⁷⁸poruczyć (daw.) — powierzyć. [przypis edytorski]

²⁷⁹markizeta — prześwitująca tkanina bawełniana, wykorzystywana na firanki, zasłony itp. [przypis edytorski]

²⁸⁰zasypać — zdradzić. [przypis edytorski]

— Jak to? I koszyk wziął z sobą? — przeraził się starogrodzki gubernator.

— Wziął.

Diadiew pocałował żonę, zapowiedział, by Rubensowi, jeśli przyjdzie, pieniędzy nie dawać, i jak strzała wybiegł na ulicę.

Wiktor Michałowicz pokręcił się chwilę, jęknął jak kura, która zniosła jajko, po czym pobiegł do Wołodii i Nikieszy.

Tymczasem obywatel Kislarski spacerowym krokiem zbliżał się do Gubprokuratury. Po drodze spotkał Rubensa i długo z nim gawędził.

— A jak będzie z pieniędzmi? — spytał Rubens.

— Po pieniądze zgłosi się pan do żony.

— A dlaczego wziął pan z sobą koszyk? — wypytywał nieufnie Rubens.

— Idę do łaźni.

— No, to wszystkiego dobrego.

Następnie Kislarski wstąpił do cukierni SSPO, dawniej „Bonbons de Varsovie”²⁸¹, i pokrzepił się filiżanką kawy i drożdżowym ciastkiem. Czas już był pójść do Kanossy²⁸². Prezes rady giełdowej wszedł do poczekalni Gubprokuratury. Było tam pusto. Kislarski podszedł do drzwi, na których wisiał napis: „Gubernialny prokurator”, i uprzejmie zapukał.

— Proszę! — rozległ się głos znany dobrze Kislarskiemu.

Kislarski wszedł i stanął jak wryty. Jego jajowaty brzuszek oklapł od razu i pomarszczył się jak figa. To, co ujrzał, było dla niego całkiem nieoczekiwane.

Biurko, przy którym siedział prokurator, otaczali członkowie potężnej organizacji „Miecza i Lemiesza”. Wnioskując z ich gestów, przyznawali się do wszystkiego.

— Mamy go — zawołał Diadiew — to najważniejszy październikowiec.

— Po pierwsze — rzekł Kislarski, stawiając na podłodze koszyk i zbliżając się do biurka — po pierwsze nie jestem październikowcem. Następnie zawsze byłem zwolennikiem sowieckiej władzy, a po trzecie — najważniejszy nie jestem ja, lecz towarzysz Czarusznikow, który mieszka...

— Ulica Czerwonej Gwardii! — krzyknął Diadiew.

— Liczba trzy! — zakomunikowali chóralnie Wołodia i Nikiesza.

— W podwórzu na lewo — dodał Wiktor Michałowicz — mogę wskazać.

W ciągu dwudziestu minut przywieziono Czarusznikowa, który przede wszystkim oświadczył, że nikogo z osób obecnych w gabinecie nigdy w życiu nie widział. Następnie jednym tchem zadenuncjował Helenę Stanisławównę.

Prezes rady giełdowej odczuł prawdziwą ulgę dopiero w celi więziennej, gdy zmienił bieliznę i wyciągnął się na swym koszyku.

Madame Grycacujewa-Bender zdążyła podczas kryzysu zaopatrzyć się w produkty żywnościowe i towary do swego kramiku co najmniej na cztery miesiące. Pozbywszy się kłopotów, zaczęła znów tęsknić do młodego małżonka, trawiącego czas na posiedzeniach Małego Sownarkomu. Wizyta u wróżki nie przyniosła jej żadnej ulgi.

Helena Stanisławówna, przestraszona zniknięciem całego starogrodzkiego areopagu²⁸³, stawiała kabałę z oburzającym niedbalstwem. Karty zwiastowały bądź koniec świata, bądź dodatek do pensji, bądź też spotkanie z mężem w rządowym domu i w obecności nieżyczliwego króla pik.

Samo wróżenie też jakoś dziwnie się skończyło. Przyszli agenci — królowie z kart — i wprowadzili wróżkę do rządowego domu: do prokuratora.

Wdowa została sam na sam z papugą. Wielce przerażona miała właśnie zamiar wyjść, gdy nagle papuga uderzyła dziobem o pręty klatki i po raz pierwszy w życiu przemówiła ludzkim językiem:

²⁸¹ *bonbons de Varsovie* (fr.) — warszawskie słodycze. [przypis edytorski]

²⁸² *pójść do Kanossy* (fraz.) — przyznać się do błędu; nawiązanie do wydarzeń z 1077, kiedy to cesarz niemiecki udał się pieszo do włoskiej miejscowości Kanossa, aby poprosić papieża o zdjęcie rzuconej na niego kłątwy. [przypis edytorski]

²⁸³ *areopag* — grono osób, które autorytatywnie rozstrzyga jakieś sprawy. [przypis edytorski]

— Doczekaliśmy się — powiedziała szydrczo, nakryła głowę skrzydłem i wydarła sobie piórko.

Madame Grycacujewa-Bender rzuciła się ze strachu do drzwi. Za nią biegly namiętne i szybkie słowa papugi. Wiekowy ptak tak był wstrząśnięty wizytą agentów i uprowadzeniem gospodyni do rządowego domu, że zaczął wykrzykiwać wszystkie znane słowa. Najwięcej miejsca w repertuarze jego zajmował Wiktor Michałowicz Polesow.

— Ewentualnie aczkolwiek — rzekł wzburzony ptak.

I zwisnąwszy na pręcie głową na dół, mrugał na skamieniałą pod drzwiami wdówkę, jak gdyby mówiąc: „No i cóż ty na to, wdówko?”.

— Rany boskie! — krzyknęła Grycacujewa.

— W jakim pułku pan służył? — spytała papuga głosem Bendera. — Kr-r-r-ach... Europa przyjdzie nam z pomocą.

Po ucieczce wdowy papuga otrząsnęła się i wypowiedziała te słowa, które usiłowano bezskutecznie wydobyć z niej w ciągu trzydziestu lat:

— Jestem głupia.

Wdowa biegła po ulicy i zawodziła. A w domu czekał na nią pokraczny staruszek. Był to Bartłomiejewicz.

— Na skutek ogłoszenia — oświadczył Bartłomiejewicz — już dwie godziny czekam na pannę.

Ciężkie kopyto przecucia uderzyło Grycacujewą wprost w serce.

— Och! — westchnęła wdowa. — Ledwo już żyję.

— To panią, jeśli się nie mylę, opuścił obywatel Bender? Pani dała ogłoszenie do gazety?

Wdowa upadła na worki z mąką.

— Ma pani delikatne zdrowie — rzekł słodko Bartłomiejewicz — chciałbym na sam przód wedle wynagrodzenia pomówić...

— Och!... Wszystko sobie zabierz! Niczego mi już teraz nie żał! — zawodziła sentymentalna wdowa.

— A więc. Wiadome mi jest miejsce pobytu synka pani O. Bendera. Jaką za to otrzymam nagrodę?

— Wszystko sobie zabierz — powtórzyła wdowa.

— Dwadzieścia rubli — rzucił oschle Bartłomiejewicz.

Wdowa wstała z worków. Cała była ubabrana mąką. Mrugała oczami raz po raz.

— Ile? — spytała ponownie.

— Piętnaście rubli — opuścił Bartłomiejewicz.

Przeczuwał, że trudno będzie wyrwać choćby trzy ruble od tej nieszczęsnej kobiety.

Potykaç się o paki, wdowa nacierała na starego, wzywała świętych pańskich na świadków i z ich pomocą dobiła wreszcie targu.

— Ha, trudno, niech już będzie pięć rubli. Tylko wprzód poproszę o pieniądze. Taki już mam zwyczaj.

Bartłomiejewicz wyjął z notesu dwa wycinki z gazet i nie puszczając ich z rąk, zaczął czytać:

— Zechce pani posłuchać, po kolei. A więc, pisała pani: „Błagam... wyszedł z domu towarzysz Bender... zielony garnitur, żółte trzewiki, niebieska kamizelka”... Zgadza się? To było w „Starogrodzkiej Prawdzie”. A teraz niech pani posłucha, co o jej synku piszą w stołecznych gazetach. Zaraz... „Wpadł pod konia...”. Tylko nie lamentujcie, paniusiu, posłuchajcie dalej... „wpadł pod dorożkę”... Ale żyje, żyje! Powiadam, że żyje. Czyż śmiałym brać pieniądze za umrzyka?... A więc wpadł pod dorożkę. „Wczoraj na Placu Swierdłowa wpadł pod dorożkę nr 8947 obywatel Bender. Ofiara nie doznała żadnego szwanku, tylko się przestraszyła...”. A więc przedłożę pani te dokumenciki, tylko wprzód proszę dać pieniążki. Taki już mam zwyczaj.

Wdowa z bekiem wręczyła pieniądze. Mąż, jej drogi mąż w żółtych trzewikach leżał hen na dalekiej moskiewskiej ulicy i spieniony rumak dorożkarski tłukł go kopytem w błękitną pierś.

Wrażliwa dusza Bartłomiejewicza zadowolili się przyzwoitym wynagrodzeniem. Wyniósł się, wytłumaczywszy wdowie, że dodatkowe ślady znajdują się niewątpliwie w redakcji gazety „Warsztat”, gdzie, oczywiście, wiedzą o wszystkim, co się dzieje.

Wówczas, gdy jedni bohaterzy powieści byli przekonani, że czas nie zajac, inni zaś twierdzili, że czas ucieka — czas mijał całkiem normalnie. Po dusznym moskiewskim maju nastąpił duszny czerwiec. W powiatowym mieście N. samochód państwowy numer jeden wskutek uszkodzenia stał już od dwóch tygodni przy zbiegu Rynku Staropańskiego i ulicy imienia towarzysza Biurokracego i od czasu do czasu zasnuwał okolicę kłębamii dymu. Ze starogrodzkiej defensywy wychodzili gęsiego zawstydzeni uczestnicy spisku „Miecza i Lemiesza” — zobowiązali się pisemnie do nieopuszczenia miasta. Wdowa Grycacujewa wróciła do swego kolonialnego sklepiku. Nałożono na nią karę w wysokości piętnastu rubli za to, że nie wywiesiła na widocznym miejscu cennika na mydło, pieprz, farbkę i inne drobiazgi — roztargnienie, które łatwo można darować kobicie o gorącym sercu.

LIST

ojca Fiodora, pisany w Rostowie w herbaciarni „Mleczna Droga” do żony przebywającej w powiatowym mieście N.

Droga moja Katiu! Spadło na mnie nowe zmartwienie, ale o tym potem. Pieniądze otrzymałem na czas, za co serdecznie ci dziękuję. Po przybyciu do Rostowa pobiegłem od razu według wskazanego adresu. Noworoscement — bardzo duża instytucja — nikt tam nie znał inżyniera Brunsa. Byłem kompletnie zrozpaczony, lecz dano mi dobrą radę. Idź, bracie, powiedzieli, do biura adresowego, niech tam poszperają w aktach. Poszedłem do tego biura. Poprosiłem. Tak, powiedzieli mi, był taki u nas, miał odpowiedzialne stanowisko, lecz niestety, powiadają, w ubiegłym roku odszedł od nas. Przekabacili go do Baku²⁸⁴, do służby w Aznefcie²⁸⁵, w charakterze specja do spraw techniki bezpieczeństwa. Jak widzisz, złotko moje, podróż moja zanosi się na dłużej, niż myśleliśmy. Piszesz, że oszczędności nasze kończą się. Trudna rada, Katarzyno Aleksandrowno. Już rychło będzie koniec. Uzbrój się w cierpliwość i — wola boska — sprzedaj mój studencki mundur. Trzeba będzie ponieść jeszcze większe ofiary. Bądź na wszystko gotowa. Drożyzna w Rostowie okropna. Za numer²⁸⁶ w hotelu zapłaciłem dwa ruble i dwadzieścia kopiejek. Pieniędzy starczy mi zaledwie na podróż do Baku. Stamtąd w razie niepowodzenia zatelefonuję. Bardzo tu skwarno. Pálto trzymam w ręce. Boję się zostawić je w hotelu — ani się obejrzę, jak mi świsną. Ludziska nie budzą tu zaufania. Nie podoba mi się miasto Rostów. Co do liczby ludności i położenia geograficznego pozostaje daleko w tyle za Charkowem. Lecz to nic, droga moja, da Bóg, pojedziemy sobie jeszcze razem do Moskwy. Zobaczysz, Moskwa to prawdziwie europejskie miasto. A potem zamieszkamy na stałe w Samarze — w pobliżu naszej fabryczki. Czy Worobianinow już wrócił? Gdzie też on teraz węszy? Czy Jewstigniejew stołuje się jeszcze u nas? Jak po praniu wygląda moja sutanna? Wszystkich znajomych zapewniam, że jestem przy wezłowie chorej ciotki. Guleńce napisz to samo. Prawda! Z kretesem zapomniałem opowiedzieć ci o strasznym wypadku, który mnie dziś spotkał. Rozkoszując się ciszą Donu²⁸⁷, stałem na moście, pogrążony w marzeniach o naszym przyszłym dobrobycie. Nagle zerwał się wiatr i poniósł do rzeki kaszkiet brata twego, piekarza. Przepadł bez śladu. Musiałem ponieść nowy wydatek — kupiłem sobie angielską czapkę za dwa ruble i trzydzieści kopiejek. Bratu twemu, piekarzowi, nie mów nic o tym zdarzeniu. Zapewnij go, że jestem w Woroneżu. Kiepsko tylko, uważasz, z bielizną. Wieczorem pioreę, a jeśli nie zdąży wyschnąć do rana, wkładam wilgotną. Przy obecnym upale jest to nawet przyjemne. Całuję ciebie i ścisquam. Do grobowej deski mąż twój, Fiedia.

²⁸⁴Baku — stolica Azerbejdżanu, najstarszy oraz największy port nad Morzem Kaspijskim. [przypis edytorski]

²⁸⁵Azneft — azerskie przedsiębiorstwo przemysłu naftowego. [przypis edytorski]

²⁸⁶numer — pokój hotelowy. [przypis edytorski]

²⁸⁷Don — rzeka w pld. Rosji. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY KURKA I ZAMORSKI KOGUCIK

Reporter Persicki gorliwie szykował się do dwóchsetnego jubileuszu wielkiego matematyka Izaaka Newtona²⁸⁸.

— Newtona biorę na siebie. Dajcie mi tylko miejsce — oświadczył.

— Pamiętajcie, Persicki — zrzędził sekretarz — obsłużcie tylko Newtona po ludzku.

— Niech was o to głowa nie boli. Wszystko będzie jak się patrzy.

— Żeby tylko nie było tak, jak z Łomonosowem²⁸⁹. W „Przeglądzie Wieczornym” była fotografia prawnuczki Łomonosowa, pionierki, a u nas...

— Ja winy nie ponoszę. Po co dawaliście taką odpowiedzialną robotę temu rudemu Iwanowowi! Miejcie teraz do siebie pretensje.

— A cóż wy mi przyniesiecie?

— Jak to co? Artykuł z Głównauki; mam tam stosunki sto razy lepsze niż Iwanow. Biografię weźmiemy z Brockhauza²⁹⁰. No i podobiznę zamieścimy wspaniałą. Wszyscy rzucą się na Brockhauza, a ja sobie wytrzasnę coś znacznie oryginalniejszego. W *Księdze Międzynarodowej* wyszperałem drzeworyt, że tylko paluszki lizać!... Ale muszę dostać zaliczkę!... A więc idę po Newtona!

— A nie będziemy fotografować Newtona? — spytał fotograf, który przyszedł pod koniec rozmowy.

Persicki dał znak ostrzegawczy, mający oznaczać:

„Baczność, uważajcie, co teraz zrobię”.

Cały sekretariat zamienił się w słuch.

— Jak to? Dotychczas jeszcze nie sfotografował pan Newtona?! — Persicki wpadł na fotografa.

Fotograf na wszelki wypadek zaczął się bronić.

— Spróbuj go pan złapać — powiedział.

— Dobry fotograf już by go złapał! — warknął Persicki.

— A więc trzeba zrobić to zdjęcie, czy nie trzeba?

— Rozumie się, że trzeba! Spiesz się pan! Na pewne tłoczą się już tam wysłannicy wszystkich redakcji!

Fotograf wpakował sobie na ramię aparat i statyw.

— Siedzi teraz w „Gos-szwal-maszynie”. Nie zapomnij pan tylko: Newton Izaak, imienia ojca nie pamiętam. Sfotografuj go pan z racji jubileuszu. Tylko bardzo proszę, nie przy pracy. Zawsze tylko siedzą przy stołach i czytają jakieś papierki. Zdejmij go pan w ruchu. Lecz w otoczeniu rodziny.

— Jeśli dostanę zagraniczne klisze, to będę mógł fotografować także w ruchu. No, idę już.

— Spiesz się! Już szosta!

Fotograf poszedł fotografować wielkiego matematyka z racji jego dwóchsetnego jubileuszu, a współpracownicy redakcji pokładali się ze śmiechu.

Akurat w tym wesołym momencie wszedł Stiopa z „Nauki i Życia”. Za nim wlokła się pulchna jakaś jejmość.

— Słuchaj, Persicki — rzekł Stiopa — ta obywatelka ma do ciebie interes. Pozwólcie, obywatelko, towarzyszyć ten wszystko dokumentnie wam wytłumaczy.

Stiopa, śmiejąc się, zwiął.

— Słucham — odezwał się Persicki. — Czym mogę służyć?

Madame Grycacujewa (była to ona) spojrzała na reportera zamglonym wzrokiem i bez słów wsunęła mu w rękę jakiś świstek.

— Tak — rzekł Persicki — ...wpadł pod dorożkę... bardzo się przestraszył... O co idzie?

²⁸⁸ *Newton, Izaak* (1643–1727) — uczony angielski, odkrywca prawa powszechnego ciężenia, twórca mechaniki klasycznej. [przypis edytorski]

²⁸⁹ *Łomonosow, Michaił Wasiljewicz* (1711–1765) — uczony i poeta rosyjski; prekursor chemii fizycznej, twórca Uniwersytetu Moskiewskiego. [przypis edytorski]

²⁹⁰ *Brockhaus* — niemiecka grupa wydawnicza założona w 1805 przez Friedricha Arnolda Brockhauza w Amsterdamie, znana szczególnie z wydawnictw słowników i encyklopedii. [przypis edytorski]

— Adres — rzekła błagalnie wdowa — czy mogłabym tu dostać adres?
— Czyj adres?
— O. Bendera.
— A skądże ja mam go znać?
— A tamten towarzysz mówił, że pan zna jego adres.
— Nic nie wiem. Niech się pani zwróci do biura adresowego.
— A może pan sobie przypomni, towarzyszu? Był w żółtych trzewikach.
— Ja sam mam żółte trzewiki. Oprócz nas obu jeszcze dwieście tysięcy osób w Moskwie ma żółte trzewiki. Ciekawa pani może ich adresów? Z miłą chęcią. Cisnę swoją robotę i zajmę się tą sprawą. Za pół roku będzie pani wiedziała wszystko. Jestem zajęty, obywatelko.

Lecz wdowa, która odnosiła się do Persickiego z dużym szacunkiem, szła za nim po korytarzu krok w krok i szeleszcząc nakrochmaloną mocno halką, powtarzała swe prośby.

„Łajdak, Stiopa — pomyślał Persicki — ale nic, naślę na niego wynalazcę *perpetuum mobile*²⁹¹, to mu się odechce kawałów”.

— No i cóż ja poradzę? — denerwował się Persicki, zatrzymując się przed wdową. — Skądże mogę znać adres obywatela O. Bendera? Czy ja jestem koniem, który go przejechał?

Wdowa odpowiedziała niewyraźnym bełkotem, w którym rozróżnić można było jedynie słowa: „towarzyszu” i „bardzo proszę”.

Praca w Domu Ludowym już się skończyła. Biura i korytarze opustoszały. Gdzieś jeszcze thukła ostatnią stronicę maszyna do pisania.

— *Pardon*, obywatelka nie widzi, że jestem zajęty?

Mówiąc to, Persicki schował się w garderobie. Pospacerował tam z dziesięć minut i wesoło wyszedł. Grycacujewa cierpliwie szeleściła halkami przy zbiegu dwóch korytarzy. Ujrawszy Persickiego, ożywiła się.

Reporter zbaraniał.

— Słuchajcie, matko — powiedział — cóż robić, powiem wam, gdzie ten wasz O. Bender podziewa się. Idźcie wprost przed siebie, potem skróćcie na prawo i znów potem idźcie prosto. Będą tam drzwi. Spytajcie o Czerepiennikowa. On wam powie.

I Persicki, zadowolony ze swego pomysłu, tak szybko znikł, że wykrochmalona wdówka nie zdążyła nawet zasięgnąć dodatkowych informacji.

Madame Grycacujewa poprawiła kiecki i poszła wzdłuż korytarza.

Korytarze w Domu Ludowym były tak długie i wąskie, że idący po nich mimo woli przyspieszali kroku. Po każdym przechodniu można było poznać, ile już przeszedł. Jeśli szedł zaledwie z lekka przyspieszonym krokiem, oznaczało to, że dopiero co rozpoczął pielgrzymkę. Ci, którzy przeszli już dwa lub trzy korytarze, pędzili truchcikiem. A czasem można było ujrzeć człowieka biegnącego kłusem — było to stadium piątego korytarza. Obywatel zaś, który miał za sobą osiem korytarzy, mógł śmiało rywalizować co do szybkości z ptakiem, koniem wyścigowym i championem świata, szybkobiegaczem Nurmim²⁹².

Skręciwszy na prawo, *madame* Grycacujewa zaczęła biec. Trzeszczała pod nią podłoga.

Naprzeciw niej szedł szybko brunet w niebieskiej kamizelce i żółtych trzewikach. Z twarzy Ostapa można było wnioskować, że wizytę w Domu Ludowym o tak późnej godzinie wywołały nadzwyczajne, związane z imprezą, okoliczności. Najpewniej w planach kierownika technicznego nie było przewidziane spotkanie z ukochaną. Dostrzegłszy wdówkę, Bender odwrócił się i nie oglądając się, rozpoczął odwrót.

— Towarzyszu Bender! — krzyknęła wdowa w zachwyceniu. — Dokąd?

Wielki Kombinator przyspieszył kroku. Wdowa także wyczuła siły.

— Czekaście, słówko tylko powiem — prosiła.

Lecz słowa jej nie docierały do Ostapa. W uszach jego huczał już i poświstywał wiatr. Pędził przez czwarty korytarz, przeskakiwał pomosty wewnętrznych żelaznych schodów. Ukochanej swej pozostawił tylko echo.

²⁹¹*perpetuum mobile* (łac.) — mechanizm, który raz uruchomiony, działałby zawsze. [przypis edytorski]

²⁹²Nurmi, Paavo (1897–1973) — fiński biegacz długodystansowy, wielokrotny mistrz olimpijski. [przypis edytorski]

„A to heca — pomstował Ostap, siedząc na piątym piętrze — akurat mam czas na *rendez-vous*²⁹³. Kto też mógł tu przysłać tę upalną paniusię? Już najwyższy czas likwidować moskiewski oddział naszego przedsiębiorstwa, bo gotów jeszcze ni mniej, ni więcej wpaść na mój trop samotny rycerz z motorem”.

Tymczasem Grycacujewa, oddzielona od Ostapa trzema piętrami, tysiącem drzwi i tuzinem korytarzy, otarła rozpaloną twarz w padołek²⁹⁴ spódnicy i rozpoczęła na nowo poszukiwania. Chciała jak najprędzej znaleźć męża i rozmówić się z nim. W korytarzach zapaliły się mętne lampy. Wszystkie lampy, wszystkie korytarze i wszystkie drzwi były jednakowe. Wdowę ogarnął strach. Chciała wydostać się.

Ulegając progresji korytarzowej, szła ze zwiększającą się wciąż szybkością. Po upływie pół godziny nie mogła po prostu zatrzymać się. Drzwi prezydiów, sekretariatów, miastkomów, wydziałów organizacyjnych i redakcji z hałasem przebiegały po obu stronach jej obfitego ciała.

Po drodze swymi sztywnymi spódnicami przewracała blaszane kosze do śmieci, które z brzękiem toczyły się za nią. Przy skrzyżowaniu korytarzy tworzyły się wichry i wiry. Trzaskały drzwiczki. Palce, namalowane na ścianach, wskazywały wprost na naszą biedną podróżną.

Wreszcie Grycacujewa znalazła się na pomoście wewnętrznych schodów. Było tam ciemno, lecz wdowa, przewyciężywszy strach, biegła na dół i pchnęła szklane drzwi. Drzwi były zamknięte. Wdowa rzuciła się z powrotem. Lecz drzwi, przez które dopiero co przeszła, zamknęła już czyjaś troskliwa ręka.

W Moskwie lubią zamykać drzwi.

Tysiące frontowych wejść zabito od środka deskami i setki tysięcy obywateli dostaje się do swych mieszkań przez kuchenne schody. Dawno już minął osiemnasty rok, mgła niepamięci przesłoniła pojęcie — „najście na mieszkanie”, znikła straż domowa, organizowana wówczas przez lokatorów dla zapewnienia bezpieczeństwa; rozwiązują teraz, uważacie, problem ruchu ulicznego, budują olbrzymie stacje elektryczne, robią kolosalne wynalazki w dziedzinie nauki, lecz nie ma człowieka, który by życie swoje poświęcił za rozwiązanie problemu zamkniętych drzwi.

Któż rozwiąże zagadkę kin, teatrów i cyrków?

Trzy tysiące ludzi ma w ciągu dziesięciu minut wejść do cyrku przez jedne jedyne, do połowy tylko otwarte drzwi. Pozostały dziesiątek drzwi, przystosowanych specjalnie do przepuszczania wielkich fal ludzkich — zamknięty. Któż zgadnie, dlaczego te drzwi są zamknięte? Możliwe, że przed dwudziestu laty skradziono ze stajni cyrkowej uczonogo osiołka i odtąd dyrekcja w wielkim strachu zamyka wszystkie wygodne wejścia i wyjścia. Możliwe również, że kiedyś „zawiało” słynnego „króla powietrza” i zamknięte drzwi są tylko słabym echem zrobionego wówczas przez „króla” skandalu.

W teatrach i kinach wypuszczają publiczność małymi partiami, rzekomo w celu uniknięcia tłoku. Uniknąć tłoku można bardzo łatwo — wystarczy tylko otworzyć drzwi, których jest pod dostatkiem. Lecz zamiast tego administracja używa siły. Służba chwyciwszy się za ręce, tworzy żywą barierę i w ten sposób więzi osaczoną publiczność co najmniej pół godziny. A drzwi, wymarzone drzwi, zamknięte jeszcze za czasów Pawła I, zamknięte są i dziś jeszcze.

Piętnaście tysięcy miłośników piłki nożnej, rozentuzjzmowanych wspaniałą grą drużyny reprezentacyjnej Moskwy, musi przeciskać się do tramwaju przez dziurę tak wąską, że jeden lekko uzbrojony rykerz mógłby sam jeden powstrzymać tam natarcie czterdziestu tysięcy barbarzyńców, zaopatrzonych na dobitkę w dwie baszty oblężnicze.

Stadion nie ma wprawdzie dachu, lecz ma parę bram. Otwarta jest tylko mała furka. Wyjść można dopiero po wylamaniu bramy. Po każdym większym zawodach wylamują ją. Lecz troska o świętą tradycję nakazuje za każdym razem dokładnie naprawić bramę i szczerlnie ją zamknąć.

Jeśli nie ma absolutnie żadnej możliwości, by przebić drzwi (dzieje się to wówczas, gdy nie ma ich czym przebić), używa się do tego celu ukrytych drzwi wszelkiego rodzaju. A więc:

²⁹³*rendez-vous* (fr.) — randka. [przypis edytorski]

²⁹⁴*padołek* — dolna część sukni lub spódnicy. [przypis edytorski]

1. Barrier.
2. Ogrodzeń.
3. Przewróconych ławek.
4. Zabraniających przejścia napisów.
5. Sznurków.

Bariery mają duże zastosowanie we wszelakiego rodzaju instytucjach.

Bronią one dostępu do właściwego urzędnika. Interesant chodzi, jak tygrys, wzdłuż bariery i znakami stara się zwrócić na siebie uwagę. Nie zawsze się to udaje. A może przybyły przyniósł pożyteczny wynalazek? A może chce po prostu zapłacić podatek dochodowy? Lecz na zawadzie stanęła bariera — wynalazek pozostał nieznanym, a podatek niezapłacony.

Ogrodzenia znów bywają stosowane na ulicy.

Ustawiają je na wiośnię w najbardziej ruchliwych punktach rzekomo w celu odgrodenia naprawianego akurat chodnika. I jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ludna ulica pustoszeje. Przechodnie zdążają do swych zajęć innymi ulicami. Muszą codziennie robić niepotrzebny kilometr, lecz skrzydlata nadzieja nie opuszcza ich. Mija lato. Więdną liście. A ogrodzenie wciąż stoi. Remontu nie zrobiono. A ulica świeci pustkami.

Przewrócone ławki ogrodowe bronią dostępu do moskiewskich zieleńców, które wskutek oburzającego niedbalstwa ich twórców nie są zaopatrzone w mocne drzwi. Napisy bywają dwojakie: bezpośrednie i pośrednie. Do bezpośrednich można zaliczyć: „Wstęp wzbroniony”, „Osobom obcym wstęp wzbroniony” i „Nie ma przejścia”. Napisy takie wywiesza się czasami na drzwiach instytucji szczególnie często odwiedzanych przez publiczność.

Pośrednie napisy są najbardziej zabójcze. Nie zabraniają wstępu, lecz wyjątkowo chyba śmiałość odważy się wykorzystać swe prawo. Haniebne te napisy głoszą: „Nie wchodzić bez zameldowania”, „Nie przyjmuje się”, „Wizytą swą przeszkadzasz pracującym”.

Tam, gdzie nie można postawić bariery lub ogrodzenia, przewrócić ławki lub wywiesić zakazu — przeciąga się sznurek. Przeciąga się go według widzimisię w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Jeśli przeciągnięto go na wysokości ludzkiej piersi, cała sprawa sprowadza się do lekkiego przestרחu i trochę nerwowego śmiechu. Przeciągnięty natomiast mniej więcej na poziomie łydki — powoduje niechybnie przykre dla ofiary konsekwencje.

Precz z drzwiami! Precz z ogonkami przy wejściach do teatrów! Pozwólcie nam wchodzić bez zameldowania! Błagamy, usuńcie ogrodzenie, postawione przez gnuśnego administratora przed rozkopanym chodnikiem! Precz z przewróconymi ławkami! Postawcie je na miejsce! W zieleńcu przyjemnie jest siedzieć właśnie w nocy! Powietrze jest wtedy czyste i do głowy cisną się mądre myśli!

Nie o tym jednak rozmyślała *madame* Grycacujewa, siedząc na schodach przed zamkniętymi oszklonymi drzwiami w samym środku Domu Ludowego. Myślała o swej wdowiej doli-niedoli, drzemiała i oczekiwała świtu. Z oświetlonego korytarza poprzez szklane drzwi spływało na wdowę żółte światło lamp elektrycznych. Szary świt sączył się przez okna klatki schodowej.

Była owa cicha chwila, gdy ranek jest jeszcze czysty i świeży. W owej chwili Grycacujewa usłyszała kroki na korytarzu. Wdowa szybko wstała i przyłgnęła do szklanych drzwi. Na końcu korytarza mignęła niebieska włóczkowa kamizelka. Pomarańczowe trzewiki były ubabrane tynkiem. Lekkomysłny syn tureckiego obywatela, strzepując kurz z marynarki, zbliżał się do szklanych drzwi.

— Kotku! — zawołała wdowa. — Kot-e-e-eczku!

Przytulona do szyby, wzdychała z niewysłowioną tkliwością. Szyba zmatowiała, zagrała barwami tęczy. W szybie tej mieniły się niebieskie i pomarańczowe dziwy.

Ostap nie dosłyszał gruchania wdowy. Drapał się w plecy i z zafrasowaniem kiwał głową. Jeszcze chwila i zniknąłby na zakręcie.

Z jękiem: „Towarzyszu Bender” biedna małżonka zaczęła bębnić po szybie. Wielki Kombinator obejrzał się.

— A — powiedział, widząc, że dzielą go od wdowy zamknięte drzwi — i pani tu jest?

— Jestem, jestem — powtarzała uszczęśliwiona wdowa.

— Uściskaj mnie, moje szczęście, tak długo już nie widzieliśmy się — zaproponował techniczny dyrektor.

Wdowa zaczęła rzucać się. Podskakiwała za drzwiami jak czyżyk²⁹⁵ w klatce. Spódnice, które uspokoiły się w ciągu nocy, znów zaczęły szeleścić. Ostap rozwarł ramiona.

— Czemu tak długo każesz mi czekać, kurko? Twój zamorski kogucik zmęczył się bardzo na posiedzeniu Małego Sownarkomu.

Wdowa nie grzeszyła fantazją.

— Koteczku — rzekła po raz piąty. — Otwórz mi drzwi, towarzyszu Bender.

— Ciszej, dziewico! Największą ozdobą kobiety jest skromność. Na co te skoki?

Kobieta

Wdowa zmartwiła się.

— No i po co się pani dręczy? — dopytywał się Ostap. — Co jej dokucza?

— Najpierw odjechał, a teraz pyta!

Wdowa zaszlochała.

— Obetrzyj oczęta, obywatelko. Każda twoja lezka to molekuła w kosmosie...

Łzy

— A ja czekałam, czekałam, handel nawet zamknęłam. Po ciebie tu przyjechałam, towarzyszu Bender.

— No i jak teraz powodzi się pani na schodach? Nie wieje czasem?

Wdowa zaczęła powoli kipieć, jak duży rodzinny samowar.

— Zdrajca! — rzuciła, dygocząc z pasji.

Ostap miał jeszcze trochę wolnego czasu. Zabębnił po szybie i miarowo kiwając się, zanucił:

— Diable bywają to figle, gdy kobiecy czar w piersiach wznieca żar...

Kobieta

— A bodajżeś pękł! — życzyła wdowa Ostapowi po skończeniu kupletu²⁹⁶. — Bran-soletkę ukradłeś, mężowski prezent. A krzesło po coś brał?

— Jeśli się nie mylę, obraża mnie pani? — zauważył zimno Ostap.

— Ukradłeś, ukradłeś! — powtarzała w kółko wdowa.

— Posłuchaj, dziewico, zakarbuuj to sobie na nosie, że Ostap Bender nigdy niczego nie krał.

— A sitko kto wziął?

— Ach, sitko! I łaskawa pani uważa to za kradzież? W takim razie nasze poglądy na życie są biegunowo różne.

— Zabrał — gruchała wdowa.

— A więc jeżeli młody, zdrowy człowiek pożyczył sobie od prowincjonalnej babci niepotrzebny jej wskutek słabego zdrowia sprzęt kuchenny, to jest już złodziejem? Czy tak mam rozumieć?

Złodziej

— Złodziej, złodziej!

— W takim razie musimy się rozstać. Zgadzam się na rozwód.

Wdowa przypuściła atak do drzwi. Szyby zadrżały. Ostap zrozumiał, że czas już odejść.

— Nie ma już czasu na czułości — powiedział. — Żegnaj, kochanie! Rozstaliśmy się jak okręty na morzu.

— Na pomoc! — zawyla wdowa.

Lecz Ostap był już na końcu korytarza. Stał w framudze okna, zeskoczył ciężko na wilgotną po nocnym deszczu ziemię i ukrył się we wspaniałych ogrodach gimnastycznych.

Na krzyk wdowy przywłókł się zbudzony ze snu dozorca. Wypuścił mimowolnego jeńca i zagroził karą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

AUTOR *Gawryliady*

W chwili, gdy *madame* Grycacujewa opuszczała niegościnne progi Domu Ludowego, zaczęli już powoli schodzić się funkcjonariusze najniższych kategorii: gońcy, panny od dziennika, dyżurne telefonistki i młodszy pomocnicy buchalterów.

Pośród nich znajdował się również Nikifor Lapis, bardzo młody człowiek o mocno kręconych włosach i nieskromnym wejrzeniu.

²⁹⁵czyżyk — mały ptak z zielonawożółtym upierzeniem. [przypis edytorski]

²⁹⁶kuplet — piosenka o treści satyrycznej i frywolnej, z wyrazistym i dowcipnym refrenem. [przypis edytorski]

Nieokrzese gbury, ludzie uparci albo po raz pierwszy odwiedzający Dom Ludowy, wchodzili przez główne wejście. Nikifor Lapis dostał się do gmachu przez ambulatorium. W Domu Ludowym czuł się jak u siebie w domu i znał najkrótsze drogi wiodące do oaz, gdzie w cieniu rozłożystych dzienników biją jasne potoki honorariów.

Przed wszystkim Nikifor Lapis poszedł do bufetu. Niklowana kasa przy akompaniamencie dźwięków tanecznych wyrzuciła trzy czekci. Nikifor zjadł porcję zsiadłego mleka i ciastko kremowe wyglądające jak kwietnik. Wszystko to popił herbatą. Następnie, nie spiesząc się zbytnio, zaczął zwiedzać swe włości.

Pierwszą wizytę złożył redakcji czasopisma łowieckiego „Gierasim i Mumu”. Towarzysza Napiernikowa jeszcze nie było, wobec czego Nikifor Lapis skierował swe kroki do „Wiadomości Higroskopijnych”, tygodniowego głośnika, za pomocą którego „robotnicy farmacji” komunikowali się ze światem zewnętrznym.

— Moje uszanowanie — rzekł Nikifor. — Napisałem wspaniałe wiersze.

— O czym? — spytał kierownik działu literackiego. — Na jaki temat? Wiecie przecież, Trubecki, że pismo nasze...

Celem subtelniejszego określenia istoty „Wiadomości Higroskopijnych” kierownik strzelił palcami.

Lapis-Trubecki spojrział na swe spodnie z białego płótna, podniósł dumnie głowę i śpiewnym głosem zakomunikował:

— *Ballada o gangrenie.*

— To ciekawe — zauważył łaskawie higroskopijny dygnitarz — czas już najwyższy w popularnej formie przemycać idee profilaktyki.

Lapis od razu zadeklamował:

Dostał Gawryła raz gangreny,
Gangrenę ciężką chłop nasz miał...

Dalej w równie wytwornych jambach²⁹⁷ opisany był Gawryła, który wskutek ciemnoty nie poszedł w porę do apteki i zginął marnie dlatego, że nie posmarował ranki jodyną.

— Robicie postępy — pochwalił dyrektor — lecz nie spoczywajcie na laurach... Rozumiecie mnie?

Strzelił palcami, lecz okropną balladę wziął, przyrzekłszy honorarium na wtorek.

W redakcji „Życia Telegrafisty” przywitano Lapisa bardzo serdecznie.

— Dobrze, że was widzę, Trubecki. Akurat potrzeba nam wierszy. Tylko koniecznie, koniecznie coś obyczajowego, bez żadnej liryki. Słyszycie, Trubecki? Coś z życia pocztowców, a przy tym, rozumiecie...?

— Wczoraj rozmyślałem o życiu pocztowców. I zrodził się we mnie taki poemat. Nazywa się *Ostatni list*. Posłuchajcie...

Roznosił pocztę nasz Gawryła,
Gawryła listonoszem był...

Dzieje Gawryły poeta opiewał w siedemdziesięciu dwóch wierszach. W końcu ballady listonosz Gawryła, ugodzony kulą faszysty — mimo wszystko — doręcza list adresatowi.

— Gdzie się to działo? — spytano Lapisa.

Pytanie było całkowicie uzasadnione. W ZSRR nie ma faszystów, a za granicą nie ma żadnego Gawryły, członka związku pocztowców.

— O co wam idzie? — powiedział Lapis. — Rzecz dzieje się oczywiście, u nas, a faszysta jest przebrany.

— Wiecie, Trubecki, może byście lepiej napisali nam coś o radiostacji?

— A dlaczego nie chcecie listonosza?

— Niech sobie poleży. Bierzemy go warunkowo.

Zmartwiony niepowodzeniem Nikifor Lapis-Trubecki poszedł znów do redakcji „Gierasima i Mumu”. Napiernikow siedział już przy swym biurku. Na ścianie wisiał znacznie

²⁹⁷ *jamb* — w metryce iloczasowej stopa złożona z dwóch sylab: krótkiej i długiej. [przypis edytorski]

powiększony portret Turgieniewa²⁹⁸ w *pince-nez*²⁹⁹, wysokich sportowych butach i z flintą³⁰⁰ przewieszoną przez ramię. Przed Napiernikowem stał konkurent Lapisa — wierszokleta z przedmieścia.

Znów zaczęła się stara piosnka o Gawryle, lecz tym razem w sosie myśliwskim. Twór ten nazywał się *Modlitwa kłusownika*.

Gawryła czyhał na zająca,
Pif-paf — i zając martwy padł...

— Wyśmienicie, Trubecki! — powiedział dobry Napiernikow. — Przewyższyście w tym wierszu samego Enticha. Trzeba będzie tylko coś niecoś poprawić. Po pierwsze, wyrzucić do licha tę „modlitwę”.

— I zająca — wtrącił konkurent.

— A dlaczego zająca? — zdziwił się Napiernikow.

— Dlatego, że to nieodpowiednia pora do polowania na zające.

— Słuchajcie, Trubecki, może zastąpicie czymkolwiek tego zająca?

Poemat w zmienionej formie nazywał się *Do kłusownika*, a zające zastąpiono bekasami³⁰¹. Potem okazało się, że i na bekasy latem nie poluje się. W ostatecznej formie wiersz brzmiał:

„Gawryła czyhał na ptaszęta, Pif-paf, i ptaszę martwe już”... I tak dalej.

Przy śniadaniu, spożytym w gospodzie, Lapis wziął się znów do roboty. Jego białe spodnie raz po raz ukazywały się w głębi ciemnych korytarzy. Wchodził do rozmaitych redakcji i sprzedawał wieloosobowego Gawryłę. Do „Fletu spółdzielczego” zaniósł Gawryłę pod tytułem: *Harfa Eola*.

Subiektem w sklepie był Gawryła,
Każdemu w rękę wtykał flet...

Prostacy z solidnego czasopisma „Las, jako taki” nabyli od Lapisa niewielki poemacik *Na skraju lasu*. Zaczynał się w ten sposób:

Gawryła szedł gęstwiną leśną,
Drzewa Gawryła w znoju ciął...

Ostatni — w tym dniu — Gawryła był z zawodu piekarzem. Znalazł się dla niego kącik w redakcji „Robotnika bułki”. Poemat miał długi i smętny tytuł: *O chlebie, jego produkcji i o ukochanej*. Poemat był dedykowany tajemniczemu Chinie Człek. Początek, jak zwykle, był epicki:

Piekarzem dzielny był Gawryła,
Gawryła smaczne bułki piekł...

Dedykację, po delikatnej walce, udało się wyrzucić.

Najsmutniejsze było to, że Lapis nigdzie nie dostał honorarium. Jedni przyrzekli mu pieniądze na wtorek, inni na czwartek lub piątek, inni za dwa tygodnie. Z konieczności trzeba było udać się po pożyczkę do obozu wrogów — tam, gdzie Lapisa nigdy nie drukowano.

Lapis zszedł z piątego piętra na drugie i skierował swe kroki do sekretariatu „Warsztatu”. Na swe nieszczęście natknął się od razu na Persickiego.

— A! — zawołał Persicki. — Lapsus!

²⁹⁸ *Turgieniew, Iwan Siergiejewicz* (1818–1883) — rosyjski pisarz, przedstawiciel rosyjskiego realizmu krytycznego. [przypis edytorski]

²⁹⁹ *pince-nez* (fr.) — binokle; rodzaj okularów bez uchwytych na uszy, mocowanych na nosie za pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

³⁰⁰ *flinta* — strzelba myśliwska. [przypis edytorski]

³⁰¹ *bekas* — średniej wielkości ptak łowny zamieszkujący tereny podmokłe. [przypis edytorski]

— Słuchajcie — zaczął Nikifor Lapis przyciszonym głosem — pożyczcie mi trzy ruble, „Gierasim i Mumu” winni mi są moc pieniędzy.

— Pół rubla gotów wam jestem dać. Zaczekajcie. Zaraz wrócę.

I Persicki wrócił, prowadząc z sobą tuzin współpracowników „Warsztatu”.

Wszczęła się ogólna rozmowa.

— No, jakże się udał handel? — spytał Persicki.

— Napisałem wspaniałe wiersze!

— O Gawryle? Coś z życia wsi? Gawryła wyszedł orać rankiem, Gawryła kocha wierny pług?

— Co tam Gawryła! — bronił się Lapis. — Napisałem teraz o Kaukazie³⁰².

— A byliście na Kaukazie?

— Za dwa tygodnie pojadę.

— I nie boicie się, Lapsus? Przecież tam są szakale!

— Nic a nic się nie boję. Na Kaukazie nie są one jadowne.

Po tej odpowiedzi wszyscy zamienili się w słuch.

— Powiedzcie, Lapsus — spytał Persicki — jak według was wyglądają szakale?

— Wiem, doskonale wiem, odczepcie się!

— No, to powiedzcie, jeśli wiecie!

— Takie, uważacie... Podobne do żmii.

— Tak, tak, macie, jak zwykle, słuszność. Według was przecie comber sarni³⁰³ podaje się do stołu ze strzemionami.

— Jako żywo, nigdy tego nie mówiłem! — wrzasnął Trubecki.

— Istotnie, nie mówiliście tego. Wyście to pisali. Mówił mi Napiernikow, że staraliście się wpakować mu te wierszydła (rzekomo z życia myśliwych) dla „Gierasima i Mumu”. Powiedzcie mi uczciwie, Lapsus, dlaczego pisujecie o tym, czegoście nigdy w życiu nie widzieli i o czym nie macie zielonego pojęcia? Dlaczego w wierszu waszym pod tytułem *Kanton peniuar* to suknia balowa? Dlaczego?!

— Jesteście filistrem³⁰⁴ — rzekł wyniośle Lapis.

— Dlaczego w wierszu *Zawody konne o puchar Budiennego* dżokej wasz zaciska popręgi³⁰⁵, po czym siada na koźle? Czy widzieliście kiedykolwiek popręgi?

— Widziałem.

— Powiedzcie mi, jak wyglądają?

— Odczepcie się. A to piła!

— A jak się siedzi na koźle, widzieliście? Byliście kiedy na zawodach?

— Nie wszędzie trzeba koniecznie być — wrzeszczał Lapis. — Puszkina pisał tureckie wiersze, a nigdy nie był w Turcji.

— O tak, Erzerum³⁰⁶ leży przecie w tulskiej guberni.

Lapis nie zrozumiał ironii. Z przejęciem tłumaczył.

— Puszkina pisząc, korzystał z istniejących materiałów. Przeczytał historię buntu Pugaczowa³⁰⁷, a potem pisał. A o zawodach konnych opowiedział mi Entich.

Persicki wysłuchał tej wspaniałej obrony, po czym protestującego Lapisa zaciągnął do sąsiedniego pokoju. Widzowie poszli za nimi. Na ścianie wisiał duży wycinek z gazety, okolony żalobną obwódką.

— Opowiadanie to napisaliście do „Głosu Marynarza”?

— Napisałem.

— Jeśli się nie mylę, to wasz debiut w prozie? Winszuję! „Fale przewalały się przez brzeg i opadały gwałtownym daumkratem”... A to dogodziliście „Głosowi Marynarza”!

— O co idzie?

³⁰²*Kaukaz* — łańcuch górski na pograniczu pld.-wsch. Europy i pld.-zach. Azji; także region geograficzny wokół gór Kaukaz. [przypis edytorski]

³⁰³*comber* (ros. *ceđno*) — siodło [również jako część póluszy pochodzącej z części grzbietowej zwierzęcia; red. WL]. [przypis tłumacza]

³⁰⁴*filister* (pogard.) — mieszczuch o ograniczonych horyzontach. [przypis edytorski]

³⁰⁵*popręg* — pas przytrzymujący siodło. [przypis edytorski]

³⁰⁶*Erzerum*, właśc. *Erzurum* — miasto we wsch. Turcji. [przypis edytorski]

³⁰⁷*Pugaczow, Jemieljan* (1742–1775) — doński Kozak, który podając się za cudownie uratowanego cara Piotra III, wszczął powstanie chłopskie (1773–1775), które ogarnęło całą pld.-zach. część Cesarstwa Rosyjskiego. [przypis edytorski]

— Idzie o to, że... Wiecie, co to jest daumkrat?
— Rozumie się, wiem, odczepcie się ode mnie...
— Jak wyobrażacie sobie taki daumkrat? Opiszcie własnymi słowami.
— Taki, wiecie... Opada jednym słowem.
— Daumkrat opada. Zapamiętajcie to. Daumkrat gwałtownie opada! Zaczekajcie chwilkę, Lapsus, zaraz wam przyniosę forszę. Nie puszczajcie go stąd!

Lecz i tym razem Lapis nie dostał pożyczki. Persicki przywłókł z biura informacyjnego dwudziesty pierwszy tom Brockhause, od Domicjana³⁰⁸ do Jewreinowa³⁰⁹.

Między jakąś twierdzą w wielkim księstwie Mecklenburg-Schwerin³¹⁰ i Dommel — rzeka w Belgii i Niderlandach — odnaleźli poszukiwane słowo.

— Słuchajcie! „Daumkrat” (po niemiecku *Daumkraft*) to jedna z maszyn służących do podnoszenia znacznych ciężarów. Zwykły, nieskomplikowany D., używany do podnoszenia wozów i tym podobnych, składa się z ruchomego, zębatego pasa, wprawianego w ruch przez koła obracane przy pomocy korby. I tak dalej, i tak dalej. „John Dickson w 1879 ustawił obelisk znany pod nazwą *Igła Kleopatry*³¹¹ przy pomocy czterech robotników, posługujących się czterema hydraulicznymi D.”. I podług³¹² was ten przyrząd posiada zdolności gwałtownego opadania? A więc Brockhaus i Efron³¹³ okłamywali ludzkość w ciągu pięćdziesięciu lat? Dlaczego tak niemilosiernie bujacie, zamiast wziąć się do nauki? Co?

— Potrzeba mi pieniędzy.

— Ależ przecie i tak ich nigdy nie macie. Wiecznie wężycie, skąd by wytrzasnąć rubla.

— Kupiłem dużo mebli i dlatego jestem chwilowo w tarapatach.

— Za wasze bujdy płacą wam tyle, ile są warte: grosze!

— Ładne grosze! Kupiłem sobie krzesła na licytacji.

— W kształcie żmii?

— Nie. Pałacowe. Lecz spotkało mnie nieszczęście. Wróciłem wczoraj w nocy do domu...

— Od Chiny Człek? — krzyknęli chórem obecni.

— China!... Z Chiną już dawno się rozstałem. Wracałem z prelekcji Majakowskiego³¹⁴. Przychodzę. Okno otwarte. Ani Chuntowa, ani Ibrahima nie ma w domu. Od razu poczułem, że coś się stało.

— Oj-oj-oj! — rzekł Persicki, zakrywając twarz rękoma. — Czuję towarzyszu, że ukradli Lapsusowi jego najlepszy utwór.

— Pasadę stróża wziął Gawryła, Gawryła nocnym stróżem był.

— Pozwólcie mi dokończyć. Zdumiewające łajdactwo! Do pokoju mego dostali się jacyś obwiesie³¹⁵ i odpruli obicie krzesła. Może kto z was pożycz mi na naprawę pięć rubli?

— Ułóżcie w tym celu nowego Gawryłę. Mogę wam nawet dać początek. Czekać, czekać... Zaraz... Jest! „Gawryła kupił sobie krzesło, Gawryła kiepskie krzesło miał”. Czym prędzej zapiszcie. Można to korzystnie sprzedać do „Głosu Komody”...

— Ech, Trubecki, Trubeckoj!... Właściwie, Lapsus, dlaczego wy jesteście Trubeckoj? Czy nie możecie wziąć sobie lepszego pseudonimu? Dołgorukij, na przykład! Ni-

³⁰⁸ *Domicjan*, właśc. *Titus Flavius Domitianus* (51–96) — cesarz rzymski od 81, trzeci i ostatni z dynastii flawijskiej; padł ofiarą spisku swojej żony z zaufanymi wyzwolencami i dowódcami straży przybocznej: zginął zasztyletowany w swoim pałacu. [przypis edytorski]

³⁰⁹ *Jewreinow, Nikolaj* (1879–1953) — dramaturg, reżyser, historyk teatru, dyrektor Starożytnego Teatru w Petersburgu. [przypis edytorski]

³¹⁰ *Mecklenburg-Schwerin*, właśc. *Wielkie Księstwo Meklemburgii-Schwerin* — państwo powstałe w 1815 na mocy decyzji kongresu wiedeńskiego. [przypis edytorski]

³¹¹ *Igła Kleopatry* — obelisk pochodzący ze starożytnego Egiptu, znajdujący się w Londynie. [przypis edytorski]

³¹² *podług* (daw.) — według. [przypis edytorski]

³¹³ *Efron* — dom wydawniczy z Sankt Petersburga; wraz z niemieckim wydawnictwem Brockhaus opracował *Słownik encyklopedyczny Brockhause i Efrona*: pierwszą rosyjską encyklopedię powszechną, wydaną w latach 1890–1907. [przypis edytorski]

³¹⁴ *Majakowski, Władimir* (1893–1930) — rosyjski poeta i dramaturg, scenarzysta filmowy, autor plakatów, współtwórca manifestów rosyjskiego futuryzmu. [przypis edytorski]

³¹⁵ *obwiesie* — hultaj, nicpoń. [przypis edytorski]

kifor Dołgorukij! Albo Nikifor Valoise? Albo jeszcze lepiej: obywatel Nikifor Sumarokow-Elston? Jeśli popełnicie od razu trzy wiersze do „Gierasima i Mumu”, to będziecie mieli wspaniałe wyjście. Pod jednym majaczeniem podpisze się Sumarokowa, pod drugą makulaturą — Elstona, a pod trzecią — Jusupowa³¹⁶. Ech, bujacz!... Trzymajcie go, towarzysze! Opowiem mu nadzwyczajną historię. Słuchajcie uważnie, Lapsus! W waszym fachu może się to przydać.

Po korytarzu przechadzali się pracownicy, zając wielkie pajdy chleba. Była akurat przerwa na śniadanie. Z pokoju do pokoju biegał Awdotiew, zwołując miłośników automobilizmu na nadzwyczajne zebranie. Lecz wszyscy niemal miłośnicy automobilizmu siedzieli w sekretariacie i słuchali Persickiego, opowiadającego historię, którą usłyszał kiedyś w gronie malarzy.

Opowiadanie o nieszczęśliwej miłości

W Leningradzie, na Wasyliwskim Ostrowie, na drugiej linii, mieszkało biedne dziewczę o wielkich niebieskich oczach. Nazywała się Klotylda.

Dziewczę lubiło czytać Schillera³¹⁷, marzyć nad brzegiem Newy³¹⁸ i jadać na obiad na wpół surowe befsztyki.

Lecz dziewczę było biedne. Schillera było bardzo dużo, a mięsa wcale nie było. Dlatego też, jak również dlatego, że noce były białe, Klotylda zakochała się. Człowiek, który uderzył ją swą pięknnością, był rzeźbiarzem.

Siedząc na oknie pracowni, spoglądali na czarny kanał i całowali się.

Po kanale płynęły gwiazdy, a może i gondole. Tak przynajmniej wydawało się Klotyldzie.

— Popatrz, Wasia — mówiła dziewczyna — to Wenecja! Zielona zorza świeci hen za tym zamkiem z czarnego marmuru.

Wasia nie zdejmował dłoni z kibici dziewczęcia. Zielone niebo różowiało, potem stawało się żółte, a zakochani wciąż jeszcze nie opuszczali framugi okna.

— Powiedz, Wasia — pytała Klotylda — czy sztuka jest nieśmiertelna?

— Nieśmiertelna — odpowiedział Wasia — umiera człowiek, zmienia się klimat, ukazują się nowe planety, giną dynastie, lecz sztuka trwa. Jest nieśmiertelna.

— Tak — mówiło dziewczę — Michał Anioł³¹⁹!

— Tak — powtórzył Wasia, wdychając zapach jej włosów. — Praksyteles³²⁰!

— Canova³²¹!

— Benvenuto Cellini³²²!

I znów wędrowały po niebie gwiazdy, tonęły w wodach kanału i niknęły w blaskach nadchodzącego dnia.

Zakochani nie schodzili z okna. Mięsa było całkiem mało. Lecz sercom ich wystarczały imiona geniuszów.

We dnie rzeźbiarz pracował. Rzeźbił popiersia. Lecz trud jego był osłonięty mrokiem nieprzeniknionej tajemnicy. W czasie pracy nie wolno było Klotyldzie wchodzić do pracowni. Daremnie błagała.

— Wasia, pozwól mi popatrzeć, jak tworzysz!

Lecz rzeźbiarz był niewzruszony. Wskazując popiersie okryte mokrym płótnem, mówił:

³¹⁶Pod jednym majaczeniem podpisze się Sumarokowa, pod drugą makulaturą — Elstona, a pod trzecią — Jusupowa — nawiązanie do nazwiska rosyjskiego arystokraty, generała Feliksa Sumarokowa-Elstona, księcia Jusupow (1856–1928). [przypis edytorski]

³¹⁷Schiller, Friedrich (1759–1805) — niemiecki poeta, filozof, historyk i dramaturg, autor *Ody do radości*. [przypis edytorski]

³¹⁸Newa — rzeka w Rosji, wypływająca z jeziora Ładoga i uchodząca do Zatoki Fińskiej w Sankt Petersburgu. [przypis edytorski]

³¹⁹Michał Anioł, właśc. Michelangelo Buonarroti (1475–1564) — wybitny malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt włoskiego renesansu. [przypis edytorski]

³²⁰Praksyteles (IV w. p.n.e.) — wybitny rzeźbiarz grecki z Aten, autor rzeźb bogów greckich, uwydatniających piękno ludzkiego ciała. [przypis edytorski]

³²¹Canova, Antonio (1757–1822) — włoski rzeźbiarz, architekt i malarz. [przypis edytorski]

³²²Cellini, Benvenuto (1500–1571) — włoski rzeźbiarz, złotnik, medalier i pisarz; znany z burzliwego życia; autor autobiografii *Żywot Benvenuta Celliniego własnoręcznie spisany*. [przypis edytorski]

— Jeszcze nie teraz, Klotyldo, jeszcze nie teraz. Szczęście, sława i pieniądze czekają na nas w przedsionku. Niechaj zaczekają.

Płynęły gwiazdy.

Pewnego razu szczęśliwe dziewczę otrzymało bilet do kina. Wyświetlano obraz pod tytułem *Gdy serce musi zamilknąć*. W pierwszym rzędzie tuż przed ekranem siedziała Klotylda. Wychowana na Schillerze, była niezwykle wstrząśnięta treścią obrazu.

„Rzeźbiarz Hans rzeźbił posągi. Sława zmierzała doń wielkimi krokami. Żona jego była piękna. Lecz posprzeczała się kiedyś. W gniewie piękna kobieta strzaskała młotkiem rzeźbę — wielkie dzieło rzeźbiarza Hansa, nad którym pracował trzy lata. Sława i bogactwo rzeźbiarza przepadły pod uderzeniem młota. Rozpacz Hansa była okropna. Powiesił się, lecz skruszona żona wyjęła go w porę z pętli. Po czym błyskawicznie zrzuciła z siebie suknie.

— Mnie lep! — krzyknęła. — Na całym świecie nie ma ciała piękniejszego niż moje.

— O! — zawołał Hans. — Byłem ślepcem!

I, ogarnięty natchnieniem, stworzył posąg żony. I był to taki posąg, że świat cały zadrżał z radości. Hans i jego piękna małżonka zdobyli sławę i w szczęściu dotrwali do końca dni swoich”.

Klotylda, wstrząśnięta powyższym widokiem, poszła wprost z kina do pracowni Wasi. Wszystko się pomieszało. Schiller i Hans, gwiazdy i marmur, aksamit i szmaty.

— Wasia! — zawołała.

Wasia był w pracowni. Rzeźbił swą tajemniczą rzeźbę — człowieka z długimi wąsami, w marynarce. Rzeźbił go... z fotografii.

— Wszak żywot nasz cały jest walką! — nucił rzeźbiarz, wykańczając ostatecznie rzeźbę.

Walka

Akurat w tej chwili rzeźba z łoskotem padła pod strasznym uderzeniem młotka. Klotylda dokonała swego dzieła. Wyciągając do Wasi rękę zabrudzoną gipsem, rzekła wyńsiółe:

— Proszę mi oczyścić paznokcie!

I odeszła. Do uszu jej dotarły dziwne dźwięki. Zrozumiała: to wielki rzeźbiarz płakał nad zniszczonym swym dziełem.

Nazajutrz Klotylda przyszła, by kontynuować rozpoczęte dzieło: wyjąć z pętli wstrząśniętego do głębi Wasię, zrzucić z siebie suknie i powiedzieć:

— Lep mnie! Na całym świecie nie ma ciała piękniejszego niż moje!

Weszła i ujrzała: Wasia nie wisiał. Siedział na wysokim tabureciku tyłem do przybyłej Klotyldy i robił coś.

Lecz dzweczny nie zbiło to z tropu. Zrzuciła z siebie szaty i pokryta gęsią skórą, szczękając zębami, krzyknęła:

— Lep mnie, Wasia, na całym świecie nie ma ciała piękniejszego niż moje.

Wasia odwrócił się. Piosnka zamarła na jego ustach.

I dopiero wtedy Klotylda ujrzała, co on robił: rzeźbił tajemnicze popiersie — człowieka z długimi wąsiskami, w marynarce. Fotografia stała na stoliku. Wasia wykańczał rzeźbę.

— Co ty robisz? — spytała Klotylda.

— Rzeźbię popiersie zarządzającego kooperatywą numer dwadzieścia osiem.

— Lecz wczoraj przecież strzaskałam je! — wybełkotała Klotylda. — Dlaczegoś się nie powiesił? Mówiłeś przecież, że sztuka jest nieśmiertelna. Ja zniszczyłam twą nieśmiertelną sztukę. Dlaczegoż żyjesz jeszcze, człowieku?

— Nieśmiertelna, oczywista, nieśmiertelna — odrzekł Wasia — lecz zamówienie trzeba wykonać? Jak myślisz?

Wasia był zwykłym, przeciętnym wyrobnikiem.

A Klotylda czytała zbyt wiele Schillera...

— A więc, Lapsus, nie straszcie Chincezki Człek swoim kunsztem. To delikatna kobieta. Wierzy w wasz talent. Nikt bodaj więcej wam nie wierzy. Lecz jeśli jeszcze miesiąc będziecie biegać po „Wiadomościach Higroskopijnych”, to i China odwróci się od was. *À propos*, rubla wam nie dam. Idźcie sobie już, Lapsus.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY POTEŹNE PIÓRO. — POSZUKIWACZE ZŁOTA.

Jak można się tego było spodziewać, opowiadanie o Klotyldzie nie wywołało w baraniej duszy Lapisa żadnych emocji.

Z okrzykiem: „ofiara zbirów”, „napastnicy uszli” i „tajemnica gabinetu redaktora” — wpadł do pokoju Stiopa.

— Persicki — powiedział — pędź czym prędzej na miejsce wypadku i opisz w „Wypadkach i kradzieżach”. Sensacyjny wypadek na pięć wierszy *petitem*³²³.

Okazało się, że redaktor po przyjsciu do swego gabinetu ujrzał ogromne pióro ze stalówką numer osiemdziesiąt sześć na podłodze. Stalówka tkwiła w dolnej części kanapy. A nowe, nabyte na licytacji, krzesło redaktora wyglądało, jak gdyby je podziobały wrony. Całe obicie było rozerwane, pakuły wyrzucone na podłogę i sprężyny wysuwały się jak żmije gotowe do ukąszenia.

— Drobną kradzież — rzekł Persicki — jeśli wydarzą się jeszcze trzy kradzieże, damy notatkę na trzy wiersze.

— O to właśnie idzie, że to nie jest kradzież. Nic nie ukradli, tylko poniszczyli krzesło.

— Całkiem jak u Lapsusa — zauważył Persicki — gotów jestem przypuścić, że Lapsus nie skłamał.

— Aha, widzicie — rzekł z dumą Lapsus — dajcie mi rubla.

Przyniesiono wieczorną gazetę. Persicki zaczął ją przeglądać.

Zwykły czytelnik czyta gazetę. Dziennikarz najpierw ogląda ją jak obraz. Interesuje go kompozycja.

— Mimo wszystko tak bym nie łamał — rzekł Persicki — nasz czytelnik nie jest przygotowany do amerykańskiego układu... Karykatura, oczywista, Chamberlaina... Szkic o Baszcie Sucharewskiej... Lapsus, moglibyście i wy nagryzmolić coś niecoś o Rynku Sucharewskim — dziewiczy temat — poświęca mu się raptem tylko czterdzieści szkiców rocznie... Następnie... — Persicki z lekką pogardą zaczął czytać dział wypadków, według jego stronniczego zdania robiony nieudolnie.

— Zgrzybiały materiał!... Ten defraudant był już u nas... Nieudała³²⁴ kradzież w Teatrze Kolumba! E-e-e, towarzysze, to coś nowego... Słuchajcie!

I Persicki głośno przeczytał:

NIEUDAŁA KRADZIEŻ W TEATRZE KOLUMBA

Dwaj nieznani sprawcy przedostali się do rekwizytorni Teatru Kolumba i porwali stamtąd cztery staroświeckie krzesła.

Na podwórzu złodzieje zostali spłoszeni przez nocnego stróża, wobec czego, rzuciwszy krzesła, ukryli się.

Warto zaznaczyć, że krzesła te zostały nabyte w związku z zupełnie nową wystawą *Ożenku Gogola*³²⁵.

— Ha, w tym coś jest. Toż to jakaś sekta rabusiów krzesel.

— Maniacy!

— Daj spokój. Działają całkiem normalnie. Byli już u Lapisa, u nas, w teatrze.

— Tak!

— Towarzysze, oni czegoś szukają.

³²³*petit* — stopień czcionki drukarskiej wynoszący 8 punktów. [przypis edytorski]

³²⁴*nieudały* (daw.) — nieudany. [przypis edytorski]

³²⁵*Gogol, Nikolaj* (1809–1952) — rosyjski pisarz, publicysta; sięgał po groteskę i fantastykę; jego satyryczna twórczość miała wpływ na rozwój realizmu krytycznego; najwybitniejsze dzieła to komedia *Rewizor* (1836) i powieść *Martwe dusze* (1842). [przypis edytorski]

Przy tych słowach Nikifor Lapis zmienił się na twarzy. Cichutko wyszedł z pokoju i pobiegł wzdłuż korytarza. Po pięciu minutach kołyszący się tramwaj wioził go w kierunku Pokrowskich Wrót.

Lapis mieszkał w domu numer 9 przy ulicy Koszarowej wspólnie z dwoma młodymi ludźmi mającymi szerokie, miękkie kapelusze. Lapis miał kapitańską czapkę z godłem Neptuna — pana mórza. Pokój Lapisa był przechodni. Obok mieszkała liczna rodzina tatarska.

Gdy Lapis wszedł do siebie, Chuntow siedział na oknie i przeglądał „Informator Teatralny”.

Był to człowiek idący z duchem czasu. Robił wszystko, czego duch czasu wymagał.

Duch czasu wymagał wierszy i Chuntow pisywał je w wielkiej obfitości.

Zmieniały się gusta. Zmieniały się wymagania. Duch czasu i współcześni żądali bohaterstwa powieści o wojnie domowej. I Chuntow pisał bohaterstwa powieści.

Później domagano się powieści obyczajowych. Idący z duchem czasu Chuntow brał się i do tego rodzaju powieści.

Duch czasu żądał bardzo wiele, lecz nie wiadomo dlaczego nic od Chuntowa nie brał.

Teraz duch czasu domagał się sztuki teatralnej. Dlatego też Chuntow siedział teraz na oknie i przeglądał „Informator Teatralny”. Po człowieku mającym zamiar napisać sztukę można się spodziewać, że zacznie studiować zwyczaje tej warstwy społecznej, którą zamierza przedstawić na scenie. Można się spodziewać, że autor sztuki mającej być napisaną zacznie obmyślać temat, kreślić w myśli charakterystyki występujących w niej osób i układać poszczególne sytuacje. Lecz Chuntow zaczął od drugiego końca — od ściśle arytmetycznych obliczeń. Mając w ręce plan teatrów, obliczał przeciętny dochód z przedstawienia w każdym z nich. Jego pulchne, sympatyczne oblicze marszczyło się od natężenia, brwi unosiły się i opadały.

Chuntow szybko przekreślał w notesie kolumny cyfr — mnożył liczbę miejsc przez przeciętną cenę biletu, przy czym dokonywał obliczeń dwukrotnie: podług cen podwyższonych i podług cen zwyczajnych.

Na czele moskiewskich lokali widowiskowych ze względu na ilość miejsc i ceny stał Wielki Akademicki Teatr³²⁶. Chuntow zrezygnował z niego z wielkim żalem. Na to, by dostać się do Wielkiego Teatru, trzeba napisać operę lub balet. Lecz duch czasu domagał się teraz akurat dramatu. I Chuntow wybrał najlepszy teatr — Moskiewski Artystyczny Akademicki³²⁷. Kaczalow³²⁸, marzył, i Moskwin³²⁹ pod reżyserią Stanisławskiego³³⁰ zrobią kasę. Chuntow obliczył tantiemy autora. Według jego obliczeń sztuka powinna była pójść w sezonie co najmniej sto razy. Szła przecież *Biała gwardia*³³¹, rozmyślał. Honorarium zapowiadało się wspaniale. Nigdy jeszcze żadna impreza nie rokowała Chuntowowi tak wielkich zysków.

Pozostawało już tylko napisanie sztuki. Lecz to najmniej niepokoiło Chuntowa. Widz to dureń, orzekł.

— Niezwykły temat! — oznajmił Lapis, podchodząc do człowieka idącego trop w trop za duchem czasu.

Chuntowowi potrzeba było tematu, toteż żywo zapytał:

— Jaki temat?

— Pierwszorzędnny — odrzekł Lapis.

Chuntow czekał z ołówkiem w ręce, by zanotować słowa Lapisa, lecz podejrzliwy autor wieloosobowego Gawryły umilkł.

— No! Mówże!

³²⁶ *Wielki Akademicki Teatr*, właśc. *Państwowy Akademicki Teatr Opery i Baletu Rosji* a. *Teatr Bolszoj* — teatr w Moskwie, położony przy placu Teatralnym, niedaleko Kremla; wystawia przedstawienia operowe i baletowe. [przypis edytorski]

³²⁷ *Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny* — teatr akademicki założony w 1898. [przypis edytorski]

³²⁸ *Kaczalow, Wasilij* (1875–1948) — jeden z najlepszych rosyjskich aktorów teatralnych. [przypis edytorski]

³²⁹ *Moskwin, Iwan* (1874–1946) — rosyjski aktor, reżyser teatralny i mistrz recytacji. [przypis edytorski]

³³⁰ *Stanisławski, Konstantin* (1863–1938) — rosyjski reżyser teatralny, aktor, wykładowca, twórca pierwszego systemu reguł gry aktorskiej. [przypis edytorski]

³³¹ *Biała gwardia* — powieść rosyjskiego pisarza Michaiła Bulhakowa pisana w latach 1922–1924; na jej podstawie autor stworzył sztukę *Dni Turbinów*, którą wolno było grać tylko w Moskwie i tylko w jednym teatrze. [przypis edytorski]

- E, buchniesz mi jeszcze!
- Czy buchnąłem ci już kiedy jakikolwiek temat?
- A opowieść o komsomolcu, który wygrał sto tysięcy rubli?
- Tak, lecz przecież nie wzięli jej.
- A czy od ciebie w ogóle co brano?! A ja mogę napisać wspaniały poemat.
- No, nie rób z tata wariata! Gadaj!
- A nie buchniesz mi?
- Słowo honoru.

— Temat pierwszorzędny. Taka, uważasz, historia: sowiecki wynalazca wynalazł promienie śmierci, notatki ukrył w krzesle. I umarł. Żona nic o tym nie wiedziała i sprzedała krzesła. A faszyci zaczęli szukać tych krzesel. A jeden z komsomolców dowiedział się o krzesłach i zaczęła się walka. Można tu teraz tyle nablągować, ile dusza zapagnie.

Chuntow zaczął biegać dokoła wypatroszonego krzesła Worobianinowa.

- Mnie dasz ten temat.
- Przypuśćmy.
- Lapis! Zastanów się! Ten temat nie nadaje się na poemat. To wymarzony temat na sztukę teatralną.
- Nie szkodzi. To nie twoja sprawa. Temat jest mój.
- W takim razie napiszę sztukę teatralną wpierw, nim ty zdążysz napisać tytuł swego poematu.

Kłótnię między młodymi ludźmi przerwało przyjście Ibrahima.

Był to człowiek nader swobodny w obejściu, ruchliwy i wesoły. Korpulentny. Kołnierzyki dusiły go. Na twarzy, szyi i rękach migotały piegi. Włosy miały kolor jajeczniczy. Z ust buchały kłęby dymu. Ibrahim palił cygara „Figaro” — dwie sztuki za dwadzieścia pięć kopiejek. Miał na sobie płócienną imitację żakietu, z którego kieszeni wychylały się zwoje nut. Kapelusz panama³³² sterczał na jego głowie jak koszyczek. Z Ibrahima spływał obficie brudny pot.

— O co kłóćcie się? — spytał przenikliwym głosem.

Kompozytor Ibrahim zawdzięczał swoją egzystencję uprzejmości siostry. Przesyłała mu regularnie z Warszawy nowe fokstroty. Ibrahim przepisywał je, zmieniał tytuł *Miłość w oceanie* na *Ambrozja* lub *Flirt w metro* na *Singapurskie noce* i opatrzywszy nuty w wiersze Chuntowa, spławił na rynku muzycznym.

— O co kłóćcie się? — powtórzył.

Rywale odwołali się do bezstronności Ibrahima. Historię o faszystach opowiedziano po raz drugi.

— Dlatego właśnie trzeba napisać... — dowodził Lapis Trubeckoj.

— Sztukę! — wrzeszczał Chuntow.

Lecz Ibrahim błyskawicznie rozstrzygnął spór.

— Opera! — rzekł, sapiąc. — Z tego będzie prawdziwa opera z baletem, chórami i wspaniałymi partiami solowymi.

Poparł go Chuntow. Przypomnił sobie bowiem natychmiast ogrom dochodów Wielkiego Teatru. Ociągającego się wciąż jeszcze Lapisa skusili perspektywą bająskich zysków. Chuntow uderzał raz po raz w „Informator” i wykrzykiwał liczby podważające wszystkie pojęcia Lapisa o bogactwie.

Zaczął się podział obowiązków twórczych. Opracowania scenariusza i prozaicznych ustępów podjął się Chuntow. Wiersze przypadły w udziale Lapisowi. Muzykę miał skomponować Ibrahim. Postanowili od razu bez zwłoki wziąć się do pisania.

Chuntow siadł na okaleczonym krzesle i wyraźnymi literami napisał u góry arkusza: „Akt pierwszy”.

— Słuchajcie, przyjaciele — rzekł Ibrahim — nim tam nagryzmolicie swoje kawalki, opiszcie mi główne osoby występujące w tej sztuce. Przygotuję sobie tymczasem niektóre melodie. To konieczne.

Poszukiwacze złota zaczęli kreślić poszczególne charaktery. Nakreślono takie — mniej więcej — osoby:

³³²kapelusz panama — tradycyjny kapelusz wykonywany z liści hyczkowca dłoniastego, pochodzi z Ekwadoru; jego nazwa przyjęła się w czasie budowy Kanału Panamskiego. [przypis edytorski]

Ugolino — wielki mistrz związku faszystów (bas).

Alfonsyna — jego córka (sopran koloraturowy)³³³.

T. Mitin — sowiecki wynalazca (baryton).

Sforza-książę — faszysta (tenor).

Gawryła — wiejski komsomolec (przebrany mezzosopran).

Nina — komsomółka, córka popa (sopran liryczny).

(Faszyści, „samogonszczycy”, kapelani, żołnierze, majordomowie, technicy, Sycylijczycy, laboranci, cień Mitina, pionierzy i inni).

— Skomponuję — rzekł Ibrahim, który ujrzał przed sobą wdzięczne perspektywy — skomponuję tymczasem chór kapelanów i tańce sycylijskie. A wy napiszcie pierwszy akt. Jak najwięcej arii i duetów.

— A jak nazwiemy operę? — spytał Lapis.

Lecz w tej chwili rozległo się w korytarzu stukanie kopyt o zgniłą posadzkę, ciche parskanie i zwykle kłótnie lokatorów. Drzwi do pokoju poszukiwaczy złota otworzyły się i obywatel Szarinow, sąsiad, wprowadził do pokoju chudą, kościstą szkapę o długim ogonie i siwiejącej grzywie.

— Hou! — krzyknął Szarinow na szkapę. — A niechże cię!

Szkapę, przerażoną, odwróciła się i pchnęła Lapis.

Poszukiwacze złota byli tak zdumieni tym widokiem, że w strachu przyłgnęli do ściany. Szarinow powlókł szkapę do swego pokoju, z którego powyskakiwało mnóstwo zielonkawych tatarczuków. Koń stanął dęba i trzasnął kopytem. Kwadracik posadzki wyskoczył jak z procy i wirując, wyleciał przez otwarte okno.

— Fatyma — wrzasnął okropnym głosem Szarinow — pchaj z tyłu!

Lokatorzy z całego domu zbiegli się do pokoju poszukiwaczy złota, Lapis wylł wniebogłosy. Ibrahim ironicznie pogwizdywał „Ambrozję”. Chuntow wymachiwał spisem osób. Szkapę rozglądała się trwożliwie, lecz nie ruszała się z miejsca.

— Hou! — rzekł bezradnie Szarinow. — Ooo, skaranie boskie!...

Lecz wreszcie poszukiwacze złota opamiętali się i zażądali wyjaśnień. Przyszedł upraw-dom w asyście dozorczy.

— Co wy wyrabiacie? — spytał upraw-dom. — To niesłychane! Jak można wprowadzać konia do zamieszkałego lokalu?

Szarinow nagle rozzłościł się.

— A co to ciebie obchodzi? Kupiłem sobie konia i już. Gdzie go postawię? Z podwórza gotowi buchnąć!

— W tej chwili zabierzcie mi stąd konia! — krzyczał histerycznie upraw-dom. — Jeśli potrzeba wam koniny, to kupujcie ją sobie w muzułmańskiej jatce.

— W jatce drogo — rzekł Szarinow. — Hou! Te! Skaranie! Fatyma!...

Koń zaczął się cofać i zgodził się wreszcie iść tam, gdzie go prowadzono.

— Zabraniam wam — mówił upraw-dom — zaskarżę do sądu.

Nie bacząc na to, Szarinow wprowadził konia do swego pokoju i hamując wciąż jego zapędy, przywiązał do okna. Po chwili przebiegła przez pokój Fatyma z dużą wiązką siana w ręce.

— Czyż można tu mieszkać, mając w sąsiedztwie konia? Komponujemy operę, koń nam przeszkadza! — zawył Lapis.

— Nie trapcie się — powiedział, wychodząc, upraw-dom — pracujcie sobie dalej.

Poszukiwacze złota, nasłuchując bicia kopyt, wzięli się znów do roboty.

— A więc, jak nazwiemy tę operę? — spytał Lapis.

— Proponuję nazwać ją *Żelazna róża*.

— Dlaczego akurat róża?

— Można inaczej. Na przykład *Mecz Ugolina*.

— Także niewspółczesne.

— A więc jak nazwać?

Zdecydowali się wreszcie na wspaniałą, intrygującą nazwę — *Promień śmierci*. Pod słowami „akt pierwszy” Chuntow napisał bez namysłu: „Wczesny ranek. Scena przedsta-

³³³sopran koloraturowy — najwyższy głos kobiecy. [przypis edytorski]

wia moskiewską ulicę; nieprzerwana fala aut, autobusów i tramwajów. Na skrzyżowaniu ulic — Ugolino. Z nim — Sforza”.

— Sforza w piżamie — wtrącił Lapis.

— Nie przeszkadzaj, durniu! Pisz lepiej libretto³³⁴ do arii Mitina. Na ulicy nie nosi się piżamy!

I Chuntow pisał dalej: „z nim — Sforza w stroju komsomolca”.

Dalej niepodobna było pisać. Upraw-dom z dwoma milicjantami zaczęli wyprowadzać konia z pokoju Szarinowa.

— Fatyma! — krzyczał Szarinow. — Trzymaj, Fatyma!

Lapis złapał bibularz³³⁵ i tchórzliwie trzepnął nim szkapę po gnatach.

— Ciągnij — wył upraw-dom.

Koń machał ogonem na prawo i na lewo. Milicjanci ciężko sapali. Fatyma z braćmi-tataczukami obejmowała chude nogi konia. Obywatel Szarinow beznadziejnie pokrzykiwał: „hou”!

Poszukiwacze złota pospieszyli z pomocą przedstawicielom władzy i malownicza grupa z hałasem wyniosła się do przedpokoju.

W opustoszałym pokoju unosił się zapach stajni cyrkowej. Nagły wiatr porwał ze stołu arkusiki z operą i razem ze słomą unosił je po pokoju.

Aria towarzysza Mitina wirowała pod sufitem. Chór kapelanów i początek sycylijskich tańców hasali na oknie.

Na schodach rozległy się krzyki i rżenie konia. Poszukiwacze złota, milicjanci i przedstawiciele administracji domu wyteżali resztki sił. Uporawszy się z upartym bydlakiem, autorzy zebrali rozwiane świstki i pisali dalej bez poprawek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY W TEATRZE KOLUMBA

Gdy Hipolit Matwiejewicz patrzył na Ostapę, w jego oczach zaczynały migotać błękitne żandarmskie ogniki.

W pokoju Iwanopulo było tak gorąco, że zaschnięte krzesła Worobianinowa trzeszczały jak szczapy w piecu. Wielki Kombinator, podłożywszy pod głowę błękitną kamizelkę, wypoczywał.

— Słuchajcie — rzekł nagle Wielki Kombinator — jak wołano na was w dzieciństwie?

— A po co to wam?

— Tak! Nie wiem, jak was nazywać. Worobianinow — już mi obrzydło, a Hipolit Matwiejewicz to znów zbyt ponure. Jakże was nazywano? Hipa?

— Kisa — odrzekł z uśmiechem Hipolit Matwiejewicz.

— Kapitalne! A więc, Kisa, popatrzcie, proszę, co mi się tam zrobiło na plecach. Boli mnie w okolicy łopatek.

Ostap ściągnął przez głowę koszulę. Kisa Worobianinow ujrzał szerokie plecy zaściankowego Antinusa³³⁶ — plecy o cudownym kształcie, lecz nieco brudnawe.

— Oho — rzekł Hipolit Matwiejewicz — jakieś zaczerwienienie.

Między łopatkami Wielkiego Kombinatora grały wszystkimi barwami tęczy siniaki o dziwnych zarysach.

— Słowo honoru, cyfra osiem — zawołał Worobianinow. — Po raz pierwszy widzę taki siniak.

— A drugiej cyfry tam nie ma? — spytał spokojnie Ostap.

— Jak gdyby litera P.

— Więcej pytań nie mam. Wszystko jasne. Przekłęte. Widzicie, Kisa, jak ja cierpię, na jakie narażam się niebezpieczeństwa dla tych waszych krzesel. Te znaki arytmetyczne to ślady dużego, automatycznie spadającego pióra ze stalówką numer osiemdziesiąt sześć.

³³⁴libretto — tekst opery bądź operetki. [przypis edytorski]

³³⁵bibularz — przyrząd z przymocowaną do podstawy bibułą służący do osuszania papieru z atramentu. [przypis edytorski]

³³⁶Antinous (III–130) — grecki młodzieniec, protegowany i kochanek cesarza Hadriana, przedstawiany w rzeźbie i na monetach jako ideał młodzieńczego piękna. [przypis edytorski]

Trzeba wam wiedzieć, że przekłete pióro spadło mi na plecy akurat w tym momencie, gdy w zanurzył rękę w bebeczach krzesła redaktorskiego.

— A ja też... Ja też ucierpiałem! — wtrącił spiesźnie Kisa.

— Kiedyż to? Gdy dostawialiście się do cudzej żony? O ile sobie przypominam, ten nieszczęsny flirt skończył się niezbyt pomyślnie! Albo może podczas pojedynku z obrazonym Kołą?

— Niczego porządnie zrobić nie potraficie... Dlaczego musieliśmy uciekać z teatru? Przez was! Licho was natchnęło sterczeć jak wartownik, nie ruszając się z miejsca. Robiliście to, rozumie się, po to, by zwrócić powszechną uwagę. A z krzesłem Iznurenkowa kto nawarzył piwa, które ja potem musiałem wypijać? Pomijam już milczeniem licytację. A ja? Zastanówcie się tylko! Krzesło wdówki — moja robota! Dwa krzesła Szczukinów — moja! Krzesło Iznurenkowa w ostatecznym rozrachunku moje obciąża konto! Do redakcji i do Lapisa ja poszedłem! I tylko jedno jedyne krzesło doprowadziliście do zwycięskiego końca, lecz nie bez wydatnej pomocy naszego wielebnego wroga — arcybiskupa.

Wielki Kombinator zaczął snuć dalsze plany. Cichutko bosy chodząc po pokoju, techniczny dyrektor pouczał pokornego Kisę.

Krzesło, które zniknęło w otchłani Dworca Październikowego, było wciąż ciemną plamą w różowych planach naszych aferzystów. Cztery krzesła w Teatrze Kolumba były zupełnie pewną zdobyczą. Lecz teatr udawał się w tournée po Woldze³³⁷ na reklamującym pożyczkę państwową parostatku Skriabin i dziś na zamknięcie sezonu wystawiał premierę *Ożenek*. Trzeba było zdecydować się — czy zostać w Moskwie i szukać krzesła, które zniknęło w przepastnej czeluści dworca, czy też wraz z trupą udać się na gościnne występy.

— A może podzielimy się pracą? — spytał Ostap. — Ja pojedę z teatrem, a wy może tu zostaniecie i poszukacie tamtego krzesła?

Lecz Kisa tak tchórzliwie mrugał oczyma, że Ostap nie nalegał.

— Z dwóch zajęcy — rzekł — wybiera się zazwyczaj bardziej tłustego. Jedźmy razem. Lecz wydatki będą bardzo znaczne. Potrzeba będzie pieniędzy. Pozostało mi sześćdziesiąt rubli. A wy ile macie? Prawda, zapomniałem! W waszym wieku miłość dziewczęca diablo drogo kosztuje!...

— Decyduję się: dziś wieczorem idziemy do teatru na premierę *Ożenku*. Nie zapomnijcie włożyć fraka. Jeżeli krzesła są na miejscu i nie sprzedano ich jeszcze na pokrycie zaległych składek ubezpieczeniowych, to jutro już wyjedziemy. Pamiętajcie o tym, Worobianinow, że następuje ostatni akt komedii pod tytułem *Skarby mojej teściowej*. Zbliża się *finita la commedia*³³⁸. Wstrzymajcie dech, mój stary przyjacielu! Wszyscy na scenę! O, kulisy zapachu! Ileż wspomnień! Ile intryg! Jakim talentem błysnąłem w swoim czasie w roli Hamleta! Jednym słowem: posiedzenie trwa nadal!

Ze względów oszczędnościowych poszli do teatru pieszo. Było jeszcze całkiem jasno, lecz latarnie roztaczały już wokół zwykle cytrynowe światło. W oczach po prostu ginęła wiosna. Tumany kurzu wypędzały ją z placów miejskich, gorący wietrzyk wypychał w zaułki. Tam staruszczyki hołubiły czule ślicznotkę i przy okrągłych stołach popijały z nią herbatkę. Lecz życie wiosny skończyło się — na świat szeroki nie puszczano jej. A ona aż rwała się do Pomnika Puszkina, pod którym paradowali młodzi ludzie w pstrokatych czapeczkach, spodniach-harmonijkach, krawatach „psia radość” i trzewikach „Jimmy”.

Dziewczęta, wymalowane na liliowo, krążyły pomiędzy świątynią MSPO i kooperatywą „Komunard”, pomiędzy dawnym Filipowem i dawnym Jelisiejewem. Dziewczęta głośno wymyślały sobie. W owej godzinie przechodnie zwalniali kroku, lecz nie tylko dlatego, że ulica Twerska stawała się ciasna. Moskiewskie konie nie były lepsze od starogrodzkich — tak samo umyślnie stukały kopytami po bruku ulicznym. Cykliści bezgłośnie pędzili ze Stadionu Tomskiego³³⁹, z pierwszego międzynarodowego meczu. Łodziarz toczył swój zielony kuferek, spozierając lękliwie na milicjanta, lecz milicjant, przykuty do świecącego semafora, za pomocą którego regulował ruch uliczny, był całkiem niegroźny.

Miasto

³³⁷ *Wolga* — największa i najdłuższa rzeka Europy, płynie przez Rosję, uchodzi do Morza Kaspijskiego. [przypis edytorski]

³³⁸ *finita la commedia* (wł.) — komedia skończona. [przypis edytorski]

³³⁹ *Stadion Tomskiego*, właśc. *Stadion Młodych Pionierów* — dawny stadion w Moskwie. [przypis edytorski]

W tym kołowrocie znaleźli się dwaj przyjaciele. Pokusy czyhały na nich na każdym kroku. W małych naczyniach pośrodku ulicy pieczono szaszłyki tatarskie, kaukaskie i południowe. Gorący, ostry dym unosił się pod jasne stropy niebios. Z piwiarni, knajpek i Kina Wielki Niemy donosiły się dźwięki muzyki. Przy przystanku tramwajowym irytował się głośnik.

— ...„Młody ziemianin i poeta Lenski kocha się w córce ziemianina, Oldze Łarinie. Eugeniusz Oniegin, pragnąc dokuczyć przyjacielowi, udaje, iż zaleca się do młodej Olgi. Proszę posłuchać uwertury³⁴⁰. Włączam widownię”.

Głośnik zakończył szybko strojenie instrumentów, stuknął pałeczką dyrygenta o pulpit i sygnalizował oczekującemu tramwaju tłum pierwsze takty uwertury. Z męczeńskim jękiem nadszedł tramwaj numer sześć. Podniosła się kurtyna. Już stara Łarina, patrząc pokornie na pałeczkę dyrygenta i nucąc swą partię, „czarowała” nad konfiturami, a tramwaj wciąż jeszcze w żaden sposób nie mógł się oderwać od bombardującego go tłumu. Odszedł wśród ryku i płaczu pozostałych dopiero przy śpiewie Lenskiego — „W waszym domu”.

Trzeba było się spieszyć. Przyjaciele weszli do gwarnej przedsiionki w Teatrze Kolumba. Worobianinow podbiegł do kasy i przeczytał ceny miejsc.

— Ho, ho — rzekł on — bardzo tu słono. Szesnasty rząd: trzy ruble.

— Okropnie nie lubię — zauważył Ostap — tych drobnomieszczan, tych prowincjonalnych dudków! Gdzie pan leżesz? Czy nie widzi pan, że to kasa?

— A gdzie mam stanąć, przecież bez biletu nie wpuszczają!

— Kiso, jesteś skończonym prostakiem. W każdym porządnym teatrze bywają dwa okienka. Do okienka kasowego zwracają się tylko zakochani i bogaci spadkobiercy. Pozostali obywatele (jak nie trudno zauważyć, jest ich przytłaczająca większość) zwracają się bezpośrednio do okienka administratora.

I rzeczywiście, przed okienkiem kasowym stało zaledwie pięć skromnie ubranych osób. Możliwe, że byli to bogaci spadkobiercy lub zakochani. Natomiast przed okienkiem administratora panowało ogromne ożywienie. Stała tam pstra kolejka. Młodzi ludzie w szykownych marynarkach i spodniach tak skrojonych, że mogłyby się prowincjonalnemu elegantowi chyba tylko przyśnić, wymachiwali nonszalancko bilecikami od znajomych reżyserów, artystów, redakcji, teatralnego krawca, naczelnika obwodu milicji i innych stojących blisko teatru osób, jako to: członkowie zrzeszenia teatralnych i kinowych krytyków, Towarzystwa Łzy Biednych Matek, samorząd szkolny „Szkoły cyrkowych eksperymentów” i jakiegoś „Fortinbrasa przy Umsłompogasie”. Osiem osób miało bileciki od Sepera Eklerowicza.

Ostap wdarł się w kolejkę, przepchał się przez „fortinbrasowców” i krzyżąc — „ja tylko po informację, widzicie przecież, że nie zdjąłem nawet kaloszy” — dostał się do okienka i zajrzał do środka.

Sekretarz harował jak koń. Brylantowe krople potu błyszczały na jego tłustej twarzy. Telefon niepokoił go co chwilę i dzwonił tak uporczywie, jak tramwaj usiłujący się przedostać przez Rynek Smoleński.

— Tak! — wrzeszczał. — Tak, tak! Osiem trzydzieści!

Z hałasem wiesz słuchawkę po to, by za chwilę znów ją chwycić.

— Tak! Teatr Kolumba! Ach, to pani, Segidylio Markówna? Jest, jest, rozumie się, jest. Łoża, parter! A Buka nie przyjdzie? Dlaczego? Grypa? Co pani mówi? No, dobrze! Tak, tak, do widzenia, Segidylio Markówna.

— Teatr Kolumba! Nie! Dziś żadne *passé-partout*³⁴¹ nieważne. Tak, lecz co ja na to poradzę? Mossowiet³⁴² zakazał!...

— Teatr Kolumba! Co-o? Michał Grygorowicz? Powiedźcie Michałowi Grygorowiczowi, że we dnie i w nocy czeka na niego w Teatrze Kolumba trzeci rząd, fotel koło przejścia.

Tuż obok Ostapa, hałasując, obruszał się jakiś mężczyzna o pełnej twarzy i brwiach ustawicznie podnoszących się i opadających.

— Nic mnie to nie obchodzi! — mówił mu sekretarz.

³⁴⁰uwertura (muz.) — utwór orkiestrowy będący wstępem do opery, kantaty, oratorium itp. [przypis edytorski]

³⁴¹*passé-partout* (fr.) — klucz do wszystkiego, wytrych; tu zapewne jakiś rodzaj „dojścia”. [przypis edytorski]

³⁴²*Mossowiet* — Rada Miejska Moskwy. [przypis edytorski]

Chuntow (był to człowiek idący z duchem czasu) z zażenowaniem prosił o kartkę do kasy.

— Niemożliwe! — perswadował sekretarz. — Zrozumcież: Mossowiet!

— Tak — bąkał Chuntow — lecz Moskiewska Sekcja Leningradzkiego Towarzystwa Autorów i Kompozytorów Scenicznych uzgodniła z Pawłem Fiodorowiczem...

— Nie mogę, absolutnie nie mogę! Następny!

— Przepraszam, Jakubie Menelausowiczu, ale mówiono mi w Moskiewskiej Sekcji Leningradzkiego Towarzystwa Autorów i Kompozytorów Scenicznych...

— No i cóż ja na to poradzę? Nie, nie dam! Czym mogę wam służyć, towarzyszu?

Chuntow poczuł, że sekretarz taje, toteż zaczął bełkotać:

— Pomyślcie, Jakubie Menelausowiczu, Moskiewska Sekcja Leningradzkiego Towarzystwa Autorów i Kompozy...

Tego sekretarz już nie wytrzymał. Wszystko ma jakieś granice. Łamiąc ołówki i biorąc raz po raz słuchawkę telefoniczną, znalazł wreszcie dla Chuntowa miejsce pod samym żyrandolem.

— Prędeż — krzyknął pod adresem Ostapa — gdzie kartka?

— Dwa miejsca — rzekł bardzo cicho Ostap — na parterze.

— Dla kogo?

— Dla mnie!

— A kim pan jest, bym dawał mu bilety?

— A jednak wydaje mi się, że mnie pan zna...

— Nie poznaję.

Lecz spojrzenie nieznanego było tak niewinne, tak jasne, że dłoń sekretarza machinalnie wyznaczyła Ostapowi dwa miejsca w jedenastym rzędzie.

— Rozmaici pętają się — skonstatował sekretarz, wzruszając ramionami — lichy wie, kim są! A może to z Narkomprosu? Wydaje mi się, że widziałem go w Narkomprosie. Gdzie też ja mogłem go widzieć?

I wydając machinalnie kartki uszczęśliwionym krytykom kinowym i teatralnym, Jakub Menelausowicz rozpamiętywał w skupieniu, gdzie też mógł widzieć te jasne, niewinne oczy.

Gdy wydano już wszystkie kartki i światło w foyer³⁴³ przyciemniało, Jakub Menelausowicz przypomniał sobie: te niewinne oczy, to pewne siebie spojrzenie widział w 1922 roku w więzieniu Taganka³⁴⁴, gdy i on również siedział tam za jakąś błażostkę.

Widownia w Teatrze Kolumba była niewielka, foyer nieproporcjonalnie duże, a palarnia znalazła schronienie pod schodami. Na suficie były wymalowane mitologiczne łowy. Teatr był młody i do tego stopnia hołdował eksperymentom, że odmówiono mu subwencji. Istniał już drugi rok głównie dzięki letnim występom gościnnym.

W jedenastym rzędzie, tam, gdzie siedzieli nasi aferzyści, rozległ się śmiech. To Ostap demonstrował swe zadowolenie z muzycznego wstępu wykonanego przez orkiestrę na butelkach, saksofonach i dużych bębnach. Gwizdnął flet i kurtyna rozsunęła się.

Ku zdumieniu Worobianinowa, który przywykł do klasycznej interpretacji *Ożenku*, Podkolesina na scenie nie było. Rozejrzawszy się, Hipolit Matwiejewicz ujrzał zwisające z sufitu tekturowe prostokąty, pomalowane według zasadniczych barw słonecznego widma. Ani drzwi, ani granatowych okien nie było. Pod różnobarwnymi prostokątami tańczyły paniusie w dużych, wyciętych z czarnego kartonu kapeluszach. Jęki butelek zwabiły na scenę Podkolesina, który jadąc na Stepanie, wdarł się w tłum. Był wystrojony w mundur. Rozpędziwszy paniusie słowami, których nie było wcale w tekście, zawył:

— Stepa-a-a-n!

Równocześnie zeskoczył na bok i zastygł w nader trudnej pozycji. Rozległ się brzęk metalowych krząków.

— Step-a-a-n! — powtórzył Podkolesin, skacząc po raz wtóry. Lecz ponieważ Stepan, stojący tuż obok i odziany w skórę lamparta, nie odzywał się, Podkolesin tragicznie zapytał: — Czemu milczysz jak Liga Narodów?

³⁴³foyer — pomieszczenie bądź korytarz w pobliżu sali teatralnej, w którym podczas przerw przebywa publiczność. [przypis edytorski]

³⁴⁴więzienie Taganka — więzienie w Moskwie zbudowane w 1804, przetrzymywano w nim głównie więźniów politycznych; zostało zburzone w latach 50. XX w. [przypis edytorski]

— Okrutecznego³⁴⁵ stracha napędził mi Chamberlain — odpowiedział Stepan, gładząc skórę.

Wyczuwało się, że Stepan zepchnie Podkolesina na dalszy plan i sam stanie się główną osobą „uwspółcześnionej” sztuki.

— No i cóż, czy krawiec szyje marynarkę?

Skok. Brzęk metalowych krążków. Stepan z wysiłkiem stanął na rękach i w tej pozycji odrzekł:

— Szyje!

Orkiestra odegrała *potpourri*³⁴⁶ z *Czio-czio-san*³⁴⁷. Przez cały ten czas Stepan stał na rękach. Do głowy uderzyła mu krew.

— Cóż — spytał Podkolesin — a nie pytał krawiec, na co też potrzeba twemu panu takiego dobrego sukna?

Stepan, który tymczasem znalazł się już w orkiestrze i obejmował czule dyrygenta, odrzekł:

— Nie, nie pytał. Czyż jest on posłem w angielskim parlamencie?

— A nie pytał czasem krawiec, czy nie zamierza twój pan żenić się?

— Pytał krawiec, czy nie zamierza pan płacić alimentów!

Po czym światło zgasło i publiczność zaczęła tupać nogami. Tupała tak długo, aż ze sceny rozległ się głos Podkolesina:

— Obywatele! Zachowajcie spokój! Światło zgaszono umyślnie, wypada tak z toku sztuki. To niezbędny warunek naszej reżyserii...

Publiczność skapitulowała. Światła nie zapalono już do końca aktu. W zupełnych ciemnościach grzmiały bębny. Z latarniami przeszedł przez scenę oddział żołnierzy w liberii szwajcarów³⁴⁸ hotelowych. Potem, najwidoczniej na wielbłądzie, przyjechał Koczkarew. Wnioskować o tym wszystkim można było z następującego dialogu:

— Och, przeraziłeś mnie setnie! W dodatku wjechałeś tu na wielbłądzie!

— Zauważyłeś, pomimo tych egipskich ciemności?

Podczas antraktu³⁴⁹ nasi aferzyści przeczytali afisz:

OŻENEK

Tekst — N. W. GOGOLA, wiersze — M. SZERSZELAFAMOWA, fotomontaż — J. ANTIOCHIJSKIEGO, ilustracja muzyczna — H. IWANOWA.

Autor widowiska — NIK. SIESTRIN.

Dekoracje — Symbijewicz-Syndyjewicz. Światło — Platon Płaszczuk. Realizacja dźwiękowa — Gałkin, Małkin, Czalkin i Załkind. Charakteryzacja — pracownia Krult. Peruki — Tomasz Koczura. Meble — składy Fortinbrasa przy Umsopogasie im. Baltazara. Instruktor akrobatyki — Żorzeta Tyraspolskich. Prasa hydrauliczna pod zarządem montera Miecznikowa.

Afisz złożono i odbito w szkole F. Z. U. KRULL

— Podoba się wam? — spytał nieśmiało Hipolit Matwiejewicz.

— A wam?

— Bardzo interesujące, tylko Stepan jakiś dziwny.

— A mnie nie podoba się — rzekł Ostap — zwłaszcza to, że ich meble pochodzą z jakiejś pracowni Wogopasa. Czy nie przerobili oni czasem naszych krzesła na swoją modłę?

Obawy te okazały się płonne. Na początku drugiego aktu czarnoskórzy w cylindrach wnieśli na scenę wszystkie cztery krzesła.

Największe zaciekawienie na widowni wzbudziła scena swatów. W chwili, gdy na przecigniętej przez całą salę linie zaczęła spuszczać się Agafia Tichonówna, straszliwa orkiestra H. Iwanowa narobiła takiego hałasu, że chociażby wskutek tego Agafia Tichonówna powinna była spaść na zgromadzoną publiczność. Lecz Agafia trzymała się

³⁴⁵okruteczny (gw.) — okrutny. [przypis edytorski]

³⁴⁶potpourri (fr.) — tu: zgrabna kompilacja fragmentów muzycznych. [przypis edytorski]

³⁴⁷Czio-czio-san — chodzi o operę *Madame Butterfly* Giacomina Pucciniego. [przypis edytorski]

³⁴⁸szwajcar (daw.) — portier. [przypis edytorski]

³⁴⁹antrakt — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edytorski]

na scenie wyśmieniecie. Miała na sobie cielisty trykot i męski cylinder. Balansując zieloną parasolką z napisem: „Ja chcę Podkolesina” — szła po linie i wszyscy widzieli jej brudne stopy. Z liny zeskoczyła wprost na krzesło. Równocześnie wszyscy czarnoskórzy, Podkolesin, Koczkarew i swatka w stroju maszynisty zrobili karkołomne salto. Następnie wszyscy odpoczywali w ciągu pięciu minut, dla ukrycia czego ponownie zgaszono światło.

Oblubieńcy byli bardzo śmieszni — zwłaszcza Jajecznicza. Zamiast niego wnoszono na scenę dużą jajecznicę na patelni. Marynarz miał na sobie maszt i żagiel.

Daremnie kupiec Starikow krzyczał, że gnębią go patenty i podatki. Nie przypadł do gustu Agafii Tichonównie. Wyszła za mąż za Stepana. Oboje zaczęli wcinać jajecznicę, którą podał im — przekształcony w lokaja — Podkolesin. Koczkarew i Fiekła odśpiewali kuplety o Chamberlainie i o alimentach, które brytyjski minister ściąga z Niemiec. Na krzątkach odegrano marsz pożegnalny. Po czym kurtyna opadła.

— Jestem zadowolony z przedstawienia — rzekł Ostap — krzesła w porządku. Lecz musimy spieszyć się. Jeżeli Agafia Tichonówna będzie co dzień skakać po krzesłach, to niedługo one pociągną.

Roześmiani młodzieńcy w szykownych żakietach, tłocząc się i popychając, omawiali szczegóły dekoracji i realizacji dźwiękowej.

Na schodach rozległ się protekcyjny głos Chuntowa.

— Tak. Komponuję operę. W Moskiewskiej Sekcji Leningradzkiego Towarzystwa Autorów i Kompozytorów Scenicznych mówiono mi...

I jeszcze długie chwile rozchodząca się publiczność słyszała trajkotanie człowieka idącego z duchem czasu:

— Przyznacie chyba, że Moskiewska Sekcja Leningradzkiego Towarzystwa Autorów i Kompozytorów Scenicznych...

— A teraz — powiedział Ostap — pójdzicie, Kiciuniu, lulać. Jutro skoro świt trzeba stanąć w kolejce przed kasą biletową. Teatr wyjeżdża o siódmej wieczór pospieszonym do Niżnego Nowogrodu. Kupicie na Dworcu Kurskim dwa bilety trzeciej klasy do Niżnego. Wytrzymamy jakoś. Raptem jedna noc.

Nazajutrz cały Teatr Kolumba siedział w bufecie na Dworcu Kurskim. Symbijewicz-Syndyjewicz, upewniwszy się, że dekoracje pojadą tym samym pociągiem, pokrzepiał się przy stoliku. Umoczywszy w piwie usta, wypytywał trwożliwie montera:

— A czy nie połamię mi czasem w drodze hydraulicznej prasy?

— Kłopot mamy z tą prasą — odpowiedział Miecznikow — korzystamy z niej przez pięć minut, a wlec z sobą musimy przez całe lato.

— A czy lżej ci było z tą machiną ze sztuki *Proszek ideologii*?

— Oczywiście, lżej. Była wprawdzie znacznie większa, lecz przynajmniej nie taka kručąca.

Przy sąsiednim stoliku siedziała Agafia Tichonówna — młodziutkie dziewczę o nogach twardych jak żelazo. Dokoła niej krzątała się realizacja dźwiękowa — Gałkin, Pałkin, Małkin, Czalkin i Załkind.

— Nie przestrzegaliście wczoraj wcale taktu — skarżyła się Agafia Tichonówna — mogę jeszcze spaść z liny.

Realizacja muzyczna zaterkotała:

— Trudna rada! Pękły dwie opaski Esmarcha³⁵⁰!

— Czyż można teraz dostać zagraniczne opaski Esmarcha? — obruszał się Pałkin.

— Spróbujcie wejść kiedy do Gosmedtorgu³⁵¹. Nawet termometru nie można tam dostać! — pospieszył z pomocą Gałkin.

— Na termometrach także gracie? — przeraziło się dziewczę.

— Na termometrach nie grywamy — zauważył Załkind — lecz przez te przekłete opaski choruje człek i musi potem mierzyć temperaturę.

³⁵⁰opaska Esmarcha (med.) — opaska uciskowa. [przypis edytorski]

³⁵¹Gosmedtorg — sowiecka państwowa organizacja handlu produktami medycznymi. [przypis edytorski]

Autor widowiska i główny reżyser Nik. Siestrin przechadzał się z żoną po peronie. Podkolesin i Koczkarow wychylili trzy kieliszki i na gwałt zalecali się do Żorzety Tyra-spolskich.

Nasi aferzyści zjawili się na dwie godziny przed odejściem pociągu i już po raz piąty okrążali skwer przed dworcem.

Hipolit Matwiejewicz dostawał już zawrotu głowy. Pogoń za krzesłami wchodziła w decydującą fazę. Wydłużone cienie kładły się na rozżarzony asfalt. Kurz osiadał na spoconych, zakurzonych twarzach. Jeden za drugim zajeżdżały pojazdy. Unosił się zapach benzyny. Z taksówek wysiadali pasażerowie. Naprzeciw nim, polując na walizki, wybiegali numerowi z polyskującymi w słońcu blachami. Nieznane dale porywały ludzi w swe szpony.

— Czas na nas — zdecydował Ostap.

Hipolit Matwiejewicz posłusznie zawrócił i oko w oko zetknął się z mistrzem cechu karawaniarzy Bezenczukiem.

— Bezenczuk! — zdumiał się niepomiernie. — Skąd się tu wziąłeś?

Bezenczuk zdjął czapkę i osłupiał z radości.

— Pan Worobianinow! — zawołał. — Kłaniam się uniżenie szanownemu panu!

— Co słyhać?

— Źle słyhać — odrzekł mistrz karawaniarski.

— Dlaczego?

— Szukam klienteli. Nie ma klienteli.

— „Nimfa” ci sprząta sprzed nosa?

— Nic podobnego! Czyż może mi ona cośkolwiek sprzątnąć? Nie ma klientów. Po waszej, świeć jej Panie, teściowej jeden jedyny tylko „Pierre i Konstantin” przespacerował się.

Śmierć

— Co powiadasz? Umarł?

— Ano przespacerował się. Na posterunku, pracę swoją pełniąc. Golił właśnie naszego aptekarza Leopolda. Ludziska powiadali, że coś mu się wewnątrz oberwało, a wedle mego głupiego rozumu, nieboszczyk nie zdzierzył po prostu zaduchu tych lekarstw, którymi był przesiąknięty aptekarz, i przejechał się.

— Aj, aj, aj! — mamrotał Hipolit Matwiejewicz. — Aj, aj, aj! I tyś go właśnie pochował?

— Ja właśnie chowałem. Któż by zaś inny? Czyż „Nimfa”, niech ją jasny piorun strzeli, daje towar?

— A więc zwyciężyłeś ją?

— Zwyciężyłem. Tłukli mnie tylko potem. Siarczyście. Omal mi płuc nie odbili. Milicja obroniła. Dwa dni leżałem. Spirytusem leczyłem się.

— Nacierania robiłeś?

— Ej, co zaś bym się nacierał!

— A na co cię tu teraz lichy przyniosło?

— Przywiozłem towar.

— Jaki towar?

— Mój towar. Znajomy konwojent ułatwił mi darmowe przewiezienie w wozie pocztowym. Po znajomości.

Hipolit Matwiejewicz teraz dopiero zauważył, że niedaleko Bezenczuka stał na ziemi szereg trumien. Jedne były z palmami, inne bez palm. Jedną z nich Hipolit Matwiejewicz natychmiast poznał. Była to duża, zakurzona trumna z Bezenczukowej wystawy.

— Osiem sztuk — wskazał z godnością Bezenczuk — jak ulał. Dobry towar.

— A komu tu trzeba twego towaru? Dość tu miejscowych majstrów.

— A grzyb?

— Jaki grzyb?

— Epidemia. Mówił mi Prusis, że w Moskwie grzyb tak szaleje, że nie ma w czym ludzi grzebać. Skończyły się już wszystkie zapasy. A więc postanowiłem poprawić tu swe interesy.

Ostap, przysłuchujący się ciekawie rozmowie, wtrącił:

— Słuchaj, ojczu. To w Paryżu szaleje grypa³⁵².

— W Paryżu?

— A tak. Jedź do Paryża. Tam sobie użyjesz! Prawda, będą pewne trudności z uzyskaniem wizy, lecz o to, ojczu, nie trap się. Jeżeli Briand polubi ciebie, będzie ci się wcale niezgorzej wiodło: zostaniesz nadwornym karawaniarzem paryskiej gminy. A tutaj wystarczą miejscowi karawaniarze.

Osowiwały Bezenczuk rozejrział się po placu. Rzeczywiście, mimo zapewnień Prusisa trupy po ulicach nie poniewierały się, ludzie krzepko trzymali się na nogach i niektórzy z nich nawet się śmiali.

Pociąg wraz z aferzystami, Teatrem Kolumba i resztą pasażerów dawno już odszedł, a Bezenczuk wciąż jeszcze, jak oszalały, sterczał nad swymi trumnami.

W zapadających ciemnościach jego oczy świeciły się żółtym, niegasnącym blaskiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY CZAROWNA NOC NA WODZIE

Na lewo od pasażerskiej przystani Wołżańskiej Państwowej Żeglugi Rzecznej stał Wielki Kombinator ze swym przyjacielem i najbliższym pomocnikiem — Kisą Worobianinowem.

Nad przystaniami łopotały flagi. Dym, skłębiony jak kalafior, walił z kominów. Służba okrętowa wpijała żelazne szpony w bele bawełny. Na przystani żelazne garnczki tworzyły czworobok, leżały wilgotne skóry, paki drutu, skrzynie z taflami szklanymi, kłębki szpagatu³⁵³ do wiązania snopów, kamienie młyńskie, dwubarwne kościste maszyny rolnicze, drewniane widły, obszyte parcianką³⁵⁴ kobiałki³⁵⁵ z czereśniami i beczki śledzi.

Skriabina nie było. To bardzo niepokoiło Hipolita Matwiejewicza.

— Jak się czujecie? — spytał Ostap. — Wyobraźcie sobie, że Skriabin jest już tutaj. Lecz w jaki sposób dostaniecie się tam? Gdybyście nawet mieli pieniądze na kupno biletu, to i wówczas byłoby z tego nici. Statek ten bowiem nie zabiera żadnych pasażerów.

Ostapowi jeszcze w pociągu udało się pokonferować z zawhydroprasem, monterem Miecznikowem, i zasięgnąć od niego języka. Statek Skriabin, wydzierżawiony przez Narkomfin³⁵⁶, miał odbyć przejażdżkę do Stalingradu³⁵⁷, zatrzymując się koło każdej przystani i dokonując ciągnięcia pożyczki państwowej. W tym celu wyjechała z Moskwy cała ekspedycja — komisja pożyczki państwowej, kancelaria, orkiestra dęta, kinooperator, korespondentki pism stołecznych i Teatr Kolumba. Zadaniem teatru było wystawianie po drodze sztuki popularyzujące ideę pożyczek państwowych.

Aż do Stalingradu teatr miał być na kompletnym utrzymaniu komisji pożyczkowej, a następnie na własne ryzyko i odpowiedzialność udać się z gościnnymi występami na Kaukaz i Krym.

Przybyły z Moskwy aparat propagandowy rozbił tymczasem namioty na przystani.

Delikatne stworzenia z walizeczkami i pledami podróżnymi siedziały na pakach drutu, pilnując swych Underwoodów³⁵⁸ i ze strachem spoglądając na marynarzy podnoszących hakiem ciężary. Na kamieniu młyńskim rozłożył się obywatel z hiszpańską bródką. Na kolanach jego leżał szpikulec z emaliowanymi tabliczkami. Na górnej — każdy, kto był ciekaw, mógł przeczytać — „Oddział rozrachunkowy”. Biurka na słupkach i rozmaite stoły — stały jedno na drugim.

Koło opatrzonej pieczęciami kasy ogniotrwałej stał na warcie sztyldwach³⁵⁹. Reprezentant „Warsztatu”, Persicki, obserwował plac jarmarczny przez powiększającą ośmiokrotnie

³⁵²*grypa* — gra słów: grib (grzyb) i gripp (grypa). [przypis redakcyjny]

³⁵³*szpagat* — sznurek. [przypis edytorski]

³⁵⁴*parcianka* — ubranie z płótna parcianego. [przypis edytorski]

³⁵⁵*kobiałka* — nieduży koszyk. [przypis edytorski]

³⁵⁶*Narkomfin* — Ludowy Komisariat Finansów. [przypis edytorski]

³⁵⁷*Stalingrad*, właśc. *Wolgograd* — rosyjskie miasto obwodowe, nad dolną Wołgą, które do roku 1925 nosiło nazwę Carycyn, a od 1925 do 1961 Stalingrad. [przypis edytorski]

³⁵⁸*Underwood* — marka pierwszej udanej, nowoczesnej maszyny do pisania, wytwarzanej przez amerykańską firmę Underwood Typewriter Company, która do roku 1939 wyprodukowała 5 milionów egzemplarzy tego urządzenia. [przypis edytorski]

³⁵⁹*sztyldwach* (daw.) — żołnierz stojący na warcie. [przypis edytorski]

lornetkę Zeissa³⁶⁰, potem pokręcił się, dowiedział się, że Skriabin nadejdzie dopiero za pięć godzin, i udał się do miasta.

W cieniu prasy hydraulicznej na krzesle Worobianinowa siedziała Agafia Tichonówna i flirtowała z grającym na bałajce wirtuozem, dobrze ułożonym młodzieńcem o europejskim wyglądzie.

Wirtuoz czuł się doskonale w pokrewnym środowisku. Z wdziękiem usiadł na jednym z Worobianinowych krzesel, nie bacząc na to, że Gałkin, Pałkin, Małkin, Czalkin i Załkind zmuszeni są kontentować się w piątkę tylko dwoma krzeselkami.

Dokoła krzesel krążyli jak szakale nasi aferzyści. Ostapa oburzał zwłaszcza wirtuoz od bałajki.

— Co to za ptaszek? — szeptał do Hipolita Matwiejewicza. — Byle osioł siedzi sobie na waszych krzesłach. Wszystko to są skutki waszego ordynarnego psiarstwa!...

— Czego się mnie czepiasz? — beknął Worobianinow. — Nawet słowa takiego nie znam — psiarstwo.

— Szkoda. Psiarstwo to zalecanie się do młodych dziewcząt w nieczystych zamiarach. Wasze wypieranie się jest bezczelne. Liza wszystko mi opowiedziała. Cała Moskwa pokłada się ze śmiechu. Wszyscy wiedzą o waszych psich zalotach.

Wspólnicy, wymyślając sobie po cichu, kręcili się dokoła krzesel. Wirtuoz zaprosił Agafię Tichonównę na obiad do „Paryskiej Komuny”.

Realizacja dźwiękowa westchnęła i powlokła się do knajpy „Pod tratwą”. Aferzyści ożywili się.

— Może zaryzykujemy? — rzekł nagle Ostap, zbliżając się bezwiednie do krzesel. — Wy dwa, ja dwa, i drapaka! Co? Rajsko by to było, do kroćset!

Obejrzał się. Uciekać trzeba było wzdłuż wału, aż do zatarasowanej wozami ulicy Roździestwieńskiej. A i poprzez tłum tragarzy niełatwo byłoby przecisnąć się. Na dobitkę Koczkarew i Podkolesin wałęsali się w pobliżu. Oczywiście, wszczęliby ogromny hałas, gdyby tylko dostrzegli zamach na meble, pochodzące rzekomo z wytwórni Fortinbrasa przy Umsłompogasie imienia Baltazara. Ostap okłapał.

— Trzeba będzie jechać! Lecz w jaki sposób? W ostateczności można by było wsiąść na „Paryską Komunę”, dojechać do Carycyna i tam czekać na trupę, lecz forsa, forsa! Ach, Kisa, Kisa, niech was diabli porwą! Czy zrozumieliście już ogrom swego łajdactwa?

Przyjaciele pobiegli na przystań, do której już zbliżał się, idąc przeciw prądowi, parostatek Skriabin. Na jego pokładach sterczały drewniane tarcze z olbrzymimi wizerunkami tęczowych obligacji. Statek ryknął, naśladując krzyk mamuta, a może innego zwierzęcia, zastępującego w przedhistorycznych czasach syrenę okrętową.

Finansowo-teatralny biwak ożył. Biegli na wyścigi pracownicy loterii. W tumanach kurzu toczył się w stronę statku pulchniutki Platon Płaszczuk, Gałkin, Pałkin, Czalkin i Załkind wybiegli z knajpy „Pod tratwą”.

Koło kasy ogniotrwałej uwijali się już tragarze. Instruktor akrobatyki, Żorzeta Tyra-spolskich — sprężystym krokiem zbiegła po kładce. Symbijewicz-Syndyjewicz w trosce serdecznej o dekorację, wzywając niebo na świadka, wyciągał błagalnie dłonie do stojącego na mostku kapitana. Kinooperator niósł swój aparat wysoko ponad głowami tłumu i w drodze jeszcze domagał się, by na laboratorium przydzielono mu czteroosobową kajutę.

Przez pomost przemaszerowali muzycanci uzbrojeni w miedziane trąby. Z obrzydzeniem spoglądali oni na saksofony, fleksatony³⁶¹, butelki od piwa i opaski Esmarcha, w które była zaopatrzona realizacja dźwiękowa.

— Zafajdana banda! — rzucił klarnet, zrównawszy się z piątką.

Gałkin, Pałkin, Czalkin i Załkind nic nie odrzekli, lecz w duszy poprzysięgli zemstę.

Koła loteryjne przywieziono na Fordzie. Była to wielce skomplikowana machina, złożona z sześciu wirujących, połyskujących od miedzi i szkła cylindrów.

W sali loteryjnej urządzano na gwałt estradę, przybijano do ścian plakaty i transparency, ustawiano drewniane ławy dla zwiedzających i łączono przewodniki elektryczne

³⁶⁰Zeiss, właśc. *Carl Zeiss AG* — niemieckie przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją sprzętu optycznego, założone w 1846 w Jenie przez rzemieślnika Carla Zeissa. [przypis edytorski]

³⁶¹fleksaton — instrument perkusyjny zbudowany z płaskiej blaszki rozpiętej na metalowej ramce i opatrzonej z dwóch stron małymi pałeczkami o gumowych lub drewnianych główkach. [przypis edytorski]

z kołami loteryjnymi. Biurka umieszczono na rufie, w kajucie maszynistek rozlegało się — przeplatane śmiechem — stukanie maszyn do pisania. Błady człowiek z hiszpańską bródką chodził po całym statku i do poszczególnych drzwi przybijał emaliowane tabliczki: „Oddział rozrachunkowy”, „Dział osobowy”, „Kancelaria”, „Maszynownia”. Do dużych tablic człowiek z bródką dodawał mniejsze tabliczki: „Wchodzić tylko za interesem”, „Nie przyjmuje się”, „Obcym wstęp wzbroniony”, „Wszelkich informacji udziela kancelaria”.

Salon pierwszej klasy był przeznaczony na wystawę znaków pieniężnych i bonów. Wywołało to wybuch oburzenia Gałkina, Pałkina, Małkina i Załkinda.

— Gdzie wobec tego będziemy jadać? — oburzali się. — A jeśli będzie deszcz?

— Oj — rzekł Nik. Siestrin do swego pomocnika — nie wytrzymam!... Jak myślisz, Sierioża, a może obeszlibyśmy się bez relacji dźwiękowej?

— Niemożliwe, Nikołaju Konstantynowiczu! Artyści przyzwyczaili się do rytmiki.

Akurat zaczął się nowy rwetes. Piątka wywahała, że autor widowiska capnął wszystkie cztery krzesła do swojej kajuty.

— Tak, tak — mówiła ironicznie piątka — próbę odbywać będziemy na łózkach wiszących, na czterech krzesłach zaś usadowi się Nikołaj Konstantynowicz z żoną swą, Gustą, która na domiar jest poza nawiasem naszej wspólnoty. A może i my chcielibyśmy zabrać w podróż swoje żony!

Wielki Kombinator spoglądał z brzegu z pasją na propagandowy statek.

Nowy wrzask dotarł do uszu współników.

— Dlaczego przed tym nie powiedzieliście mi o tym? — krzyczał członek komisji.

— A skądże mogłem wiedzieć, że on zachoruje.

— Skandal! Jedźcie niezwłocznie do Rabisu³⁶² i zażądajcie, by odkomenderowano nam malarza.

— Po cóż mam tam jechać? Jest już godzina szósta. Rabis dawno zamknięty. A i statek odchodzi za pół godziny.

— A więc sami musicie rysować. Podjęliście się udekorowania statku, ponoście teraz z łaski swej konsekwencje.

Ostap biegł już po kładce, odpychając łokciami tragarzy, dziewczynki i zwykłych gapiów. Przy wejściu zatrzymano go.

— Ależ ja tylko do tego obywatela.

— Wszystko jedno. Trzeba mieć przepustkę.

— Towarzyszu! — wrzasnął Bender. — Pst! Pst! Grubasku! Panie, któremu potrzeba malarza!

Po pięciu minutach Wielki Kombinator siedział już w kajucie grubaska, kierownika gospodarczego pływającej pożyczki, i omawiał warunki pracy.

— A więc, towarzyszu — klarował tłusciozek — żądamy od was: wykonania artystycznych plakatów i napisów oraz wykończenia transparentu. Zaczął go robić nasz malarz, lecz rozchorował się nagle i zmuszeni byliśmy zostawić go tutaj w szpitalu. No i oczywiście, należeć do was będzie ogólny nadzór nad częścią artystyczną. Możecie się tego podjąć? Uprzedzam: roboty huk.

— Tak, mogę się tego podjąć! Miewałem już tego rodzaju robotę.

— I możecie natychmiast jechać z nami?

— Niezbyt łatwe to, lecz postaram się.

Kierownikowi gospodarczemu spadł wielki ciężar z piersi. Promiennym wzrokiem, z dziecinną niefrasobliwością tłuscioch spoglądał na nowego malarza.

— Warunki? — spytał zuchwale Ostap. — Proszę wziąć pod uwagę, że nie jestem zakładem pogrzebowym.

— Warunki ustalone przez związek. Według cennika Rabisu.

Ostap skrzywił się, co go niemało kosztowało.

— Oprócz tego bezpłatny wikt — dorzucił spiesźnie tłuscioch — i osobna kajuta.

— Niech już tam — westchnął ciężko Ostap — zgadzam się. Lecz mam z sobą chłopaka asystenta.

³⁶²Rabis — związek artystów (robotników sztuki). [przypis redakcyjny]

— Co do chłopaka, to już nie wiem. Na chłopaka nie dali mi kredytów. Jeśli chcecie wziąć go na własny rachunek, z miłą chęcią. Niech sobie mieszka w waszej kajucie.

— No, niech już i tak będzie. Chłopak zahartowany. Przyzwyczał się do spartańskiego trybu życia. Stawy dacie mu?

— Niech przychodzi do kuchni, może się tam co znajdzie.

Ostap dostał przepustkę dla siebie i dla chłopca, włożył do kieszeni klucz od kajuty i wyszedł na gorący pokład. Niemalę zadowolenie odczuwał przy dotknięciu klucza. Po raz pierwszy w życiu. Klucz i mieszkanie miał. Nie miał tylko pieniędzy. Lecz były one tuż obok w krzesłach. Wielki Kombinator wpakował ręce do kieszeni i spacerował po pokładzie, nie dostrzegając pozostającego na brzegu Worobianinowa.

Hipolit Matwiejewicz dawał milczące znaki, a potem ośmielił się z lekka piszczeć. Lecz Bender był głuchy. Odwróciwszy się tyłem do marszałka imprezy, obserwował uważnie proces opuszczania prasy hydraulicznej na dno okrętu.

Robiono ostatnie przygotowania do odbicia statku.

Rozległ się drugi sygnał. Wskutek straszliwych tych dźwięków stłoczyły się jak gdyby obłoki. Słońce spąsowało i zginęło za horyzontem. W mieście zapalono lampy i latarnie. Od strony rynku słychać było skrzek gramofonów, popisujących się wobec ostatnich klientów. Ogłuszony i samotny Hipolit Matwiejewicz krzychał, lecz nie było go nic a nic słychać. Turkot kołowrotu zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Ostap Bender lubił efekty. Dopiero przed trzecim sygnałem, gdy Hipolit Matwiejewicz nie miał już ani krzty wątpliwości, iż pozostawiono go na łasce losu, Ostap raczył go dostrzec.

— Czego tak stoicie jak urzeczony? Myślałem, że od dawna już jesteście na statku! Zaraz zdejmą kładkę! Pędźciez czym prędzej! Przepuście tego obywatela! Proszę, oto jego przepustka.

Hipolit Matwiejewicz, płacząc niemal, wbiegł na statek.

— To ma być wasz chłopak? — spytał podejrzliwie zaw-choz.

— Chłopak — odrzekł Ostap — może ży? Typowy chłopak. Ten, kto odważy się powiedzieć, że to dziewczyna, niechaj rzuci we mnie kamieniem.

Tłuścioch odszedł srodze zasępio.

— No, Kisa — zauważył Ostap — trzeba będzie od samego rana zakasać rękawy. Przypuszczam, że potrafi pan rozrabiać farby, proszę sobie zapamiętać: jestem malarzem, skończyłem Wchutemas³⁶³, a pan jest moim pomocnikiem. Jeśli wydaje się panu, że tak nie jest, to zmykaj pan stąd czym prędzej na brzeg.

Spod rufy buchnęła czarnozielona piana. Statek drgnął, klasnęły miedziane talerze, flety, klarnety i basy wykonały dźwięczny marsz, po czym miasto, kręcąc się i balansując, przewędrowało na lewą stronę burty.

Statek, dygocąc wciąż, przyjął odpowiedni kierunek i popłynął szybko z prądem. Z tyłu migotały gwiazdy, lampy i portowe różnobarwne znaki. W ciągu minuty statek tak się oddalił od brzegu, że światła miejskie wyglądały jak rozżarzone główki szpilek.

W kajucie pierwszej klasy Ostap rozciągnął się jak długi — w butach — na skórzanej kanapie i patrząc w zamyśleniu na pas ratunkowy, obciążony w zielone płótno, wypytywał Hipolita Matwiejewicza:

— Umiecie rysować? Nie? Wielka szkoda. I ja, niestety, nie potrafię.

— A jak z literami? Też nie potraficie? Całkiem niedobrze! Przecież dostaliśmy się tutaj jako malarze. W ciągu dwóch dni będziemy jakoś kręcić, a potem wyrzucą nas. W ciągu tych dwóch dni musimy zrobić wszystko, czego nam potrzeba. Sprawa komplikuje się nieco. Dowiedziałem się, że krzesła są w kajucie reżysera. Lecz i to ostatecznie nic strasznego. Najważniejsze, że jesteśmy na statku. Póki nas nie wyrzucą, musimy obejrzeć dokumentnie wszystkie krzesła. Dziś już za późno. Reżyser śpi w swej kajucie...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY UPARCI POSZUKIWACZE

Z rana pierwszy zjawił się na pokładzie Persicki. Zdążył już wziąć tusz i poświęcić dziesięć minut na ćwiczenia gimnastyczne. Ludzie spali jeszcze, lecz rzeka wiodła już swój zwykły

³⁶³Wchutemas — uczelnia artystyczna istniejąca w Moskwie w latach 1920–1930. [przypis edytorski]

żywot. Płynęły tratwy — olbrzymie płyty belek z izbami na nich. Maleńki statek, na którego łupinie widniała dumna nazwa — Władca Burz — ciągnął trzy inne powiązane z sobą statki z naftą. Skriabin, mierząc głębokość wody prążkowaną żerdzią³⁶⁴, zaczął opisywać koło, zawracając przeciwko prądowi.

Persicki przywarł do lornetki i zaczął patrzeć na przystań.

— „Barmino” — przeczytał napis.

Życie na statku poczęło z wolna budzić się. Rzucono na przystań ciężarek ze sznurkiem. Przy pomocy tego sznura ludzie z przystani przyciągnęli do siebie gruby koniec liny służącej do przywiązywania statku. Śruby zaczęły się obracać w przeciwnym kierunku. Pół rzeki pokryło się szumiącą pianą. Skriabin zadrżał od ostrych uderzeń i oparł się burtą o przystań. Było jeszcze zbyt wcześnie. Ciągnięcie loterii postanowiono rozpocząć o dziesiątej rano.

Praca na Skriabinie rozpoczynała się tak jak na łądzie — punktualnie o dziewiątej. Nikt nie zmienił swych zwyczajów. Ten, kto na łądzie spóźniał się do biura, spóźniał się i tutaj, mimo iż spał przecież w samej instytucji. Do nowych stosunków stany wędrownie Narkomfinu przywykły bardzo szybko.

Woźni zamiatali kajuty równie obojętnie, jak biura w Moskwie.

Sprzątaczkę roznosiły herbatę, gońcy biegali z aktami z dziennika podawczego do działu osobowego, nie dziwiąc się zupełnie temu, że dział osobowy znajduje się na rufie, a dziennik podawczy na dziobie. Z kajuty „rozrachunków” słychać było klekot liczydła i zgrzytanie arytmomietru³⁶⁵.

Wielki Kombinator, parząc bosa stopy, uwijał się dokoła podłużnego, wąskiego pasa czerwonej tkaniny, malując na nim hasło, które raz po raz sprawdzał z wypisanym na świstku papieru tekstem:

„Kup los: każdy człowiek pracy winien mieć w kieszeni obligację pożyczki państwowej”.

Wielki Kombinator starał się gorliwie wywiązać z zadania, lecz zupełny brak zdolności w tym kierunku widoczny był — mimo wszystko — na pierwszy rzut oka. Napis zjechał w dół i cały ten kawał materiału był, jak się wydawało, bezpowrotnie zniszczony. Toteż Ostap, przy pomocy ucznia Kisy, odwrócił materiał na drugą stronę i znów wziął się do malowania. Był już teraz ostrożniejszy. Nim zaczął chlastać litery, pobielonym kredą sznurkiem nakreślił dwie równoległe linie i klnąc po cichu Bogu ducha winnego Worobianinowa, wziął się do malowania liter.

Hipolit Matwiejewicz spełniał sumiennie obowiązki chłopaka na posyłki... Pędził na dół po gorącą wodę, kichając, rozpuszczał klej w garnku, wsypywał do wiaderka farby i usłużnie zaglądał w oczy wymagającemu malarzowi. Skończony i wyschnięty transparent współpracownicy znieśli na dół i przymocowali do burty.

Z kajuty wyszedł zaspany operator kinowy Połkan. Ustawiał długo swój aparat, oglądał niebo, po czym obróciwszy się tyłem do zebranego już na przystani tłumu, nakręcił dziesięć metrów kierownika działu osobowego. Kierownik, by wyjść bardziej naturalnie, próbował spacerować swobodnie przed aparatem — lecz Połkan sprzeciwił się temu.

— Nie wychodźcie, towarzyszu, z ram. Stójcie na miejscu. I rękami, bardzo was proszę, nie wymachujcie.

Kierownik założył ręce po napoleońsku i w tej posągowej pozie został sfilmowany. Potem Połkan znikł w swym laboratorium.

Tłuścioch, który zaangażował Ostapę, pobiegł na brzeg i stamtąd obejrzał robotę nowego malarza. Litery były najrozmaitszej grubości, a przy tym trochę krzywe. Tłuściochowi przeszło przez myśl, że nowy malarz, tak bardzo pewny siebie, mógłby to jednak staranniej zrobić. Nie było jednak żadnego wyjścia i z konieczności trzeba się było tym kontentować.

O pół do dziesiątej udała się na brzeg orkiestra dęta i zaczęła wydymuchać namiętne marsze. Dźwięki muzyki zwabiły dziatwę z całego Barmina. Za dzieciakami ruszyli z sadów owocowych również chłopcy i baby. Orkiestra grzmiała aż do chwili zejścia na brzeg

³⁶⁴żerdź — cienki pień drzewa lub prosta gałąź. [przypis edytorski]

³⁶⁵arytmometr — dawna mechaniczna maszyna licząca, służąca do wykonywania działań arytmetycznych, napędzana ręcznie, dźwignią lub korbką, albo elektrycznie. [przypis edytorski]

członków komisji pożyczkowej. Zaczął się wiec. Z ganku gospody Korobkowa rozległy się pierwsze słowa referatu o położeniu międzynarodowym.

„Kolumbowcy” gapili się na zgromadzenie ze statku. Widać stąd było białe chusteczki bab bojaźliwie trzymających się na boku, nieruchomy tłum chłopów słuchających uważnie mówcy oraz samego mówcę, gestykującego od czasu do czasu rękoma. Potem zagrała muzyka. Orkiestra odwróciła się i nie przestając grać, ruszyła ku kładce. Za nią cisnął się tłum.

— Momencik! — krzyknął z burty grubas. — Zaraz, towarzysze, rozpocznie się ciągnięcie loterii. Zapraszamy wszystkich na statek. Po skończonym ciągnięciu odbędzie się koncert. Proszę nie rozchodzić się po zakończeniu ciągnięcia, lecz zgromadzić się na brzegu i stamtąd przyglądać się widowisku. Artyści będą grać na pokładzie!

Popychając się wzajemnie, wszyscy pobiegli na statek i udali się do sali loteryjnej. Komisja pożyczkowa i dokooptowani przedstawiciele gminy Barmino siedli na estradzie. Członkowie komisji zrobili to z godnością, nabytą przy podobnych tego rodzaju ceremoniałach, natomiast przedstawiciele gminy (było ich dwóch), w łapciach i pasiastych granatowych koszulach, z powagą taką, jak gdyby szli do młocki, udali się w kierunku stołu i siedli na brzeżku.

Po sprawdzeniu pieczęci na maszynie zażądano dziecka spośród publiczności.

Koła zaczęły się obracać, mrugając szklanymi okienkami. Zatrzymały się. Bosy chłopak, truchlejąc ze strachu, kładł rękę kolejno do każdego cylindra, wyjmował stamtąd wyglądające jak papierosy bilety i wręczał je członkom komisji.

Aparat loteryjny wyrzucał metodycznie kombinacje cyfr. Koła obracały się, wykrzykiwano numery. Wieśniacy przyglądali się „realizacji dźwiękowej”, poruszanej ogromnie procesem ciągnięcia — nabyli do spółki jedną obligację i po każdym oznajmieniu rezultatu wdychali z ulgą:

— Chwała Bogu, nie nasz numer!

— Czego się cieszyacie? — zdziwił się Nik. Siestrin. — Przecież nie wygraliście?

— Wielka parada: dostać dwadzieścia rubli! — wrzasnęła dzielna piątka. — Przecież na tę obligację można wygrać pięćdziesiąt tysięcy. Całkiem prosty rachunek.

— Wiecie co, przyjaciele — rzekł reżyser — do większych wygranych jeszcze daleko, nie macie tu co do roboty. Idźcie przygotować się do występu.

Na chwilę wpadł Ostap, upewnił się, że wszyscy mieszkańcy statku siedzą w sali loteryjnej, i znów pobiegł na pokład.

— Worobianinow — szepnął — mam dla was niecierpiącą zwłoki robotę malarską. Stańcie u wylotu korytarza pierwszej klasy i nućcie. Jeżeli będzie kto podchodził, nućcie głośniej.

— A cóż mam nuć?

— W każdym razie nie *Boże, Caria chrani*³⁶⁶. Coś namiętnego — *Jabluszko* lub *Serce dziewczyny*. Uprzedzam, że będzie z wami krucho, jeśli nie zaśpiewacie na czas arii! To nie eksperymentalny teatr! Stłuką na kwaśne jabłko!...

Wielki Kombinator, człapiąc bosymi stopami, wybiegł na korytarz wykładany wiśniowym drzewem. Duże zwierciadło stojące na końcu korytarza odbiło w pewnej chwili jego postać. Czytał bilet na drzwiach:

NIK. SIESTRIN

Reżyser Teatru Kolumba

Lustro opróżniło się, następnie ukazał się w nim znów Wielki Kombinator. Trzymał w ręce krzesło o giętych nóżkach. Przebiegł przez korytarz, wyszedł na pokład i mrugnawszy na Hipolita Matwiejewicza, udał się z krzesłem na górę do budki sternika. W oszklonej budce nikogo nie było. Ostap odniósł krzesło na rufę i raczył poinformować Worobianinowa:

— Krzesło będzie tu stało aż do nocy. Wszystko obmyśliłem. Nikt tu prawie, prócz nas, nie bywa. Zakryjemy krzesło plakatami, a gdy zmrok zapadnie, zapoznamy się spokojnie z jego zawartością.

³⁶⁶*Boże, Caria chrani* (ros.) — Boże, chroń cara; rosyjski hymn państwowy w latach 1833–1917. [przypis edytorski]

Po chwili krzesło, zavalone deseczkami i skrawkami czerwonej materii, przestało być widoczne.

Hipolita Matwiejewicza znów ogarnęła gorączka złota.

— A dlaczego właściwie nie bierzemy go do naszej kajuty? — spytał ze zniecierpliwieniem. — Moglibyśmy je od razu wypatroszyć. I gdybyśmy znaleźli brylanty, to od razu dalibyśmy dęba³⁶⁷ na brzeg...

— A gdybyśmy tam nie znaleźli? Co wtedy? Gdzie je podziejemy? Może odnieść je z powrotem do obywatela Siestrina i uprzejmie powiedzieć: „Darujcie, buchnęliśmy wam, uważacie, krzeselko, lecz niestety nic w nim nie znaleźliśmy, wobec czego, uważacie, zwracamy wam je w pozostawiającym nieco do życzenia stanie”. Tak chcecie postąpić?

Wielki Kombinator miał, jak zwykle, słuszność. Hipolit Matwiejewicz opanował wzburzenie dopiero wówczas, gdy na pokładzie rozległy się dźwięki uwertury wykonywanej na kankach³⁶⁸ i bateriach pustych butelek.

Operacje pożyczkowe były skończone. Widzowie ulokowali się na pochyłości wybrzeża i wbrew wszelkim oczekiwaniom wyrażali hałaśliwie uznanie swe dla murzyńsko-aptecznego widowiska. Gałkin, Pałkin, Małkin, Czalkin i Zalkin spojerali wokół z dumą, jak gdyby mówiąc: „Aha, widzicie! A powiadaliście, że szerokie masy nie rozumieją. Sztuka, uważacie, wszędzie dociera!”

Następnie na zaimprovizowanej estradzie „kolumbowcy” odegrali lekki wodewil³⁶⁹ ze śpiewem i tańcami. Treścią tego wodewilu było opowiadanie o tym, jak jakiś prostak wygrał pięćdziesiąt tysięcy i co z tego wynikło. Aktorzy, wyzwoliwszy się z więzów konstruktywizmu³⁷⁰ Nik. Siestrina, grali wesoło, tańczyli z temperamentem i śpiewali bardzo miłymi głosami. „Łąd” był całkowicie zadowolony.

Jako następny numer popisował się wirtuoz na bałabajce. Żakiet jego i przedział na głowie wywoływały w widzach zdumienie i ironiczne okrzyki.

Wirtuoz siadł na ławce, poprawił poły żakietu i z wolna zaczął grać węgierską rapsodię³⁷¹ Liszta³⁷². Stopniowo przyspieszając tempo, wznosił się na szczyty techniki bałabajkowej. Sceptycy byli pokonani, lecz w tłumie nie odczuwało się entuzjazmu. Wtedy wirtuoz zagrał *Publiczki*. „Łąd” zaczął się uśmiechać.

„Kupujcie publiczki — grał wirtuoz — gorące publiczki”...

Bałabajka nabrała rozmachu. Przelatywała za plecy artysty i spoza pleców już słychać było: „Tę prośbę mam jedną, nim gwiazdy w krąg zbledną...”. Bałabajka unosiła się w górę i w czasie krótkiego lotu wykonywała niemało trudnych wariacji.

*

Nadeszła kolej na Żorzetę Tyraspolskich. Wyprowadziła ona z sobą stadko dziewcząt w sarafanach³⁷³. Koncert zakończył się tańcami ludowymi.

Znów rozległ się głos syreny i znów słońce ze strachu uciekło. Nadchodziła druga noc.

W stronę mostku kapitańskiego toczył się kierownik gospodarczy. Za nim szedł dyrektor techniczny brylantowej koncesji.

— To jest nasz malarz — powiedział zaw-choz³⁷⁴ — robimy tu transparent. Czy nie można by go umieścić na mostku kapitańskim? Będzie wtedy widoczny ze wszystkich stron.

Kapitan stanowczo zrezygnował z przyozdobienia mostku.

Zaw-choz zwrócił się do Ostapa:

— Obok, jeśli łaska!

³⁶⁷ *dać dęba* (pot.) — uciec. [przypis edytorski]

³⁶⁸ *kanka* — plastikowa, gumowa lub metalowa rurka stosowana w medycynie, służąca jako końcówka przyrządów do wykonywania irygacji (tj. płukania). [przypis edytorski]

³⁶⁹ *wodewil* — komiczne widowisko sceniczne przeplatane piosenkami. [przypis edytorski]

³⁷⁰ *konstruktywizm* — kierunek w sztuce, architekturze i nauce, w którym widoczny był kult techniki; powstał w Rosji w latach 20. XX w. [przypis edytorski]

³⁷¹ *rapsodia* (muz.) — utwór instrumentalny o swobodnej formie oparty na motywach muzyki ludowej. [przypis edytorski]

³⁷² *Liszt, Ferenc* (1811–1886) — węgierski pianista i kompozytor epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

³⁷³ *sarafany* — strój wieśniaczek: długa sukienka bez rękawów, zapinana z przodu na guziki. [przypis redakcyjny]

³⁷⁴ *zaw-choz* — kierownik gospodarczy. [przypis redakcyjny]

- A czy wam, towarzyszu-malarzu, wygodnie będzie obok mostku kapitańskiego?
— Wygodnie — westchnął Bender.
— No, to pamiętajcie! Od rana weźmiecie się do roboty.

Ostap ze strachem myślał o jutrzejszym ranku. Miał wyciąć z tektury postać siewcy rozrzucającego obligacje.

Ten artystyczny wyczyn przekraczał możliwości Wielkiego Kombinatora. Z literami radził sobie Ostap od biedy, czuł jednak, że artystyczne przedstawienie siewcy jest zupełnie niewykonalne.

— Weźcie to pod uwagę — uprzedzał grubas — od Wasiuków począwszy, urządzamy ciągnięcie w porze wieczornej: bez transparentu ani rusz.

— Możecie być zupełnie spokojni — oświadczył Ostap, licząc raczej na dzisiejszy wieczór niż na jutrzejszy ranek — transparent będzie gotów.

*

Nadeszła gwiazdzista, wietrzna noc. Mieszkańcy loteryjnej arki usnęli.

Lwy z komisji pożyczkowej spały. Spały jagnięta z działu osobowego, kozły z buchalterii, króliki z „wzajemnych rozrachunków”, hieny i szakale z realizacji dźwiękowej i gołębnice z maszynowni.

Nie spała tylko jedna nieczysta para. Wielki Kombinator wyszedł ze swej kajuty o pierwszej w nocy. Za nim podążał bezgłośny cień wiernego Kisy.

— Jedno z dwojga — rzekł Ostap — albo, albo.

Przedostali się na górny pokład i cichutko podeszli do krzesła ukrytego pod warstwą desek. Ostap zdjął je ostrożnie, przewrócił, po czym zacisnąwszy szczękę, odpruł obicie obcęgami i wpakował dłoń pod siedzenie.

Wicher hulał po górnym pokładzie. Na niebie leciutko poruszały się gwiazdy. Pod nogami głęboko w dole szemrała czarna woda. Brzegów nie było widać. Hipolit Matwiejewicz dygotał.

— Trzymajcie!

List ojca Fiodora, pisany w Baku w umeblowanych pokojach „Waluta”, do żony w powiatowym mieście N. Droga moja i luba żono! Z każdą godziną zbliżamy się do naszego szczęścia. Piszę do Ciebie z umeblowanych pokojów „Waluta” po załatwieniu już wszystkich mych spraw. Miasto Baku jest bardzo duże. Słyszałem, że wydobywają tu naftę, lecz trzeba by do tego miejsca jechać koleją elektryczną, a ja nie mam pieniędzy. Malownicze to miasto leży nad Morzem Kaspijskim³⁷⁵. Przyznać trzeba, że jest ono istotnie bardzo duże. Skwar tu okropny. W jednej ręce trzymam palto, w drugiej marynarkę — a mimo to — gorąco. Ręce pocą się. Wciąż tylko pijam herbatkę. Pieniądzy prawie już nie mam. Lecz to nic, kochana moja Katerino Aleksiejewna, będziemy wkrótce mieli pieniądze w bród. Zajrzymy tu i tam, a potem osiedlimy się już na dobre w Samarze, obok naszej fabryczki, i będziemy sobie popijać nalewkę. Zresztą przejdźmy do sprawy. Ze względu na położenie geograficzne i na liczbę ludności miasto Baku przewyższa znacznie miasto Rostów. Jednakże pod względem ruchu ustępuje miastu Charkowowi. Dużo tu bardzo mniejszości. Zwłaszcza dużo Ormian i Persów. Blisko stąd, Matuchno moja, do Turcji. Byłem między innymi na bazarze. I widziałem dużo tureckich przedmiotów i szali. Pragnąłem kupić Ci w prezencie muzułmańską zasłonę, lecz nie miałem pieniędzy. I pomyślałem sobie, że gdy wzbogacimy się (a rzecz to już bardzo bliskiej przyszłości) — to i na muzułmańską zasłonę można będzie się szarpnąć. Zapomniałem ci, Matuchno, napisać o dwóch okropnych wypadkach, które spotkały mnie w mieście Baku: 1) Marynarka brata twego, piekarza, wpadła do Morza Kaspijskiego i 2) plunął we mnie na bazarze dromader³⁷⁶. Oba te zdarzenia nader mnie zdumiały. Dlaczego władze pozwalają na takie nieprzyzwoitości

Miasto

³⁷⁵Morze Kaspijskie — bezodpływowe słone jezioro leżące w Azji i Europie. [przypis edytorski]

³⁷⁶dromader — wielbłąd jednogarbny. [przypis edytorski]

wobec przyjezdnych, tym bardziej, iż dromadera nie tknąłem nawet, wprost przeciwnie — zrobiłem mu przyjemność — patykiem połaskotałem nozdrza. A marynarkę ratowaliśmy całą gromadą, ledwie-ledwie wyłowiliśmy ją, ale jak na złość ociekała całą naftą. Sam już nie wiem, co powiedzieć bratu twemu, piekarzowi. Ty, kochanie, trzymaj tymczasem język za zębami. Czy jada jeszcze Jewstigniejew? Przeczytałem list i spostrzegłem, że o naszym interesie nic Ci dotąd nie zdążyłem opowiedzieć. Inżynier Bruns rzeczywiście pracuje w Aznefcie. Tylko w mieście Baku nie ma go teraz. Wyjechał na urlop do miasta Batumi³⁷⁷. Jego rodzina przebywa stale w Batumi. Rozmawiałem tu z rozmaitymi ludźmi i dowiedziałem się od nich, że istotnie całe umeblowanie Bruns ma w Batumi. Mieszka tam w willi za miastem, na Zielonym Przylądku³⁷⁸, jest tam takie lotnisko, powiadają, że bardzo drogie. Droga stąd do Batumi kosztuje piętnaście rubli z kopiejkami. Wyślij mi tu dwadzieścia rubli telegraficznie, a ja z Batumi wszystko Ci prześlę. Rozpowiadaj w mieście, że ja wciąż jeszcze przebywam u węzłowia ciotuni w Woroneżu. Do grobowej deski mąż twój, Fiedia. *Postscriptum*: Gdym odnosił list do skrzynki, skradziono mi z pokojów „Waluta” palto twego brata, piekarza. Jestem niepokieszony! Dobrze przynajmniej, że mamy teraz lato. Bratu nic nie mów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY WYGNANIE Z RAJU

Hipolit Matwiejewicz wziął w rozdygotane dłonie płaską drewnianą skrzyneczkę. Ostap zaś po ciemku grzebał dalej w krzesle. Błysnęło światło latarni morskiej. Złocisty słupek odbił się w wodzie i popłynął za parowcem.

— Kie lichu! — rzekł Ostap. — Nic więcej nie ma!

Worobianinow z zapartym tchem padł na kolana i zanurzył po łokieć rękę w krzesle. Między palcami poczuł deski, do których przymocowane były sprężyny. Nic twardego więcej nie było. Krzesło wydawało suchą, szkaradną woń nieruszanego długo kurzu.

— Nie ma? — spytał Ostap.

— Nie ma.

Wtedy Ostap podniósł krzesło i wyrzucił je hen za burtę. Rozległ się ciężki plusk. Wspólnicy, dygocąc wskutek nocnego chłodu, wrócili rozzarowani do swej kajuty.

— Tak! — rzekł Bender. — Coś niecoś jednak znaleźliśmy.

Hipolit Matwiejewicz wydosłał z kieszeni skrzyneczkę i osowiale spojrzął na nią.

— Dawaj pan, dawaj! Czego wybałusza pan ślepiec?

Otworzyli skrzynkę. Na dnie jej leżała miedziana, zardzewiała blaszka z napisem: Majster Gambs krzesłem tym rozpoczyna nową serię mebli. 1865 r. Sankt Petersburg.

Ostap głośno przeczytał ten napis.

— A gdzie są brylanty? — spytał Hipolit Matwiejewicz.

— Podziwiam twą domyślność, kochany łowco taburetów; brylantów, jak pan widzi, nie ma.

Żał było patrzeć na Worobianinowa. Wąsy, które zdążyły już odrosnąć, zaczęły się poruszać, szkła okularów powlekły się mgłą. Wydawało się, że z rozpaczki bije się wąsami po twarzy.

Zimny, rozważny głos Wielkiego Kombinatora wywarł zwykły magiczny skutek. Worobianinow stanął na baczność i umilkł.

— Cicho, Kiso, ukój żal swój! Nadejdzie jeszcze chwila, gdy śmiać się będziemy z głupiego krzesła, w którym znaleźliśmy idiotyczną deszczułkę³⁷⁹. Nie poddawaj się. Są tu jeszcze trzy krzesła — dziewięćdziesiąt dziewięć na sto!

³⁷⁷Batumi — miasto w pld.-zach. Gruzji, na wybrzeżu Morza Czarnego. [przypis edytorski]

³⁷⁸Zielony Przylądek — obszar zlokalizowany przy słynnym Ogrodzie Botanicznym w Batumi. [przypis edytorski]

³⁷⁹deszczulka — mała deska. [przypis edytorski]

W ciągu nocy na policzku strapionego okrutnie Hipolita Matwiejewicza wyskoczył pryszcz. Wszystkie cierpienia, wszystkie niepowodzenia, wszystkie męki pościgu za brylantami — wszystko to, zdawało się, skoncentrowało się w tym pryszczu i mieniło się teraz różem, fioletem i błękitem.

— Czy to umyślnie tak? — spytał Ostap.

Hipolit Matwiejewicz ciężko westchnął i wysoki, z lekka pochylony, poszedł po farby. Zaczęło się szykowanie transparentu. Wspólnicy pracowali na głównym pokładzie.

I zaczął się trzeci dzień podróży.

Zaczął się od krótkiej zwady między orkiestrą dętą a realizacją dźwiękową o miejsce próby.

Po śniadaniu jednocześnie z dwóch stron udały się na tył okrętu krzepkie zuchy z miedzianymi trąbami i chudzi rycerze Esmarchowskich opasek. Pierwszy zdążył usiąść na ławie Galkin. Następnie przybiegł klarnet z orkiestry dętej.

— Zajęte — oznajmił ponuro Galkin.

— Przez kogo? — spytał złowrogo klarnet.

— Przeze mnie, Galkina.

— I jeszcze przez kogo?

— Przez Pałkina, Małkina, Czalkina i Załkinda.

— A Jałkina nie ma czasem u was? To jest nasze miejsce.

Z obu stron nadeszły posiłki. Trzykrotnie opasany miedzianym węzem, stał helikon³⁸⁰ — najpotężniejsza machina w orkiestrze. Kołysała się z wolna waltornia³⁸¹. Trombony³⁸² stały gotowe do boju. Słońce przyglądało się w rynsztunkach bojowych.

Szaro i mizernie wyglądała realizacja dźwiękowa. Migotało gdzieś szkło butelek, polyskiwały blade lewatywy. Saksofon — oburzająca parodia instrumentu dętego, ekstrakt nasienny prawdziwej trąby — miał wygląd nader żaloszny.

— Ten zafajdany batalion — zaczął przekorny klarnet — miejsce chce nam sprzątnąć.

— Banda spod ciemnej gwiazdy — zauważył pogardliwie pierwszy bas.

— Wy — rzekł Załkind, starając się znaleźć najbardziej obraźliwe przezwisko — wy, wy, konserwatorzy muzyki!...

— Nie przeszkadzajcie nam podczas próby!

— To wy nam przeszkadzacie!

— Bo to wam można przeszkadzać! Im mniej prób odbywa się na waszych nocnikach, tym ładniej wychodzi.

— A wy na waszych samowarach z próbą czy bez próby — uszy puchną.

Nie osiągnąwszy porozumienia, obie strony pozostały i uparcie zaczęły grać — każda swoje. Popłynęły w dół rzeki dźwięki, które mogłyby chyba jedynie wydać tramwaj ruszający się z wolna po szkle. Orkiestrowicze grali marsz Keksholmskiego Pułku Gwardyjskiego³⁸³, a realizacja dźwiękowa — taniec murzyński *Antylopa u źródeł Zambezi*. Kres skandalowi położyła osobista interwencja prezesa komisji pożyczkowej.

Tęgo dnia parowiec zatrzymał się dwukrotnie. W Koźmodiemiansku stał aż do zmierzchu. Odbyły się zwykłe ceremonie: wstępny miting, ciągnięcie loterii, występ Teatru Kolumba, bałabajka i tańce na wybrzeżu. Przez cały ten czas wspólnicy pracowali w pocie czoła. Kilkakrotnie zaglądał do nich zaw-choz i otrzymawszy zapewnienia, że do wieczora wszystko będzie skończone, wracał spokojnie do swych bezpośrednich zajęć.

O godzinie jedenastej wielka praca była ukończona. Cofając się, Ostap i Worobianinow zanieśli transparent w stronę mostku kapitańskiego. Przed Worobianinowem, z rękami wzniesionymi ku gwiazdom, biegł grubas — kierownik gospodarczy. Wspólnymi siłami przymocowano transparent do poręczy. Górował nad pokładem pasażerskim, wyglądał jak ekran. W ciągu pół godziny elektrotechnik przeprowadził od wewnętrznej

³⁸⁰helikon — blaszany instrument dęty o niskim brzmieniu, używany w orkiestrach dętych i marszowych; tę samą nazwę nosi masyw górski w Grecji, w mitologii greckiej uważany za siedzibę muz, bogiń sztuki i nauki. [przypis edytorski]

³⁸¹waltornia — blaszany instrument dęty w postaci metalowej rury zagiętej w pętlę, rozszerzającej się na końcu. [przypis edytorski]

³⁸²trombon (daw.) — puzon. [przypis edytorski]

³⁸³Keksholmski Pułk Gwardyjski, właśc. *Lejb-Gwardyjski Keksholmski Pułk im. Cesarza Austriackiego* — pułk piechoty okresu Imperium Rosyjskiego, istniejący w latach 1710–1918. [przypis edytorski]

strony transparentu druty elektryczne i ustawił wewnątrz trzy lampki. Trzeba było tylko przekręcić taster³⁸⁴.

Przed statkiem po prawej stronie migotały już ognie miasta Wasiuki.

Na uroczystość iluminacji transparentu zaw-choz zwołał wszystkich mieszkańców parowca. Hipolit Matwiejewicz i Wielki Kombinator, stojąc po bokach nieoświetlonego jeszcze transparentu, przyglądali się zgromadzonym z góry.

Każde wydarzenie na parowcu wywoływało w pływającej instytucji nader żywy od-
dźwięk. Maszynistki, gońcy, wyżsi urzędnicy, „kolumbowcy” i komenda parowca —
stłoczyli się na pokładzie pasażerskim i zadarłszy w górę głowy, gapili się na transparent.

— Już — zakomenderował grubas.

Transparent rozświetlił się.

Ostap spojrział w dół na tłum. Różowawe światło padało na twarze. Widzowie śmiali się. Potem zaległa cisza. I surowy głos z dołu pytał:

— Gdzie zaw-choz?

Głos był tak władczy, że zaw-choz, nie licząc stopni, zbiegł na dół.

— Spójrzycie — rzekł głos — podziwiającie waszą robotę!

— Zaraz nas stąd wykurzą! — szepnął Ostap do Hipolita Matwiejewicza.

Jak jastrząb grubas wpadł na górny pokład.

— No, jak wypadł transparencik? — spytał bezczelnie Ostap. — Udał się?

— Zabierajcie manatki — wrzasnął zaw-choz.

— Dlaczego taki gwałt?

— Za-bie-raj-cie manatki! Żeby mi tu śladu po was nie było!

— Bardzo wam z tym, grubasku, do twarzy.

— Precz!

— Tak? A odprawa?

— Pod sąd pójdziecie! Nasz naczelnik nie lubi żartować.

— Wypędźcie go! — rozległ się na dole władczy głos.

— Doprawdy, nie podoba się wam transparent? Uważacie, że to kiepski transparent?

Kontynuowanie gry nie miało sensu. Skriabin przybił już do Wasiuków i z parowca można było widzieć oszołomione twarze stłoczonych na brzegu mieszkańców miasta. Wypłaty pieniędzy kategorycznie odmówiono. Na wyniesienie się wyznaczono pięć minut.

— Koński pomysł! — odezwał się Symbijewisz-Syndyjewicz, gdy współnicy schodzili na przystań. — Trzeba było mnie powierzyć realizację transparentu. Tak bym go zrobił, że żaden Meyerhold³⁸⁵ nie dorównałby mi.

Na przystani współnicy przystanęli i popatrzyli w górę.

Na tle czarnego nieba świecił się transparent.

— T-tak — rzekł Ostap — transparencik dość cudaczny. Kiepskie wykonanie!

Rysunek, chłaśnięty ogonem nieposłusznego muła, wydawałby się w porównaniu z transparentem Ostapa skarbem muzealnym. Zamiast siewcy rozrzucającego obligacje Ostap narysował jakiś kłoc z głową cukru i ciężkimi biczyskami-rękoma.

Poza współnikami został parowiec pełen światła i hucznej muzyki, a przed nimi, na wysokim brzegu, była ciemność małomiasteczkowej nocy, ujadanie psów i dźwięki dalekiej harmonii.

— Krótkie *résumé*³⁸⁶ naszej sytuacji — rzekł Ostap zuchowato — pasywa: ani grosza w kieszeni, trzy krzesła odpływają w dal, nie ma gdzie nocować i nie ma ani jednego znaczka na komitet pomocy dzieciom. Aktywa: przewodnik po Woldze z 1926 roku (trzeba było z konieczności pożyczyć sobie z kajuty *monsieur* Symbijewicza). Bilans bezdeficytowy bardzo trudno przeprowadzić. Nocować trzeba będzie na przystani.

Wspólnicy rozłożyli się na ławkach. Przy podłym świetle naftowej latarni Ostap przeczytał z przewodnika:

³⁸⁴taster (z niem.) — przycisk. [przypis edytorski]

³⁸⁵Meyerhold, Wsiewołod (1874–1940) — rosyjski aktor i nowatorski reżyser. [przypis edytorski]

³⁸⁶résumé (fr.) — podsumowanie. [przypis edytorski]

„Na prawym, wysokim brzegu miasto Wasiuki. Wywożą stąd produkty leśne, tytoń, rogóż³⁸⁷, a przywożą przedmioty codziennego użytku dla okolic, odległych o pięćdziesiąt kilometrów od kolei. Mieszkańców osiemnaście tysięcy, państwowa fabryka, zatrudniająca trzystu dwudziestu robotników, mała odlewnia żelaza, browar i garbarnia. Z zakładów naukowych, oprócz szkół ogólnokształcących, szkoła gospodarstwa leśnego”.

— Sytuacja znacznie poważniejsza, niż przypuszczałem — rzekł Ostap. — Wydębiecie od mieszkańców Wasiuków pieniędzy wydaje mi się, jak dotąd, zadaniem ponad siły. A potrzeba nam co najmniej trzydziestu rubli. Po pierwsze: musimy odżywiać się, a po drugie: musimy wyprzedzić tę loteryjną balię i spotkać się z „kolumbowcami” na lądzie: w Carycynie.

Hipolit Matwiejewicz zwinął się w kłębek jak stary, chudy kot po utarczce z młodym rywalem — pełnym temperamentu władcą dachów, strychów i facjat.

Ostap przechadzał się pomiędzy ławkami, rozważając coś i kombinując.

O pierwszej w nocy wspaniały plan był gotów. Bender położył się obok współnika i zasnął.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY MIĘDZYPLANETARNY KONGRES SZACHISTÓW

Od samego rana chodził po ulicach miasta Wasiuki wysoki, chudy starzec w złotych binoklach i w bardzo brudnych, powalanych farbą butach.

Naklejał na murach pisane ręką plakaty:

22 czerwca 1927 r.

W lokalu klubu „TEKTUROWIEC” odbędzie się odczyt na temat:

ZWYCIĘSKA IDEA DEBIUTU

I seans nowoczesnej gry w szachy na 160 szachownicach

wielkiego mistrza O. Bendera.

Każdy przychodzi ze swoją szachownicą.

Oplata za grę — 50 kop. Oplata za wstęp — 20 kop.

Początek punktualnie o godzinie 6 wiecz.

Administrator K. Michelson.

Sam wielki mistrz również nie tracił czasu. Wynajawszy klub za trzy ruble, machnął się do sekcji szachowej, która nie wiadomo dlaczego mieściła się w korytarzu administracji stajni wyścigowej.

W sekcji szachowej siedział jednooki jegomość i czytał powieść Spielhagena³⁸⁸ w wydaniu Pantelejewa.

— Jestem wielki mistrz O. Bender! — przedstawił się Ostap, siadając na stole. — Urządzą u was seans równoczesnej gry w szachy.

Jedynie oko szachisty z Wasiuków rozszerzyło się tak, jak tylko pozwala na to matka natura.

— Momencik, towarzyszu mistrzu — krzyknął jednooki. — Spocznijcie, proszę. Zaraz wrócę.

I jednooki zniknął. Ostap obejrzał lokal szachistów. Na ścianach wisiały fotografie koni wyścigowych, a na stole leżała zakurzona książka kancelaryjna z napisem: „Sprawozdanie sekcji szachowej w Wasiukach za 1925 rok”.

Jednooki powrócił z tuzinem obywateli w najrozmaitszym wieku. Wszyscy po kolei podchodzili, przedstawiali się i z szacunkiem ściskali dłoń wielkiego mistrza.

— W przejeździe do Kazania — mówił Ostap lakonicznie — tak, tak, seans dziś wieczór, bardzo proszę. A teraz, darujcie, zmęczony jestem po karlsbadzkim³⁸⁹ turnieju.

³⁸⁷ *rogoża* — palka, roślina rosnąca na brzegach jezior, rzek i bagien; także: mata pleciona z sitowia. [przypis edytorski]

³⁸⁸ *Spielhagen, Friedrich* (1829–1911) — pisarz niemiecki, autor dramatów, nowel i powieści poruszających aktualne kwestie społeczne. [przypis edytorski]

³⁸⁹ *karlsbadzki* — przymiotnik od *Karlsbad*: niemieckiej nazwy Karłowych Warów, miejscowości uzdrowiskowej w zach. Czechach, w której w latach 1907–1929 czterokrotnie odbył się międzynarodowy turniej szachowy. [przypis edytorski]

Szachiści z Wasiuków słuchali Ostapa z istic synowską miłością. Ostapa zaczęło ponosić. Poczul przyływ nowych sił i idei szachowych.

— Trudno po prostu uwierzyć — mówił — jak daleko posunęła się myśl szachowa. Wiecie, Lasker³⁹⁰ zszedł na psy, niepodobna z nim teraz grać. Dym z cygar puszcza prosto w nosy swych przeciwników. Naumyślnie pali tandetę, by dym był bardziej obrzydliwy. Świat szachistów jest tym poważnie zaniepokojony.

Wielki mistrz skierował rozmowę na tematy miejscowe.

— Dlaczego na prowincji brak polotu? Ot, weźmy dla przykładu waszą sekcję szachową. Tak właśnie się nazywa: sekcja szachowa. Nieciekawe to, moi mili! Dlaczego, doprawdy, nie nazwiemy jej jakoś ładniej, tak jak szachistom przystoi. Przyciągnęłoby to do sekcji szare masy. Moglibyście, na przykład, nazwać waszą sekcję Klubem Szachowym Czterech Koni lub Utratą Jakości Przy Zysku Tempa. I ładnie! I melodyjne!

Idea ta miała powodzenie.

— Istotnie — przytaknęli mieszkańcy Wasiuków — dlaczego nie mielibyśmy przemianować naszej sekcji na Klub Czterech Koni?

Korzystając z tego, iż sekretariat sekcji szachowej znajdował się na miejscu, Ostap zorganizował pod swym honorowym przewodnictwem króciutkie posiedzenie, na którym sekcję przechrzczono jednomyślnie na Klub Szachowy Czterech Koni. Wielki mistrz własnoręcznie, korzystając z doświadczenia nabytego na Skriabinie, na arkuszu tektury namalował artystycznie sztyldzik z czterema końmi i odpowiednim napisem.

Ten doniosły czyn rokował rozkwit myśli szachowej w Wasiukach.

— Szachy! — prawil z zapalem Ostap. — Czy wiecie, czym są szachy? Przyczyniają się do postępu zarówno kultury, jak i ekonomiki³⁹¹! Czy wiecie, że wasz Klub Szachowy Czterech Koni, może — przy należytych postawieniu sprawy — przekształcić najzupełniej miasto Wasiuki?

Ostap nic przez cały dzień nie jadł. Dlatego też krasomówstwo jego było zgoła niezwykłe.

— Tak! — krzyczał. — Szachy wzmagają dobrobyt kraju! Jeśli mój projekt zaaprobujecie, to z miasta na przystań schodzić będziecie po marmurowych schodach! Wasiuki staną się stolicą dziesięciu guberni! Czy słyszeliście coś przedtem o mieście Semmeringu³⁹²? Nic? A teraz miescina ta wzbogaciła się i zasłynęła szeroko tylko dlatego, że zorganizowano tam międzynarodowy turniej. Dlatego też powiadam wam: w Wasiukach trzeba koniecznie urządzić międzynarodowy turniej szachistów.

— Jak to! — wrzasnęli obecni.

— Całkiem realna sprawa — odrzekł wielki mistrz. — Moje stosunki osobiste i wasza energia: oto wszystko, czego potrzeba i co wystarcza do zorganizowania międzynarodowego turnieju w Wasiukach. Pomyślcie tylko, jak pięknie brzmieć będzie: „Międzynarodowy turniej w Wasiukach w 1928 roku”. Przyjazd José Raúla Capablanki, Emanuela Laskera, Alechina, Nimzowitscha³⁹³, Rétiego³⁹⁴, Rubinsteina³⁹⁵, Maróczego³⁹⁶, Tarrascha³⁹⁷, Vidmara³⁹⁸ i doktora Grygoriewa — zapewniony. Nadto zapewniony jest również mój udział.

— Lecz pieniądze! — jęknęli mieszkańcy Wasiuków. — Przecież wszystkim trzeba płacić! Grube tysiące! Skąd je wziąć?

— Moce niebieskie wszystko przewidziały! — oświadczył O. Bender. — Pieniądze będziemy mieli ze sprzedaży biletów!

— Któż u nas może płacić takie szalone ceny? Mieszkańcy Wasiuków...

³⁹⁰Lasker, Emanuel (1868–1941) — niemiecki szachista pochodzenia żydowskiego, mistrz świata w szachach. [przypis edytorski]

³⁹¹ekonomika (daw.) — gospodarka. [przypis edytorski]

³⁹²Semmering — gmina uzdrowiskowa oraz ośrodek narciarski w Austrii, na przełęczu Semmering; w 1920 i 1930 odbywały się tutaj prestiżowe rozgrywki szachowe. [przypis edytorski]

³⁹³Nimzowitsch, Aron (1886–1935) — duński szachista lotewskiego pochodzenia. [przypis edytorski]

³⁹⁴Réti, Richard (1889–1929) — czecosłowacki szachista, pisarz oraz twórca kompozycji szachowych. [przypis edytorski]

³⁹⁵Rubinstein, Akiba (1880/1882–1961) — polski szachista pochodzenia żydowskiego. [przypis edytorski]

³⁹⁶Maróczy, Géza (1870–1951) — węgierski arcymistrz szachowy. [przypis edytorski]

³⁹⁷Tarrasch, Siegbert (1862–1934) — niemiecki szachista pochodzenia żydowskiego. [przypis edytorski]

³⁹⁸Vidmar, Milan (1885–1962) — słoweński naukowiec, arcymistrz szachowy. [przypis edytorski]

— Ależ nie mieszkańcy Wasiuków! Mieszkańcy Wasiuków nie będą płacić pieniędzy. Będą je za to otrzymywać! Przecież to wszystko jest ogromnie proste. Wszak na zawody, w których uczestniczyć będą takie światowe asy, zjadą się miłośnicy szachów ze wszystkich stron świata. Setki tysięcy ludzi, bogatych, zasobnych ludzi, zdążyć będą do Wasiuków. Po pierwsze wobec takiego nawału pasażerów komunikacja wodna okaże się niedostateczna i NKPS³⁹⁹ wybuduje nową linię kolejową Moskwa–Wasiuki. To jest punkt pierwszy. Punkt drugi — hotele i drapacze chmur dla gości. Punkt trzeci — podniesienie się kultury rolnej w promieniu tysiąca kilometrów — gości trzeba aprowidować⁴⁰⁰ — jarzyny, owoce, kawior, karmelki czekoladowe. Pałac, w którym odbywać się będą zawody — punkt czwarty. Punkt piąty — budowa garaży na samochody naszych gości. Celem nadawania na cały świat sensacyjnych rezultatów zawodów konieczne stanie się wybudowanie gigantycznej radiostacji. To jest punkt szósty. Teraz co do budowy linii kolejowej Moskwa–Wasiuki. Niewątpliwie poza granice możliwości wykraczałoby przewiezienie do Wasiuków wszystkich chętnych. Stąd logiczna konieczność wybudowania portu lotniczego Wielkie Wasiuki, regularna komunikacja powietrzna samolotów pocztowych ze wszystkimi punktami świata, nie wyłączając Los Angeles i Melbourne...

Olśniewające perspektywy ukazały się miłośnikom gry szachowej z Wasiuków. Rozszerzyły się granice pokoju. Przegniłe ściany gniazda wyścigowego rozpadły się, a zamiast nich wystrzelił w błękitny szklany trzydziestopiętrowy gmach myśli szachowej. W każdej sali, w każdym pokoju, a nawet w mknących błyskawicznie windach siedzieli zamyśleni ludzie i grali w szachy na inkrustowanych malachitem szachownicach.

Marmurowe schody, istotnie, wiodły aż do modrych⁴⁰¹ fal Wołgi. Na rzece stały parowce oceaniczne. Do miasta zdążali pyskaci cudzoziemcy, szachowe *ladies*⁴⁰², austriaccy zwolennicy indyjskiej obrony, Hindusi w białych turbanach, stronnicy hiszpańskiej partii, Niemcy, Francuzi, Nowozelandczycy, mieszkańcy doliny Amazonki⁴⁰³ oraz, zazdroszczący mieszkańcom Wasiuków — mieszkańcy Moskwy, Leningradu, Odessy i Syberii. Pomiędzy dwoma rzędami marmurowych hoteli ciągnął się długi sznur samochodów. Nagle wszystko stanęło. Z luksusowego Hotelu Pionek wyszedł światowej sławy champion José Raúl Capablanca y Graupera. Otaczały go damy. Milicjant, w specjalnym szachowym uniformie (*frencz*⁴⁰⁴ — kraciasty z wyhaftowanymi na kołnierzu słoniami), uprzejmie zasalutował. Z godnością podszedł do championa jednooki prezes Klubu Czterech Koni w Wasiukach. Rozmowę dwóch gwiazdorów, prowadzoną w języku angielskim, przerwało przybycie doktora Grygoriewa i światowej sławy championa Alechina. Krzyki powitalne grzmiały w całym mieście. José Raúl Capablanca y Graupera skrzywił się. Na skinienie dłoni jednookiego przystawiono do aeroplanu⁴⁰⁵ marmurowe schody. Doktor Grygoriew zbiegł po nich, wymachując uprzejmie nowym kapeluszem i omawiając po drodze ewentualny błąd Capablanki w mającym się odbyć meczu między Capablanką i Alechinem.

Nagle ukazał się na horyzoncie czarny punkcik. Zbliżał się szybko i rósł, zmieniając się w ogromny szmaragdowy płatowiec⁴⁰⁶. Znajdujący się tam człowiek z walizką wyglądał jak duża rzodkiewka.

— To on! — krzyknął jednooki. — Hurra. Hurra. Hurra. Poznaję wielkiego filozofa-szachistę, doktora Laskera. Na całym świecie on jeden jedyny nosi takie zielone skarpetki!...

José Raúl Capablanca y Graupera znów się skrzywił.

³⁹⁹ NKPS — Ludowy Komisariat Komunikacji. [przypis edytorski]

⁴⁰⁰ *aprowidować* (daw.) — zaopatrywać w niezbędne artykuły, przede wszystkim w żywność. [przypis edytorski]

⁴⁰¹ *modry* — ciemnoniebieski. [przypis edytorski]

⁴⁰² *ladies* (ang.) — panie. [przypis edytorski]

⁴⁰³ *Amazonka* — rzeka w Ameryce Południowej; według niektórych źródeł jest to najdłuższa rzeka na świecie. [przypis edytorski]

⁴⁰⁴ *frencz* — krótka kurtka. [przypis edytorski]

⁴⁰⁵ *aeroplan* (daw.) — samolot. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶ *płatowiec* — statek powietrzny z nieruchomymi płatami nośnymi (skrzydłami), samolot. [przypis edytorski]

Zwinnie przystawiono do maszyny Laskera marmurowe schody i rzeński ekschampion, strzepnąwszy z lewego rękawa pyłek, który osiadł na nim w czasie przelotu nad Śląskiem⁴⁰⁷ — padł w objęcia jednookiego. Jednooki otoczył Laskera ramieniem, zaprowadził go do championa i rzekł:

— Pogódźcie się! Proszę was o to w imieniu olbrzymich rzesz mieszkańców Wasiuków! Pogódźcie się!

José Raül westchnął hałaśliwie i potrząsając dłonią starego weterana, rzekł:

— Zawsze uchylałem czoła przed pańskim pomysłowym krokiem w hiszpańskiej partii: z b5 na c4!

— Hurra! — wrzasnął jednooki. — Proste i przekonywujące, godne championa!

I cały niezmierny tłum zawtórował:

— Hurra! Wiwat! Proste i przekonywujące, godne championa!

Entuzjazm doszedł do zenitu. Dostrzegłszy mistrza Dusa-Chocimirskiego i mistrza Pierekatowa, którzy unosili się nad miastem w owalnym pomarańczowym samolocie, machnął jednooki ręką. Dwa i pół miliona ludzi zaczęło w natchnionym uniesieniu śpiewać dumny hymn szachistów.

Ekspresy zajeżdżały na dwanaście wasiukowskich dworców, przywożąc wciąż nowe i nowe rzesze miłośników gry szachowej.

Do jednookiego podbiegł kurier:

— Panika na gigantycznej radiostacji. Pomoc pańska niezbędna.

Na radiostacji inżynierowie spotkali jednookiego okrzykami:

— Alarmujące sygnały! Alarmujące sygnały!

Jednooki wpakował na uszy słuchawki i cały zamienił się w słuch:

— Uau, uau, uau! — drgało powietrze od rozpaczliwych krzyków. — SOS! Ratujcie nasze dusze!

— Kim jesteś, człowieku błagający o ratunek? — krzyknął surowo w przestrzeń jednooki.

— Jestem młodym Meksykaninem! — poinformowały fale powietrzne. — Ratujcie moją duszę.

— Czy masz jaki interes do Klubu Szachowego Czterech Koni?

— Najpokorniejszą prośbę!...

— O co idzie?

— Jestem młodym Meksykaninem Torre. Dopiero co wypisałem się z domu wariatów. Pozwólcie mi być obecnym na zawodach! Pozwólcie!

— Och! Nie mam czasu na takie błahostki! — odrzekł jednooki.

— SOS! SOS! SOS! — wrzasnęła przestrzeń powietrzna.

— A więc zgoda! Może pan tu przylecieć.

— Nie mam pieniędzy-dy! — rozległ się głos u wybrzeży Zatoki Meksykańskiej.

— Och! Męczący jednak są ci młodzi szachiści! — westchnął jednooki. — Poślijcie po niego moją motopowietrzną drezynę⁴⁰⁸! Niech przyjedzie!

Niebo rozgorzało już mnóstwem reklam świetlnych, gdyż wzdłuż ulic miejskich przeprowadzono białego konia. Był to jedyny koń, który ocalał po zmechanizowaniu wasiukowskich środków transportowych. Była to powszechnie znana klacz. W drodze specjalnej uchwały została jednak przemianowana na konia. Zwolennicy gry szachowej witali go, wymachując gałązkami palmowymi i szachownicami.

— Bądźcie spokojni — rzekł Ostap — mój projekt zapewni waszemu miastu po prostu niebywały rozkwit sił produkcyjnych. Pomyślcie tylko, co się stanie wówczas, gdy zawody będą zakończone i wszyscy goście rozjadą się. Mieszkańcy Moskwy, duszący się wskutek kryzysu mieszkaniowego, dokonają najścia na wasz wspaniały gród. Wasiuki staną się automatycznie stolicą kraju. Tutaj przenosi się rząd, a Moskwa na Stare Wasiuki. Charkowianie zgrzytają zębami, lecz są bezsilni. New Moskwa⁴⁰⁹ staje się najwytworniejszą stolicą w Europie, a następnie w całym świecie...

⁴⁰⁷ Śląsk — kraina historyczna położona w Europie Środkowej, na terenie dzisiejszej Polski, Czech, Niemiec i Słowacji, nad dolną Odrą i w jej dorzeczu, słynąca z wydobywania węgla. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸ drezyna — mały pojazd szynowy, używany przy robotach torowych. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹ New Moskwa — Nowa Moskwa; ironiczne określenie nawiązujące do próby upodobnienia miasta do Nowego Jorku (ang. *New York*). [przypis edytorski]

— W całym świecie! — jęknęli oszołomieni mieszkańcy Wasiuków.

— Tak! A potem — potem — we wszechświecie. Idea szachów, która zdołała miasto powiatowe przekształcić w stolicę kuli ziemskiej, przekształci się w naukę stosowaną i wynajdzie sposoby międzyplanetarnej komunikacji. Z Wasiuków posyłać się będzie sygnały na Marsa, Jupitera i Neptuna. Komunikacja z Wenerą stanie się równie łatwa, jak przejazd z Rybińska do Jarosławia. A potem, kto wie, może już za osiem lat, odbędzie się w Wasiukach pierwszy od stworzenia świata międzyplanetarny kongres szachistów...

Ostap otarł pot ze swego szlachetnego czoła. Był tak wściekle głodny, że połknąłby z apetytem pieczonego konia szachowego.

— T-a-a-k — wydusił z siebie jednooki, wodząc oszalałym wzrokiem po zakurczonym lokalu — lecz w jaki sposób zrealizować praktycznie ten pomysł, założyć, że tak powiem, fundamenty?

Obecni patrzyli wyczekująco na wielkiego mistrza.

— Powtarzam, praktyczne wykonanie tej sprawy zależy jedynie i wyłącznie od waszej inicjatywy. Stroną organizacyjną, powtarzam, ja sam się zajmę. Kosztów żadnych, prócz, oczywiście, wydatków na telegramy.

Jednooki trzącał swych towarzyszy broni.

— I cóż? — pytał. — Co wy na to?

— Urządźmy! Urządźmy! — potakiwali mieszkańcy Wasiuków.

— Ileż potrzeba pieniędzy na... te... telegramy?

— Śmieszna suma — rzekł Ostap — sto rubli.

— Mamy w kasie zaledwie dwadzieścia jeden rubli i szesnaście kopiejek. Rozumiemy, oczywiście, że jest to znikoma sumka...

Lecz okazało się, że wielki mistrz był chwackim organizatorem.

— Dobrze — powiedział — dajcie te wasze dwadzieścia rubli.

— A czy starczy? — spytał jednooki.

— Na początkowe telegramy starczy. A potem zaczną napływać ofiary i nie będzie po prostu gdzie chować pieniędzy.

Wielki mistrz schował pieniądze do zielonej podróżnej marynarki, po czym nie omieszkał przypomnieć zebranim o swym odczycie i pokazie równoczesnej gry na stu sześćdziesięciu szachownicach. Następnie uprzejmie pożegnał się i skierował swe kroki do klubu Tekturowiec, gdzie wyznaczył sobie spotkanie z Hipolitem Matwiejewiczem.

— Głodny jestem — powiedział Worobianinow skrzeczącym głosem.

Siedział przy okienku kasowym, lecz nie zebrał jeszcze dotąd ani jednego grosza i nie mógł kupić choćby kromki chleba. Przed nim leżał zielony druciany koszyczek, przeznaczony na pieniądze. W takich koszyczkach w średnio zamożnych domach przechowują zazwyczaj noże i widelce.

— Wiecie, Worobianinow — krzyknął Ostap — zaniechajcie na jakie półtorej godzinki operacji kasowych. Idziemy na obiad do bufetu. Po drodze naszkicuję sytuację. Racja, musicie się ogolić i oczyścić. Wyglądacie jak oberwaniec. Wielki mistrz nie może mieć tak podejrzanych znajomych.

— Ani jednego biletu nie sprzedałem — zakomunikował Hipolit Matwiejewicz.

— Nie trapiecie się. Wszyscy zejdą się wieczorem. Miasto ofiarowało mi już dwadzieścia rubli na zorganizowanie międzynarodowego turnieju szachowego.

— A więc po co pokaz jednoczesnej gry? — szepnął administrator. — Mogą nas zbić na kwaśne jabłko. A mając dwadzieścia rubelków, można by zaraz wsiąść na parowiec (przyszedł akurat Karol Liebknecht), pojechać spokojnie do Stalingradu i oczekiwać tam przyjazdu teatru. Może uda się nam wypatroszyć krzesła. Będziemy wtedy bogaczami i wszystko do nas należeć będzie.

— O pustym żołądku nie należy mówić takich głupstw. Wpływa to negatywnie na mózg. Za dwadzieścia rubli może uda się nam nawet dojechać do Stalingradu. Lecz za co będziemy żywić się? Witamin, drogi towarzyszu-prezesie, nikomu darmo nie dają. Natomiast z pełnych ekspansji mieszkańców Wasiuków można będzie za seans i odczyt wydoić ze trzydzieści rubli.

— Pobjiją nas! — powiedział gorzko Worobianinow.

Głód

— Oczywiście, jest w tym sporo ryzyka. Mogą nas zbić na kwaśne jabłko. Zresztą, mam pewną kombinacyjkę, która w każdym bądź razie przynajmniej was uchroni przed niebezpieczeństwem. Lecz o tym potem. Tymczasem chodźmy pokosztować tutejszych specjalów...

O godzinie szóstej wieczór wielki mistrz syty, ogolony i pachnący wodą kolońską, wszedł do kasy klubu Tekturowiec. Syty i ogolony Worobianinow sprzedawał żwawo bilety.

— Jakże tam? — spytał szeptem wielki mistrz.

— Biletów wstępu trzydzieści i biletów uczestnictwa dwadzieścia — odrzekł administrator.

— Szesnaście rubli. Słabo, słabo?

— Ależ, Bender, spójrzcie na ten ogonek przed kasą! Ani chybi, zbiją nas.

— Nie myślcie teraz o tym. Będziecie beczec, gdy będą bić, a tymczasem nie marudźcie! Uczcie się handlu!

Po upływie godziny było już w kasie trzydzieści pięć rubli. Publiczność niecierpliwiła się w sali.

— Zamykajcie okienko! Dajcie forszę! — rzekł Ostap. — A teraz słuchajcie. Macie tu pięć rubli, idźcie na przystań, wynajmijcie łódkę na dwie godziny i oczekujcie mnie na brzegu poniżej spichlerza. Urządzimy sobie wieczorną przejażdżkę. O mnie możecie być całkiem spokojni. Jestem dziś w dobrej formie.

Wielki mistrz wszedł do sali. Czuł się doskonale i wiedział z całą pewnością, że pierwsze posunięcie e2–e4 nie grozi mu żadnymi komplikacjami. Pozostałe wprowadzie posunięcia przedstawiały się nader mglisto, lecz Wielkiego Kombinatora nie zbijało to bynajmniej z tropu. Obmyślił zupełnie nieoczekiwany sposób wyjścia z nawet najbardziej beznadziejnej partii.

Mistrza przywitano oklaskami. Niedużą salkę klubową zdobiły różnobarwne papierowe chorągiewki. Przed tygodniem odbyła się tu zabawa Towarzystwa Pomocy Tonącym, czego widomym śladem było między innymi hasło na ścianie: „Ratowanie tonących — winno być dziełem samych tonących”.

Ostap uklonił się, zrobił przy tym gest, zastrzegając się jak gdyby przed niezashednymi oklaskami, i wszedł na estradę.

— Towarzysze! — zaczął wspaniałym głosem. — Towarzysze i bracia moi w szachach, tematem mego odczytu jest to, o czym przed tygodniem mówiłem w Niżnym Nowogrodzie, i przyznać muszę, nie bez powodzenia. Temat mego odczytu to zwycięska idea debiutu. Towarzysze, co to jest debiut i co to jest idea? Debiut, towarzysze, to *quasi una fantasia*⁴¹⁰. A co to jest, towarzysze, uważacie, idea? Idea, towarzysze, to myśl ludzka przyobleczone w logiczny kształt zachowy. Nawet przy znikomym siłach można opanować całą szachownicę. Wszystko zależy od tego, z jakim indywiduum mamy do czynienia. Weźmy, na przykład, tego blondynka w trzecim rzędzie. Przypuśćmy, że gra dobrze...

Blondyn w trzecim rzędzie zarumienił się.

— A tamten, na przykład, brunet, gra, uważacie, gorzej.

Wszyscy odwrócili się i obejrzeni również bruneta.

— Cóż więc widzimy, towarzysze? Widzimy, że blondyn gra dobrze, a brunet gra źle. I żadne odczyty nie zmieniają tego układu sił, jeśli każde indywiduum z osobna nie będzie się ustawicznie trenowało we władaniu szabl... *pardon*, chciałem powiedzieć — szachami... A teraz, towarzysze, opowiem wam parę pouczających historii z praktyki naszych czcigodnych hipermodernistów: Capablanki, Laskera i doktora Grygoriewa.

Ostap podzielił się z audytorium kilkoma przedpotopowymi anegdotkami, przeczytanymi jeszcze w dzieciństwie w „Przyjacielu dzieci”, i na tym zakończył swe intermezzo⁴¹¹.

Zwięzłość odczytu wywołała wśród obecnych lekkie zdumienie. Jednooki nie spuszczał swego jedyne go oka z butów wielkiego mistrza.

⁴¹⁰*quasi una fantasia* (wł.) — na kształt fantazji. [przypis edytorski]

⁴¹¹*intermezzo* (wł.) — wstawka o charakterze komicznym. [przypis edytorski]

Jednakże przewidziany w programie seans równoczesnej gry położył chwilowo tamę podejrzeniom nurtującym jednookiego szachistę. Wraz z innymi ustawiał stoły w podkowie. Do gry z mistrzem zasiadło raptem trzydziestu amatorów. Niektórzy spośród nich byli straszliwie zmieszani i raz po raz zaglądali do podręczników gry szachowej, odświeżając w pamięci rozmaite kombinacje, które pozwoliłyby im poddać się mistrzowi z honorem: przynajmniej po dwudziestym drugim posunięciu.

Ostap zerknął najpierw na szeregi „czarnych”, które otaczały go ze wszystkich stron, potem na zamknięte drzwi i wziął się do roboty. Podeszedł do jednookiego, który siedział przy pierwszej szachownicy, i przesunął z e2 na e4.

Jednooki wsparł natychmiast głowę na dłoniach i zaczął z natężeniem myśleć. W szeregach amatorów rozległ się szepot:

— Mistrz przesunął pionek z e2 na e4.

Ostap nie psuł swych przeciwników różnorodnością posunięć. Na pozostałych dwudziestu szachownicach dokonał tej samej operacji: przesunął króla z e2 na e4. Miłośnicy jeden po drugim łapali się za głowę i pogrążali w gorączkowych rozmyślaniach. Niebiorący udziału w grze spoglądali na mistrza.

Jedyny w mieście fotograf-amator wgramolił się na krzesło i zamierzał już zapalić magnezję⁴¹², gdy Ostap machnął gniewnie ręką i donośnie krzyknął:

— Zabierzcie stąd tego fotografa! Przeszkadza mi w skupieniu myśli szachowych!

„Z jakiej racji mam zostawić w tej marnej miejscinie swą fotografię. Nie lubię mieć do czynienia z milicją” — pomyślał.

Syk oburzonych miłośników zmusił fotografa do wyrzeczenia się zamiaru. Gniew ich był tak wielki, że fotografa wykurzono nawet z lokalu.

Przy trzecim posunięciu okazało się, że mistrz gra osiemnaście hiszpańskich partii. W pozostałych dwunastu czarni zastosowali przestarzałą już wprawdzie, lecz dość celową obronę Philidora. Ostap byłby niepomierne zdziwiony, gdyby dowiedział się, że gra takie trudne partie i walczy z tak wypróbowaną obroną. Sedno w tym, że Wielki Kombinator grał w szachy po raz drugi w życiu.

Z początku miłośników, a przede wszystkim jednookiego, ogarnęło przerażenie. Podstęp mistrza był niewątpliwy. Z nadzwyczajną niefrasobliwością i, niewątpliwie, drwiąc w duszy niemilosiernie z amatorów miasta Wasiuki — mistrz poświęcał pionki oraz ważne i mniej ważne figury. Zdyskwalifikowanemu podczas odczytu brunetowi ofiarował nawet damę.

Brunet przeraził się do tego stopnia, że chciał się niezwłocznie poddać. Niemało wysiłku kosztowało go dalsze kontynuowanie gry.

Po pięciu minutach spadł grom z jasnego nieba.

— Mat — bąknął śmiertelnie przerażony brunet. — Daję wam mata, towarzyszu.

Ostap zanalizował sytuację, damę nazwał haniebnie królową i górnolotnie powinszował brunetowi wygranej. Wśród miłośników rozległ się szmer.

„Trzeba uciekać!” — pomyślał Ostap, krążąc spokojnie dokoła stołów i niedbale przesuwając figury.

— W sposób niewłaściwy przesunął pan konia, towarzyszu mistrzu — wykrztusił jednooki. — Konia tak się nie stawia.

— *Pardon, pardon*, darujcie — odrzekł wielki mistrz. — Jestem nieco znużony odczytem.

W ciągu następnych dziesięciu minut wielki mistrz przegrał jeszcze dziesięć partii.

W klubie Tekturowiec zaczęły się raz po raz rozlegać okrzyki zdumienia. Konflikt powoli dojrzewał. Ostap przegrał jedną po drugiej jeszcze piętnaście partii, a wkrótce — jeszcze trzy. Pozostał na placu już tylko jeden jednooki. Na początku gry zrobił ze strachu mnóstwo błędów i teraz z trudem zdążał do zwycięskiego końca. Ostap zdjął nieznacznie z szachownicy czarną wieżę i schował ją do kieszeni.

Tłum zwarł się wokół grających.

— Dopiero tu stała moja wieża! — krzyknął, rozglądając się dokoła, jednooki. — A teraz już jej nie ma.

⁴¹²*magnezja* — związek magnezu i związków potasu, który po zapaleniu daje silne światło; używana dawniej podczas wykonywania zdjęć. [przypis edytorski]

— Nie ma, a więc nie było! — odrzekł gburowato Ostap.
 — Jak to, nie było? Doskonale pamiętam!
 — Oczywiście, nie było.
 — A gdzie się w takim razie podziała? Wygraliście ją?
 — Wygrałem.
 — Kiedy? Przy jakim posunięciu?
 — Czego mi zawracacie głowę z waszą wieżą! Powiedzcie po prostu, że chcecie się poddać!
 — Ależ, towarzyszu, wszystkie posunięcia mam zapisane!
 — W kancelariach piszą! — rzekł Ostap.
 — To oburzające! — zawył jednooki. — Oddajcie mi moją wieżę!
 — Poddajcie się, poddajcie, co to za hocki-klocki!
 — Oddajcie wieżę!

Przy tych słowach mistrz zrozumiał, że zwłoka równa się śmierci, wziął w garść parę figur i cisnął je w głowę jednookiego przeciwnika.

— Towarzysze! — wrzasnął jednooki. — Biorę was na świadków! Amatora biją. Szachiści miasta Wasiuki zbaranieli.

Ostap, nie tracąc drogiego czasu, cisnął szachownicą w lampę i wałąc po ciemku po jakichś łbach i gębach, wybiegł na ulicę. Wasiukowscy miłośnicy, popychając się wzajemnie, skoczyli za nim.

Noc była księżycowa. Ostap mknął po oświetlonej srebrnym blaskiem ulicy, unosząc się nad grzeszną ziemią lekko jak anioł. Ponieważ przemiana Wasiuków w centrum wszechświata nie została dokonana, przeto⁴¹³ uciekać trzeba było drogą wiodącą nie pomiędzy dwoma rzędami pałaców, lecz między drewnianymi domkami zaopatrzonymi w zewnętrzne okiennice. Za Ostapem biegli miłośnicy gry szachowej.

— Trzymajcie mistrza! — ryczał jednooki.

— Łotr! — przytakiwali pozostali.

— Durnie! — rewanzował się wielki mistrz, zdławiając szybkość.

— Milicja! — wrzeszczeli dotknięci do żywego szachiści.

Ostap dopadł już schodów prowadzących na przystań. Pozostawało do przebycia czterysta stopni. Na szóstym pomoście czatowali na Ostapę dwaj amatorzy, którzy pobiegli na przelaj. Ostap obejrzał się. Z góry, na kształt sfory psów, toczyła się grupa rozwścieczonych zwolenników obrony Philidora. Rejterada⁴¹⁴ była niemożliwa. Dlatego też Ostap pobiegł przed siebie.

— Popamiętajcie mnie jeszcze, dranie! — warknął pod adresem zuchowatej pikiety, rzucając się z piątego pomostu.

Przerażony patrol wrzasnął z przestrachu, fiknął kozła za poręcz i potoczył się gdzieś w dół po zboczach i górkach. Droga była wolna.

— Trzymajcie mistrza! — słychać było z góry.

Kroki prześladowców na drewnianych schodach przypominały stuk spadających kręgli.

Znalazłszy się na brzegu, Ostap zboczył na prawo, szukając wzrokiem łódki z wiernym sobie administratorem.

Hipolit Matwiejewicz siedział idyllicznie w łódce. Ostap skoczył gwałtownie na ławkę i zaczął wściekle wiosłować w kierunku przeciwnym od brzegu. Po chwili do łódki posypały się kamienie. Jeden z nich trafił Hipolita Matwiejewicza. Tuż nad wiadomym przyszcem wyskoczył guz. Hipolit Matwiejewicz wtulił głowę w ramiona i beknął.

— Patrzcie go! Mnie omal głowy nie urwali. A ja — nic. Wesół jestem i dobrej myśli. Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę pięćdziesiąt rubli czystego zysku, to przyznać musimy, że za jeden guz na waszej głowie jest to wcale przyzwoite honorarium.

Tymczasem prześladowcy, którzy dopiero teraz zrozumieli, że plan przekształcenia Wasiuków w New Moskwę runął i że wielki mistrz wywozi z miasta pięćdziesiąt rubli wasiukowej krwawicy — wpakowali się do dużej łodzi i z hałasem wypłynęli na środek rzeki. Do łodzi wpakowało się ze trzydziestu ludzi. Każdy pragnął wziąć osobiście udział

⁴¹³przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

⁴¹⁴rejterada — ucieczka. [przypis edytorski]

w wymierzeniu sprawiedliwości. Ekspedycją kierował jednooki. Jego jedyne oko świeciło w nocy jak latarnia morska.

— Trzymać mistrza! — wyli w przeładowanej barce.

— Wiejmy, Kisa — rzekł Ostap. — Jeżeli nas dogonią, nie rękę za całość waszych binokli.

Obie łódki szły z prądem w dół rzeki. Odległość między nimi wciąż się zmniejszała. Ostap wyteżał resztki sił.

— Nie wymkniecie się, dranie! — odgrażano się z barki.

Ostap nie odpowiadał. Nie miał na to czasu. Zapamiętałe wiosłował. Fontanny były spod szalejących wiosel i wpadały do łódki.

— Prędzaj! — szeptał Ostap do siebie.

Hipolit Matwiejewicz zmordował się do cna. Barka triumfowała. Jej kadłub miał już lupinę współników z lewej strony, pragnąc przycisnąć mistrza do brzegu. Niewesoły los czekał współników. Na barce zapanowała tak wielka radość, że wszyscy szachiści przeszli na prawy bok, aby zrównawszy się z łódką, natrzeć przeważającymi siłami na niegodziwca-mistrza.

— Pilnujcie binokli, Kisa! — krzyknął w rozpacz Ostap, rzucając wiosła. — Zaraz się zacznie!

— Panowie! — pisnął nagle Hipolit Matwiejewicz kogucim głosem. — Doprawdy będziecie nas bić?

— I jeszcze jak! — huknęli wasiukowi amatorzy, szykując się do opanowania wrogiej łódki.

Lecz w tym czasie zaszedł wypadek ogromnie krzywdzący szachistów całego świata. Barka przechyliła się na prawo i wyla się do niej woda.

— Ostrożnie! — pisnął jednooki kapitan.

Lecz już było za późno. Zbyt wielu miłośników gry szachowej stłoczyło się na prawym brzegu wasiukowego *dreadnoughta*⁴¹⁵. Wobec przesunięcia środka ciężkości barka przestała się kołysać i zgodnie z prawami fizyki przewróciła się.

Wspólny jęk przeszył ciszę nocną.

— Uau! — pojękiwali szachiści.

Aż trzydziestu szachistów znalazło się w wodzie. Szybko wypływali na wierzch i jeden za drugim czepiali się przewróconej barki. Ostatni przyplął jednooki.

— Durnie! — krzyczał w upojeniu Ostap. — Dlaczego nie bijecie waszego mistrza? Jeśli się nie mylę, zamierzaliście mnie bić?

Ostap krążył dokoła rozbitków:

— Rozumiecie chyba, cni obywatele miasta Wasiuiki, że mógłbym was jednego po drugim potopić jak szczenięta, lecz daruję wam życie. Żyćcie, obywatele. Tylko, na miłość boską, nie grajcie w szachy! Przecież wy nie macie zielonego pojęcia o grze! Ech, durnie, durnie! Jedziemy dalej, Hipolicie Matwiejewiczu! Żegnajcie, jednoocy miłośnicy! Zaczynam się lękać, że Wasiuiki nie staną się wszechświatową stolicą. Nie sądzę, by mistrze gry szachowej przyjechali do takich kpów⁴¹⁶ jak wy, choćbym ja sam nawet ich o to prosił. Żegnajcie, amatorzy silnych wrażeń szachowych! Niech żyje Klub Czterech Koni!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI I IN-N...!

Ranek spotkał współników niedaleko Czeboksarów⁴¹⁷. Ostap drzemał przy sterze, Hipolit Matwiejewicz poruszał sennie wiosłami. Nocny chłód przejmował obu dreszczem. Na wschodzie rozkwitały różowe pąki. Binokle Hipolita Matwiejewicza stawały się coraz jaśniejsze. Podłużne szkła zaczęły mienić się. Odzwierciedlały się w nich kolejno oba brzegi. Semafor z lewego brzegu załamywał się w podwójnie wklęsłym szkłe. Błękitne kopuły Czeboksarów płynęły na kształt okrętów. Ogród na wschodzie potężniał z każdą chwilą. Pąki przekształciły się w wulkany i zaczęły wyrzucać z siebie lawę najwspanialszych barw

⁴¹⁵*dreadnought* (ang.) — drednot, określenie generacji pancerników budowanych w latach 1906–1922. [przypis edytorski]

⁴¹⁶*kiep* (daw.) — człowiek głupi, nierozgarnięty. [przypis edytorski]

⁴¹⁷*Czeboksary* — miasto w Rosji, stolica Republiki Czuwaskiej, położone na trasie pomiędzy Kazaniem a Niżnym Nowogrodem. [przypis edytorski]

karmelkowych. Ptaszki na lewym brzegu zaczęły głośno awanturować się. Złota część binokli rozjarzyła się i oślepiła mistrza. Wzeszło słońce.

Ostap otworzył oczy i przeciągnął się, przechylając przy tym łódkę.

— Dzień dobry, Kiso — rzekł, ziewając na potęgę. — Pokłon ci niosę i wieść radosną: już słońce blaski nam śle gorące, słońce lekliwie wciąż drzące...

— Przystań — oznajmił Hipolit Matwiejewicz.

Ostap wyciągnął z zanadru przewodnik i sprawdził:

— Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa są to Czeboksary. Tak, tak... „Zwracamy uwagę na bardzo malowniczo położone miasto Czeboksary”... Kiso, czy doprawdy jest ono malowniczo położone? „Ludność w Czeboksarach wynosi obecnie siedem tysięcy siedmiuset dwóch mieszkańców”... Kiso! Wicie co, może przestaniemy już uganiać się za brylantami i powiększymy ludność Czeboksarów do siedmiu tysięcy siedmiuset czterech osób... Co wy na to? Byłoby to nader efektowne... Otworzymy tu „Petit Cheveau” i z tego „Petit Cheveau” będziemy mieć całkiem pewny kęs chleba. Jedźmy dalej! „W mieście, zbudowanym w 1555 roku, zachowało się parę bardzo ciekawych kościołów. Oprócz instytucji rządowych Republiki Czuwaskiej⁴¹⁸ są tutaj: uniwersytet robotniczy, szkoła partyjna, instytut pedagogiczny, dwie szkoły wyższe, muzeum, towarzystwo naukowe i biblioteka. Na czeboksarskiej przystani i na bazarze spotyka się Czuwaszów⁴¹⁹ i Czeremisów⁴²⁰ wyróżniających się zewnętrznym wyglądem”.

Lecz zanim przyjaciele zbliżyli się do przystani, na której spotyka się Czuwaszów i Czeremisów, ich uwagę zwrócił przedmiot płynący z prądem po rzece.

— Krzesło! — krzyknął Ostap. — Administratorze! Nasze krzesło tam płynie!

Wspólnicy popłynęli w kierunku krzesła. Kołysało się ono, przewracało, zanurzało w wodzie i znów wypływało, oddalając się od łódki współników. Woda bez przeszkód napelniała jego rozprute wnętrze.

Było to krzesło zoperowane na Skriabinie i teraz dążące z wolna do Morza Kaspijskiego.

— Witaj, przyjacielu! — krzyknął Ostap. — Kupę czasu już nie widzieliśmy się. Wicie, Worobianinow, krzesło to przypomina mi nasze życie. My również płyniemy z prądem. Zatapiają nas, my wypływamy na powierzchnię, choć — widzi mi się — nikt się z tego nie cieszy. Nikt nas nie lubi, oprócz wywiadu kryminalnego, który również nas nie lubi. Nikogo nic a nic nie obchodzimy. Gdyby miłośnikom gry szachowej udało się nas wczoraj zatopić, pozostałby po nas jedynie protokół oględzin naszych zwłok. „Oba ciała mają nogi wyciągnięte na południowy wschód, a głowy na północny zachód. Na ciele rany szarpane, zadanie najwidoczniej jakimś tęnym narzędziem”. Miłośnicy stłukliby nas, oczywista, szachownicami. Narzędzie, co tu gadać, do niczego. „Pierwszy — to trup mężczyzny mniej więcej pięćdziesięcioletniego, odziany w podartą alpagową marynarczynę, stare spodnie i stare buty; w kieszeni marynarki dowód na nazwisko Konrada Kartowicza Michelsona”...

— To wszystko, co by napisano? — spytał gniewnie Worobianinow.

— A! O mnie pisano by całkiem inaczej. O mnie pisano by tak: „Drugi trup był to mężczyzna dwudziestosiedmioletni. Kochał i cierpiał. Kochał pieniądze i cierpiał wskutek ich braku. Głowa jego o wysokim czole, obramowanym granatowoczarными puklami, zwrócona jest ku słońcu. Wytworne nogi, czterdziesty drugi numer trzewików, skierowane są w stronę północnej zorzy. Ciało obleczone w nieskazitelnie białe szaty, na piersiach złota harfa inkrustowana masą perłową oraz nuty romansu *Žegnaj, o usi, ma luba*. Zmarły młodzian zajmował się wypalaniem na drzewie, o czym wnioskować można ze znalezionej w kieszeni fraka zaświadczenia, wydane 23 VIII 24 r. przez związek chałupników „Pegaz i Parnas” nr 86/1562. I pochowają mnie, Kiso, urocząście z orkiestrą i mowami, i na pomniku mym wyryją: „Tu spoczywa znany termotechnik i niszczyiciel Ostap Sulejman Maria Bender bej, którego ojciec był obywatelem tureckim i zmarł, nie pozostawiając

Kondycja ludzka

⁴¹⁸ Republika Czuwaska a. Czuwaszja — republika w europejskiej części Rosji, jej stolicą są Czeboksary; w latach 1920–1990 istniała jako Czuwaska Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka. [przypis edytorski]

⁴¹⁹ Czuwasze — naród pochodzenia tureckiego, zamieszkujący Republikę Czuwaską. [przypis edytorski]

⁴²⁰ Czeremisi a. Maryjczycy — grupa etniczna pochodzenia ugrofińskiego, pierwotnie zamieszkująca tereny nad Wołgą i Kamą w dzisiejszej Rosji. [przypis edytorski]

w spadku synowi swemu Ostapowi Sulejmanowi ani grosza. Matka nieboszczyka była hrabiną i żyła z lekkich zarobków”.

Gwarząc w ten sposób, współnicy przybyli do czeboksarskiego brzegu.

Wieczorem, powiększywszy kapitał o pięć rubli (dzięki sprzedaży wasiukowej łódki), przyjaciele wsiedli na statek Urycki i popłynęli do Stalingradu. Liczyli na to, że uda im się w drodze przegonić ślamazarny parowiec i spotkać się z trupą „kolumbowców” w Stalingradzie.

Jarzący się gigant poniósł współników w dół rzeki. Minęli Kazań, Tietiusze, Uljanowski, Sengilej, sioło⁴²¹ Nowodiewiczje i pod wieczór następnego dnia zbliżyli się do Żyguli⁴²².

Już setki razy w tej powieści nadchodził wieczór, zachodziło słońce i świeciły gwiazdy, lecz jeszcze ani razu wieczór nie był tak łagodny i nie zwiastował tak doniosłych zdarzeń.

Pokłady Uryckiego zapełniły się pomarańczowym — w blaskach zachodzącego słońca — tłumem pasażerów. Niewysokie Góry Żygulowskie zieleniały z prawej strony. Pasażerów ogarnęły emocje.

Ostap, który jakimś cudem przepchał się z trzeciej klasy na dziób okrętu, wyciągnął przewodnik i dowiedział się z niego, że droga wzdłuż Żyguli daje ogromnie zadowolenie.

— „Statek — czytał Ostap na głos — płynie tuż przy brzegu, przecinając padające na rzekę cienie szczytów przybrzeżnych. Puszysty kobierzec zielonej, o rozmaitych odcieniach, roślinności nęci wędrowca, by zanurzył się w dziewiczą gęstwą lasów i rozkoszował odsłaniającymi się perspektywami i potężną krasawicą⁴²³: Wołgą; nęci, by podumać o tych dawnych czasach, gdy niezorganizowane buntownicze elementy...”

Pasażerowie stłoczyli się dookoła Ostapa.

— ...niezorganizowane buntownicze elementy, czując swą niemoc wobec istniejącego porządku społecznego, „hulały” w tych okolicach, przejmując strachem kupców i urzędników zdążających ku Wołdze, nader ważnemu traktowi handlowemu. Nie bez powodu lud zachował dotąd w swej pamięci niemało legend, pieśni i bajek związanych z imionami zaglądnających nieraz do Żyguli — Jermaka Timofiejewicza⁴²⁴, Iwana Kolca⁴²⁵, Stiepana Razina⁴²⁶ i in.”

— I in!... — powtórzył Ostap, upojony wieczorem.

— I in-n! — jęknął tłum, wpatrując się w nikonące w cichej zmierzchu godzinie kurhany⁴²⁷.

— I in! — gwizdnęła syrena na statku, oznajmiając o legendach, pieśniach i bajkach spoczywających na szczytach Żyguli.

Księżyc, jak balon dziecinny, zawisł na niebie. Blask jego padł na górę.

Było to ponad siły ludzkie.

Z wnętrza statku dobiegało brzdąkanie gitary i namiętny głos kobiecy:

Spośród skał rzecznoego brzegu

Na szerokie morze fal

Wypływają gibkie czółna,

Gnąjąc przez nieznaną dal...

Szereg głosów podchwycił melodię. Entuzjazm ogarnął statek. Wszyscy dumali o dawnych czasach, gdy niezorganizowane buntownicze elementy hulały w tych okolicach, przejmując strachem...

Księżyc i Żyguli sprawiały niezapomniane wrażenie.

⁴²¹siolo (daw.) — osada wiejska. [przypis edytorski]

⁴²²Żyguli a. Góry Żygulowskie — wyżyna w Rosji położona na prawym brzegu Wołgi, część Wyżyny Nadwołżańskiej; na jej terenie występują głębokie wąwozy i parowy, złoża ropy naftowej oraz pokłady wapienia i asfaltu. [przypis edytorski]

⁴²³krasawica (daw.) — piękność. [przypis edytorski]

⁴²⁴Timofiejewicz, Jermak (1532/1534/1542–1585) — rosyjski ataman kozacki, historyczny zdobywca Syberii. [przypis edytorski]

⁴²⁵Kolec, Iwan (zm. 1583) — Kozak walczący u boku Jermaka Timofiejewicza. [przypis edytorski]

⁴²⁶Razın, Stiepan a. Stieńka Razın (ok. 1630–1671) — Kozak doński, przywódca powstania chłopskiego. [przypis edytorski]

⁴²⁷kurhan — dawny grobowiec w formie wzgórza. [przypis edytorski]

Gdy Urycki wymijał Dwóch Braci, śpiewali wszyscy. Od dawna już nie było słycać gitary. Wszystko ginęło w grzmiących tonach:

Dzień weselny Stieńkę z księżną
Na wieczyste czasy skuł...

Tymczasem Urycki dogonił statek loteryjny. Z daleka można było myśleć, że na statku powstał bunt marynarzy — rozlegały się jęki, przekleństwa i przedśmiertne rżenia. Wydawało się, że na Skriabinie stłuczono już beczki z rumem, powywieszano pasażerów pierwszej i drugiej klasy, a kapitan z rozbitą czaszką poniewiera się przed drzwiami z napisem „Dział rozrachunkowy”.

W istocie zaś i załoga, i pasażerowie pierwszej, drugiej i trzeciej klasy z niezwykłym hałasem i animuszem śpiewali ostatnią zwrotkę:

Cóż milczycie, oniemieli?
Niech gra wino, śmiechy, hej,
Zaśpiewajcie pieśń kurhanną...

Urycki, który dopędził Skriabina, znajdował się w centrum rozspiewanego cyklonu. Pasażerowie gromadnie wyrzucali za burtę perską księżniczkę.

Stłoczyły się statki służące do lokalnej komunikacji. Przepelnione były tutejszymi mieszkańcami, którzy wzrastali w obliczu Żyguli. Nie bacząc na to, również i tutejsi mieszkańcy śpiewali *Stieńkę Razina*:

Wołgo, Wołgo, rzeko święta,
Przyjm dziewczynę cudnych kras⁴²⁸...

W wodzie odzwierciedlały się czworokątne okna salonów i migotały latarenki statków lokalnych. Grzmiała pieśń i wydawało się, że na rzece odbywa się bal.

Urycki wyminął zręcznie parowiec loteryjny. Wspólnicy patrzyli z ufnością na swe pierwsze pływające schronienie. W blaskach światła, pośród zakazujących napisów i urzędowej krzątaniny, stały w kajucie reżysera trzy krzesła. Skriabin oddalał się tak powoli, że aż do samej Samary widać było jego światła.

*

Skriabin przyszedł do Stalingradu w początkach lipca. Przyjaciele oczekiwali go na przystani, ukryci za skrzyniami. Przed wylądowaniem statku odbyło się ostatnie ciągnięcie.

Na krzesła trzeba było czekać cztery godziny. Najpierw wysypali się ze statku „kolumbowcy” i urzędnicy loteryjni. Następnie, po wylądowaniu prasy hydraulicznej, zaczęto wnosić dekoracje.

Krzesła wyniesiono, gdy już ściemniło się. „Kolumbowcy” załadowali się na pięć dwukonnych wozów i pokrzykując wesoło, pojechali wprost na dworzec.

— Wydaje mi się, że teatr jedzie do Piatigorska przez Mineralne Wody.

Pieniądzy starczyło współnikom raptem na jeden bilet.

— Umiecie jeździć na gapę? — spytał Ostap Worobianinowa.

— Spróbuję — odrzekł nieśmiało Hipolit Matwiejewicz.

— Pał was licho! Lepiej nie próbujcie! Jeszcze raz wam daruję. Było nie było — ja pojedę na gapę.

Hipolit Matwiejewicz jechał za biletem w niewygodnym, nieposiadającym miejscówek wagonie; wagonem tym przybył dawny marszałek szlachty na ozdobioną oleandrami w zielonych donicach stację Mineralne Wody w północnokaukaskiej dyrekcji kolejowej i starając się wpadać w oczy wysiadającym z wagonu „kolumbowcom”, udał się na poszukiwania Ostapa.

Teatr, ulokowawszy się w nowiutkich wagonach letniskowych, pojechał sobie już dawno do Piatigorska, a Ostapa wciąż jeszcze nie było. Przyjechał dopiero pod wieczór i zastał Worobianinowa całkiem rozklekotanego.

— Gdzieście byli? — lamentował marszałek. — Tak się już zmordowałem.

⁴²⁸krasa (daw.) — uroda, piękno. [przypis edytorski]

— To wy niby, mając bilet kolejowy w kieszeni, z mordowaliście się? A ja, na ten przykład, nie z mordowałem się? A więc to nie mnie na jednej ze stacji przepędzono z buforów waszego pociągu? A więc to nie ja przesiedziałem tam, jak dureń, trzy godziny, oczekując pociągu towarowego z pustymi butelkami? Jesteście skończoną świnią, obywatelu preziesie! Gdzie teatr?

— W Piatigorsku.

— A więc: jazda! Coś niecoś zwędziłem po drodze. Czysty dochód wynosi trzy ruble. Rozumie się, nie jest to wiele, lecz na zaopatrzenie się w narzan⁴²⁹ i bilety kolejowe wystarczy.

Pociąg lokalny z wielkim hałasem dowiózł wędrowców do Piatigorska w ciągu pięćdziesięciu minut. Minąwszy Żmijkę⁴³⁰ i Besztai⁴³¹, wspólnicy przybyli do podnóża Maszuka⁴³²...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESIĘTY TRZECI WIDOK NA MALACHITOWĄ KAŁUZĘ

Był czysty, przejrzysty wieczór niedzielny. Wydawało się nawet, że Maszuk, którego zboczne pokryte jest krzakami i gajami, był starannie jakoś rozczesany i sączył zapach górskiego weżetalu⁴³³.

Na lilipucim peronie migwały białe spodnie z najrozmaitszych materiałów: z rogoży, ze skóry, z płótna żaglowego i delikatnej flaneli. Noszono tu sandały i koszule „apasz”. Wspólnicy w ciężkich, brudnych buciorach, w ciężkich, zakurzonych spodniach, ciepłych kamizelkach i rozpalonych marynarkach czuli się tu zupełnie obco. Wśród mnóstwa jaskrawych perkalików, którymi popisywały się przyjezdne wykwintnisie, najjaskrawszy i najwytworniejszy zarazem był strój zawiadowczyni stacji. Ku zdumieniu wszystkich przyjezdnych zawiadowcą stacji była kobieta. Spod czerwonej czapki z dwoma galonami⁴³⁴ na obramowaniu sterczały niesforne rude pukle. Zawiadowczyni miała na sobie biały przepisowy kitel i białą spódnicę.

Nasi wędrowcy popatrzyli z lubością na zawiadowczynię, przeczytali świeżo nalepiony afisz o gościnnych występach w Piatigorsku Teatru Kolumba, wypili dwie szklanki narzanu, po czym tramwajem „Dworzec–Kwietnik” dostali się do miasta. Za wstęp do „Kwietnika” wzięto dziesięć kopiejek.

W „Kwietniku” było dużo muzyki, dużo wesołych jegomościów i bardzo mało kwiatów. W białej muszli orkiestra symfoniczna grała *Taniec komarów*. W Galerii Lermontowa⁴³⁵ sprzedawano narzan. Narzan sprzedawano w kioskach bądź też roznoszono wśród publiczności.

Nikogo nic a nic nie obchodził los dwóch brudnych poszukiwaczy brylantów.

— Tak, Kiso — rzekł Ostap — jesteśmy obcy na tej uczcie.

Pierwszą noc w uzdrowisku wspólnicy spędzili koło źródła narzanu. Dopiero tu, w Piatigorsku, gdy Teatr Kolumba pokazał zdumionym obywatelom swój *Ożenek* po raz trzeci, wspólnicy zrozumieli całą trudność pogoni za brylantami. Przedostać się, jak to początkowo planowali, do teatru — nie było rzeczą łatwą. Za kulisami nocowali: Gałkin, Pałkin, Małkin, Czalkin i Załkind, którym niskie diety nie pozwalały na zamieszkanie w hotelu. Mijały dni jeden za drugim i przyjaciele tracili po prostu siły, nocując w miejscu wslawionym pojedynkiem Lermontowa i żyjąc z tego, co kapało im za przenoszenie bagaży turystów.

Szóstego dnia Ostapowi udało się zawrzeć znajomość z monterem Miecznikowem, kierownikiem hydroprasy.

Miecznikow, który w owym czasie wskutek braku pieniędzy upijał się codziennie narzanem, doszedł do okropnego stanu i według spostrzeżeń Ostapa sprzedawał na rynku

⁴²⁹ narzan — woda mineralna. [przypis redakcyjny] [przypis edytorski]

⁴³⁰ Żmijka, właśc. *Góra Wężowa* — góra w Rosji, w Kraju Stawropolskim, u podnóża której leży miasto Mineralne Wody. [przypis edytorski]

⁴³¹ Besztai — masyw wulkaniczny w Rosji, na przedgórzu Kaukazu. [przypis edytorski]

⁴³² Maszuk — góra w Rosji, w bezpośredniej bliskości miasta Piatigorsk. [przypis edytorski]

⁴³³ weżetal — materiał, tiul perukarski. [przypis edytorski]

⁴³⁴ galon — ozdoba z taśmy naszytej na ubraniu. [przypis edytorski]

⁴³⁵ Lermontow, Michaił Jurjewicz (1814–1841) — rosyjski pisarz, prozaik, dramaturg. [przypis edytorski]

niektóre rekwizyty teatralne. Sprawa została ostatecznie przypiętowana przy rannym picu wody źródlanej. Monter Miecznikow nazywał Ostapa „duszką” i na wszystko zgadzał się.

— Zrobi się — mówił — zrobi się, duszko. Z najmiłą chęcią, duszko.

Ostap od razu zorientował się, że monter jest kuty na cztery nogi.

Kontrahenci patrzyli sobie w oczy, obejmowali się czule, klepali po ramieniu i uprzejmie uśmiechali się.

— A więc! — rzekł Ostap. — Za cały ten kram daję dziesiątkę.

— Duszko! — zdumiał się monter. — Nie drażnij mnie. Zmęczony jestem narzanem.

— A ileż chciałbyś?

— Wybul pół setki. Toż to mienie państwowe. Zmęczony jestem.

— Dobra! Dam dwadzieścia! Zgoda? No, po oczach widzę, że zgadzasz się.

— Zgoda jest to produkt absolutnego niesprzeciwiania się stron.

— Dobrze klaruje, hajdak — szepnął Ostap nieznacznie do Hipolita Matwiejewicza.

— Bierzcie przykład!

— A więc kiedy przyniesiesz krzesła?

— Dasz forszę, dam krzesła.

— Zrobi się — rzekł bez namysłu Ostap.

— Najpierw forsa — oświadczył monter. — Z rana forsa, wieczorem krzesła; albo wieczorem forsa, a nazajutrz z rana krzesła.

— A może by tak dziś krzesła, a jutro pieniądze? — próbował Ostap.

— Wiesz przecież, duszko, że jestem zmęczony. Warunków takich dusza ma nie przyjmuje.

— Lecz ja dopiero jutro — targował się Ostap — otrzymam telegraficznie pieniądze.

— No, to wtedy pogadamy — kończył rozmowę uparty monter — a tymczasem, duszko, życzę powodzenia przy źródle. Uciekam już. Mam huk roboty z tą prasą. Symbijewicz dusi mnie. Już mi sił brak. A czy można poprzestać na picu narzanu?

I Miecznikow, oświecony wspaniałym słońcem, poszedł sobie.

Ostap spojrział surowo na Hipolita Matwiejewicza.

— Czas — rzekł — który mamy, to pieniądz, którego nie mamy. Kiso, musimy zrobić karierę. Leży przed nami sto pięćdziesiąt tysięcy rubli i zero kopiejek. Potrzeba nam tylko dwudziestu rubli, by posiąść ten skarb. Nie można teraz gardzić żadnymi środkami. Albo, albo!

Ostap w zamyśleniu krążył koło Hipolita Matwiejewicza.

— Zdejmcie marynarkę, prezisie, żywiej — rzekł nieoczekiwanie.

Ostap wziął marynarkę z rąk zdumionego Hipolita Matwiejewicza, cisnął ją na ziemię i zaczął deptać zakurzonymi butami.

— Co wy robicie? — zawył Worobianinow. — Od piętnastu już lat noszę tę marynarkę i wciąż jeszcze wygląda jak nowa!

— Nie denerwujcie się! Za chwilę nie będzie już wyglądała jak nowa. Dajcie kapelusze! A teraz posypcie spodnie piaskiem i zwilżycie ja narzanem. Marsz!

W ciągu paru minut Hipolit Matwiejewicz stał się obrzydliwie brudny.

— Teraz dopiero dojrzełicie do tego, by zarabiać w uczciwy sposób.

— Cóż mam robić? — spytał płaczliwie Worobianinow.

— Spodziewam się, że znacie francuski?

— Bardzo kiepsko. W ramach kursu gimnazjalnego.

— Hm... Trzeba będzie działać w tych ramach. Czy potraficie powiedzieć po francusku takie na przykład zdanie: „Panie, sześć dni nie jadłem”?

— *Monsieur* — zaczął, jękając się, Hipolit Matwiejewicz — *monsieur*, hm... hm... *že ne*, do licha, *že ne manž pan...* sześć, do licha, *en, de, troa, katr, sank, sis...* *žur...* A więc: *že ne manž pa sis žur!*

— Macie okropny akcent, Kiso! A zresztą, czego można wymagać od żebraka. Oczywiście, żebrak w Rosji europejskiej mówi po francusku gorzej niż Millerand⁴³⁶. No, Kiciu, a w jakich granicach mieści się wasza znajomość niemieckiego?

Zgoda

Czas, Pieniądz

⁴³⁶Millerand, Alexandre (1859–1943) — francuski polityk, w latach 20. XX w. premier i prezydent Francji. [przypis edytorski]

— Na co mi to wszystko? — krzyknął Hipolit Matwiejewicz.

— Na to — rzekł Ostap znacząco — że pójdziecie zaraz na „Kwietnik”, staniecie sobie w cieniu i będziecie po francusku, po niemiecku, po rosyjsku prosić o jałmużnę, zaznaczając przy tym, że jesteście dawnym członkiem Dumy⁴³⁷. Czysty dochód otrzyma w całości monter Miecznikow. Rozumiecie?

Hipolit Matwiejewicz zmienił się w okamgnieniu. Jego wypięta pierś przypominała Most Pałacowy w Leningradzie, z oczu sypały się iskry, a z nozdrzy, zdawało się, buchnęły kłęby dymu. Wąsy zaczęły się z wolna podnosić.

— Aj, aj, aj — rzekł Wielki Kombinator, bynajmniej tym wszystkim nieprzestraszony — spojrzycie tylko na niego. Istny burczymucha⁴³⁸.

— Nigdy — Hipolit Matwiejewicz rozpoczął nagle popis brzuchomówcy — nigdy jeszcze Worobianinow nie wyciągał ręki.

— No to wyciągniecie kopyta, stara fujaro — wrzasnął Ostap. — Wyciągaliście rękę?

— Nie wyciągałem.

— Jak wam się podoba to sutenerstwo?! Trzy miesiące żyje na mój koszt. Trzy miesiące daję mu jeść, pić i wychowuję go, a ten alfons staje teraz w trzeciej pozycji i oświadcza, że on... Hola! Dość tego, towarzyszu! Jedno z dwojga: albo natychmiast udacie się do „Kwietnika” parkowego i wieczorem przyniesiecie mi dziesięć rubli, albo automatycznie wykluczam was z liczby współników udziałowców. Liczę do pięciu. Tak czy nie? Raz!

— Tak — wymamrotał prezes.

— A więc powtórzcie zakłęcie.

— *Mesie, że ne manž pa sis žur. Geben zi mir bitte etwas kopek auf den sztik brod.* Dajcie, co łaska, byłemu posłowi do Dumy.

— Jeszcze raz. Bardziej żałośnie.

Hipolit Matwiejewicz powtórzył.

— No, dobrze. Talent do żebraniny macie wrodzony. Idźcie już. Spotkanie o północy koło źródła. Zauważcie sobie, że to nie z romantyzmu, lecz po prostu wieczorami są hojniejsi.

— A wy — spytał Hipolit Matwiejewicz — dokąd pójdziecie?

— Nie martwcie się o mnie. Działam, jak zwykle, w najniebezpieczniejszym punkcie. Przyjaciele rozeszli się.

Ostap pobiegł do sklepiku z materiałami piśmiennymi, za ostatnią dziesiątkę kupił tam kwitariusz i około godziny przesiedział na kamiennym słupku, numerując pilnie kartki kwitariusza i podpisując się na każdej z nich.

— Przede wszystkim: system — mamrotał. — Każdy grosz społeczny winien być zanotowany.

Wielki Kombinator ruszył żołnierskim krokiem górską ścieżką na miejsce pojedynku Lermontowa z Martynowem; Ostap, którego mijaly wciąż autobusy i dwukonne powozy, pozostawił wreszcie za sobą sanatoria i domy wypoczynkowe i zbliżył się do grotty.

Niewielka, wykuta w skale galeria wiodła do stożkowej grotty. Na końcu galerii znajdował się balkonik, z którego można było dojrzeć na dnie grotty małą kałużę śmierdzącego malachitowego płynu. Grotę tę uważają za osobliwość Piatigorska i dlatego w ciągu dnia zwiedza ją znaczna liczba wycieczek i samorzutnych turystów.

Ostap od razu wykombinował, że dla człowieka pozbawionego przesądów grotta może stanowić wcale pokazną pozycję budżetową.

— Zdumiewające po prostu — dumął Ostap — że miasto dotychczas nie wpadło na pomysł sprzedawania biletów wstępu do grotty? Jest to bodaj jedyne miejsce, do którego puszczają turystów darmo. Położę kres tej plamie hańbiącej reputację miasta i naprawię karygodne niedbalstwo.

I Ostap postąpił tak, jak nakazywał mu rozum, zdrowy instynkt i wytworzona sytuacja.

Staął przy wejściu do grotty i wymachując kwitariuszem, raz po raz wykrzykiwał:

⁴³⁷*Duma* — izba niższa parlamentu w Rosji. [przypis edytorski]

⁴³⁸*burczymucha* (żart.) — człowiek marudny. [przypis edytorski]

— Obywatele, proszę kupić bilety. Dziesięć kopiejek. Dzieci i czerwogwardziści darmo. Akademicy pięć kopiejek. Nienależący do związków zawodowych: trzydzieści kopiejek.

Ostap działał na pewniaka. Mieszkańcy Piatigorska nie uczęszczali do grotty, a z sowieckiego turysty zedrzeć dziesięć kopiejek za wstęp nie było rzeczą trudną. Do godziny piątej zbierało się już sześć rubli. Było to zasługą nienależących do związku, których było mnóstwo w Piatigorsku. Wszyscy z największym zaufaniem składali swe dziesiątki, a nawet jeden rumiany turysta ujrawszy Ostapę, rzekł z triumfem do żony:

— Widzisz, Taniu, mówiłem ci przecież wczoraj? A tyś upierała się, że za wstęp do grotty nic się nie płaci. To niemożliwe przecież, towarzyszu, prawda?

— Święta prawda — zgodził się Ostap — to niemożliwe, by nie brać za wstęp. Członkowie związku dziesięć kopiejek. Dzieci i czerwogwardziści darmo. Akademicy pięć kopiejek, a nienależący do związków zawodowych: trzydzieści kopiejek.

Przed wieczorem na dwóch drabiniastych wozach przyjechała wycieczka charkowskich milicjantów. Ostap przestraszył się i chciał nawet udać Bogu ducha winnego turystę, lecz milicjanci tak nieśmiało otoczyli Wielkiego Kombinatora, że nie miał on drogi odwrotu. Wobec tego krzyknął dość pewnym głosem:

— Członkowie związków płacą dziesięć kopiejek, lecz ponieważ milicjantów można traktować jak akademików i dzieci, więc płacą oni po pięć kopiejek.

Milicjanci zapłacili, zapytawszy tylko skromnie, na jaki cel przeznaczone są ich piątki.

— Na dokumentny remont tych zwalisk — odrzekł zuchwale Ostap — żeby się zanadto nie rozwalily.

Wówczas, gdy Wielki Kombinator handlował sprytnie widokami na malachitową kałużę, Hipolit Matwiejewicz, zgarbiony, przytłoczony wstydem, stał pod akacją i nie spoglądając nawet na spacerowiczów, przeżuwał trzy dane mu zdania:

— *Mensje, że ne manż pa... Geben zi mir bitte...* Dajcie, co łaska, byłemu posłowi do Dumy...

Nie można nawet skarżyć się, by dawano mało, lecz dawano jakoś niewesoło. Bądź co bądź spekulując na czysto paryskim wymawianiu wyrazu „manż” i budząc litość nędzą byłego posła do Dumy, Worobianinow zdołał wyżebrać trzy ruble.

Pod nogami spacerowiczów trzeszczał żwir. Orkiestra z nieznacznymi pauzami grała Straussa, Brahmsa⁴³⁹ i Griega⁴⁴⁰. Fala światowców przepływała z szumem obok starego marszałka. Cień Lermontowa unosił się niewidzialnie nad obywatelami zjadającymi smakołyki na werandzie parkowej. Unosiła się tu woń wody kolońskiej i narzanu.

— Dajcie, co łaska, byłemu posłowi do Dumy! — mruczał marszałek.

— Niemożliwe! Doprawdy był pan posłem do Dumy? — rozległo się tuż koło ucha Hipolita Matwiejewicza. — Istotnie brał pan udział w posiedzeniach! Ach! Ach! Pierwsza klasa!

Hipolit Matwiejewicz uniósł twarz i zamarł. Jak wróbelek, skakał przed nim tłusciutki Awessałom Władimirowicz Iznurenkow. Brązowawe łódzkie ubranie zmienił na białą marynarkę i szare spodnie. Był niezwykle podniecony i od czasu do czasu podskakiwał na jakieś pięć cali w górę. Iznurenkow nie poznał Hipolita Matwiejewicza i w dalszym ciągu zasypywał go pytaniami:

— Doprawdy widział pan Rodziankę⁴⁴¹? A Puriszkiwicz⁴⁴² doprawdy był łysy? Ach! Co za temat! Pierwsza klasa!

Wierząc się wciąż jak fryga, wsunął zmieszanemu marszałkowi w łapę trzy ruble i uciekł. Lecz długo jeszcze migotała w parku jego tłusciutka figurka i z drzew nieomal sypało się:

— Ach! Ach! Pierwsza klasa!

Hipolit Matwiejewicz stał wciąż z oczyma wbitymi w ziemię.

⁴³⁹ *Brahms, Johannes* (1833–1897) — niemiecki kompozytor okresu romantyzmu. [przypis edytorski]

⁴⁴⁰ *Grieg, Edward Hagerup* (1843–1907) — norweski kompozytor, pianista i dyrygent, autor lirycznych, nastrojowych utworów, twórca narodowej szkoły norweskiej w muzyce. [przypis edytorski]

⁴⁴¹ *Rodzianko, Michail Władimirowicz* (1859–1924) — rosyjski polityk i parlamentarzysta, przewodniczący Dumy w latach 1911–1917; jeden z przywódców rewolucji lutowej 1917. [przypis edytorski]

⁴⁴² *Puriszkiwicz, Władimir Mitrofanowicz* (1870–1920) — rosyjski działacz polityczny, deputowany do Dumy II, III i IV kadencji. [przypis edytorski]

A szkoda, że tak stał. Wielu rzeczy nie widział.

W mrokach cudownej nocy piatigorskiej przechadzała się po alejach parku Lalusia Szczukina, wlokąc za sobą pokornego, pogodzonego już z nią, Ernesta Pawłowicza. Wyjazd do wód był ostatnim akordem w ciężkiej walce z córką Vanderbilta: dumna Amerykanka wyjechała niedawno własnym jachtem na Wyspy Sandwich⁴⁴³.

— Ho, ho! — rozlegało się wśród nocnej ciszy. — Doskonale. Ernestula! Pych-cha!

W bufecie oświetlonym lampami siedział niebieski ptaszek Alchen ze swą małżonką Saszchen. Jej policzki, jak dawniej, ozdobione były mikołajewskimi bokobrodami. Alchen zjadał nieśmiało karski szaszłyk, popijając go winem kachetyńskim⁴⁴⁴ numer dwa, a Saszchen, gładząc bokobrody, czekała na przyniesienie zamówionego jesiotra.

Po likwidacji drugiego domu Starsobiesa wyprzedano wszystko (włączając w to nawet samodziślowy czepiec kucharza i transparent: „Przeżywając dokładnie pokarm, pomagamy społeczeństwu”). Alchen postanowił tedy⁴⁴⁵ wypocząć trochę i rozerwać się. Sam los oszczędził tego sprytnego draniuszka. Tego dnia właśnie wybierał się do grotty, lecz nie zdążył; i to go ocaliło. Ostap wydoiłby niechybnie z nieśmiałego zaw-choza co najmniej ze trzydzieści rubli.

Hipolit Matwiejewicz powlókł się w stronę źródła dopiero wtedy, gdy muzykanci składali już swe pulpity, publiczność świąteczna rozchodziła się i w suchotniczych alejach parku wzdychały jeno zakochane parki.

— Ileście uzbierali? — spytał Ostap, gdy zgarbiona figura prezesa zjawiała się koło źródła.

— Siedem rubli i dwadzieścia dziewięć kopiejek. Trzyrublówka papierowa. Reszta — miedź i trochę srebra.

— Jak na pierwszy występ — doskonale. Dniówka wykwalifikowanego robotnika! Serce me radujecie, Kiso! Lecz chciałbym wiedzieć, jaki to osioł dał wam trzyrublówkę? Może dalsieście mu resztę?

— Dał mi ją Iznurenkow.

— Niemożliwe! Awessałom? Patrzcie go, baryłka! Aż tu się potoczyła! Rozmawialiście z nim? Ach, nie poznał was!

— Wypytywał mnie o Dumę! Śmiał się.

— Widzicie, marszałku, że to nie tak źle być żebrakiem, zwłaszcza przy kiepskim wykształceniu i słabym głosie! A wyście tak grymasili, jak gdybyście byli co najmniej lordem kanclerzem pieczęci! I ja, Kiciuniu, czasu nie zmarnowałem. Piętnaście rubli, jak drut. Starczy nam!

Nazajutrz z rana monterowi wręczono pieniądze. Wieczorem przyniósł on dwa krzesła; trzeciego, jak twierdził, niepodobna było w żaden sposób zabrać. Realizacja dźwiękowa rznęła na nim w karty.

Dla większego bezpieczeństwa przyjaciele wgramolili się niemal na sam szczyt Marszuka.

W dole świeciły się solidne, nieruchome ognie Piatigorska. Nieco niżej od miasta mizerne ogienki wskazywały stanicę⁴⁴⁶ Ciepłe Wody. Dwoma równoległymi liniami światła przypominał o sobie wysuwający się zza góry Kisłowodzk.

Ostap spojrział w wygwieżdżone niebo i wyjął z kieszeni znane nam już obcegi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY ZIELONY PRZYŁĄDEK

Inżynier Bruns siedział na kamiennej werandzie pod dużą palmą, której nakrochmalone liście rzucały ostre i wąskie cienie na ogolony kark inżyniera, na jego białą koszulę i na krzesło z garnituru generałowej Popowej, na którym nudził się, oczekując obiadu.

Bruns wyjął soczyste usta i głosem rozkapryszonego bąka zawołał:

— Dzieci-i-i-inko!

⁴⁴³Wyspy Sandwich — dawna nazwa Hawajów, archipelagu w płn. części Pacyfiku, nadana w 1778 przez Jamesa Cooka na cześć ówczesnego szefa marynarki brytyjskiej, Johna Montagu, hrabiego Sandwich. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴wino kachetyńskie — wino produkowane we wsch. Gruzji. [przypis edytorski]

⁴⁴⁵tedy (daw.) — więc. [przypis edytorski]

⁴⁴⁶stanica — kaukaska osada. [przypis edytorski]

Wieś milczała.

Podzwrotnikowa flora przymilała się do inżyniera. Kaktusy wyciągały doń swe kolczaste dłonie. Draceny szeleściły liśćmi. Banany i drzewa palmowe chroniły łysinę inżyniera przed muchami, róże, pnące się po werandzie, padały mu do obutych w sandały stóp.

Lecz wszystko było daremne. Bruns czekał na obiad. Ze zdenerwowaniem patrzył na perłową zatokę, na daleki cypel Batumi, i śpiewnie wołał:

— Dzieci-i-inko! Dzieci-inko!

W wilgotnym podzwrotnikowym powietrzu wszelki dźwięk nader szybko zamierał. Odpowiedzi nie było. Bruns oczami wyobraźni ujrzał dużą, dobrze przysmażoną gęś z syczącą tłustą skórą i nie mogąc powstrzymać się, zawołał:

— Dzieci-i-inko, a co z gęsinką?!

— Andrzeju Michałowiczu! — krzyknął z pokoju kobiecy głos. — Nie zawracaj mi głowy.

Inżynier, zwinąwszy znów nawykłe do tego usta w trąbkę, odrzekł niezwłocznie:

— Dziecinko! Nie masz ani trochę litości nad swym małym mężulkiem!

— Wynoś się, żarłoku! — odpowiedziano z pokoju.

Lecz inżynier nie złożył broni. Zamierzał w dalszym ciągu prowokować gęsinę, co czynił już bezskutecznie od dwóch godzin, gdy nagle nieoczekiwany szelest zmusił go do obejrzenia się.

Z czarnzielonych bambusowych zarośli wyszedł człowiek w granatowej bluzie, przepasanej wytartym, skręcanym sznurkiem z gęstymi frędzlami, oraz w wyszarzanych, pasiastych spodniach. Dobroduszne oblicze nieznanego zdobiła kudłata bródka. W rękach trzymał marynarkę.

Podszedł bliżej i spytał urzejmie:

— Czy mógłbym się zobaczyć z inżynierem Brunsem?

— Służę panu — odezwał się basem zaklinacz gęsiny — jestem inżynier Bruns.

Przybysz padł bez słów na kolana. Był to ojciec Fiodor.

— Oszałał pan! — krzyknął, zrywając się z miejsca, inżynier. — Proszę natychmiast wstać.

— Nie wstanę — odrzekł ojciec Fiodor, patrząc na inżyniera jasnym wzrokiem.

— Wstań pan!

— Nie wstanę!

I ojciec Fiodor jął⁴⁴⁷ ostrożnie — by nie sprawiało to czasem bólu — tłuc głową o przydrożny żwir.

— Dziecinko! Chodź tutaj! — krzyknął przestraszony inżynier. — Patrz, co się tu dzieje. Wstań pan, bardzo proszę! No, błagam pana!

— Nie wstanę! — powtórzył ojciec Fiodor.

Na werandę wbiegła „dziecinka”, orientująca się doskonale w subtelnościach głosu męża.

Ujrawszy niewiastę, ojciec Fiodor zręcznie, nie wstając z ziemi, doczołgał się do jej stóp, pokłonił głęboko i zaczął lamentować:

— W tobie, dobrodziejko kochana, w tobie cała moja otucha i nadzieja!

Inżynier Bruns zarumienił się przy tych słowach, ujął petenta pod ramię i z wysiłkiem podniósł go, pragnąc postawić na nogi, lecz ojciec Fiodor założył sprytnie nogi pod siebie. Poruszony do głębi Bruns zaciągnął dziwnego gościa do kąta i przemocą posadził go na krzesło z fabryki Gamsa. Krzesło to nie pochodziło wprawdzie z willi Worobianinowa, lecz z salonu generalowej Popowej.

— Nie śmiem — bąknął ojciec Fiodor, kładąc na kolanach trącącą mocno naftą kamizelkę piekarza — nie mam śmiałości siedzieć w obecności tak wysoko postawionych osób.

I ojciec Fiodor znów próbował paść na kolana.

Inżynier powstrzymał go z żalnym okrzykiem.

— Dziecinko! — rzekł, ciężko sapiąc. — Pomów z tym obywatelem. To chyba jakieś nieporozumienie.

„Dziecinka” od razu zaczęła urzędowym tonem:

⁴⁴⁷jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

— W moim domu — rzekła groźnie — wypraszam sobie wszelkie klęknięcia!

— Duszo anielska! — roztkliwił się ojciec Fiodor. — Dobrodziejko!

— Nie jestem dla pana żadną dobrodziejką. Czym mogę służyć?

Klecha bełkotał coś niezrozumiałego, lecz najwidoczniej coś bardzo roztkliwiającego. Dopiero po wielu pytaniach udało się wydobyć z niego, że jako o szczególną łaskę prosi o sprzedaż mu garnitur krzesel, na jednym z których teraz właśnie siedzi.

Inżynier z wielkiego zdumienia puścił z rąk ramię ojca Fiodora, który natychmiast runął na kolana i zaczął czołgać się za inżynierem jak żółw.

— A z jakiej racji — krzyknął inżynier, unikając długich rąk ojca Fiodora — z jakiej racji mam sprzedawać swe krzesła?! Mimo że raz po raz pada pan na kolana, nie mogę nic a nic zrozumieć!

— Toż to przecież moje krzesła — wystękał ojciec Fiodor.

— Jak to pańskie? Niby jakim cudem? Zbzikował! Dziecinko! Teraz dopiero rozumiem! To jest kompletny wariat!

— Moje — pokornie powtarzał ojciec Fiodor.

— A więc według pana ukradłem je? — zawołał z gniewem inżynier. — Ukradłem? Słyszysz dziecinko? Toż to szantaż!

— Uchowaj Boże — szepnął ojciec Fiodor.

— Jeśli ukradłem, to dochodź pan swej krzywdy na drodze sądowej i nie rób skandalu w naszym domu! Słyszysz, dziecinko! Co za bezczelność! Obiady spokojnie zjeść nie dadzą!

Nie, ojciec Fiodor nie chciał o zwrot „swych” krzesel skarżyć do sądu. Nic podobnego. Wiedział, że inżynier Bruns nie ukradł mu tych krzesel. O, w myśli mu to nawet nie powstało. Lecz jednak krzesła te przed rewolucją należały do niego, ojca Fiodora, i są one nader drogie konającej teraz w Woroneżu żonie jego. Jej to wolę spełniając (sam nigdy by nie śmiał), pozwolił sobie wyszperać, gdzie znajdują się krzesła, i zjawić się u obywatela Brunsa. Ojciec Fiodor nie żąda jałmużny. O, nie! Ma dość środków po temu (niewielka fabryka świc w Samarze), by ostatnie chwile umierającej żony osłodzić nabyciem starych krzesel. Gotów jest szarpnąć się i za cały garnitur zapłacić dwadzieścia rubli.

— Co? — wrzasnął inżynier, pąsowiejąc. — Dwadzieścia rubli? Za wspaniały garnitur mebli? Dziecinko, słyszysz? Jednak to jest wariat! Jak mi Bóg miły, wariat!

— Nie jestem wariatem. Lecz wykonuję jedynie wolę małżonki mej ślubnej...

— Do diaska — przerwał inżynier — znów zaczął czołgać się. Dziecinko! On znów pełza!

— Powiedz pan wreszcie cenę — jęczał ojciec Fiodor, tłukąc oględnie głową o pień araukarii⁴⁴⁸.

— Nie niszczy drzewa, dziwaku! Dziecinko, wydaje mi się, że to nie wariat. Po prostu przejął się tak najwidoczniej chorobą żony. Może sprzedać mu te krzesła? Co? Pozbędziemy się go? Co? Gotów tu łeb sobie rozbić!

— A na czym my będziemy siedzieć? — spytała „dziecinka”.

— Kupimy inne.

— Za te dwadzieścia rubli?

— Za dwadzieścia, dajmy na to, nie sprzedam, nie sprzedam nawet za dwieście... a za dwieście pięćdziesiąt sprzedam.

Odpowiedzią było straszliwe uderzenie głową o dracnę.

— O, dziecinko, mam już tego dość!

Inżynier podszedł stanowczym krokiem do ojca Fiodora i zaczął mu dyktować ultimatum.

— Po pierwsze, proszę się oddalić od palmy co najmniej o trzy kroki. Po drugie, proszę natychmiast wstać. Po trzecie, meble gotów jestem sprzedać za dwieście pięćdziesiąt rubli; ani o grosz mniej.

— Nie gwoli⁴⁴⁹ zysku — jęknął ojciec Fiodor — a gwoli spełnienia życzenia mej chorej żony...

⁴⁴⁸ *araukaria* — roślina iglasta występująca w rejonie Australii i Oceanii. [przypis edytorski]

⁴⁴⁹ *gwoli* (daw.) — dla, w celu. [przypis edytorski]

— Słuchaj, kochasiu, i moja żona jest chora. Prawda, dziecinko, nie jesteś w porządku z płucami. Lecz ja nie domagam się na tej podstawie, żebyś mi... no... sprzedał na przykład pańską marynarkę za trzydzieści kopiejek!

— Oddam darmo — zapiał ojciec Fiodor.

Inżynier z pasją machnął ręką i zimno wycedził:

— Skończ pan już raz z tymi żartami. W dalsze rozważania nie mam zamiaru wdawać się. Oszacowałem krzesła na dwieście pięćdziesiąt rubli i nie spuszczać z tego ani kopiejki.

— Pięćdziesiąt! — zaproponował ojciec Fiodor.

— Dziecinko! — rzekł inżynier. — Zawołaj Bagrationa. Niech wyprowadzi tego obywatela!

— Nie gwoli zysku...

— Bagration!

Ojciec Fiodor uciekł ze strachu, a inżynier poszedł do stołowego i zabrał się do gęsinki. Ulubiona potrawa wpłynęła na Brunsa nader zbawiennie. Zaczął się powoli uspokajać.

Owinął właśnie kosteczkę w bibułkę od papierosów i podniósł smakowity kąsek do różowych ust, gdy nagle ukazało się w oknie błagalne oblicze ojca Fiodora.

— Nie gwoli zysku — rozległ się delikatny głos. — Pięćdziesiąt pięć rubli.

Inżynier, nie oglądając się, ryknął. Ojciec Fiodor znikł.

Potem przez calutki dzień postać ojca Fiodora migąła to tu, to ówdzie. Wybiegała spośród cienistych drzew palmowych, wyrastała nagle w gaju pomarańczowym albo też przebiegała przez dziedziniec i trzęsąc się, zdążała w kierunku ogrodu botanicznego.

Inżynier przez cały dzień wołał „dziecinkę”, uskarżał się na wariata i na ból głowy. W wieczornych ciemnościach od czasu do czasu rozlegał się głos ojca Fiodora:

— Sto trzydzieści osiem! — krzyczał skądś jak gdyby z nieba.

A po chwili jego głos donosił się od strony Dumbasowa.

— Sto czterdzieści jeden — proponował — nie gwoli zysku, panie Bruns, a gwoli...

W końcu inżynier nie wytrzymał, wyszedł na środek werandy i wpatrując się w nocne ciemności, krzyknął donośnie:

— Pał licho! Niech już będzie dwieście! Tylko odczep się pan!

Rozległ się szelest poruszonych bambusów, cichy jęk i oddalające się kroki. Potem wszystko ucichło.

W zatoce przeglądały się gwiazdy. Robaczki świętojańskie krążyły dokoła głowy ojca Fiodora, rzucając na jego twarz zielonawy, chorobliwy refleks.

— A to ptaszek! — bąknął inżynier, wchodząc do pokoju.

Tymczasem ojciec Fiodor pędził wzdłuż wybrzeża morkiego ostatnim autobusem do Batumi. Tuż obok, wydając dźwięki podobne do szelestu przewracanych kartek, uderzały fale, wicher smagał po twarzy i wycie szakali wtórowało syrenie samochodowej.

Tego wieczora ojciec Fiodor wysłał do miasta N. do swej żony, Katarzyny Aleksandrowny, depeszę następującej treści:

„Towar znalazłem, wyślij telegraficznie dwieście trzydzieści, sprzedaj, co chcesz. Fiedia”.

Pełen emocji wałęsał się dwa dni koło willi Brunsa, kłaniał się z daleka „dziecinco”, a nawet od czasu do czasu podzwrotnikową ciszę przerywał jego krzyk:

— Nie gwoli zysku, a gwoli spełnienia życzenia mej chorej żony...

Na trzeci dzień przyszły pieniądze wraz z rozpaczliwą depeszą:

„Wszystko wyprzedalam, zostałam bez grosza, całuję i czekam, Jewstigniejew nadal stołuje się. Katia”.

Ojciec Fiodor przeliczył pieniądze, pobożnie przeżegnał się, wynajął wóz i pojechał na Zielony Przylądek.

Pogoda była okropna. Wicher gnał chmury od tureckiej granicy. Góry ginęły we mgle. W szarym ołowiu stopił się błękit nieba. Nadchodziła burza. Zabroniono kąpania się i wypływania w łódkach na morze.

Huk i loskot rozległy się nad Batumi. Burza wstrząsała brzegami.

Ojciec Fiodor kazał woźnicy zatrzymać się przed willą Brunsa i zaczekać, sam zaś poszedł po meble.

— Przyniosłem pieniądze — rzekł ojciec Fiodor — mógłby mi pan opuścić trochę.

— Dziecinko — jęknął inżynier. — Już nie mogę.

— Już nic, nic, przyniosłem pieniądze — rzekł spiesznie ojciec Fiodor — dwieście rubli. Według umowy.

— Dziecinko! Weź od niego pieniądze! I niech on wynosi się z tym jak najszybciej. Migreny dostałem!

Cel całego życia był osiągnięty. Fabryczkę świec w Samarze ojciec Fiodor miał w rękach. Brylanty same sypały mu się do kieszeni.

Dwanaście krzesel jedno za drugim załadowano na wóz. Były one bardzo podobne do krzesel Worobianinowa, z tą tylko różnicą, że nie były obite wzorzystym kretonem, lecz niebieskim płótnem w różowe paski.

Ojca Fiodora po prostu rozsadzała niecierpliwość. Pod połą miał ukrytą siekiere. Ojciec Fiodor siadł obok woźnicy i oglądając się ustawicznie za siebie, na krzesła, ruszył w stronę Batumi. Żwawe koniki zwiozły Fiodora i jego skarb w dół na szosę. Przejechały obok knajpki „Feniks”, w której wiatr hulał po trzciniowych stołach i altankach; obok tunelu, polykającego ostatnie cysterny transportu naftowego, obok fotografa, pozabawionego w tak ponury dzień swej zwykłej klienteli, obok szyldu „Batumi Ogród Botaniczny” — i niezbyt szybko powlokły się tuż nad skalistym brzegiem. Krople słonej wody przyskały na ojca Fiodora. Fale, odparte przez skały, biły w górę fontanną i z wolna opadały.

Pęd i huk fal podniecał strwożonego ojca Fiodora. Konie, walcząc z wiatrem, zbliżały się z wolna do Machindzauri⁴⁵⁰. Kędy⁴⁵¹ okiem sięgnąć wszędzie, świszcząc, wzdymały się mętne zielone bałwany wód. Aż do samego Batumi ciągnęła się piana przyływu niby rąbek halki widoczny spod sukni nieporządnej damulki.

— Stój! — krzyknął nagle do woźnicy ojciec Fiodor. — Stój, muzułmaninie!

Dygocąc i potykając się, zaczął wyładowywać krzesła na bezludnym wybrzeżu. Obojętny woźnica otrzymał umówioną pięciorublówkę, smagnął konie biczem i odjechał. A ojciec Fiodor, przekonawszy się, że nikogo dookoła nie ma, ściągnął krzesła z urwiska na maleńki, suchy jeszcze skrawek plaży i wyjął siekiere.

Chwilę wahał się — nie wiedział, od którego krzesła zacząć. Potem, jak lunatyk, podszedł do trzeciego krzesła i dziko chlasnął siekiere w poręcz. Krzesło przewróciło się, lecz nie doznało żadnego szwanku.

— Aha! — krzyknął ojciec Fiodor. — Ja ci pokażę!

I rzucił się na krzesło jak na istotę żywą. W mgnieniu oka zostało ono posiekane jak kapusta. Ojciec Fiodor nie słyszał uderzeń siekiery o drzewo, o płótno i o sprężyny. Burza zagłuszała swym potężnym wyciem wszystkie inne dźwięki.

— Aha! Aha! Aha! — Ojciec Fiodor dygotał, rąbiąc z rozmachem.

Krzesło za krzesłem ubywało z szeregu. Wściekłość ojca Fiodora wciąż się wzmagala. Wzmagala się również burza. Niektóre fale docierały aż do samych stóp ojca Fiodora.

Od Batumi aż do Synopy⁴⁵² rozlegał się huk za hukiem. Morze wściekało się i wściekłość swą wyładowywało na każdym stateczku. Parowiec Lenin, kopząc z dwóch kominów i przechylając się o ciężale w tył, zbliżał się do Noworosyjska.

Na Morzu Czarnym srożyła się burza, wyrzucając spienione bałwany na brzeg Trebizondy⁴⁵³, Jałty⁴⁵⁴, Odessy i Konstancy⁴⁵⁵. Za ciszą Bosforu⁴⁵⁶ i Dardanelami⁴⁵⁷ grzmiało Morze Śródziemne. Za Cieśniną Gibraltarską⁴⁵⁸ tłukł się o brzegi Europy Atlantyckiej. Gniewne wody opasywały kulę ziemską.

A na wybrzeżu batumskim stał sobie malutki człowieczek i pocąc się, rąbał ostatnie krzesło. Po chwili wszystko było skończone. Ojca Fiodora ogarnęła rozpacz. Rzuciwszy osłupiałe spojrzenie na nagromadzony przez siebie stos nóg, poręczy i sprężyn — ojciec

Burza, Morze

⁴⁵⁰Machindzauri — wieś w Gruzji. [przypis edytorski]

⁴⁵¹kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

⁴⁵²Synopa — miasto w płn. Turcji, nad Morzem Czarnym. [przypis edytorski]

⁴⁵³Trebizonda a. Trabzon — miasto w płn.-wsch. Turcji, nad Morzem Czarnym. [przypis edytorski]

⁴⁵⁴Jałta — miasto w pld. części Półwyspu Krymskiego, na brzegu Morza Czarnego. [przypis edytorski]

⁴⁵⁵Konstanca — największy port handlowy Rumunii, leżący nad Morzem Czarnym. [przypis edytorski]

⁴⁵⁶Bosfor — cieśnina oddzielająca Europę od Azji, łącząca Morze Czarne z Morzem Marmara, położona między Półwyspem Bałkańskim a Azją Mniejszą. [przypis edytorski]

⁴⁵⁷Dardanele — cieśnina między Półwyspem Bałkańskim a Azją Mniejszą. [przypis edytorski]

⁴⁵⁸Cieśnina Gibraltarska — cieśnina łącząca Morze Śródziemne z Oceanem Atlantyckim; oddziela Afrykę od Europy. [przypis edytorski]

Fiodor cofnął się. Fala chwyciła go za nogi. Przemoczony zbiegł na szosę. Olbrzymia fala uderzyła o skałę i cofając się, uniosła okaleczony garnitur generałowej Popowej. Ojciec Fiodor nie widział już tego. Włókł się — zgarbiony — szosą, mokrą pięść przyciskając do piersi.

Wszedł do Batumi, nie widząc niczego dookoła. Jego sytuacja była rozpaczliwa. Pięćset kilometrów od domu z dwudziestoma rublami w kieszeni — przedostanie się do rodzinnego miasta było stanowczo niemożliwe.

Ojciec Fiodor minął bazar turecki, gdzie idealnym szeptem proponowano mu kupno pudru Coti'ego, jedwabnych pończoch i przemycanego tytoniu, dowlókl się do dworca i tam zagubił się w tłumie tragarzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY ŻAŁOSNY DEMON

Trzy dni po transakcji wspólników z monterem Miecznikowem Teatr Kolumba wyjechał koleją na Baku. W ciągu tych trzech dni wspólnicy, których apetytu nie zaspokoiła zawartość wypatroszonych na Maszuku dwóch krzesel, spodziewali się wciąż, że Miecznikow przyniesie im trzecie krzesło. Lecz monter, znużony picciem narzanu, całe dwadzieścia rubli zużył na kupno zwykłej siwuchy⁴⁵⁹ i doszedł do tego stanu, że trzymano go pod kluczem.

— A to nas ubrał! — skonstatował Ostap, dowiedziawszy się o odjeździe teatru. — Skończony drań z tego montera. Trzeba się będzie na przyszłość wystrzegać tea-robotników⁴⁶⁰!

Jednak szanse odszukania skarbów niepomiaralnie wzrosły.

— A więc Tyflis! — rzekł Ostap. — Nie ma co marudzić. Trzeba forsę na przejazd do Władykaukazu. Stamtąd Gruzińską Drogą Wojenną pojedziemy do Tyflisu autem. Czarujące widoki. Oszałamiający pejzaż. Cudowne powietrze górskie! A finał tego wszystkiego: okrągła sumka stu pięćdziesięciu tysięcy rubli. Warto nadal kontynuować posiedzenie.

Lecz nie tak łatwo było wyjechać z Mineralnych Wód. Okazało się, iż Worobianinow jest dziwnie niepojętym fajtlapą; jego wszelkie próby jazdy na gapę sromotnie zawiodły, toteż musiał raz jeszcze wystąpić w roli byłego kuratora okręgu szkolnego. Dało to niewielkie rezultaty. Dwa ruble za dwanaście godzin ciężkiej i poniżającej pracy. Kwota wystarczająca jednakże na drogę do Władykaukazu.

Jadącego bez biletu Ostapą wyproszone w Biesłanie z pociągu i Wielki Kombinator biegł uparcie za pociągiem na przestrzeni trzech wiorst⁴⁶¹, wygrażając pięścią Bogu ducha winnemu Hipolitowi Matwiejewiczowi. Następnie Ostapowi udało się wskoczyć na stopień pociągu zbliżającego się z wolna ku łańcuchowi gór kaukaskich. Z tej pozycji Ostap przyglądał się z ciekawością odsłaniającej się przed nim panoramie gór.

Była godzina czwarta nad ranem. Na wierzchołki gór padały ciemnoróżowe słoneczne refleksy. Góry nie przypadły Ostapowi do gustu.

— Zbyt dużo parady! — oświadczył. — Dzikie piękno. Idiotyczne urojenie. Marne widowisko.

Na władykaukaskim dworcu oczekiwał przyjezdnych otwarty autobus Zakawtopromtorgu i uprzejmi ludzie zapraszali:

— Tych, którzy pojadą potem Gruzińską Drogą Wojenną, wieziemy do miasta darmo.

— A wy, Kiso, dokąd? — rzekł Ostap. — Siadamy do autobusu. Niech wiozą, kiedy powiadają, że darmo.

Gdy przybyli do biura Zakawtopromtorgu Ostap nie spieszył się bynajmniej zarezerwować miejsce w maszynie. Gawędząc żywo z Hipolitem Matwiejewiczem, zachwycał się opasaną chmurami Górą Stołową⁴⁶² i skonstatowawszy, że góra istotnie przypomina stół — szybko oddalił się.

⁴⁵⁹siwucha — wódka. [przypis edytorski]

⁴⁶⁰tea-robotnicy — zapewne Ostap ma na myśli pracowników teatrów. [przypis edytorski]

⁴⁶¹wiorsta — dawna miara odległości, ok. 1 km. [przypis edytorski]

⁴⁶²Góra Stołowa — najprawdopodobniej chodzi o szczyt Góra Stołovaya. [przypis edytorski]

We Władykaukazie trzeba było przesiedzieć kilka dni. Wszystkie próby zdobycia pieniędzy na jazdę Gruzzińską Drogą Wojenną albo całkiem zawiodły, albo też przynosiły zysk wystarczający za ledwie nie jednodniowe wyżywienie. Próba ściągania od obywateli dziesiątek nie udała się. Kaukaskie pasmo górskie było tak wysokie i widoczne, że branie pieniędzy za pokazywanie go było kompletnie niemożliwe. Widać je było niemal zewsząd. Zaś żadnych innych osobliwości nie było we Władykaukazie. Co się zaś tyczy Tereku⁴⁶³, to przepływał on obok „Treka”, za wejście do którego miasto, obchodzące się bez pomocy Ostapa, pobierało na własną rękę pieniądze. Rezultat dwudniowej zebrany Hipolita Matwiejewicza wyrażał się kwotą trzydziestu kopiejek.

— Dość tego — rzekł Ostap — pozostaje nam tylko jedno wyjście: pójść do Tyflisu piechotą. W ciągu pięciu dni odwalimy dwieście wiorst. Nie martwcie się, ojczulku, czarujące widoki górskie, świeże powietrze... Potrzeba tylko pieniędzy na chleb i kielbasę serdelową. Do swego repertuaru możecie dodać parę włoskich zdań, pozostawiam to do waszego uznania, lecz zapowiadam wam, do wieczora musicie uzbierać co najmniej dwa ruble!... Na obiad dziś się nie zanosz, drogi towarzyszu. Psiakość! Marna perspektywa...

O świcie wspólnicy przeszli przez mostek na Tereku, okrążyli koszary i weszli w zieloną dolinę, przez którą prowadziła Gruzzińska Droga Wojenna.

— Mamy szczęście, Kiso — rzekł Ostap — w nocy padał deszcz, wobec czego uniknęliśmy łykania kurzu. Rozkoszujcie się, prezesie, świeżym powietrzem. Śpiewajcie. Przypominajcie sobie kaukaskie wiersze. Zachowujcie się tak, jak przystoi turyście!

Lecz Hipolit Matwiejewicz nie śpiewał i nie przypominał sobie wierszy. Droga szła pod górę. Noce spędzone pod gołym niebem przypominały o sobie kluciem w boku i ociężałością nóg, a kielbasa serdelowa — ustawiczną i męczącą zgagą. Szedł, pochyliwszy się na bok, trzymając w rękach pięciofuntowy chleb owinięty we władykaukaską gazetę i ledwie powłócząc lewą nogą.

Znów iść! Tym razem do Tyflisu, tym razem najpiękniejszą w świecie drogą. Lecz dla Hipolita Matwiejewicza było to obojętne. Nie dostrzegał kompletnie Tereku, który zaczynał już pohukiwać na dnie doliny. I jedynie połyskujące w słońcu lodowe szczyty coś mu niewyraźnie przypominały — blask brylantów, a może najlepsze politurowane trumny mistrza Bezczuka.

Aż do pierwszej stacji pocztowej — Bałty — wędrowcy posuwali się drogą wijącą się u podnóża Góry Stołowej.

Zwarty ogromny blok, poprzecinany żyłami śniegu, ciągnął się za nimi na przestrzeni dziesięciu wiorst. Najpierw wędrowców wyprzedziło auto osobowe Zakawtopromtorgu, a po upływie pół godziny — autobus wiozący nie mniej niż czterdziestu turystów i nie więcej niż sto dwadzieścia walizek.

— Pozdrówcie Kazbek⁴⁶⁴! — krzyknął Ostap w ślad za maszyną. — Pocałujcie go w lewy łodowiec!

Po przejeździe samochodów jeszcze długo unosiła się w górach woń benzyny i rozgrzanej gumy. Głośno brzęcząc, wymijały wędrowców wózki góralskie. Spoza zakrętu wyjechał naprzeciw kabriolet.

W Balcie Ostap wydał Hipolitowi Matwiejewiczowi glonek⁴⁶⁵ kielbasy, a sam zjadł podwójną porcję.

— Jestem żywicielem rodziny — rzekł — należy mi się większa porcja żywności.

Za Bałtą weszli w wąwóz i kroczyli wąską ścieżynką, wykutą w ciemnych i stromych górach. Droga wiodła spiralnie w górę. Pod wieczór nasi wspólnicy znaleźli się na stacji Lars — tysiąc metrów nad poziomem morza.

Przenocowali bezpłatnie w ubogiej góralskiej chacie, a nawet dostali jeszcze po szklanke mleka, ujawszy gospodarza i jego gości karcianymi sztuczkami.

Ranek był tak cudowny, że nawet Hipolit Matwiejewicz, orzeźwiony górskim powietrzem, kroczył raźniej niż poprzedniego dnia.

Zaraz za stacją Lars wyrosła przed wędrowcami ogromna skalista ściana. Dolina Tereku wciąż się zwężała. Pejzaż stawał się coraz bardziej ponury, a napisy na skałach coraz

⁴⁶³Terek — rzeka na Kaukazie Północnym, przepływa przez terytorium Gruzji i Rosji, uchodzi do Morza Kaspijskiego; przez jej dolinę przechodzi Gruzzińska Droga Wojenna. [przypis edytorski]

⁴⁶⁴Kazbek — jeden z najwyższych szczytów Kaukazu, leżący na granicy Gruzji z Rosją. [przypis edytorski]

⁴⁶⁵glonek (pot.) — duży kawalek. [przypis edytorski]

liczniejsze. W tym miejscu, gdzie skały tak zdusiły łożysko Tereku, że długość mostu wynosiła zaledwie dziesięć sążni⁴⁶⁶, współnicy ujrzeni tyle napisów na skalistych ścianach, że Ostap zapomniał o majestacie Wąwozu Darialskiego⁴⁶⁷ i usiłując przekrzyczeć łoskot i jęki Tereku, zawołał:

— Wielcy ludzie! Popatrzcie, prezesie. Widzicie nieco wyżej od obłoku i nieco niżej od lotu orła napis: „Kola i Mika, lipiec 1914 r.”? Niezapomniany widok! Zwróćcie uwagę na artyzm wykonania! Każda litera wielkości metra, malowane olejnymi farbami! Gdzie jesteście teraz, Kola i Miko!

Zadumał się również i Hipolit Matwiejewicz.

— Gdzie jesteście, Kola i Miko? I co wy teraz, Kola i Miko, robicie? Roztyliście się pewnie, zestarzeliście? Nie wgramolilibyście się teraz zapewne na czwarte piętro, a cóż dopiero pod obłoki, by uwiecznić tam swe nazwiska? Gdzie teraz, Kola, pracujesz? Kiepska, powiadasz, praca? Wspominasz swe sielskie dzieciństwo? Cóż w nim było sielskiego? To wy smarowanie wąwozów nazywacie sielskim dzieciństwem? Kola, jesteś okropny! I twoja żona Mika jest wstrętną kobietą, choć prawdę mówiąc, jest mniej winna od ciebie. Gdy wisząc na skale, kreśliłeś swe imię, Mika stała na szosie i patrzyła na ciebie zakochanymi oczyma. Wydawało się jej wtedy, że jesteś drugim Pieczorinem⁴⁶⁸. Teraz ona już wie, kim jesteś. Jesteś po prostu głupcem! Tak, tak, wszyscy jesteście jednacy, wy pełzacie od piękna! Pieczorin, Pieczorin, a okazuje się, że za głupi jest, by zachować równowagę budżetu!

— Kisa! — ciągnął dalej Ostap. — Uwiecznijmy się i my. Zadamy Mice bobu⁴⁶⁹! Mam akurat kredę! Dalibóg, wleżę tam zaraz i napiszę: „Kisa i Osja byli tutaj”.

I Ostap, niewiele myśląc, złożył na barierze odgradzającej szosę od otchłani Tereku zapasy serdelowej kielbasy i zaczął wspinać się po skale.

Hipolit Matwiejewicz z początku obserwował uważnie wspinanie się Wielkiego Kombinatora, lecz potem siadł i odwróciwszy się, zaczął oglądać ruiny zamku Tamary⁴⁷⁰, który zachował się na skale przypominającej koński ząb.

W tym czasie od strony Tyflisu wszedł do Wąwozu Darialskiego ojciec Fiodor. Dwie wiorsty dzieliły go od naszych wędrowców. Szedł równym, żołnierskim krokiem, patrząc przed siebie twardym, roziskrzonym wzrokiem i opierając się na wysokim kosturze z przekrzywionym końcem.

Ojciec Fiodor dojechał do Tyflisu za ostatnie grosze i zdążył właśnie teraz pieszo w domowe pielesze przez Przełęcz Krzyżową⁴⁷¹ (dwa tysiące trzysta czterdzieści pięć metrów nad poziomem morza) — ugryzł go orzeł. Ojciec Fiodor pogroził zuchwałemu ptakowi kosturą i poszedł dalej. Szedł, tonąc w obłokach, i mrucał:

— Nie gwoli zysku, a gwoli spełnienia woli mej żony!

Te same słowa powtarzał, wkraczając w Wąwóz Darialski. Odległość między wrogami zmniejszała się. Za jednym z zakrętów ojciec Fiodor natknął się na starca w złotych binoklach.

Wąwóz rozpołowił się w oczach ojca Fiodora. Terek przerwał swój odwieczny krzyk. Ojciec Fiodor poznał Worobianinowa. Po strasliwym niepowodzeniu w Batumi, gdy wszystkie nadzieje już runęły, ponowna możliwość zdobycia bogactw wpłynęła na ojca Fiodora w sposób zgoła niezwykły.

Złapał Hipolita Matwiejewicza za chudą grdykę i zaciskając palce, ryknął zachrypłym głosem:

— Gdzieś podział skarby wpędzonej przez ciebie do grobu teściowej?

Hipolit Matwiejewicz, niespodziewający się czegoś podobnego, milczał, wybałuszony ślepia tak, że stykały się one niemal ze szklami binokli.

— Mów — rozkazywał ojciec Fiodor. — Kajaj się, grzeszniku!

⁴⁶⁶sążeń — dawna jednostka długości, równa szerokości rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny, tj. ok. 1,8–2 m. [przypis edytorski]

⁴⁶⁷Wąwóz Darialski — wąwóz rzeki Terek na granicy Rosji i Gruzji, przez jego część przechodzi Gruzkańska Droga Wojenna. [przypis edytorski]

⁴⁶⁸Pieczorin — Lermontow, *Bobater naszych czasów*. [przypis redakcyjny]

⁴⁶⁹zadać komuś bobu — dać komuś nauczkę, dokuczyć komuś. [przypis edytorski]

⁴⁷⁰Tamara (1160–1213) — królowa Gruzji od 1184. [przypis edytorski]

⁴⁷¹Przełęcz Krzyżowa — przełęcz w głównym grzbiecie Kaukazu, najwyższy punkt biegnącej dolinami Gruzkańskiej Drogi Wojennej. [przypis edytorski]

Worobaninow czuł, że się dusi.

— Mów — rozkazywał ojciec Fiodor. — Kajaj się, grzeszniku!

Nagle rozkoszujący się już zwycięstwem ojciec Fiodor ujrzał skaczącego po skale Bendera. Techniczny dyrektor schodził z gór, wrzeszcząc na całe gardło arię z *Demona*⁴⁷².

Niezmierne przerażenie ogarnęło serce ojca Fiodora. Machinalnie trzymał dalej prezesa za gardło, lecz kolana zaczęły mu dygotać.

— O, kogo ja widzę! — krzyknął przyjaźnie Ostap. — Konkurencyjna organizacja!

Ojciec Fiodor nie tracił czasu. Posłuszny zbawiennemu instynktowi, złapał kielbasę i chleb i dał nura.

— Bijcie go, towarzyszu Bender! — krzyczał leżący jeszcze na ziemi, lecz zwolniony już z żelaznego ucisku Hipolit Matwiejewicz.

— Łap go! Trzymaj!

Ostap zaczął gwizdać i pohukiwać.

— Uuuu! — krzyczał, rzucając się w pościg. — Bitwa pod piramidami, czyli Bender na polowaniu! Dokąd uciekacie, kliencie? Mogę wam zaofiarować dokładnie wypatroszone krzesło.

Ojciec Fiodor nie mógł znieść mąk pościgu i wlaź na zupełnie pionową skałę. Pchało go w górę serce, stające mu niemal w gardle, i szczególne, znane tylko tchórzom, swędzenie w piętach. Nogi same skakały po granitach i unosiły swego pana i władcę w górę.

— Uuu! — krzyczał Ostap z dołu. — Łap go!

— Porwał nam prowianty! — zawył Hipolit Matwiejewicz, podbiegając do Ostapa.

— Stój! — zagrział Ostap. — Powiadam ci, stój!

Lecz to tylko dodało nowych sił osłabionemu już ojcu Fiodorowi. Zaczął się znów piąć w górę i po paru skokach znalazł się o dziesięć sążni wyżej, niż sięgał najwyższy napis.

— Oddaj kielbasę! — wył Ostap. — Oddaj, durniu, kielbasę! Wszystko ci przebaczę!

Ojciec Fiodor nic już nie słyszał. Znalazł się na szczycie, którego dotąd nikomu jeszcze nie udało się zdobyć.

Ojca Fiodora ogarnął bładny strach. Zrozumiał, że w żaden sposób nie uda mu się zejść na dół. Skała opadała prostopadle i o zejściu z niej nie można było nawet marzyć. Spojrzał w dół. Wściekał się tam Ostap i na dnie wąwozu połyskiwały złote binokle marszałka.

— Oddam kielbasę! — krzyknął ojciec Fiodor. — Zabierzcie mnie stąd!

Odpowiedział mu huk Tereku i namiętne krzyki z zamku Tamary. W ruinach gnieździły się sowy.

— Zabie-e-rzcie mnie! — krzyczał żałośnie ojciec Fiodor.

Widział on wszystkie manewry współników. Biegali gorączkowo u podnóża skały i szpetnie kłęli.

Po godzinie ojciec Fiodor, wyciągnąwszy się na ziemi i głowę w dół spuściwszy, ujrzał, że Bender i Worobaninow odchodzą w kierunku Przełęczy Krzyżowej.

Szybko zapadała noc. W egipskich ciemnościach i piekielnej wrzawie, tuż pod obłokami, dygotał i płakał ojciec Fiodor. Nie potrzeba mu już było skarbów. Jednego tylko pragnął — dostać się na dół, na ziemię.

W nocy ryczał tak, że zagłuszał chwilami Terek, a z rana pokrzepił się kielbasą serdelową i chlebem i szatańsko śmiał się z mknących w dole samochodów. Resztę dnia spędził na przyglądaniu się górcom i lampie niebios — słońcu. Następnej nocy ukazała mu się królowa Tamara. Królowa przyleciała doń ze swego zamku i zalotnie powiedziała:

— Będziemy sąsiadami.

— Dobrodziejko! — rzekł z przejęciem ojciec Fiodor. — Nie gwoli zysku...

— Wiem, wiem — przerwała królowa — a gwoli spełnienia woli twej żony?

— Skąd wiesz? — zdumiał się ojciec Fiodor.

— Ano wiem. Wstąpcie kiedy, sąsiedzie. Zagramy sobie w sześćdziesiąt sześć⁴⁷³! Dobrze?

Błażnica⁴⁷⁴ roześmiała się i zniknęła w mroku nocnym.

⁴⁷²*Demon* — opera Antona Rubinstaina do libretta Pawła Wiskowatowa według poematu Michaiła Lermontowa. [przypis edytorski]

⁴⁷³sześćdziesiąt sześć — gra karciana wywodząca się z Niemiec. [przypis edytorski]

⁴⁷⁴błażnica (daw.) — młoda kobieta, podlotek. [przypis edytorski]

Na trzeci dzień ojciec Fiodor zaczął prawić kazanie ptakom. Nawracał je nie wiadomo dlaczego na luteranizm.

— Ptaki — mówił do nich dźwięcznym głosem — czyńcie publiczną pokutę!

Na czwarty dzień pokazywano go już z dołu wycieczkowiczom.

— Po prawej stronie zamek Tamary — objaśniali doświadczeni przewodnicy — a po lewej stoi żywy człowiek, lecz czym się żywi i jak się tam dostał, nie wiemy.

— A to dziki lud! — dziwili się wycieczkowicze. — Dzieci gór!

Przepływały obłoki. Nad ojcem Fiodorem krążyły orły. Najśmielszy z nich skradł mu resztkę kielbasy serdelowej i trzepnięciem skrzydła zrzucił do spienionego Tereku półtora funta chleba.

Ojciec Fiodor pogroził orłowi palcem i uśmiechając się promiennie, szepnął:

— Lata ptaszek po ulicy, szuka sobie ziarn pszenicy...

Orzeł spojrział krzywo na ojca Fiodora, krzyknął: „ku-ku-ryku” i pofrunął.

— Ej, orlisko, orlisko, duży z ciebie łotr!

Po dziesięciu dniach przyjechała z Władykaukazu straż ogniowa z odpowiednimi narzędziami i zdjęła ojca Fiodora ze skały.

Gdy go zdejmowano, klaskał w dłonie i bardzo niemiłym głosem śpiewał:

— I będziesz ty królo-o-o-o-wą świata!

I surowy Kaukaz wielokrotnym echem powtórzył słowa Michaiła Jurjewicza Lermontowa i melodię Antona Rubinsteina⁴⁷⁵.

— Nie gwoli zysku — rzekł ojciec Fiodor naczelnikowi straży ogniowej — a gwoli...

Chichocącego popa przewieziono wozem strażackim do kliniki psychiatrycznej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY TRZĘSIENIE ZIEMI

— Jak sądzicie, prezesie — spytał Ostap, gdy współnicy zbliżali się do wsi Sioni — w jaki sposób można by zarobić cokolwiek w tej zakazanej dziurze znajdującej się dwie wiorsty nad poziomem morza?

Hipolit Matwiejewicz milczał. Jedynym zajęciem, dzięki któremu mógłby zdobyć środki utrzymania, była żebranina, lecz tutaj na górskich serpentynach nie było od kogo brać jałmużny.

Zresztą i tutaj istniała żebranina, lecz żebranina zgoła inna — alpejska.

Do każdego autobusu lub pasażerskiego auta podbiegały dzieciaki i przed jadącą wiodnią wykonywały parę *pas*⁴⁷⁶ lezginki⁴⁷⁷. Potem biegly za maszyną, krzycząc:

— Daj pieniądze! Pieniądze daj!

Pasażerowie ciskali miedziaki i mknęli w górę ku Przełęczy Krzyżowej.

— Świetny wynalazek — rzekł Ostap — nie wymaga kapitału, dochody wprawdzie niewielkie, lecz w naszej sytuacji nader cenne.

Nazajutrz o godzinie drugiej Hipolit Matwiejewicz pod okiem Wielkiego Kombinatora wykonał przed mknącymi w góry pasażerami swój pierwszy taniec. Taniec ten przypominał mazura, lecz pasażerowie, mający już dość dzikiego piękna Kaukazu, przyjęli go za lezginkę i nagrodzili trzema miedziakami. Przed następną maszyną — autobusem dążącym z Tyflisu do Władykaukazu — tańczył już i skakał dyrektor techniczny we własnej osobie.

— Daj pieniądze! Pieniądze daj! — krzyknął gniewnie.

Roześmiani pasażerowie nagrodzili hojnie jego skoki. W kurzu przydrożnym Ostap zebrał trzydzieści kopiejek. Lecz dzieci siońskie obsypały konkurentów gradem kamieni. Ratując się przed kanonadą, wędrowcy udali się szybkim krokiem do najbliższej osady, gdzie zarobione pieniądze wydali na ser i pieczywo.

Tak upływały współnikom dni. Noce spędzali w górskich szałasach. Na czwarty dzień zeszli zygzakowatą szosą w Dolinę Kajszaurską. Słońce prażyło, toteż współnicy, którzy przemarzli do cna na Przełęczy Krzyżowej, szybko teraz rozgrzali się.

⁴⁷⁵Rubinstein, Anton Grigoriewicz (1829–1894) — rosyjski pianista, kompozytor i dyrygent, jeden z największych wirtuozów fortepianowych XIX w., płodny kompozytor. [przypis edytorski]

⁴⁷⁶pas (fr.) — krok w tańcu. [przypis edytorski]

⁴⁷⁷lezginka — tradycyjny taniec kaukaski. [przypis edytorski]

Darialskie skały, mrok i zimno przełęczy ustąpiły miejsca zieloności przytulnie głębokiej doliny. Wędrowcy szli nad Aragwą⁴⁷⁸, schodzili do doliny zamieszkałej przez ludzi, obfitującej w bydło domowe i żywność. Można tu było coś wyżebrać, zarobić cokolwiek albo też po prostu ukraść.

Rozweseleni wspólnicy przyspieszyli kroku.

W Pasaauri, bogatej osadzie o dwóch hotelach i paru karczmach, przyjaciele wyżebrali kawał chleba i położyli się w krzakach naprzeciw Hotelu Francja (z ogrodem i dwoma niedźwiadkami na łańcuchu). Wędrowcy lubowali się ciepłem, smakowitym chlebem i zasłużonym wypoczynkiem.

Zresztą wypoczynek ten został wkrótce przerwany przez pisk syren samochodowych, turkot kół po żwirze i hałasy. Przyjaciele wyjrżeli z krzaków. Pod „Francję” zajechały jeden za drugim trzy nowiuteńkie samochody tej samej marki. Auta cichutko zatrzymały się. Z pierwszej maszyny wyskoczył Persicki. Za nim, poprawiając zakurzone włosy, wyszła „Sala sądowa”. Potem z wszystkich maszyn wysypali się członkowie klubu automobilistów gazety „Warsztat”.

— Łądujemy! — krzyknął Persicki. — Gospodarzu! Piętnaście szaszłyków!

We „Francji” zaczęły się ruszać zaspane postacie i rozległy się krzyki barana, którego wleczono za nogi do kuchni.

— Nie poznajecie tego młodzieńca? — spytał Ostap. — To reporter ze Skriabina, jeden z tych, którym nie podobał się nasz transparent. Z jaką, psiakość, paradą przyjechali tu! Co to może znaczyć?

Ostap zbliżył się do pozeraczy szaszłyków i w sposób jak najbardziej elegancki ukłonił się Persickiemu.

— *Bonjour!* — powiedział reporter. — Gdzie też ja was, kochany towarzyszu, widziałem? Aaa! Przypominam sobie. Malarz ze Skriabina! Prawda?

Ostap przyłożył dłoń do serca i uprzejmie skłonił się.

— Zaraz, zaraz — ciągnął dalej Persicki, posiadający jako reporter doskonałą pamięć. — Czy to nie na pana czasem w Moskwie na Placu Swierdłowskim wpadł koń dorożkarski?

— Właśnie, właśnie! I według trafnej uwagi pańskiej skończyło się wtedy rzekomo wszystko na lekkim strachu.

— A pan tu para się malowaniem?

— Nie, jestem tu w celach wycieczkowych.

— Pieszko?

— Pieszko. Specjaliści twierdzą, że podróżowanie Gruzijną Drogą Wojenną w automobile to skończona głupota!

— Nie zawsze, kochanie, głupota, nie zawsze! My, na przykład, nie jedziemy tak bardzo głupio. Maszyny, jak pan widzi, własne, podkreślam to: własne. Bezpośrednia komunikacja Moskwa–Tyflis. Benzyny zużywa się minimalna ilość. Wygoda, szybkość, miękkie resory. Europa!

— Skąd to wszystko macie? — spytał zazdrośnie Ostap. — Wygraliście sto tysięcy?

— Stu wprawdzie nie, lecz pięćdziesiąt wygraliśmy.

— W dziewiątkę⁴⁷⁹?

— Na obligację, należącą do klubu automobilistów.

— Tak — rzekł Ostap — i za te pieniądze nabyliście automobile?

— Jak widzicie.

— Tak. Może potrzeba panu pomocnika? Znam pewnego młodego człowieka. Nie pije...

— Jakiego pomocnika?

— No takiego... ogólne kierownictwo, fachowe rady, pogładowa nauka metodą kompleksów pojęciowych. Co?

— Rozumiem. Nie, nie trzeba.

— Nie trzeba?

— Nie. Niestety. I malarza także nie trzeba.

⁴⁷⁸Aragwa, właśc. *Aragwi* — rzeka we wsch. Gruzji, wzdłuż jej doliny przebiega Gruzijną Drogą Wojenną. [przypis edytorski]

⁴⁷⁹dziewiątka — jedna z odmian gry w bilard amerykański. [przypis edytorski]

— W takim razie pożycz mi pan dziesięć rubli.

— Awdotiew — rzekł Persicki. — Wypłać z łaski swej temu oto obywatelowi trzy ruble na mój rachunek. Pokwitowania nie trzeba. To osoba niewypłacalna.

— To bardzo niewiele — zauważył Ostap — lecz przyjmę. Rozumiem całą trudność waszej sytuacji. Rozumie się, gdybyście wygrali sto tysięcy, to pożyczylibyście mi na pewno całą pięciorublowkę. Lecz przecież wygraliście zaledwie pięćdziesiąt tysięcy! W każdym razie — dziękuję!

Bender uchylił grzecznie kapelusza. Persicki uchylił grzecznie kapelusza. Bender nader uprzejmie uklonił się. Persicki odpowiedział najuprzejmiejszym ukłonem. Bender machnął na pożegnanie ręką. Persicki, siedząc przy kierownicy, odwzajemnił się. Lecz Persicki odjechał w cudowną dal wspaniałym autem w towarzystwie wesołych przyjaciół, a Wielki Kombinator został na pełnej kurzu drodze z kamratem swym — durniem.

— Widzieliście ten szyk? — spytał Ostap Hipolita Matwiejewicza.

— Zakawtopromtorg czy też prywatne towarzystwo „Motor”? — spytał rzeczowo Worobianinow, który w ciągu tych paru dni zapoznał się doskonale z wszelkiego rodzaju komunikacją samochodową. — Chciałem nawet zatańczyć przed nimi.

— Wkrótce już do cna zgłupieciecie, mój biedny przyjacielu. Jakież to Zakawtopromtorg? Ludzie ci, słyszycie, Kiso, wy-gra-li pięćdziesiąt tysięcy. Widzicie sami, Kiciuniu, w jak świetnych są humorach i ile nakupili wszelakiego mechanicznego świństwa! Gdy otrzymamy nasze pieniądze, wydamy je znacznie rozumniej. Prawda?

I przyjaciele, marząc o tym, co kupią wówczas, gdy staną się bogaczami, wyszli z Pasanauri. W imaginacji Hipolita Matwiejewicza żywo rysowały się: nabycie nowych skarpetek i wyjazd za granicę. Marzenia Ostapa sięgały dalej. Jego projekty były wspaniałe. Zbudowanie tamy na Niebieskim Nilu⁴⁸⁰, a może otwarcie domu gry w Rydze z filiami we wszystkich portach świata.

Pieniądz, Marzenie

Minąwszy nieciekawe i pełne kurzu miejscowości: Anaur, Duszet i Cyłkany, wędrowcy dotarli na trzeci dzień przed południem do Mcchety — starożytnej stolicy Gruzji. Kura⁴⁸¹ skręcała w tym miejscu w stronę Tyflisu.

Wieczorem wędrowcy minęli ZAHES — elektrownię wodną Zemo Avchala. Szkło, woda i elektryczność błyszczały rozmaitymi światłami. Wszystko to odbijało się i falowało w szybko płynącej Kurze.

Wspólnicy zawarli tutaj przyjaźń z kmiotkiem⁴⁸², który swą arba⁴⁸³ przywiózł ich do Tyflisu o godzinie jedenastej wieczorem, wtedy właśnie, gdy wieczorny chłód sprowadza na ulicę wymęczonych dziennym skwarem mieszkańców gruzińskiej stolicy.

— Niezłe miasteczko — rzekł Ostap — wiecie, Kiso...

Nagle Ostap, nie kończąc zdania, rzucił się w pogoń za jakimś obywatelem; po dziesięciu krokach dogonił go i zaczął z nim ożywioną rozmowę. Potem szybko wrócił i trącił Hipolita Matwiejewicza palcem w bok.

— Wiecie, kto to jest? — szepnął szybko. — Jest to „Odeska wytwórnia moskiewskich obwarzanków”, obywatel Kislarski. Idziemy do niego. Jesteście teraz znów, mimo całej paradoksalności tego, tytanem myśli i ojcem rosyjskiej demokracji. Pamiętajcie tylko nadymać się i ruszać wąsami. Do kroćset! A to heca! Los na loterii! Jeśli nie zoperuję go zaraz na pięćset rubli, pluńcie mi w gębę! Chodźmy! Chodźmy!

Istotnie, w pewnej odległości od aferzystów stał w ubraniu z czesuczy⁴⁸⁴ mlecznobłękitny ze strachu Kislarski.

— Znacie się, panowie — rzekł Ostap szeptem — oto osoba stojąca blisko cara, tytan myśli i ojciec rosyjskiej demokracji. Niech pan nie zwraca uwagi na jego strój. To w celach konspiracyjnych. Zawieź nas pan zaraz dokądkolwiek. Musimy pomówić z sobą.

Kislarski, który wyjechał na Kaukaz, by odpocząć po starogrodzkich emocjach, był kompletnie zgnębiony. Mruczając jakieś brednie o stagnacji w obwarzankowym interesie,

⁴⁸⁰ Niebieski Nil, właśc. Nil Błękitny — rzeka w Etiopii i Sudanie, najdłuższy dopływ Nilu. [przypis edytorski]

⁴⁸¹ Kura — rzeka na Zakaukaziu; największym leżącym nad nią miastem jest Tbilisi. [przypis edytorski]

⁴⁸² kmiotek (pogard.) — człowiek niewykształcony, zwykle ze wsi. [przypis edytorski]

⁴⁸³ arba — wóz tatarski. [przypis redakcyjny]

⁴⁸⁴ czesucza — tkanina z surowego jedwabiu naturalnego. [przypis edytorski]

wsadził swych straszliwych znajomych do powozu o posrebrzanych szprychach i stopniach i zawiózł w kierunku Góry Dawida. Na szczyt tej restauracyjnej góry dostali się zębatą kolejką górską. Tyflis, migocący tysiącem światel, staczał się powoli w czeluści piekielne. Spiskowcy unosili się wprost ku gwiazdom.

Stoły restauracyjne stały wprost na trawnikach. Głucho bębniła orkiestra kaukaska, a malutka dziewczuszka pod uszczęśliwionym okiem rodziców tańczyła z własnej inicjatywy lezginkę.

— Zamówcie coś! — nalegał Ostap.

Na zamówienie doświadczonego Kislarzkiego podano wino, jarzyny i solone gruzińskie sery.

— I coś do zjedzenia — rzekł Ostap. — Gdyby pan wiedział, kochany panie Kislarzki, co my z Hipolitem Matwiejewiczem musieliśmy dziś znieść, zdumiałoby pana nasze męstwo.

„Znów — pomyślał z rozpaczą Kislarzki. — Znów zaczynają się moje męki. I dlaczego nie pojechałem na Krym. A radziła mi Henrieta!”

Lecz bez słowa sprzeciwu zamówił trzy szaszłyki i zwrócił w stronę Ostapa swą usłużną gębę.

— A więc — rzekł Ostap, rozglądając się na wszystkie strony i zniżając głos — powiem panu w dwóch słowach: śledzą nas już od dwóch miesięcy i zapewne jutro w konspiracyjnym mieszkaniu oczekiwać nas będzie zasadzka. We własnej obronie trzeba będzie strzelać.

Policzki Kislarzkiego zbiały.

— Radzi jesteśmy — ciągnął dalej Ostap — że w takiej chwili spotykamy wiernego bojownika-patriotę.

— Hm... tak! — wycedził dumnie Hipolit Matwiejewicz, wspominając, z jaką gorliwością tańczył na czczo lezginkę w pobliżu Sioni.

Opychał sobie usta serem i jarzynami. Lubował się odbijaniem się wina, przedłużało to bowiem niejako rozkoszowanie się nim. Ostap rzucił gniewne spojrzenie i Hipolit Matwiejewicz zaczął się dławić zieloną cebulką.

— Tak!... — szepnął Ostap. — Spodziewamy się, iż z pańską pomocą pokonamy wroga. Dam panu parabellum⁴⁸⁵.

— Nie trzeba — odrzekł twardo Kislarzki.

Po chwili okazało się, że prezes rady giełdowej nie może w żaden sposób wziąć udziału w jutrzejszej bitwie. Bardzo żałuje, ale nie może. Nie zna się na wojennym rzemiośle. Ta okoliczność właśnie zadecydowała o wybraniu go na prezesa rady giełdowej. Jest po prostu zrozpaczony, lecz dla ocalenia życia ojca rosyjskiej demokracji (sam wszak jest starym październikowcem), gotów służyć wszelką finansową pomocą.

— Jest pan wiernym synem ojczyzny! — rzekł uroczyście Ostap, popijając słodziutkiem winem pachnący rozkosznie szaszłyk. — Pięćset rubli może ocalić tytana myśli.

— Panie — spytał żałośnie Kislarzki — a dwieście rubli nie mogłoby ocalić tytana myśli?

Ostap nie wytrzymał i z zachwytu kopnął pod stołem Hipolita Matwiejewicza.

— Sądzę — rzekł Hipolit Matwiejewicz — że targi są tu nie na miejscu!

Natychmiast otrzymał szturchańca w bok, co oznaczało: „Brawo. Kiciuniu, brawo, co to znaczy szkoła!”.

Kislarzki po raz drugi w życiu usłyszał głos ojca rosyjskiej demokracji. Tak go to zdumiało, że niezwłocznie wręczył Ostapowi pięćset rubli. Następnie zapłacił rachunek i pozostawiając przyjaciół przy stoliku, pożegnał się, wymawiając się bólem głowy. Po upływie pół godziny wysłał do żony do Starogrodu telegram:

„Jadę twoją radą Krym wszelki wypadek szykuj koszyczek”.

Długi niedostatek, w jakim przebywał Ostap Bender, wymagał natychmiastowej kompensaty. Dlatego też tego samego wieczora na górze restauracyjnej Wielki Kombinator upił się na umór i po drodze do hotelu omal nie wypadł z autobusu. Nazajutrz zrealizował swe stare marzenie. Kupił cudny szary, cętkowany garnitur. W garniturze tym było

⁴⁸⁵parabellum — rodzaj pistoletu. [przypis edytorski]

bardzo gorąco, lecz mimo to nosił go, straszliwie pocąc się. W magazynie konfekcji męskiej Tyfkooperatywy zaopatrzone Worobianinowa w białe pikowe ubranie, marynarkę i czapkę ze złotą odznaką niewiadomego jacht-klubu. W stroju tym Hipolit Matwiejewicz wyglądał jak handlowy admirał-amator. Postawa nabrała sprężystości. Chód — pewności.

— Ach! — mówił Bender. — Pierwsza klasa. Gdybym był kobietą, to takiemu wspomniałemu, przystojnemu mężczyźnie jak pan dawałbym od zwykłej ceny osiem procent rabatu. Ach! Ach! Przy takim wyglądzie możemy bywać w wielkim świecie! Czy potraficie bywać, Kiso?

— Towarzyszu Bender! — powtarzał Worobianinow. — A więc jak będzie z krzesłem? Trzeba dowiedzieć się, co z teatrem!

—Ho-lio! — odparł Ostap, tańcząc z krzesłem w dużym mauretańskim⁴⁸⁶ pokoju Hotelu Orient. — Nie dawajcie mi nauk, Kiso. Jestem teraz zły. Mam pieniądze. Lecz jestem wspaniałomyślny. Daję wam dwadzieścia rubli i trzy dni na splądrowanie miasta! Tak jak Suworow⁴⁸⁷!... Plądrujcie miasto, Kiso! Bawcie się!

I Ostap, kołysząc się w biodrach, zaśpiewał w szybkim tempie:

Wieczorny dzwon, wieczorny dzwon,

Jak wiele wspomnień niesie on...

Przyjaciele hulali bez przerwy całutki tydzień. Admiralski strój Worobianinowa upstrzyły różnobarwne plamy, a pstrokate cętki na garniturze Ostapa rozlały się i utworzyły jedną wielką tęczową plamę.

— Bonżurek!⁴⁸⁸ — odezwał się ósmego dnia Ostap, który z racji kacenjameru⁴⁸⁹ wpadł na pomysł przeczytania „Zorzy Wschodu”. — Słuchajcie, pijanico, co piszą w gazecie rozumni ludzie. Słuchajcie!

KRONIKA TEATRALNA

Wczoraj, 3 września, po zakończeniu występów w Tyflisie, moskiewski Teatr Kolumba wyjechał na występy gościnne do Jałty. Teatr zamierza pozostać na Krymie do chwili rozpoczęcia zimowego sezonu w Moskwie.

— Aha! A mówiłem! — rzekł Worobianinow.

— Niby co mówiliście? — złościł się Ostap.

Był jednak zmieszany. Niedbalstwo to było dla niego bardzo przykre. Mogliby skończyć pościg za skarbami w Tyflisie, a tak musieli teraz przerzucić się jeszcze na Półwysep Krymski. Ostap przystąpił od razu do rzeczy. Kupiono bilety do Batumi i zamówiono miejsca w drugiej klasie na parostatku Pestel, który odjeżdżał z Batumi na Odessę siódmego września o godzinie dwudziestej trzeciej według moskiewskiego czasu.

W nocy z dziesiątego na jedenasty września, gdy Pestel nie wstępując z powodu burzy do Anapy, wypłynął na pełne morze i skierował się wprost na Jałtę, Hipolitowi Matwiejewiczowi, który całutki dzień wymiotował żółcią i teraz dopiero zasnął, przyśnił się sen.

Śniło mu się, że stał w admiralskim stroju na balkonie swego strogodzkiego domu, wiedząc, że hałasujący na dole tłum czegoś od niego oczekuje. Duży żuraw unióśł się w górę i u stóp jego złożył świnie o czarnych łatach. Przyszedł stróż Tichon w marynarkowym stroju i chwyciwszy świnie za tylne nogi, rzekł:

— Ech! A niechże to jasny piorun strzeli! Czy „Nimfa” daje towar?

W rękach Hipolita Matwiejewicza znalazł się kindżał⁴⁹⁰. Uderzył nim świnie w bok i z dużej, szerokiej dziurki posypały się brylanty i zaczęły skakać po asfalcie. Skakały i stukwały wciąż głośniejsze i głośniejsze. W końcu stuk ich stał się nieznośny i straszny.

⁴⁸⁶mauretański — związany z Maurami; przymiotnik stosowany zwykle w odniesieniu do stylu mebli i architektury charakterystycznego dla budowli islamskich w Hiszpanii. [przypis edytorski]

⁴⁸⁷Suworow, Aleksandr Wasiljewicz (1729–1800) — głównodowodzący (generalissimus) armii carskiej, wybitny wódz i teoretyk wojskowości; walczył przyczynił się do zwycięstwa Rosji nad wojskami insurekcji kościuszkowskiej (odpowiedzialny za rzeź ludności Pragi podczas szturm na Warszawę 4 XI 1774). [przypis edytorski]

⁴⁸⁸bonżurek (żart.) — powitanie lub pożegnanie nawiązujące do francuskiego *bonjour*: dzień dobry. [przypis edytorski]

⁴⁸⁹kacenjamer (z niem.) — złe samopoczucie po wypiciu nadmiernych ilości alkoholu; kac, kociokwik. [przypis edytorski]

⁴⁹⁰kindżał — długi nóż, często zakrzywiony. [przypis edytorski]

Hipolita Matwiejewicza obudziło uderzenie fali o latarnię...

Do Jałty przybyli w okresie ciszy morskiej, w duszny, słoneczny ranek. Marszałek szlachty przyszedł już do siebie po morskiej chorobie i w całej okazałości stał na przodzie okrętu, tuż koło ozdobionego girlandami dzwonu.

Wesoła Jałta uszeregowwała wzdłuż wybrzeża swe maluśkie sklepiki i pływające restauracje. Na przystani stały powozy z aksamitnymi (w płóciennych pokrowcach) siedzeniami, auta i autobusy „Krymkurso” i towarzystwa „Krymski Szofer”. Czarowne dziewczęta obracały na wszystkie strony swe parasolki i wymachiwały chusteczkami.

Pierwsi na rozżarzone wybrzeże wyszli nasi przyjaciele. Na widok wspólnego tłumu oczekujących i gapiów wyskoczył obywatel w kostiumie z chesuczy i zaczął szybko zdążyć ku wyjściu z obrębu portu. Lecz było już za późno. Upstrzony wzrok Wielkiego Kombinatora rozpoznał szybko chesuczowego obywatela.

— Zaczekajże, Worobianinow — krzyknął Ostap.

I rzucił się przed siebie tak szybko, że udało mu się o dziesięć kroków przed wyjściem dogonić chesuczowego mężczyznę. Ostap momentalnie wrócił ze stu rublami.

— Nie daję więcej. A zresztą nie nalegałem, bo może nie mieć na powrót do domu.

I rzeczywiście, Kislarski, nie zwlekając ani chwili, zwał niezwłocznie autem do Sewastopola⁴⁹¹, a stamtąd trzecią klasą do domu, do Starogrodu.

Wspólnicy spędzili w hotelu cały dzień, siedząc nago na podłodze i raz po raz biegnąc do łazienki pod prysznic. Lecz szła woda ciepła jak obrzydliwa herbata. Przed upałem nie było ratunku. Wydawało się, że Jałta roztopi się i spłynie do morza.

O godzinie ósmej wieczór wspólnicy przeklinając wszystkie krzesła na świecie, wciągnęli gorące kamasze i poszli do teatru.

Dawano *Ożenek*. Znużony skwarem Stepan stojąc na rękach, padał niemal. Agafia Tichonówna biegła po drucie, trzymając w spoconych rękach parasol z napisem: „Chcę Podkolesina”. W owej chwili, tak samo zresztą, jak i we dnie, pragnęła tylko jednego — zimnej wody z lodem. Publiczności także chciało się pić. Dlatego też, a może i dlatego, że widok Stepana pochłaniającego gorącą jajecznicę wywoływał obrzydzenie, a spektakl nie przypadł do gustu.

Wspólnicy byli zadowoleni, ponieważ ich krzesło wraz z trzema nowymi wspaniałymi fotelami w stylu rococo było na miejscu.

Przyjaciele, ukryci w jednej z łóż, czekali cierpliwie ukończenia niewiarygodnie długo przeciągającego się widowiska.

Nareszcie publiczność rozeszła się i aktorzy pobiegli przewietrzyć się. W teatrze nie pozostał nikt prócz członków udziałowców przedsiębiorstwa. Kto żyw, pobiegł na ulicę pod strugi świeżego deszczu.

Przedostali się na scenę i oświetlając sobie drogę zapalkami, co nie uchroniło ich od trzaśnięcia się o prasę hydrauliczną, spenetrowali całą scenę. Wielki Kombinator pobiegł na górę do rekwizytorni.

— Chodźcie! — krzyknął z góry.

Worobianinow, wymachując rękoma, skoczył na górę.

— Widzicie? — spytał Ostap, świecąc latarką.

Z ciemności wyłonił się kant gambowskiego krzesła i wycinek parasolki z napisem: „Chcę...”.

— Patrzcie! Oto nasza przyszłość, terażniejszość i przeszłość! Zapalcie, Kiso, zapalki, a ja już wypatroszę krzesło.

I Ostap wpakował rękę do kieszeni po instrumenty.

— Tak — rzekł, wyciągając rękę w stronę krzesła. — Jeszcze jedną zapaleczkę, prezisie.

Zapłonęła zapalka i, o dziwo, krzesło samo skoczyło na bok i nagle w oczach zdumionych współników zapadło się pod podłogę.

— Mamo! — krzyknął Hipolit Matwiejewicz, lecąc pod ścianę, choć nie miał nawet najmniejszego zamiaru tego zrobić.

⁴⁹¹ *Sewastopol* — miasto w pld.-zach. części Krymu, port nad Morzem Czarnym. [przypis edytorski]

Z brzękiem wypadły szyby, a parasolkę z napisem: „Chcę Podkolesina” porwał wiatr i cisnął przez okno do morza. Ostap leżał na podłodze, przygnieciony z lekka drewnianymi tarczami...

Była godzina dwunasta, minut czterdzieści. Był to pierwszy wstrząs wielkiego krymskiego trzęsienia ziemi w 1927 roku. Ten silny wstrząs, który wyrządził niezliczone szkody na całym półwyspie, wyrwał skarb z rąk aferzystów.

— Towarzyszu Bender! Co to? — wrzeszczał przerażony Hipolit Matwiejewicz.

Ostap był nieprzytomny. Trzęsienie ziemi stanęło na jego drodze! Był to jedyny wypadek w jego bogatej praktyce.

— Co to? — wył Worobianinow.

Z ulicy dochodziły krzyki, dzwony i tupot.

— A to, że musimy czym prędzej wiać na ulicę, póki jeszcze nie zawaliły się ściany. Prędszej! Prędszej! Daj rękę, fujiaro!

I rzucili się ku wyjściu. Ku ich zdumieniu, pode drzwiami prowadzącymi z teatru na ulicę leżało całe i nienaruszone krzesło. Hipolit Matwiejewicz z psim skowytym uczeplił się go kurczowym chwytem.

— Dajcie mi obcęgi! — krzyknął do Ostapa.

— A to bęcwał, idiota! — jęknął Ostap. — Zaraz runie sufit, a ten tu wariuje! Prędszej na ulicę!

— Obcęgi! — wył oszalały Hipolit Matwiejewicz.

— Do cholery! Gińcie tu z waszym krzesłem! A dla mnie życie drogie jest, jako wspomnienie!

Mówiąc to, Ostap rzucił się ku drzwiom. Hipolit Matwiejewicz szczerknął i chwyciwszy krzesło, pobiegł za Ostapem. Gdy tylko znaleźli się na środku ulicy, ziemia jak gdyby zakołysała się pod ich stopami, z dachu teatralnego zaczęły spadać dachówki i na tym miejscu, które dopiero przed chwilą opuścili, leżały już szczątki prasy hydraulicznej.

— No, a teraz dajcie to krzesło! — rzekł z zimną krwią Bender. — Widzę, że dość już macie tego trzymania.

— Nie dam! — zapiszczał Hipolit Matwiejewicz.

— A to co? Bunt na okręcie? Oddajcie krzesło! Słyszycie?

— To moje krzesło! — zaskrzeczał Worobianinow poprzez rozlegające się wszędzie jęki, płacz i trzeszczenie.

— A więc płacę wam za nie, stary ośle!

I Ostap żelazną dłonią uderzył Worobianinowa w kark.

Akurat przez tę ulicę pędziła straż ogniowa z pochodniami i Hipolit Matwiejewicz przy migotliwym blasku pochodni ujrzał tak straszny wyraz twarzy Bendera, że momentalnie skapitulował i oddał krzesło.

— Dobrze, teraz już dobrze — rzekł Ostap, sapiąc — bunt został uśmierzony. Biercie krzesło i nieście je za mną. Odpowiadacie za jego całość. Jeśli nawet będzie jeszcze silniejszy wstrząs, krzesło musi ocaleć. Rozumiecie?

— Rozumiem.

Calutką noc współnicy wałęsali się razem z błędzącymi w panice tłumami, nie mogąc się zdecydować, jak wszyscy zresztą, na wejście do porzuconych domów i wciąż oczekując nowych wstrząsów.

O świcie, gdy strach trochę się zmniejszył, Ostap wybrał miejsce, w pobliżu którego nie było ani ścian, które mogłyby się zawalić, ani ludzi, którzy mogliby przeszkodzić, i przystąpili do upragnionej operacji.

Wyniki zdumiały obu współników. W krzesle nic nie było. Hipolit Matwiejewicz, nie mogąc znieść już dłużej takiego nawału wrażeń, zachichotał szczerzym śmiechem. Bezpośrednio po tym rozległ się trzeci huk, ziemia rozstała się i pochłonęła oszczędzone za pierwszym razem i wypatroszone przez ludzi krzesło, którego wzorzyste kwiatki uśmiechały się do wylaniającego się z obłoków słońca.

Hipolit Matwiejewicz stanął na czworakach i zwróciwszy wymiętą twarz ku brudnawoszarłatnej tarczy słonecznej — zawył. Słuchając go, Wielki Kombinator zemdleł. Gdy się ocknął, ujrzał tuż obok siebie porosły liliową szczecinę podbródek Worobianinowa. Hipolit Matwiejewicz również stracił przytomność.

— Ostatecznie — skonstatował Ostap głosem rekonwalescenta po tyfusie — mamy teraz sto szans na sto. Ostatnie krzesło (przy słowie „krzesło” Hipolit Matwiejewicz ocknął się) zniknęło wprawdzie na towarowym Dworcu Październikowym, lecz nie znaczy to wcale, że zapadło się pod ziemię. O co idzie? Posiedzenie trwa nadal!

Gdzieś tam padały z łoskotem cegły. Przeciągle wyla syrena okrętowa.

Kobieta z rozwianym włosom, nieubrana, biegła środkiem ulicy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY SKARB

W dżdżysty dzień październikowy Hipolit Matwiejewicz bez marynarki, w księżycowej, usianej drobnymi srebrnymi gwiazdeczkami kamizelce, krzątał się po pokoju Iwanopulo. Hipolit Matwiejewicz pracował przy oknie, ponieważ stołu dotąd jeszcze w pokoju nie było. Wielki Kombinator dostał duży obstalunek⁴⁹² z branży artystycznej — przygotowanie szyldzików dla związków lokatorskich. Wykonanie szyldzików według wzorów Ostap zlecił Worobianinowi, a sam niemal cały miesiąc od czasu przyjazdu do Moskwy kręcił się w okolicy Dworca Październikowego, z niepojętą wprost pasją szukając śladów ostatniego krzesła, bezwzględnie kryjącego w sobie brylanty *madame* Pietuchowej.

Hipolit Matwiejewicz z czołem pooranym zmarszczkami smarował zawzięcie żelazne tabliczki. W ciągu półrocznej brylantowej gonitwy wyzbył się swych wszystkich przyzwyczajęń. Budząc się z rana, nie piał już „bonjourów” i „gutenmorgenów”, hen w niepamiętnej przeszłości została matowa szklanka, z której pijał mleko, będąc jeszcze sekretarzem ZAGS-u w powiatowym mieście N. A i jasnie pańskie kamasze o kwadratowych czubkach i niskich obcasach, porzucone podczas pogoni za Teatrem Kolumba, gniły gdzieś na śmietniku tyfliskim.

W ostatnich czasach Hipolita Matwiejewicza nękała zmora podejrzeń. Bał się, że Ostap sam wypatroszy krzesło i wraz ze skarbami odjedzie, pozostawiając jego, Worobianinowa, na lasce losu. Znając jednak ciężką łapę Ostapa i jego niezłomny charakter, nie śmiał zdradzić się ze swymi podejrzeniami. Co dzień, siedząc przy oknie i czyszcząc wyschłe litery starą, wyszczerbioną brzytwą, trapił się podejrzeniami. Co dzień lękał się, że Ostap więcej już nie przyjdzie i on, dawny marszałek szlachty, umrze z głodu pod moskiewskim płotem.

Lecz Ostap przychodził każdego wieczora, choć radosnych wieści nie przynosił ze sobą. Energia i wesołość jego były wprost niespożyte. Nadzieja ani na chwilę go nie opuszczała.

W korytarzu rozległ się tupot nóg, ktoś z hałasem trzasnął się o kasę ogniotrwałą i cienkie drzwi rozwarły się tak lekko, jak kartki za podmuchem wiatru. Na progu stał Wielki Kombinator. Był cały mokry, policzki miał rumiane jak jabłuszka. Ciężko sapał.

— Hipolicie Matwiejewiczu! — krzyknął. — Słuchajcie, Hipolicie, Hipolicie Matwiejewiczu!

Worobianinow zdziwił się. Nigdy jeszcze dyrektor techniczny nie zwracał się do niego w ten sposób. I nagle zrozumiał.

— Jest? — szepnął.

— O to właśnie idzie, że jest! Ach, Kisa, niech was porwą diabli!!!

— Nie krzyczcie, wszystko słyhać.

— Racja, racja, mogą usłyszeć — szepnął prędko Ostap — jest, Kiso, jest i, jeśli chcecie, mogę je wam zaraz zademonstrować... Jak znalazłem? Bagatela! Diabło trudna rzecz! Genialna kombinacja, doprowadzona cudownie do końca! Przygoda, jak z bajki! Jednym słowem, pierwsza klasa!...

Nie czekając, aż Hipolit Matwiejewicz wpakuje marynarkę, Ostap pobiegł na korytarz. Worobianinow dogonił go na schodach. Wzburzeni, zasypując się wzajemnymi pytaniami, pędzili mokrymi ulicami na Plac Kałanczewski. Nawet nie pomyśleli, że mogą wsiąść do tramwaju.

— Wyglądacie w tym ubraniu jak szewc! — paplał radośnie Ostap. — Któż się tak ubiera, Kiso? Powinniście koniecznie mieć sztywną bieliznę, jedwabne skarpetki, no i,

⁴⁹²obstalunek (daw.) — zamówienie. [przypis edytorski]

oczywista, cylinder. W waszej twarzy jest coś szlachetnego! Powiedźcie, doprawdy, byliście marszałkiem szlachty?...

Ostap stał się zaczepny. Przedtem nigdy taki nie bywał. Z radości, że skarb może jeszcze tej nocy przejść w ich ręce, pozwalał sobie na głupie, wesołe kawały: trącał Hipolita Matwiejewicza, podbiegał do dziewcząt z Jermakówki i przyrzekał im złote góry.

Ostap pokazał marszałkowi krzesło, które stało w pokoju sekcji szachistów i miało najzwyczajniejszy wygląd, choć w swym łonie ukrywało niezliczone bogactwa, po czym wyciągnął Worobianinowa na korytarz. Nie było tu ani żywej duszy. Ostap podszedł do niezaopatrzonego jeszcze na zimę okna i obluzował zawiasy, na których trzymały się futryny.

— Przez to okienko — rzekł — łatwo i bezpiecznie dostaniemy się dziś w nocy do klubu. Pamiętajcie, Kiso, trzecie okno od frontu.

Przyjaciele długo jeszcze waleśali się po Domu Kolarzy, udając przedstawicieli UONO, i nie mogli się dość nadziwić prześlicznym salom i pokojom. Dom nie był duży, lecz dobrze zbudowany. Wspólnicy parę razy wstępowali do sekcji szachowej i z widocznym zainteresowaniem obserwowali parę partii.

— Gdybym podczas gry w Wasiukach — rzekł Ostap — siedział na takim krześle, nie przegrałbym ani jednej partii. Entuzjazm nie pozwoliłby mi na to. Pójdziemy jednak, staruszk. Musimy napić się piwa i odpocząć przed nocną wizytą. Czy odpowiada wam piwo, marszałku? Głupstwo! Jutro będziecie się opijać szampanem w dowolnych ilościach.

Idąc z piwiarni na Siwcew Wrażek, Bender strasznie się cieszył i zaczął przechodzić. Obejmował trochę wstawionego Hipolita Matwiejewicza i mówił do niego czule:

— Jesteście, Kiso, bardzo zacnym staruszką, lecz mimo to nie dam wam więcej niż dziesięć procent. Dalibóg, nie dam. Powiedźcież, po co wam, po co tyle pieniędzy?

— Jak to po co? Jak to po co? — gorączkował się Hipolit Matwiejewicz.

Ostap śmiał się przy tym serdecznie i tulił policzek do mokrego rękawa towarzysza afery.

— Cóż wy kupicie, Kiso? No, co? Nie macie przecież ani za grosz fantazji. Dalibóg, piętnaście tysiączków to dla was aż nadto... Umrzecie przecież wkrótce, starzy już jesteście. W ogóle nie potrzeba wam przecież pieniędzy... Wiecie, Kiso, nic wam chyba nie dam. To rozpusta. A wezmę was, Kiciuniu, do siebie na sekretarza. Co? Czterdzieści rubli pensji. Oprócz tego wikt. Cztery dni wolne od zajęć. Co? Specjalne ubranie, napiwki, kasa chorych... Co? Odpowiada wam ta propozycja?...

Hipolit Matwiejewicz wyrwał rękę i szybko poszedł naprzód. Żarty doprowadzały go do szału.

Ostap dopędził Worobianinowa przy wejściu do różowej willi.

— Doprawdy, obraziliście się na mnie? — spytał Ostap. — Żartowałem przecież. Swoje trzy procenty macie murowane. Dalibóg, Kiso, wystarczą wam trzy procenty.

Hipolit Matwiejewicz, zasępiiony, wszedł do pokoju.

— No i jakże, Kiso? — kpił sobie Ostap. — Zgodzicie się na trzy procenty? Dalibóg, zgódźcie się. Inny na waszym miejscu zgodziłby się. Pokoju kupować nie musicie, ponieważ Iwanopulo wyjechał do Tweru na całutki rok. Radzę wam jednak, wstąpcie do mnie na służbę jako kamerdyner... Intratna posadka.

Ostap, spostrzegłszy, że niczym niepodobna rozruszać Hipolita Matwiejewicza, ziewnął rozkosznie, wyprostował się do sufitu, westchnął głęboko i rzekł:

— Szykuj, druhu, kieszenie. Pójdziemy do tego klubu przed świtem. To najlepsza pora. Dozorcy śpią i śnią słodkie sny, za co często zwalniamy ich bez odprawy. A tymczasem, kochasiu, radzę wam odpocząć.

Ostap położył się na trzech krzesłach, pochodzących z rozmaitych krańców Moskwy, i zasypiając, mówił:

— Albo kamerdynerem!... Przywoita pensja... Wikt, napiwki... No, no, żartowałem... Posiedzenie trwa nadal! Lody ruszyły, panowie przysięgli!

Były to ostatnie słowa Wielkiego Kombinatora. Zasnął beztróskim, głębokim, rzeźwiącym i wolnym od mar sennych snem.

Hipolit Matwiejewicz wyszedł na ulicę. Porywała go złość i pasja.

Wszedł do pokoju, spojrzął surowo na śpiącego Ostapę, przetaił binokle i wziął z okna brzytwę. Na szczerbach jej były jeszcze widoczne ślady farby olejnej. Włożył brzytwę do

Morderstwo, Krew

kieszeni, raz jeszcze przeszedł obok Ostapa, nie patrząc na niego, lecz słysząc jego oddech, i znalazł się na korytarzu. Było tu cicho i sennie. Najwidoczniej wszyscy już udali się na spoczynek. W egipskich ciemnościach panujących na korytarzu Hipolit Matwiejewicz uśmiechnął się nagle w najbardziej zjadliwy sposób i poczuł, że na jego czole zaczęła się ruszać skóra. By sprawdzić to wrażenie, znów się uśmiechnął. Przypomnił sobie nagle, że w gimnazjum uczeń Pychtiejew-Kakujew potrafił ruszać uszami. Hipolit Matwiejewicz doszedł do schodów i zaczął uważnie nasłuchiwać. Na schodach nikogo nie było. Z ulicy dobiegł stuk kopyt dorożkarskiej szkapy, szczególnie głośny i wyraźny, jak gdyby ktoś liczył na liczydło. Marszałek cicho jak kot wszedł do pokoju, wyjął z wiszącej na krześle marynarki Ostapa dwadzieścia rubli i obcegi, włożył brudną admiralską czapkę i znów zaczął nasłuchiwać. Ostap spał cicho, nie chrapał. Nos i płuca pracowały idealnie, sprawnie wdychając i wydychając powietrze. Krzepka ręka zwiśla, dotykając podłogi. Hipolit Matwiejewicz, czując uderzenie tętna skroni, nie spiesząc się, odwinął prawy rękaw powyżej łokcia, okręcił obnażoną rękę wzorzystym ręcznikiem, cofnął się pod drzwi, wyjął z kieszeni brzytwę i wymierzwszy wzrokiem odległość, przekręcił wyłącznik. Światło zgasło, lecz pokój nadal był z lekka oświetlony niebieskawym światłem ulicznej latarni.

— Tym lepiej — szepnął Hipolit Matwiejewicz.

Zbliżył się do wezłowania, wyciągnąwszy jak najdalej od siebie rękę z brzytwą, z całych sił wpakował całe ostrze od razu w gardło Ostapa, wyrwał natychmiast brzytwę i odskoczył do ściany.

Wielki Kombinator wydał dźwięk podobny do tego, który sprawia zlew kuchenny wsysający resztki wody. Hipolitowi Matwiejewiczowi udało się nie zababrać się krwią. Worobianinow, ocierając się marynarką o kamienną ścianę, przekradł się do niebieskich drzwi i na chwilę znów spojrzał na Ostapa. Jego ciało dwukrotnie wygięło się i opadło ku poręczom. Światło uliczne płynęło po czarnej kałuży, która powstała na podłodze.

„Co to za kałuża? — pomyślał Hipolit Matwiejewicz. — Tak, tak, to krew... Towarzysz Bender umarł...”

Worobianinow odwinął zakrwawiony trochę ręcznik, cisnął go, potem ostrożnie położył brzytwę na podłodze i oddalił się, zamknąwszy cichutko drzwi.

Wielki Kombinator umarł na progu szczęścia, które sobie wyimaginował.

Znalazłszy się na ulicy, Hipolit Matwiejewicz zaszepił się i mrucząc: „Wszystkie brylanty są moje, a nie jakieś sześć procent”, poszedł na Plac Kałanczewski.

Przy trzecim oknie od frontowej bramy Domu Kolejarzy Hipolit Matwiejewicz zatrzymał się. Lustrzane okna nowego gmachu perliły się w brzasku wschodzącego dnia. W wilgotnym powietrzu słychać było przytłumione dźwięki manewrujących parowozów. Hipolit Matwiejewicz wdrapał się zgrabnie na gzyms, pchnął framugę okienną i bez hałasu skoczył na korytarz.

Łatwo orientując się w szarzejących już z wolna salach klubowych, Hipolit Matwiejewicz przedostał się do gabinetu szachowego i zahaczywszy o wiszący na ścianie portret Emanuela Laskera, podszedł do krzesła. Nie spieszył się. Nie miał dokąd spieszyć się. Nikt go nie ścigał. Wielki mistrz O. Bender spał snem wieczystym w różowym domku na Siwcewym Wrażku.

Hipolit Matwiejewicz usiadł na podłodze, objął żyłastymi nogami krzesło i z zimną krwią, jak dentysta, zaczął po kolei wyrywać z krzesła miedziane gwoździe. Na sześćdziesiątym drugim gwoździu skończyła się praca. Angielski kreton i rogoża leżały sobie całkiem swobodnie na krześle. Wystarczyło podnieść je tylko, by ujrzyć futerały, futerałiki i skrzyneczki pełne drogocennych kamieni.

„Zaraz na auto — pomyślał Hipolit Matwiejewicz, który mądrości życiowej uczył się w szkole Wielkiego Kombinatora — na dworzec i do polskiej granicy. Za byle jaki kamyczek przeszwarczą⁴⁹³ mnie na tamtą stronę, a tam...”

I Hipolit Matwiejewicz, pragnąc jak najszybciej zobaczyć, co będzie „tam”, zerwał z krzesła kreton i rogożę.

Jego oczom ukazały się sprężyny i włosie, bajeczne włosie w przedwojennym gatunku, jakiego teraz nigdzie by się nie dostało. Lecz nic więcej w krześle nie było.

⁴⁹³przeszwarcować (daw., z niem.) — przemycić, przewieźć nielegalnie. [przypis edytorski]

Hipolit Matwiejewicz porozrzucił machinalnie włosie i całe pół godziny przesiedział, nie wypuszczając krzesła z kurczowego uścisku nóg, i bezbarwnie powtarzał:

— Dlaczego nic tu nie ma? To niemożliwe! To niemożliwe.

Było już prawie jasno, gdy Worobianinow cisnąwszy wszystko tak, jak stało, zapomniawszy obcęgow i czapki ze złotą odznaką nieistniejącego jacht-klubu, wylazł oknem, niezauważony przez nikogo, na ulicę.

— To niemożliwe! — powtarzał, opuściwszy Dom Kolejarzy. — To niemożliwe!

Wrócił do Domu Kolejarzy i zaczął przechadzać się pod jego wielkimi oknami, poruszając wargami.

— To niemożliwe! To niemożliwe! To niemożliwe! — pokrzykiwał z rzadka i chwycił się za mokrą od rannej rosy głowę.

Rozpamiętując wszystkie zdarzenia tej nocy, potrząsał siwymi kosmykami włosów.

Brylantowe podniecenie okazało się zbyt silnym środkiem. Postarzał się nagle w ciągu pięciu minut.

— Chodzą tu ano, chodzą rozmaici — usłyszał Worobianinow nad uchem.

Ujrzał stróża nocnego w ubraniu z żaglowego płótna i w wysokich butach. Stróż był już wiekowy i, jak widać, wielce dobroduszny.

— Ano chodzą i chodzą — gawędził życzliwie stary, któremu uprzykrzyła się najpewniej nocna samotność — i wy, towarzyszu, także interesujecie się. I słusznie. Klub mamy prawdziwie niezwykły.

Hipolit Matwiejewicz patrzył bolesnie na rumianą twarz staruszka.

— Tak — rzekł stary — niezwykły jest ten klub. Drugiego takiego nigdzie nie ma.

— A cóż w nim takiego niezwykłego? — spytał z namysłem Hipolit Matwiejewicz.

Stary spojrzął radośnie na Worobianinowa. Najwidoczniej opowiadanie o niezwykłym klubie podobało się jemu samemu i lubił je powtarzać.

— Ano — zaczął stary — będzie już dziesięć lat, jak jestem tu stróżem, a takiego zdarzenia jeszcze nie było. Posłuchaj tylko, żołnierzyku. Ano był tu zawdy⁴⁹⁴ klub, wiadomo jaki, pierwszej sekcji służby ruchu, ja go, uważacie, pilnowałem. Do niczego był ten klub... opalali go, opalali i — nie mogli poradzić. A towarzysz Krasilnikow podchodzi do mnie: „Gdzie, powiada, podziewasz drzewo?”. A cóż to, jem je czy co? Towarzysz Krasilnikow krzątał się koło klubu: tam wilgoć, tu zimno, dla orkiestry dętej miejsca nie ma, z teatrem też krucho — marzną i marzną panowie artyści. Pięć lat starano się o kredyty na nowy klub, ale nie wiem, co z tym było. Dorprofsoż⁴⁹⁵ nie zatwierdził kredytów. Dopiero na wiosnę towarzysz Krasilnikow kupił, uważacie, krzesło do sceny, ładne, mięciutkie krzesło...

Hipolit Matwiejewicz słuchał całym ciałem, niemal kładąc się na stróża.

Był na wpół przytomny. A stary, radośnie śmiejąc się, opowiadał, jak kiedyś wgramolił się na to właśnie krzesło, by wykręcić żarówkę i stoczył się z niego.

— Z krzesła tego ześlizgnąłem się, pękło przy tym obicie. I patrzę, a tu spod obicia szkiełka sypią się i perły białe, na nitkę nanizane.

— Perły — pisał stary z zachwytem — i prawdziwe, żołnierzyku mój, dalej, a tam pudełka jeszcze rozmaite. Pudełek tych ani nawet nie ruszałem. Poszedłem, uważacie, zaraz wprost do towarzysza Krasilnikowa i zameldowałem. Nie ruszałem ja tych pudełek całkiem, nie ruszałem. I dobrze, żołnierzyku, zrobiłem, znalazły się w nich kosztowności ukryte przez burżujów.

— Gdzie te kosztowności są? — spytał Hipolit Matwiejewicz.

— Gdzie, gdzie? Ano, żołnierzyku mój, stoisz przed nimi i nie widzisz, hi, hi! Włóż no lepiej na nos okulary! Dom Kolejarzy za nie zbudowano, żołnierzyku! Widzisz? Tu jest ten dom! Centralne ogrzewanie, szachy z zegarem, bufet, teatr, w kaloszach nie wpuszczają!...

A więc tu jest skarb *madame* Pietuchowej!

Oto jest tutaj całutkie sto pięćdziesiąt tysięcy rubli, zero kopiejek, jak zwykły mawiać zabity Ostap Sulejman Berta Maria Bender!

Brylanty przekształciły się w ogromne frontowe tafle szklane i płyty żelazobetonu, chłodne sale gimnastyczne powstały z pereł.

⁴⁹⁴zawdy (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]

⁴⁹⁵dorprofsoż — regionalny oddział związku zawodowego kolejarzy. [przypis edytorski]

Diamentowy diadem przekształcił się w salę teatralną ze sceną obrotową, rubinowe wisioriki rozrosły się w całe żyrandole, złote żmije bransolet wysadzanych szmaragdami zamieniły się we wspaniałą bibliotekę, a kolia przerodziła się w żłobek dla dzieci, klub szachistów i bilard.

Skarb został, był zachowany, powiększył się nawet. Można go było dotknąć rękoma, lecz nie można go było zabrać. Przeszedł na służbę do innych ludzi.

Hipolit Matwiejewicz dotknął ręką granitowej fasady. Zimno kamienia przeniknęło aż do serca. Krzyknął.

*

*

I krzyk jego — wściekły, namiętny i dziki, krzyk postrzelonej śmiertelnie wilczycy — wybiegł na środek placu, rzucił się na most i wtłoczony w rozgwar budzącego się miasta, ucichł i skonał.

Wspaniała rano jesienny stoczył się z mokrych domów na ulice Moskwy. Miasto ruszyło do swej codziennej pracy...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ilf-pietrow-dwanascie-krzesel/>

Tekst opracowany na podstawie: Ilja Ilf, Jewgienij Pietrow, 12 krzesel, Wydawnictwo "Książka dla wszystkich", Katowice-Kraków 1947.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marianna Czabator, Tomasz Pałasz.

ISBN 978-83-288-8092-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).